



XXV

1922-1947

KSIEGA PAMIĄTKOWA  
PANSTWOWEGO GIMNAZJUM  
I LICEUM W RYBNIKU

Kolegium Nauczycielskie  
w Gliwicach - Biblioteka

**17556**



000-17556-00-00

# KSIĘGA PAMIĄTKOWA

PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM I LICEUM  
W RYBNIKU

1922 — 1947

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~

~~Nr. 4.5.64~~



1947

---

KOMITET OBCHODU XXV-LECIA  
PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM I LICEUM W RYBNIKU



Księ

8-4

4564

37(091)"19" | 371.383

SN 17556

W OPRACOWANIU KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ UDZIAŁ WZIĘLI:

AUGUSTYNIAKÓWNA JANINA, BEDNORZ STANISŁAW, BEZEG WINICJUSZ, BOBKÓWNA CECYLIA, BRONSIÓWNA IRENA, BUTTER JOACHIM, PPOR. BUTLER FRANCISZEK, BURDZIANKA LUDMIŁA, BURZYŃSKI WALTER, PROF. CHUDOBA LEON, CWOŁKÓWNA GERTRUDA, POR. DĄBEK JÓZEF, MJR. FOJCIK LEON, KS. GĄSZ ANTONI, GAWROŃSKI JERZY, GOJNY FRANCISZEK, GRZESICZEK ALFRED, GRZESICZKÓWNA ELEONORA, GRZESIK PIUS, GRZESIEWSKA ALEKSANDRA, GRYCMAN STANISŁAW, PROF. HERZ KAZIMIERZ, HARAZIM WITOLD, HÜBNER FRANCISZEK, HEFFNER JAN, KLIMASZKA BRONISŁAWA, RED. KNAPCZYK IGNACY, KOCZWARA EDWARD, KS. BISKUP KOMINEK BOLESŁAW, KONIECZNA ZOFIA, PROF. KOSSMANN JAN, KUBEK JERZY, KUBICA ALFRED, KURZYDYMÓWNA ANNA, PROF. LIBURA INOCENTY, LIBURA ZBIGNIEW, MANDRYSZ ARKADY, MANDRYSZÓWNA WALERIA, PROF. MAŃKA ALOJZY, PROF. MAZURKIEWICZ ŁUCJA, MICZAJKA KAROL, MICHALSKA MAGDALENA, PROF. MROWIEC ALFONS, MUSIOLIK HERBERT, MUSIOLIK LONGIN, KS. OKRĘT JÓZEF, PAWELEC JANUSZ, PETERS BERNARD, PILNY PAWEŁ, PINIOR ANTONI, POHL STANISŁAW, DR POPIOŁEK KAZIMIERZ, PRESZ WACŁAW, PRZESDZING JAN, PYZIKÓWNA BARBARA, PYZIK ZDZISŁAW, RDUCH CZESŁAW SŁAWIKÓWNA GABRIELA, RED. SZEWCZYK WILHELM, SZMELICH WIKTOR, KS. SZWEDA KONRAD, DYR. SZYMAŃSKI EDWARD, PPOR. TŁOŁKA RYSZARD, TRYBUŚ STANISŁAW, TYTKO LEONARD, URBAŃCZYK ANTONI, WAWRZYŃCZYK ŁUCJAN, WIECZORKÓWNA ROMANA, WOLNY JÓZEF, ZIELEŻNY EMIL, ZAMARSKI FRANCISZEK — WYCHOWANKOWIE, RODZICE I WYCHOWAWCY.

*K*sięga ta jest przede wszystkim zbiorowym hołdem pamięci wychowanków i wychowawców naszego zakładu, którzy oddali życie za Polskę w ostatnich zmaganiach narodu. Dlatego tak duża jest liczba tych, co ją układali, dlatego główny jej trzon stanowią wspomnienia o poległych i zmarłych.

Ale nie nadaliśmy jej żałobnego charakteru. Ma ona utwierdzać i rozwijać życie, bo w tym nad śmierć mocniejszym miłowaniu Polski i najwyższych ideałów bije żywe źródło bohaterskiej siły. Chcieliśmy, by w tych przyjacielskich wspomnieniach odżyły postacie dzielnych i drogich nam Staszków, Alojzów, Wicków, Zeflików, by przewodzili oni duchowo dalszym pokoleniom szkoły i uwznioślali nasze prace i wysiłki, by ta nowa karta dziejów, jaką nam otwiera Opatrzność, jak najlepiej została wypełniona.

Po niebywałym potopie krwi i barbarzyństwa, po niebywałym nawet w naszych dziejach rozproszeniu polskiego plemienia trudno o wyczerpujące i dokładne zebranie wiadomości mimo skrzętnego ich gromadzenia w ciągu dwu lat ostatnich. Dlatego księga ta posiadać będzie nieścisłości, ale nie chcieliśmy zwlekać dłużej, bo czas szybko płynie i zaciera często pamięć o tych, co odeszli, a tegoroczny jubileusz Zakładu wydał nam się odpowiednią chwilą dla wspólnego uczczenia tych, co życiem swoim najlepsze świadectwo wystawili szkole, co jej hasła i nauki wprowadzali w życie, co przedłużali niejako jej byt mimo miazdzącego ucisku zaborcy.

Choć mury jej zamilkły na sześć lat prawie, duch jej żył w szeptach domowych i pracach podziemnych młodzieży, rozkwitał w obozach żołnierskich, tętnił na polach bitew, krzewił się w barakach jeńców, nawet w obozach śmierci zgębić się nie dał.

Dlatego mimo wojennej przerwy mamy prawo obchodzić w tym roku jubileusz dwudziestopięciolecia i księga ta jest poświęcona również przeglądowi jego dorobku.

Z materialnych szczątków, jakie zdołano ocalić, a przede wszystkim z duchowej skarbnicy tych, co przeżyli, odtwarza minione dzieje szkoły. Wspomina serdecznie surową mądrość i ojcowską dobroć tego, który jej zręby stawiał, wspomina twórczych jej wychowawców, rodziców i dzielną młodzież, opowiada jak w radosnym zbiorowym trudzie wyrastał przybytek nauki i cnoty, jak przetrwał burze i gromy, jak służy wciąż nowym pokoleniom tej ziemi, o której tak pięknie śpiewają strofy Szewczyka:

Kto ciebie nie zna, ten o tobie szepce z uznaniem,  
żeś pszenna, dumna, zbożna i uparta,  
lub jeszcze: Rzeczypospolitej wichrowaty szaniec,  
czujna warta.

Sliczne stokrótki słów wyrzeźbiono ci prozą,  
czas, by cię owiać kadzidłami wiersza,  
by nad tobą jak buńczuk nad szczytami obozów  
powiewał, sosnom przewodził, sterczał.

Tu i tylko tu w Polsce na drewniane czoła  
kościółków — dym czerwony jak jastrząb opada,  
a wzniosłe lipy, płynące wokoło kościoła,  
huta w żółtym ornacie koi i spowiada.

Syrena świętych budzi i za brody targa  
i do ucha górnicze im szepce intencje,  
a po tym, jak po schodach, po chmur srebrnych wargach,  
zstępuje i jak stufa wije się po ręce.

Krajobraz się jak ołtarz odsłania o świcie,  
firany mgieł i dymów wiatr zwija i znosi,  
a na turniach kominów, w flącym się błękiecie,  
Bóg zasiada wysoki i nowy dzień głosi.

U was wiatr pewnie częściej opasły jak pijar,  
lub strwożony i głuchy jak głos w pustej urnie,  
tu młodą pierś ma, gdy się o nią noc rozbija,  
i oczy rozżarzone jak knurowski górnik.

U was trawa, choć rośnie wysoko i dobrze,  
ledwo rosą nad ranem dziewczętom zaszepce,  
tu — języki swe pojąc w świętej rzece Odrze —  
szumi pieśni najbardziej polskie i najlepsze.

Gwiazdom się tutaj z ludzi nie pokłoni nikt,  
gwiazdy, obrok dla maszyn, prychają w kominach;  
człapie hałdą oślepy dym — to rudy wilk,  
co łuną kolorową wpadły brzuch podpina.

Burza nie rada schodzi w pagóry Jankowic,  
choć jej Pan posłuszeństwo swym przykaże berłem,  
za głośno tu po gąszczach trzepoce się słowik,  
gniazdo swoje za wonnym majstrującym cierniem.

Wieczorem zaś kopalnia, jak orkiestra dęta,  
przygrywa marsze do snu w altanie mosiężnej  
i tęsknota przez żadne słowa niepojęta  
wspina się ku obłokom, gdzie trzepoce księżyc.

ODDALI ŻYCIE  ZA POLSKĘ

NA POLACH WALK 1939-1945

W KRAJU NA OBCYZNIE W ARMII PODZIEMNEJ W PARTYZANTCE

Dawidowski Alojzy  
Hala Henryk  
Lasek Stanisław  
Markiewicz Stan.  
Rabinowicz Jerzy  
Zdrzałek Gerard  
Ziemicki Bogusław  
Zimny Paweł  
Bączkowiץ Szym.  
Burzywoda Józef

Figura Ryszard  
Kocjan Leon  
Koczor Ryszard  
Noga Herbert  
Sojka Henryk  
Wija Józef  
Hałaczek Leopold  
Kowal Władysław  
Koždoń Paweł  
Malcher Gerard  
Musioł Franciszek

Pajęczek Józef  
Pawelec Zbigniew  
Piechoczek Stanisł.  
Pukowiec Bronisł.  
Procek Florian  
Sanecznik Zygm.  
Skudrzyk Ryszard  
Sobik Stanisław  
Stork Rudolf  
Wawrzyńczyk Wilh.

W OBOZACH:

Dobrowolski Tad.  
Fajkosz Wiktor  
Koziełski Józef  
Krzyżagórski Alf.  
Maresz Tadeusz  
Osuch Roman  
Szczepański Tad.  
Tomiczek Stanisł.  
Żagan Artur

Adamczyk Brunon  
Brachmański Wład.  
Duda Czesław  
Dudek Lucjan  
Gembczyk Jan  
Grzesik Leon  
Hellosz Alojzy  
Kilimek Wincenty  
Kubałko Ewald

Marcisz Wilhelm  
Mazanek Aleks.  
Mikołajec Wilhelm  
Piłta Franciszek  
Przesadźing Brun.  
Ks. Przybyła Franc.  
Ruda Stanisław  
Stefek Walter  
Stokiosa Eryk  
Wolny Stanisław

A JEŚLI KOMU DROGA OTWARTA DO NIEBA: TYM, CO SŁUŻĄ OJCZYŹNIE

A. D. 1947

J. Kochanowski.

A JEŚLI KOMU DROGA OTWARTA  
DO NIEBA: TYM, CO SŁUŻĄ OJCZYŹNIE



Droga ich była podobna. Wiodła od buntu ducha i ciała przeciw plemiennej zagładzie poprzez nierówną walkę i krwawy znój ku cierpieniu, męczeństwu i śmierci.

Z tą samą wizją Polski zmartwychwstałej w zapatrzonych wiarą oczach, z sercami skutymi wołą mocarzy, szli nieugięcie najtwardszą z dróg ofiarnych i od tych samych kul, od tych samych ciosów morderczych ginęli. To braterstwo bohaterstwa i męczeńskiej śmierci jest wspólnym tytułem ich chwały. Najgodniej reprezentowali nas i nasze ideały.

Za moc ducha i ofiarę krwi należy im się cześć i hołd dziękczynny.

Żałobne karty tej książki niech będą skromną, publiczną spłata długu wdzięczności ocalałych i żywych, niech zastąpią wiązanki kwiatów, których nad zagubionymi w świetle mogiłami i nad prochami rozwianymi wiatrem złożyć nie można.

Spisane tutaj wspomnienia pośmiertne mają być zbiorowym uczczeniem pamięci poległych.

Pisali je ci, którzy uczestniczą w żałobie szkoły, o tych, którzy ją osierocili: koledzy o kolegach, przyjaciele o przyjaciółach, wychowawcy o swych wychowankach i wychowankowie o swych profesorach, czasem brat o bracie i o synu ojciec, b. więźniowie obozów o towarzyszach ciężkich dni niedoli, bezsilni świadkowie o zgonach męczeńskich, wreszcie uczniowie o swych starszych, często nawet sobie nieznanych kolegach. Iść do rodzin bohaterskich męczenników, zetknąć się z najprawdziwszym cierpieniem i w załzawione oczy mu spojrzeć, a potem męstwo poległych i ból żywych skromnymi słowami wyrazić — to pożyteczniejszy i cenniejszy trud, niż codzienne, pisane na oderwane tematy zadania uczniowskie.

To bratni ból przeżyty, to uczestnictwo we wspólnej żałobie, a równocześnie żywe, bijące czią świętą źródło tej samej radosnej mocy twórczej, która dla utrzymania życia narodu nie zna lęku przed śmiercią.





## *Twierdzą nam będzie każdy próg!*



**T**wierdzą nam będzie każdy próg!... — śpiewamy w Rocie Konopnickiej. Te słowa przysięgi w dosłownym znaczeniu spełnili Tkoczowie z Chwałowic, których dom był istotną twierdzą polskości w czasie okupacji niemieckiej i bazą operacyjną tamtejszych patriotów. Dlatego pierwsze wspomnienie poświęcamy tej bohaterskiej rodzinie.

Ojciec, górnik z zawodu, nie był w stanie wyżej kształcić 5 synów i 3 córek, mimo to odegrali oni wybitną rolę w życiu społecznym swej wioski. Do Z. H. P. np. należą 3 siostry i 3 bracia, z których Alfred, uczeń seminarium pszczyńskiego, zakłada harcerską drużynę żeglarską.

Z wybuchem wojny we wrześniu 1939 roku Alfred wraz z bratem Ryszardem zgłasza się ochotniczo do Wojska Polskiego. Młodszy zaś bracia i siostry ratują sprzęt harcerski i bibliotekę T. C. L. w Chwałowicach i kryją wszystko w bezpiecznym schówku w piwnicy.

Starsi bracia powróciwszy spod Lwowa w początkach listopada do domu, zaczynają pracować podziemnie. Stojący pod lasem dom stał się jak gdyby centralą konspiracyjną. W podziemiach urządzają stację radiową i 'drukarnię, z której wychodził na świat pamiętny „Zryw” i inne druki. Jak doskonałe były te skrytki, świadczy fakt, że mimo

nieustannych i dokładnych rewizyj gestapo i szupo, mimo opukiwania ścian, nie udało się wysledzić ani znaleźć dostępu do podziemia. W piwnicy pod piecem do wypiekania chleba był bunkier podziemny, w żłobie dla krów była kryjówka, w której podczas godzinnej rewizji gestapo i szupo z psem policyjnym ukryli się obydwaj bracia i nie udało się ich znaleźć. Urządzenia zapewniały natychmiastowe zniknięcie w wypadku niespodziewanego najścia żandarmów.

Wszystko było tak obmyślane, że nawet wtajemniczeni nie znali planu pracy ani wszystkich członków organizacji. Każdy zjawiający się, nieraz zupełnie obcy, przynosił co miał przynieść, robił swoje, zabierał co miał zabrać i znikał. Że tajemnica została zachowana, świadczy fakt, że po wywiezieniu rodziny nie znaleziono w domu nic, mimo najdokładniejszej rewizji.

Dnia 8 lutego 1944 r. Alfred, jadąc rowerem na oznaczone miejsce w lesie pawłowickim, został zniemacka otoczony czekającymi na niego zbirami. Nie zdążył nawet zeskończyć z roweru. Osadzony został w Oświęcimiu razem z większą grupą złapanych w tym dniu partyzantów.

Dnia 13 lipca 1944 r. aresztowano rodziców, siostrę i dalszych braci: Ryszarda i Alojzego, który jeszcze w 1939 r. przy dawaniu odcisku palca oświadczył, że nie może być Niemcem, bo już przeciwko nim walczył. Ryszard osadzony został w Oświęcimiu, ojciec z najstarszym synem Alojzym w Guzen, matka z córką Jadwigą w Ravensbrück, gdzie później również znalazła się druga córka — Klara.

W dniu 22 września 1944 roku w Tychach powieszono publicznie Ryszarda z kilku innymi Polakami dla zastraszenia mieszkańców (dokument jego śmierci znaleziono po wojnie w urzędzie gminnym).

Z rodziny, liczącej 10 osób, siedmioro znalazło się w obozie, a sześcioro oddało życie za Polskę. Ryszarda powieszono, Al-

---

fred, wysłany z Oświęcimia do robót podziemnych w Bremen, zaginął bez wieści. Podobny los spotkał oboje rodziców i Alojzego, siostra Jadwiga jeszcze za życia matki zmarła w obozie. Jedynie młodszej Klarze udało się doczekać końca wojny i ocalenia (przebywa teraz w Szwecji). Troje najmłodszych ukrywając się w okolicach Chwałowic zdołało się także ocalić. Żyją dziś skromnie w Chwałowicach, nie szukając rozgłosu ni sławy, a nawet spotykają się z brakiem należytego zrozumienia i życzliwości.

Ruiny domu ich, tej twierdzy polskości za czasów okupacji, jak niemy wyrzut w trzecim roku wolności stoją pod lasem opuszczone i zarosłe chwastem. Czego wybuch nie zniszczył, strawiły płomienie, m.in. i ukrytą tam niegdyś bibliotekę T.C.L. i sprzęt harcerski. Ocalał jedynie w cudowny prawie sposób obrazek święty i kiedy po wybuchu ludzie zbliżyli się do ruin, ujrzeni na ścianie królujący nad gruzami opalony wizerunek Matki Bożej.

WITOLD HARAZIM, kl. 1 lic.

## Rodzina Koźdoniów

W tym wspomnieniu opowiem o najmłodszym z uczniów Państwowego Gimnazjum w Rybniku, o Pawle Koźdoniu z Chwałowic, który w sierpniu 1939 roku zdał bardzo dobrze egzamin do klasy I i został przyjęty do naszego załadu.

Niestety wybuch wojny tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego przekreślił piękne zamiary Pawełka.

Jeżeli mam o nim pisać, to nie mogę pominąć całej jego rodziny, która, mogąc to śmiało powiedzieć, na terenie ziemi rybnickiej w walce o niepodległość Polski stała w pierwszym szeregu walczących.

Ojciec naszego Paulka, również Paweł, urodzony 30 czerwca 1890 r., był górnikiem na kopalni w Chwałowicach. Znany jako wybitny działacz i bojownik o niepodległość Śląska, dzieci swoje wychował na prawdziwych patriotów, dając tym piękny przykład całemu otoczeniu. W tej trudnej i mozolnej pracy pomagała mu jego żona Franciszka z domu Kempna.

Liczne rodzeństwo Koźdoniów składało się z siedmiu synów i córki Janiny. Miał więc Pawełek czterech starszych braci, z których Franciszek, Józef i Władysław byli uczniami Państwowego Gimnazjum w Rybniku, Tadeusz zaś uczniem Szkoły Handlowej. Dwaj młodszy Jan i Jerzy wy-

chowowali się jeszcze w domu, siostra Janina ukończyła Gimnazjum SS. Urszulanek. Pięciu najstarszych synów Koźdonia należało do drużyny harcerskiej w Chwałowicach. Ich komendantem i nauczycielem był znany bohater, stracony przez Niemców w Katowicach, haremistrz Józef Pukowiec. Piękny rozwój, patriotyczne i obywatelskie dążenia tej rodziny druzgoce nieszcześnie wojna z 1939 roku.

Wróg wkracza do kraju, niszczy i rabuje dorobek kulturalny Polski.

Drużyna harcerska z Chwałowic otrzymuje rozkaz zabezpieczenia aktów i biblioteki harcerskiej. Młodzi Koźdoniowie sporządzają skrzynię, zamykają w niej szczelnie akta i książki i zakopują w ogrodzie przy własnym mieszkaniu.

Znaleźli się jednak zdrajcy, którzy o tym zawiadomili siejące wszędzie gwałt i mordy gestapo. Przyjechał cały oddział SS-owców, przekopali ziemię i znaleźli ukrytą skrzynię z aktami. Nazywało się, że Koźdonie zakopali tam broń. Jako pierwszych niebezpiecznych Polaków, zagrażających bezpieczeństwu Rzeszy, aresztowało gestapo dnia 10 września 1939 r. ojca Pawła i syna Władysława, ucznia Państwowego Gimnazjum w Rybniku, z przeznaczeniem do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Następnego roku dnia 1 maja aresztowano drugiego sy-

---

na Józefa. Trzeci, Franek, po odmówieniu w gminie podpisu w sprawie wojska, ucieka. Wobec tego gestapo dopuszcza się na pozostałych członkach rodziny gwałtu. Wyrzuca matkę z dziećmi z mieszkania na podwórze, niszcząc przy tym większą część ruchomości. Po czterech dniach bytowania pod gołym niebem zlitowała się nad biednymi znana ze swej nieugiętej postawy rodzina Tkoczów, przyjmując ich do swego mieszkania.

Dnia 12 czerwca 1942 roku Koźdoń Paweł umiera w obozie w Ravensbrück.

W pierwszą rocznicę zgonu ojca rodzina zamawia za duszę zmarłego Mszę świętą. Nieutulona w smutku ucieka się do Jezusa i Matki Najświętszej o pomoc.

Gestapo, dowiedziawszy się o tym, jest wściekłe i jeszcze w tym samym dniu, tj. 25 czerwca 1943 r. aresztowało resztę rodziny: matkę, syna Franciszka, 18-letniego Pawła, 15-letniego Janka, najmłodszego Jerzego i córkę Janinę. Transport szedł w kierunku straszego więzienia w Mysłowicach, a następnie do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W drodze do Mysłowic jeden z gestapowców wyrzuca z samochodu najmłodszego 8-letniego Jerzego i celując doń z karabinu krzyczy: Uciekaj! Chłopczyzna uciekł i długo samotny błądził, aż dotarł do znajomych, którzy sierotę przytulili u siebie.

W dniu 29 stycznia 1944 r. Franciszka Koźdoniowa, matka bohaterskich dzieci po ciężkich cierpieniach umiera w obozie oświęcimskim na tyfus. Przed skonaniem błaga o zezwolenie na widzenie się z przebywającą w obozie córką Janiną i synem Pawłem. Zafwardziali zbrodniarze nie zezwolili i na to. Nieszczęśliwa matka skonała, nie udzielwszy ostatniego błogosławieństwa swym dzieciom.

Syn Paweł, dowiedziawszy się o śmierci matki, był niepokieszony. Chodząc do pracy poza obóz, skorzystał z nieuwagi posterunkowego w czasie alarmu lotniczego, skrył się w sęgu drzewa i uciekł z obozu. Ale gdzie miał się udać? Szukał znajomych i krewnych w powiecie pszczyńskim. Po nawiązaniu kontaktu z krajową armią podziemną, staje w jej szeregach. Pragnie pomścić drogich rodziców, dręczonych współbraci, pragnie zniszczyć wroga, przepędzić zdrajców ze świętej dla niego śląskiej ziemi. Wszelkie rozkazy spełnia brawurowo.

Otrzymał polecenie zajęcia broni w gnieździe SA-mana Szewczyka w Chwałowicach, pada trafiony wystrzałem z karabinu. Choć ranny, walczy do ostatka, rażąc skutecznie nacierający patrol niemiecki. Długo znęcają się nad nim siepacze, oświetliwszy reflektorem pole walki.

Było to wieczorem dnia 12 grudnia 1944 roku, na krótko przed wyzwoleniem Śląska. W ten sposób zginął dzielny, obiecujący młodzieniec, zapalony harcerz, żołnierz armii podziemnej i wierny syn Polski.

Po ewakuacji obozu siostra Janina przeszła drogę krzyżową więźniów przez znane jej powiaty: pszczyński i rybnicki do Wodzisławia, a następnie aż do Ravensbrück, gdzie wyzwolona została z początkiem 1945 r. przez wojska amerykańskie. O jej miłym stosunku do towarzyszek niedoli w obozie wspomina Kossak-Szczucka we wstrząsającym dziele „Z otchłani“. Dziś, po powrocie do zniszczonego ogniska rodzinnego, sama w ciężkich warunkach pracuje na utrzymanie swoje, młodszego rodzeństwa i dopomaga starszym braciom w dokończeniu studiów.

Ocalałe z pogromu rodzeństwo, zachowując pamięć drogiego ojca, matki i brata pracuje, by spełnić ich gorące pragnienie odbudowania potężnej i wolnej Polski.

LUDMIŁA BURDZIANKA, kl. I lic.



## Bracia Pukowcowie



Józef



Bronisław

Obok Koźdoniów i Tkoczów do najbardziej gnębionych przez Niemców i najczęściej zasłużonych w walce z okupantem należała rodzina Pukowców z Chwałowic. Oddali oni trzech synów ojczyźnie: harcmistrza Józefa, Bronisława, asystenta Uniwersytetu Jagiellońskiego i Alojzego, porucznika W. P. Sredni z nich, Bronisław, był uczniem naszego gimnazjum, które ukończył w r. 1931. Po maturze, aby zdobyć fundusz na dalsze studia, pracował przez 2 lata na kopalni Chwałowice, po czym zapisał się na Uniwersytet Jagielloński i w r. 1937 zdobył tytuł magistra filozofii. Pracował jednak dalej jako asystent prof. Kutrzeby w Akademii Umiejętności i pisał z historii rozprawę doktorską, którą ukończył w roku 1939. Wybuch wojny przerwał mu formalne uzyskanie doktoratu. W pamiętnych dniach wrześniowych wprost z ćwiczeń wojskowych wyruszył na front. Po krótkiej kampanii dostał się do niewoli, z której udało mu się zbiec. Przebywając u teściów w Brzezince, zaczął działać w konspiracji. W Brzezince spotkali się wszyscy trzej bracia, organizując, uzgadniając swą pracę

podziemną, rozpowszechniając pisemka drukowane w „Gubernii“, rysując mapy orientacyjne, udzielając informacji o obsługach radiostacji wojskowych, o ilości wojsk itp. Z „Gubernią“ utrzymywał stałe łączność Alojzy Pukowiec, który początkowo mieszkał w Katowicach u pewnego lekarza. Komendantem całej grupy był najstarszy brat Józef.

Bronisław najpierw pracował w Urzędzie Pośrednictwa Pracy, lecz pod koniec 1940 roku dostaje się na pocztę w Sosnowcu.

Jego inteligencja i pracowitość sprawia, że wysyłają go na kurs dla inspektorów pocztowych w Sudetach. Mimo że ma palcówkę polską, że nie posiada Volkslisty, a brat jego Józef został w międzyczasie aresztowany za działalność patriotyczną, zostaje inspektorem na poczcie w Sosnowcu. Bronisław pracuje z dużym pożytkiem dla wywiadu antyniemieckiego, utrzymując stały kontakt z Józefem w więzieniu i Alojzym, przebywającym w Warszawie.

W parę dni po ścięciu Józefa Bronisław, zdradzony przez jakiegoś porucznika z Janowa, dostaje się do więzienia w Mysłowicach.

---

cach, gdzie gestapo znęca się nad nim w szczególnie sposób. Dnia 25 stycznia 1943 roku przewożą go do Oświęcimia i w tymże dniu o godzinie 18,03 wraz z 72 innymi więźniami zostaje rozstrzelany za przygotowania do „zdrady stanu“.

Odtwarzając krótko działalność Bronisława, nie mogę pominąć pozostałych braci, którzy, choć nie byli wychowankami naszego gimnazjum, zasłużyli na to, by o nich wspomnieć.

Najstarszym z czterech braci był Józef. Był znanym działaczem harcerskim i długoletnim komendantem hufca rybnickiego. Mimo ułomności fizycznej odznaczał się niepospolitą energią i pracowitością wprost ofiarną, kładąc wielkie zasługi na polu oświaty i wychowania nie tylko w naszym powiecie, ale i na całym Śląsku łącznie z Opolszczyzną, dokąd go wysłano dla prowadzenia kursów harcerskich. Umożliwia bratu studia na uniwersytecie i w ogóle poświęca się bez reszty dla innych. Podczas okupacji pracował z braćmi dla sprawy polskiej. Pracował jednak niedługo. 22 grudnia 1940 roku aresztowano go i osadzono w więzieniu katowickim, gdzie przebywał aż do dnia 18. sierpnia 1942 roku, w którym jego szlachetna głowa padła pod niemieckim toporem.

Ostatnie jego dni tak opisuje kapelan więzienny ks. Besler. „Po ogłoszeniu wyroku śmierci, natychmiast zakuto go w kajdany. Ale ani świadomość śmierci, ani kajdany nie przeszkadzały mu chodzić do kaplicy więziennej, gdzie przyjmował Sakramenty św. Był przygnębiony, ale wierzył i ufał mocno, że wyzwolenie Polski nastąpi niedługo. Przypuszczał, że Niemcy mszczą się na nim za to, że nie mogą pochwyć jego brata Alojzego. Ojczyznę kochał więcej niż matkę swoją, a pracę swą i cierpienia poświęcił dla lepszej przyszłości Polski.

Dnia 17 sierpnia 1942 r. o godz. 18 ogłoszono mu, że wniosek o ułaskawienie został odrzucony. Zaprowadzono go do celi,

w której przebywali na śmierć skazani. Krótko przed śmiercią napisał piękny list do rodziców, w którym czule się z nimi pożegnał i zapewniał, że czasy się na pewno poprawią. Pojednał się z Bogiem, przyjął komunię św. Zginął jak żył: wierny do ostatka ideałom „Bóg i Ojczyzna“.

Za zawołaniem: „...Der nächste...“ dwóch esesowców zaprowadziło go na miejsce ścięcia. Przeczytano jeszcze raz wyrok i zakuto mu ręce na plecach. Musiał klęknąć przed ławą gilotyny i schylić głowę w zagłębienie. Kat zamknął szyję żelazną klamrą i za naciśnięciem guzika zwolnił ciężki topór z uwięzi. Głowa spadła do przygotowanego kosza z blachy cynkowej, a tułów wrzucono do skrzyni z trocinami, do tego celu przygotowanej. Ślady krwi pomocnicy kata splukali wodą i topór był gotowy dla nowej ofiary. Ekzekucji przyglądał się prokurator oraz dwóch świadków. Część ciał delikwentów wywożono do Oświęcimia jako materiał do krematorium, a część przeznaczano dla wydziału medycyny na uniwersytecie wrocławskim. Tak w Katowicach ginęli najlepsi synowie Śląska“.

Młodszy brat Alojzy, porucznik W. P., podczas okupacji działał na terenie całej niemal Polski. Przekradał się do Anglii przez Węgry, przewoził pieniądze oraz wiadomości i rozkazy. W końcu dostał się i on w szpony gestapo. Był w obozie w Neuen-gamme i innych. Zginął prawdopodobnie w Hamburgu tuż przed końcem wojny. Gdy ewakuowano więźniów do Szwecji, okręty zaraz po wyruszeniu zostały zbombardowane przez samoloty alianckie. Pozostali przy życiu więźniowie i obsługa ratowali się skokiem w morze. Przy brzegu czekał ich jednak grad kul z karabinów maszynowych. Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że Alojzy zginął razem z innymi. Tak przypuszcza pewien profesor z Ustronia, znajdujący się wówczas w pobliżu miejsca wydarzenia.

---

Czwarty z braci Pukowców, Stanisław, przeszedł przez wszystkie niemal obozy koncentracyjne Rzeszy i wrócił szczęśliwie do domu po zakończeniu wojny.

Matka staruszka, która po synach oczy wypłakała, i niezdolny już do pracy ojciec

bohaterskich dzieci żyją w pow. pszczyńskim na łaskawym chlebie u ocalałej z pogromu córki, oczekując na przyznanie im należnego zaopatrzenia.

JAN HEFFNER, kl. 2 lic. mat. fiz.

### *Adamczyk Brunon*

Należy do starszego pokolenia naszych maturzystów. Urodził się w Bierułtowach 14. II. 1908 r. Egzamin dojrzałości zdał w 1928 r., a w r. 1932. ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Krakowie. Pracował jako kierownik Banku Ludowego w Rydułtowach, a potem w Rybnickim Gwarectwie Węglowym. W czasie oku-

pacji za niepodpisanie „Volkslisty“ Niemcy grożą mu represjami, więc chroni się do GG. Przebywając w Warszawie działa w podziemiu i dn. 3. listopada 1942 r. ginie na ulicy „rozstrzelany za opór“, jak doniosło na interwencję rodziny gestapo.

STANISŁAW BEDNORZ.

### *Brachmański Władysław*



Urodził się Władysław dnia 11 maja 1914 r. w Radlinie, a mieszkał w Wielopolu od roku 1927 do końca swego krótkiego życia. Pragnieniem rodziców jego było, ażeby się kształcił. Z ich pomocą i dzięki własnym zdolnościom ukończył gimnazjum i po maturze przeniósł się do Katowic, gdzie uczęszczał przez rok do szkoły pedagogicznej.

Wybuch wojny w 1939 r. zastał go w szeregach wojskowych jako podchorążego piechoty. Już po kilku miesiącach jednak wra-

ca złamany na duchu do rodzinnej wioski i przyjmuje pracę w miejscowej cegielni jako zwykły robotnik. Ileż to razy widziałam go, wolno wracającego do domu po całodziennej, wyczerpującej pracy... Zarówno przełożeni w cegielni jak i władze niemieckie w gminie odnoszą się doń wrogo, znieważają go i krzywdzą, gdyż zdecydowanie opowiedział się Polakiem. Nawet na kilkukrotnych przesłuchach przed władzami hitlerowskimi mówił tylko po polsku. Matka obawiając się, że za tę zuchwałą postawę natychmiast zaaresztują ukochanego jedynaka, tłumaczyła jego odpowiedzi, jakkolwiek żądano, aby on sam odpowiadał.

Długo nikt nie wiedział, że Władek należy do tajnej organizacji polskiej. Rodzice i siostry widzieli tylko, że przynosił do domu całe stosy gazet polskich i wiele wieczorów spędzili wspólnie na czytaniu krzepiących wiadomości. Zadaniem Władysława było roznieść i rozdać te pisemka zaufanym, którzy zawdzięczali mu chwile cichej radości i nadziei. Zadanie to nie było łatwe, jeżeli się zna czujność i chytrych tajnej policji hitlerowskiej.

Poza tym Wladek z pomocą kolegów zmagł się z radio, codzień potajemnie słuchał wiadomości, podanych z zagranicy w języku polskim, choć za to groziła kara śmierci, i rozpowszechniał je wśród innych. Wszystko to wymagało wielkiej ostrożności, gdyż dom był strzeżony, zwłaszcza wieczorami.

Pewnej nocy burzliwej, piętnaście minut po pierwszej, przyszedł całą gromadą hitlerowcy. Lęk ogarnął mieszkańców czerwonego domku. Na spotkanie policji wyszedł ojciec Władka. Ona jednak od razu pytała o syna, który niestety nie mógł się ratować ucieczką, gdyż dom był otoczony. Zaraz też nałożono mu kajdanki na ręce. Sądny dzień zapanował w domu. Każdy zakamarek uległ rewizji. Gazet polskich nie znaleziono, ale za to wiele cennych pamiątek polskich i wiele książek polskich. Medaliki poświęcone rzucali na ziemię, deptali butami ci, którzy wierzyli w jedyne tylko boga: Hitlera! Matka na pół żywa wrywała się do syna, który stał i patrzył. Może w myśli żegnał się po raz ostatni z rodzinnymi ścianami, z osobami, które tak bardzo kochał. Wiedział on dobrze, co znaczy wpaść w szpony gestapowców. Wśród krzyku matki, płaczu sióstr i rozpaczyny ojca wprowadzono Władysława do więzienia, skąd miał już nie wrócić. Był to dzień 13 czerwca 1942 roku. Wiele starań podjęła rodzina, aby uwolnić syna. Żaden z adwokatów nie

podjął się obrony, tym bardziej, że w dniu tym uwięziono w okolicy Rybnika 180 Polaków.

Rozpacz matki była ogromna na wieść, że jej kochany Wladek obity został przy świadkach za to, iż miał medalik polski. Rozpacz wzmogła się, gdy w Gotartowicach „dla dobrego przykładu“ powieszono publicznie kilku chłopców, którzy Polskę nade wszystko ukochali.

Dnia 24 sierpnia 1942 r. rodzina Brachmańskich dostała telegram, że Władysław Brachmański umarł w łagrze oświęcimskim.

Tak zginął jeden z tysięcy bohaterów i męczenników narodowych, których nieugięta postawa kruszyła przemoc i butę wroga. Do dziś ojciec i matka ze łzami, ale i z dumą wspominają jedyne go syna.

Oto co skreślił mi własnoręcznie ojciec Władysława, Mateusz Brachmański: „Wladek, nasz ukochany, jedyne dziecko, to było słonko naszego życia. Kształciliśmy go po to, by dla Polski pracował; niestety krótko to trwało. Hitlerowska pięść zamordowała go za to, że czuł i myślał po polsku. Nigdy nie zrobiłeś nam, Synu, w swym krótkim życiu żadnej przykrości, tylko śmiercią swoją sprawiłeś nam bezgraniczny ból, w którym pociesza nas tylko myśl, że oddałeś życie w imię Tej, co nigdy nie zginęła“.

GERDA CWOLKÓWNA.

## *Burzywoda Józef*

W smutnych wspomnieniach z ostatniej wojny stają mi przed oczyma ci, którzy kiedyś należeli do naszego grona, a w walce z najeźdźcą o wolną Polskę, oddali swe młode życie.

Jednym z nich jest mój starszy kolega Burzywoda Józef, urodzony 2 marca 1918 r. W roku 1938 zdał egzamin dojrzałości, a pamiętny rok 1939. zastał go w szeregach żołnierskich. Podczas tragicznej kampanii wrześniowej podzielił los wielu innych: do-

stał się do niewoli rosyjskiej. Przez dłuższy czas był w obozie „wojenno-plennych“ w Nowym Jaryczowie w woj. lwowskim. W listach z tego okresu oprócz zrozumiałej tęsknoty za domem i stronami rodzinnymi, wyczuwa się silne ukochanie wszystkiego, co polskie i ciągłą nadzieję powrotu do wolnej ojczyzny. We wrześniu 1940. roku pisze w liście do matki:

„Do co zapominać o tym, co było? My wszyscy tutaj żyjemy przeszłością i nadzie-



ją, że Ona jeszcze wróci. Trochę może inna, lecz lepsza i 'szczęśliwsza'.

A w innym liście tego samego roku kreśli słowa, które wzruszają swym dojrzałym, z przekonania płynącym spokojem: „Mnie dość znośnie. Zapomniałem tylko, jak to jest cieszyć się kwiatami, śpiewem ptaków i swobodą, bo ja mam tylko druty kolczaste przed sobą i nic poza tym. Ale bądźcie dobrej myśli: wszystko dobrze się skończy, wrócę, tylko dbajcie o swoje zdrowie i myślcie wszyscy tak, jak nas ojciec uczył. Bądźcie zawsze sobą. Nie narzekajcie, jeśli wypadnie trochę pocierpieć, bo inni ponoszą jeszcze większe ofiary“....

Wielu jego współtowarzyszy zgłosiło się do powrotu do domu i opuściło obóz. On jednak pozostał. W marcu 1941 pisze do swoich: „W lutym wyjechał ostatni Ślązak; jestem więc zupełnie sam, jak ten kołek w polu“. Honor żołnierski i gorący patriotyzm nie pozwolił mu wracać. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał pracować dla wroga lub, co gorsza, odziany w nienawistny mundur, strzelać do swoich braci. Czekał chwili, gdy będzie mógł znów bić podstępnego najeźdźcę, a że chwila taka nadejdzie, o tym był święcie przekonany.

Jego droga powrotna wiodła innym szlakiem. W roku 1941. przypiął orzełka do czapki i pomaszzerował przez Palestynę, Egipt i skwarne piaski Sahary do Italii, żeby walczyć, jak to już tyle razy w histo-

rii Polski się zdarzało, na obcej ziemi za własną ojczyznę. Brał udział w pamiętnej bitwie o Monte Cassino, która na nowo rozniosła po świecie sławę polskiego orzeła.

Nie doczekał jednak końca wojny i tej szczęśliwej przyszłości, o której pisał w liściach, nie ujrzał „najdroższej mamy“, bo Ojczyzna zażądała od niego największej ofiary, ofiary życia. Oto co pisze o nim jego przełożony, ppułkownik Michurski, w pośmiertnym wspomnieniu:

Lo/2 2281. ś. p. pporucznik Burzywoda Józef służył w 15. Pułku Ułanów Poznańskich od dnia 11. III. 1943. r., brał udział w walkach w Italii i za męstwo w bitwie pod Monte Cassino został odznaczony Krzyżem Walecznych.

W walkach o Anconę w bitwie pod CASA NUOVA nad rzeką Musonę dnia 7. V. 1944 r. poległ na Połu Chwały, ugodzony w głowę odłamkami pocisku. Pochowany na cmentarzu w Loretto.

Odznaczenia polskie: Krzyż Walecznych, Pamiątkowy Krzyż Monte Cassino. Odzna-



Cmentarz w Loretto



czenie brytyjskie: Gwiazda za Wojnę 1939 — 1944, Gwiazda Italii.

W poległym ś. p. ppor. Burzywodzie Józefie straciliśmy doskonałego kolegę i dobrego oficera, którego miła sylwetka pozostanie w naszej pamięci na zawsze. Wszelkie osobiste dokumenty i drobne rzeczy zostały odesłane w myśl rozkazów obowiązujących do Komendy Uzuppełnień Nr 3. Akt

zgonu i ostatni list ś. p. ppor. Burzywody Józefa przesyłam w załączeniu. —

M. p., dnia 8 października 1946 r.

Gimnazjum nasze może być dumne, że w murach swoich wychowało takich bohaterów. Ś. p. Burzywoda Józef, uwieńczony laurem nieśmiertelnych żyć będzie wiecznie w naszej pamięci. —

LEONARD TYTKO, ucz. kl. 1 lic.

## Dawidowski Alojzy



Siedem lat upłynęło od wybuchu drugiej wojny światowej, która rozpoczęła się napaścią Hitlera na Polskę. Mimo potężnej przewagi wrogów młodzież polska wychowana na dziełach wieszczów, Sienkiewiczów, Żeromskich szła do walki z pieśnią na ustach i z wiarą w zwycięstwo słusznej sprawy.

Takich synów miała Polska tysiące.

Wspomnę o jednym z nich, o koledze Dawidowskim, który umierając 1939. roku w przemyskim szpitalu pocieszał się, że jego młode życie przyczyni się do podniesienia zdeptanej ojczyzny.

W szkole był szczerym i dobrym towarzyszem. Zżyłem się z nim szczególnie od piątej klasy, kiedyśmy z każdym nowym rocznikiem obierali sobie ławy szkolne jeden za drugim w trzecim rzędzie. Posiadał szczególne zamiłowanie do nauk humanistycznych, wywołując na lekcjach ciekawe dyskusje.

Przypominam sobie, jak raz na lekcji łaciny wszczął dysputę na temat dystrybucji. Nasunęło się to podczas tłumaczenia słówka „distribuo“. Prof. Grzywnowicz wyjaśnił nam ogólnie istotę tego kierunku społecznego, ale o szczegóły kazał zwrócić się do prof. Udzieli, który wydał osobną rozprawkę na ten temat. Duże czytanie, trafne sądy, cięty język, dowcipne odpowiedzi, oryginalne ujmowanie zagadnień zwłaszcza z dziedziny historii i życia współczesnego (socjologii, polityki), które próbował po swojemu analizować, dociekać ich przyczyn i rozwiązywać, prowadziły często do obszernych dyskusyj między nim a wykładowcą.

I w życiu zbiorowym klasy, choć bywał nieraz nastawiony sceptycznie do naszych poczynań, bardzo poważnie liczonego z jego zdaniem, które umiał rzeczowo i przekonująco obronić, a często i narzucić.

Pod względem fizycznym dobrze zbudowany, wysoki i wysportowany, odniósł na terenie szkoły szereg sukcesów sportowych jako lekkoatleta, piłkarz i pływak.

Od młodych lat był zapalonym miłośnikiem piłki nożnej, jak zresztą każdy chłopiec na Śląsku. W związku z tym przypomina mi się zabawne zdarzenie jeszcze za czasów dyr. Kondzieli, który był postrachem wszystkich. Raz na wolnej lekcji przybiega do klasy „Burek“ i woła, że na boisku KS 20 „grają futbol“. Część kolegów z Dawidowskim pędzi tam zaraz, obiecując Bur-



Dawidowski na czele swej klasy

kowi lanie, jeśli ich nabrał. Przybiegają na boisko, „a tu kule nie ma“ (t. j. piłki nożnej). Wracają do klasy, pierwszy wpada Dawidowski, przewija na kolano zdrajcę i zaraz tyle rąk spada na niego, ilu nas było w klasie. Burek krzyczy wniebogłosy. Klasa nasza mieściła się wtedy na dole koło kancelarii. Wpada więc zaraz dyrektor, pyta, co się dzieje i grzmi:

— Więcej was tu nie chcę widzieć i prędzej nie przyjmę, aż przyjdziecie z rodzicami do szkoły!

Najedliśmy się wtedy nie mało strachu i zgryzoty, bo p. Kondziela miał twarde serce....

Mimo swoich zdolności, mimo szacunku i przyjaźni kolegów Dawidowski z trudem przebijał się przez życie, walcząc nieustannie z materialnymi troskami i trudnościami. Dlatego też po maturze w roku 1937 nie od razu mógł pójść na wyższe studia i przyjął pracę na poczcie w Wodzisławiu, aby sobie dopiero zdobyć fundusze na dalszą naukę.

Powołany w r. 1938. do służby wojskowej, przechodzi kurs podchorążych przy 4. pułku strzelców podhalańskich w Cieszynie i zamiast na uniwersytet wyrusza na wojnę.

Krótko przed tym otrzymałem od niego pocztówkę pożegnalną, z której utkwilo mi w pamięci ostatnie, niemal prorocze zdanie:

— Drogi kolego, zobaczymy się na defiladzie w Berlinie — albo w ciemnym grobie.

Krótko po klęsce wrześniowej dowiedziałem się, że Dawidowski Alojzy, plutonowy podchorąży został ciężko ranny pod Sanokiem, dostawszy serię z karabinu maszynowego w obie nogi. Przewieziony do szpitala w Przemyślu, dowiaduje się, że dla ratowania życia musi stracić nogę. W Alojzym burzy się wszystko. Jak to, on, zapalony sportowiec, lekkoatleta, piłkarz, pływak miałby zostać bez nogi?! Z tą myślą nie może się pogodzić. Tymczasem rany nie chcą się zagoić i amputacja jest konieczna, Dawidowski rezygnuje w końcu i zezwala na operację. Niestety jest już za późno.

Krótko przed śmiercią zaopiekowała się nim pewna urszulanka z Rybnika, która opowiadała później o jego ostatnich chwilach: — Nie żałuję młodego życia — mówił — wiem, że umrę, a jednak chciałbym jeszcze dożyć tej chwili, kiedy orzeł polski znowu rozwinie skrzydła nad naszą ziemią ojczystą.

---

Niestety chwili tej i defilady w Berlinie nie doczekał: zmarł w październiku 1939 r. Grób jego ma się znajdować na cmentarzu zbiorowym naszych bohaterów w Przemyślu. Czy też kiedy jaka czuła ręka złoży bukiet kwiatów na jego mogile?....

Drogi Kolego! Choć spoczywasz daleko od rodzinnych stron, jednak nie zapomnimy

Cię nigdy, gdyż jesteś nam drogi jak ta ziemia, za którą życie oddałeś, gdyż dałeś nam przykład jak walczyć i ginąć za Ojczyznę, gdy przyjdzie potrzeba.

STANISŁAW TRYBUS  
ANTONI URBAŃCZYK  
KAROL MICZAJKA

## Duda Czesław

Urodził się 24 sierpnia 1920 r. w Radlinie. Skończywszy szkołę powszechną w Chwałowicach, uczęszczał w latach 1932—35 do Gimnazjum Państwowego w Rybniku, lecz z powodu ciężkich warunków materialnych musiał przerwać naukę i pracował na kopalni w charakterze ładowacza, a później praktykanta górniczego. Zarobiwszy w ten sposób trochę grosza, wstąpił do Szkoły Górniczej w Katowicach. Niestety wybuch wojny nie pozwolił mu jej ukończyć.

Od 10. roku życia Czesław był gorliwym harcerzem i długoletnim zastępowym Lisów w drużynie chwałowickiej. W czasie najazdu niemieckiego od razu stanął do akcji podziemnej i starał się przedostać za wszelką cenę do Armii Polskiej za granicą. Niestety nim to nastąpiło, (prawdopodobnie zdradzony) został aresztowany przez Niemców 1. maja 1940 r. i wysłany do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Tam 27. listopada 1941 roku zakończył swój krótki lecz bohaterski żywot.

JERZY GAWROŃSKI

## Dudek Lucjan



Wśród wielu tysięcy Polaków, którzy ponieśli śmierć w obronie polskiej sprawy było wielu studentów. Do nich należał Lucjan Dudek, urodzony 6 maja 1915 r. w Gliwicach.

Mając 11 lat wstąpił do gimnazjum w Rybniku. Był członkiem drużyny harcerskiej im. Adama Mickiewicza. W 1934 r. zdał maturę i przeniósł się do Gdańska, aby wstąpić na wydział budownictwa maszyn okrętowych tamtejszej politechniki. Był zapalonym sportowcem, zdobył kilka dyplomów mistrzowskich w zawodach pływackich. W 1939 r. walczył przeciw Niemcom na wybrzeżu. Po kapitulacji przyjechał na Śląsk i z obawy przed aresztowaniem ukrywał się w Gliwicach.

Od pierwszego roku okupacji należał do tajnej organizacji. W grudniu 1940 r. przyjechał do Rybnika, gdzie został aresztowany w parę dni później. W styczniu pisze pierwszy list z obozu do swojej matki. Stara się ją pocieszać, pisząc o zobaczeniu się w niedługim czasie.

Po krótkim pobycie w obozie zapada na ciężką chorobę płuc. By nie smucić chorewitej matki, nie wspomina o tym w listach. Lecz niedługo po tym otrzymuje ona wiadomość o śmierci jedyne go jej dziecka. Został wykończony w komorze gazowej dnia 22 sierpnia 1941 r. Zginął śmiercią męczeńską, oddając swe młode życie za Polskę, bo właściwą przyczyną aresztowania i wysłania do obozu było otwarte przyznanie się do polskości.

„Mamo, ja nie mogę“, tłumaczył zboleły, gdy pod wpływem namów zgodził się początkowo wpisać na Volkslistę dla uniknięcia prześladowań. Idzie więc na policję i oświadcza, że cofa swe zgłoszenie, gdyż działał pod przymusem, a on był i jest Polakiem. Oczywiście do domu już nie powrócił, gdyż wzięto go na tortury, aby się rozmyślił, a następnie wysłano do Oświęcimia.

LONGIN MUSIOLIK.

### *Figura Ryszard*



Urodził się 28 grudnia 1914 r. w Pszowie. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do Państwowego Gimnazjum w Rybniku, gdzie w dniu 16 lutego 1937 r. zdał egzamin dojrzałości typu klasycznego.

Powołany do czynnej służby wojskowej, odbywał ją początkowo w jednym z pułków piechoty w Krakowie, potem w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie.

Dnia 15 września 1938 r. kończy szkołę ze stopniem kaprała podchorążego rezerwy i zapisuje się na Akademię Handlową w Krakowie. Podczas studiów bierze udział w lotach w 2 pułku lotniczym i tamże na dwa tygodnie przed wybuchem wojny w r. 1939 wraca do służby czynnej. W tragicznych dniach wrześniowych przez Rumunię, Węgry i Włochy uchodzi do Francji i bierze udział w kampanii francusko-niemieckiej. Po kapitulacji Francji znalazł się z jednostkami lotnictwa polskiego w Anglii, gdzie przez cały okres brał czynny udział w walkach powietrznych w jednym z bombowych dywizjonów lotnictwa polskiego. Za brawurowe czyny, podobnie jak i młodszy nieco wiekiem Knapik Henryk (towarzysz z rodzinnego Pszowa i z ławy gimnazjalnej i równie dzielny lotnik) zdobywa Ryszard stopień kapitana-pilota.

Szcześniejszy od niego Henryk kończy po wojnie politechnikę z dyplomem inżyniera, a Ryszard — niestety — ginie śmiercią lotnika w dniu 26 sierpnia 1944 r. nad wybrzeżem Algieru.

ANTONI PINIOR.

### *Gembczyk Jan (Gemski Marian)*

Urodził się dnia 6 października 1913 r. w powiecie strzeleckim na Śląsku Opolskim. Tam też odebrał z rąk swojej matki początkowe polskie i katolickie wychowanie.

Rodzice jego, zmuszeni opuścić rodzinne miejsce, które nieszczęśliwym zrzędzeniem losu przypadło Niemcom, przenoszą się w roku 1921 do Rybnika. Do Gimnazjum Państwowego wstąpił Janek w roku 1925, lecz

w kilka lat później, wobec ciężkiego położenia materialnego rodziców musiał przerwać naukę i jąć się pracy zarobkowej. — Dłuższy czas pracował w Magistracie w Rybniku, doksztalając się własnymi siłami tak, że w roku 1939 po skończeniu kursu dla eksternistów, miał stanąć do matury. Niestety i teraz nie danym mu było osiągnąć tego, bo oto wybuchła wojna. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Rybnika zostaje z Magistratu zwolniony i skierowany do pracy fizycznej w różnych firmach budowlanych.

Od samego początku zaczął też pracować w polskiej organizacji podziemnej. W ucieczce przed ścigającym go gestapo dostaje się na teren tzw. generalnego gubernatorstwa i tam dalej pracuje pod przybranym nazwiskiem: Marian Gemski, pod tym też nazwiskiem zostaje w r. 1940 aresztowany w Krakowie i po różnych przejściach 15-go czerwca dostaje się do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu jako „numer kolejny 485“.

Z ogromnym zaparciem i wielką siłą woli przetrzymuje całe piekło pierwszych lat Oświęcimia oraz straszną chorobę tyfusu, na którą zapada dwukrotnie.

Jako znającemu dobrze język niemiecki w słowie i piśmie udało mu się później dostać zatrudnienie w wydziale politycznym obozu (komórka gestapo w obozie), niezależnym od władz obozowych, a bezpośrednio

podległym Berlinowi. Mając sposobność wglądu do akt personalnych więźniów, niejednokrotnie ryzykował wykradzenie z nich kompromitujących dowodów, lub uprzedzał o nakazie aresztowania któregoś z towarzyszków niedoli. Jako jeden z najstarszych więźniów korzystał ze swoich znajomości i swego autorytetu, udzielając pomocy potrzebującym w różnej formie: czy to przez wystaranie się o lepsze „komando“, lepszą odzież lub chociaż o miskę zupy, kartofli, czy kawałek chleba.

Moc małych, dobrych uczynków, spełnionych bez rozgłosu wobec współkolegów zapisanych jest na koncie Janka.

Na „lagrze“ mało się pokazywał w obawie przed rozpoznaniem ze strony dawnych znajomych. Ciągła obawa przed zdradą, a zdrada równałaby się natychmiastowej śmierci przez rozstrzelanie, trzymała jego nerwy w ciągłym napięciu i czyniła go coraz więcej zamkniętym w sobie.

W październiku 1944 r. wywieziony z Oświęcimia dostaje się do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, a następnie do Buchenwaldu. I tam w chwili, gdy zwycięskie armie gotowały się do zdobycia Rybnika, ginie dnia 13 marca 1945 r. w katorżni hitlerowskiej.

On, który tak marzył o powrocie do domu i pracy w Nowej Ojczyźnie, użył prochem swoich kości wrogą od wieków ziemię.

KAROL MICZAJKA

## Grzesik Leon

Urodził się dnia 20 lutego 1917 roku w powiecie raciborskim. Po rozdziale Górnego Śląska nie mogliśmy w rodzinnej wiosce pozostać, gdyż ojciec, jako znany działacz narodowy, narażony był na szykany ze strony Niemców. W kwietniu 1922 r. przeprowadziliśmy się do Rybnika. Leon miał wtedy 5 lat. Jako najmłodszego brata (było nas ośmioro: trzy siostry

i pięciu braci) postanowiono zapisać go do miejscowego gimnazjum, do którego wstąpił w 1929 r. Maturę zdał w 1937 r. W tym też roku poszedł ochotniczo na podchorążówkę do Cieszyna. Zamiarem jego było zapisać się na politechnikę, by później zostać inżynierem górniczym (był dobrym matematykiem). Niestety stan majątkowy naszej rodziny nie pozwalał na to. Brak było



pieniędzy na studia. Dlatego też po odbyciu służby wojskowej poszedł na praktykę biurową do Urzędu Skarbowego w Bielsku, gdzie pracował przez 8 miesięcy.

Wybuch wojny zastał go na ćwiczeniach wojskowych w garnizonie bielskim, gdzie też walczył z nawałą niemiecką. Do niewoli niemieckiej dostał się 20 września na przejściu granicznym do Rumunii. Wrócił z niewoli z końcem października 1939 r. Gdy zgłosił się do Urzędu Skarbowego w Bielsku, spytano go o narodowość i nie przyjęto go z powrotem do pracy jako Polaka. To samo było w Urzędzie Skarbowym w Rybniku. Na „palcówce“ również podał się jako Polak. Za rozmawianie po polsku i zdejmowanie kapelusza przy pozdrawianiu został na ulicy Zamkowej pobity przez SA.

Kiedy rozpisano plan poboru, ukrywał się początkowo. Umówił się później z kolegami Petersem, Gembczykiem i in. opuścił

Rybnik (9 kwietnia 1940 r.). Dwa tygodnie później otrzymaliśmy list z Krakowa. Pisał 3 razy pod przybranym nazwiskiem i pod pseudonimem „Lisek“.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Dopiero w lipcu 1940 r. otrzymaliśmy list z Oświęcimia, w którym krótko wyjaśnił, że został w Krakowie złapany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Dostał się tam w pierwszych dniach założenia tegoż obozu i nosił numer 715. Z dalszych jego listów wynikało, że podał się za Polaka, urodzonego w Krakowskim. Chciał przez to uchronić ojca i rodzeństwo od prześladowań ze strony Niemców. Pisywał tylko do jednej siostry, nie wymieniając nikogo z rodziny. Porozumiewaliśmy się jednak doskonale. Donieśliśmy mu także, że starszy brat (Tadeusz) w tym samym czasie osadzony został w obozie koncentracyjnym w Dachau, na co nam odpowiedział, że to przewidywał. Pisywał tak nasz „Lisek“ przez cały rok. W lipcu 1941 r. pisał jeszcze, że jest zdrowy i powodzi mu się dobrze, a następnego dnia przyszła wiadomość o jego śmierci. Na pytanie siostry, co było powodem tak nagłej śmierci, odpowiadano jej, że zmarł na tyfus plamisty. Gdy zażądała jego zwłok, odpowiadano jej, że za pewną opłatą może otrzymać jego prochy. Na to nie zgodziła się. Leon zginął jako „Schutzhäftling Pole“, mając lat 24. W ten sam sposób zginęło jeszcze 2 braci Leona (Tadeusz i Jan), co starego ojca tuż przed wyzwoleniem Rybnika doprowadziło do grobu.

PIUS GRZESIK.



## Hałaczek Leopold



**D**o wychowanków - bohaterów naszego gimnazjum, zamęczonych i straconych przez okupanta, należy Leopold Hałaczek z Krzyżkowic. Oto własnoręczny życiorys Leopolda z roku 1933:

„Urodziłem się dnia 29 września 1912 r. w Bottropie, pow. Recklinghausen (Niemcy, Westfalia) z matki Marii z domu Jezusek i ojca Teofila. Mając lat 5 wstąpiłem do szkoły ludowej w Bottrop. W tym samym roku w jesieni ojciec reemigruje do Polski, ażeby wziąć czynny udział w ruchu wyzwoleniowym. Udaje się do Poznania i Krakowa, gdzie po odbyciu kursu przygotowawczego zostaje przydzielony jako agitator-bojownik na powiat lubliniecki. Tutaj otrzymuje 7 wiosek celem podtrzymania wygasającej już miłości do Matki-Ojczyzny, bo knut Prusaka zdolny był wybić z głowy tej biednej ludności jakiegokolwiek marzenia o wskrzeszeniu Polski. Praca była bardzo ciężka, lecz dzieło zostało uwieńczone pomyślnym skutkiem. Dnia 23 marca 1921 r., gdy lud stanął z kartką w ręku przy urnie wyborczej, przypieczętował swą przynależność do Polski i wszystkie siedem wiosek stanęło jak jeden mąż po stronie prawdziwej Ojczyzny. Matka nadal pozostaje w Niemczech. Dopiero gdy Niemcy zaczęli ją coraz to bardziej piętnować, wyjeżdża z nami do Polski i zamieszkuje na Górnym

Śląsku w Zabełkowie, powiatu raciborskiego, u rodziców mego ojca. Lecz i tutaj złość niemiecka nie dała jej mieszkać, wygrażając wymordowaniem nas wszystkich. Wobec takiego stanu rzeczy matka znów była zmuszona uchodzić. Teraz udaje się za ojcem do powiatu lublinieckiego, gdzie zamieszkuje w Wierzbii. Tutaj nadal uczęszczałem do szkoły ludowej. Ojciec mój, będąc ciągle zajęty pracą agitatorską, począł i mnie wciągać do pomocy. Jako chłopiec, liczący dopiero 9 lat, nie mogłem być bardzo wielką pomocą. Toteż praca ograniczała się tylko do rozlepiania afiszów treści antyniemieckiej i do pomocy przy organizowaniu wieców i zebrań. Akcja ta nie trwa długo, ponieważ po dokonaniu zamachu na żandarma niemieckiego, który był największym wrogiem Polaków, ojciec w obawie o nas, wysyła nas do rodziców matki, którzy mieszkali w Krzyżkowicach, powiat rybnicki. Tutaj akcja miała spokojniejszy charakter. Ja tymczasem rozpocząłem uczęszczać do tuł. szkoły ludowej aż do dnia 1 września 1926 r. Z dniem tym wstępuję do Państwowego Gimnazjum w Rybniku. Ojciec mój, po skończeniu akcji plebiscytowej zostaje powołany na urząd państwowy jako urzędnik celny. Za pracę swą zostaje odznaczony „Krzyżem Walecznych“, „Gwiazdą Śląską“ i „Medalem“. Do Gimnazjum uczęszczałem do dnia 1 maja 1932 roku. Gimnazjum opuszczam jako uczeń klasy 6, a powodem była choroba i śmierć matki, która zmarła 31 maja 1932 roku. Z dniem 1 listopada 1932 r. wstępuję do 2-letniej Szkoły Rolniczej w Rybniku, którą kończę dnia 24 marca 1934 r. z ogólnym wynikiem bardzo dobrym. Podczas roku szkolnego dyrekcja Zakładu wysyła mnie na praktykę do dóbr ks. Lichnowskiego w Lubomi. Praktykę kończę z pochwałą. Pracą społeczną zająłem się w roku 1927 wstępując w szeregi harcerek. W dwa lata później, tj. w roku 1929, zakładam drużynę

harcerską w Krzyżkowicach, którą kieruje do 1 kwietnia 1933 r. Z tym dniem zostaje mianowany kierownikiem Młodzieży Starszo-Harcerskiej. Dnia 13 maja 1933 r. stawałem do poboru, otrzymując kategorię „A”. W roku ubiegłym zostałem zaliczony do nadkontyngentu. Celem moim na przyszłość jest zostać rolnikiem, do czego czuję bardzo wielkie zamiłowanie”.

Od roku 1935 — 36 odbywał Leopold służbę wojskową w Dubnic. Po zwolnieniu wstępuje w związek małżeński i pracuje jako urzędnik na kopalni „Charlotta” w Rydułtowach. Oprócz tego prowadzi agenturę ubezpieczeń spółki „Silesia” i z niewyczerpaną energią oddaje się pracy społecznej jako komendant hufca harcerzy w Rydułtowach.

Od początku wojny jest członkiem organizacji podziemnej i prowadzi szeroko zakrojoną działalność konspiracyjną w okolicy Rybnika. W jesieni 1940 r. zostaje zwolniony z pracy jako wielki Polak. Dnia 18 grudnia tego roku zostaje aresztowany przez gestapo w domu Margycioka (wybitnego działacza polskiego) w Rydułtowach, podejrzany o pracę konspiracyjną i osadzony w więzieniu w Rybniku. Tam, jako więzień, pracuje w budynku gimnazjalnym. Po sześciu tygodniach udaje mu się zbiec przez okno szatni i przy pomocy AK dostać się do Czech, gdzie pod zmienionym nazwiskiem prowadzi nadal pracę konspiracyjną w okolicy Orłowej na Zaolziu jako za-

stępca komendanta AK. Dnia 16 stycznia 1943 r. za zdradę pewnego doktora z Orłowej (który udawał wielkiego Polaka), Hałaczek wraz z Margyciokiem zostają zatrzymani przez gestapo. Stało się to kiedy wychodzili z dworca. Gestapo było w ubraniach cywilnych i bojowcy nasi spostrzegli zbyt późno grożące im niebezpieczeństwo. Nie dali jednak za wygraną i zaczęli się bronić, powalając jednego z gestapowców. Podczas ucieczki Hałaczek dostaje postrzał w głowę, mimo to biegnie dalej, nim zorganizowana pogoń z pomocą psów w końcu ich dopadła. Z więzienia w Cieszynie po trzech miesiącach przewożą ich do Oświęcimia na blok 11, gdzie przechodzą nieopisane tortury. Świadkowie opowiadają, że Leopold na rozprawie zakuty w kajdany i ciężkie łańcuchy u nóg nie miał cząsteczki ciała wolnej od sińców i ran.

W czerwcu 1944 roku wraz z czterema innymi więźniami z Oświęcimia zostaje przewieziony na miejsce stracenia do Pietwałdu. Przed egzekucją, na którą spędzono miejscowych Polaków, skazańcy otrzymali zastrzyk w język, ażeby nie mogli mówić. Hałaczek jako największy „zbrodniarz” był wieszany ostatni.

Po straceniu ciała zabrano na samochód i prawdopodobnie spalono w krematorium w Oświęcimiu. Wieczny pokój ich bohater-skim duszom!

WIKTOR SZMELICH.

## *Hola Henryk*

**B**ył synem górnika z Chwałowic. Urodził się dnia 28 stycznia 1918 roku. W ciągu ośmioletniego pobytu w gimnazjum (1930 — 1938) uchodził za jednego z najzdolniejszych uczniów. Pięknie przeżywała się jego postać w życiu naszej szkoły. Cechuje go przede wszystkim prawdziwa koleżeńskość, skromność i mrówcza praca. Jego prawy charakter i społeczne cno-

ty oceniono już wówczas: dowodem może być przyjaźń powszechna i czterokrotny wybór na wójta klasy.

W roku 1937/38 piastuje stanowisko marszałka sejmiku szkolnego. Jako harcerz (IX Chwałowickiej drużyny) jest przykładem wcielania w życie szczytnych zasad tego ruchu.



Na każdym kroku niemal oddaje się pracy społecznej. Jest czynnym członkiem zarządu Spółdzielni Szkolnej „Przyszłość”. Razem z prof. Arcikiewiczem i z innymi kolegami poświęca jej wiele wolnego czasu. Zaliczyć go można do pionierów pracy spółdzielczej na naszym terenie szkolnym. Należy też do pierwszych sportowców w szkole... Aby sobie zdobyć fundusz na przyszłe studia, podejmuje się pracy zarobkowej w sklepie spółdzielczym w Rybniku jako księgowy, nie zaniedbując nauki w szkole.

Po egzaminie dojrzałości w maju 1938 r. powołany do służby wojskowej, kończy Szkołę Podchorążych Rezerwy przy 73 pp. w Katowicach. I tutaj nazwisko jego jest popularne, gdyż w klasyfikacji ogólnej zajmuje jedno z pierwszych miejsc.

Dnia 1 września 1939 r. ruszył jako sierżant podchorąży do boju pod Mikołowem. Broniąc ziemi ojczystej przemierzył ze swoim pułkiem szmat kraju i w ziemi lubelskiej koło Janowa poległ śmiercią bohaterską w dniu 18 września.

GAWROŃSKI JERZY

## Heliosz Alojzy



Urodził się dnia 9 stycznia 1915 r. jako syn górnika. Przez pięć lat uczęszcza do szkoły powszechnej, a od r. 1932 do gimnazjum w Rybniku. Po zdaniu egzaminu dojrzałości w r. 1933, studiuje ekonomię w Poznaniu, w r. 1937 kończy studia jako magister i pracuje jako sekretarz na kopalni „Charlotta” w Rydułtowach.

Po wkroczeniu Niemców, wydalony z pracy, musi ukrywać się przed aresztowaniem tylko dlatego, że ukończył polski uniwersytet. Ponieważ Niemcy wciąż są na jego tropie, ucieka do Niemiec i tam pracuje w firmie budowlanej. Tu styka się z robotnikami różnych narodowości, krzepi ich na duchu, słuchając radia angielskiego. Więc znowu zainteresowała się nim policja, are-

szując jego kolegów. Jemu znów udało się się zwać na Śląsk Opolski, gdzie pracuje w Krapicach w fabryce papieru. Tam w dn. 10 sierpnia 1945 r. dostaje go nareszcie w swoje ręce gestapo.

Przechodzi kolejno więzienia w Opolu, Lignicy, Berlinie, najgorszy obóz w Wolfen Bütel, a w końcu dostaje się do Brandenburga. W dniu 14 grudnia 1943 r., sądzony za zdradę stanu, zostaje skazany na 8 lat ciężkiego więzienia. Dzięki życzliwemu obrońcy karę tę zmniejszono mu na 6 lat. Ojczym jego, który też był wywieziony na roboty, spotkał go w tym czasie, lecz Alojzy tak był zmieniony, że go w pierwszej chwili nie poznał. Mimo to był dobrej myśli i pełen nadziei w lepsze jutro i wolność Ojczyzny.

Ostatni list pisze w przeddzień rozprawy sądowej, a po wyroku dopisuje radośnie: „Jestem dobrej myśli, mamo! Zostałem skazany na 8 lat więzienia, lecz to nic, głowa do góry. Zamówcie dwie msze dziękczynne. Piszcie dużo, ode mnie dostaniecie następny list za 4 miesiące. Zobaczymy się na pewno. Alojzy”.

Była to ostatnia wiadomość od niego. Dotychczasowe poszukiwania nie dały rezultatu. Są wiadomości, że został rozstrzelany w ostatnich dniach wojny przed wkroczeniem aliantów.

ŁUCJAN WAWRZYŃCZYK, kl. 1b.  
ARKADY MANDRYSZ, kl. 3d.

## Klimek Wincenty



Wincentego Klimka poznałem w roku 1936 na obozie harcerskim w Gorzycach. Należąc ciągle jeszcze do „biskoptów“, nie mogłem zrozumieć, skąd ten niepozorny chłopak, w dodatku kaleka, mógł być w tak wczesnym wieku posiadaczem wszystkich trzech sprawności samarytańskich. Pełen podziwu zainteresowałem się nim bliżej i dowiedziałem się, że chłopak ten ma 14 lat, jest zupełnym sierotą, a wychowaniem jego zajmuje się intendent szpitala św. Juliusza p. Gościński. Niestety w obozie bawiłem zaledwie kilka dni, więc nie było okazji do nawiązania bliższego kontaktu.

Dopiero po roku spotkaliśmy się na terenie naszego gimnazjum. Jako uczeń kl. I. b. zdobył sobie Wicek wstępnym bojem wszystkich profesorów niepospolitymi zdolnościami, kolegów zaś nadzwyczajną szczerością, no i wspólnymi figlami. Figle te jednak nigdy nie przekraczały dozwolonych granic i dlatego „Klimcio“ był lubianym i przez uczniów i przez profesorów.

Nadszedł wrzesień 1939 roku. Przez Rybnik przewalały się bezustannie oddziały Wehrmachtu, a połowa miasta straciła

z przerażenia głowę. Niewiele było wtedy w Rybniku ludzi, którzy by zachowali całkowitą przytomność umysłu, do nich jednak należał Wincenty Klimek. Na wieść o tym, że z gimnazjum zrobiono przejściowe koszary dla wojsk niemieckich, śpieszy tam i, o zgrozo, widzi, że hitlerowski żołdak sporządził sobie ze sztandaru drużyny harcerskiej prześcieradło. Nie wiadomo w jaki sposób, fakt jednak faktem, że udało mu się to święte godło wykraść i zanieść do szpitala. Tam w starej szopie oderwał deskę na strychu i pod nią umieścił sztandar, który niezniszczony przechował się do naszych czasów. Udział w tym brał jeszcze jeden z kolegów, któremu udało się później zbiec do Anglii. Ten wróciwszy po siedmiu latach do ojczyzny przypomniał wszystkim o zasłudze śp. Wicka i oddał IV drużynie jej sztandar.

Wyczyn ten nie był jednak w pamiętnym wrzesniu jego jedyną zasługą. Między innymi dowiedziałem się później, że za pomocą naszej koleżanki szkolnej, Gabrieli S. umożliwił on z narażeniem życia trzem polskim podchorążym ucieczkę ze szpitala, przez co uniknęli długoletniego pobytu w niewoli.

Przez Wicka utrzymywaliśmy stały kontakt z rannym profesorem Ciętakiem, od niego otrzymywaliśmy stale świeże wiadomości z frontu, które niestety nie mogły nas podnieść na duchu.

Minął wrzesień, nad krajem rozciągnęła się ponura noc niewoli, a nad Wickiem zaczęły się gromadzić czarne chmury. „Auf den Vincent“ zwróciło uwagę kierownictwo Hitler-Jugend, które zdawało sobie sprawę z jego zdolności umysłowych i chciało tę wartościową jednostkę pozyskać do pracy dla swej organizacji, żeby przykładem Klimka pociągnąć za sobą dość liczną grupę polskiej, jednak chwiejnej młodzieży. Wicek oparł się tym namowom grzecznie, lecz stanowczo i przez to ściągnął na siebie nie-

nawiść nie tylko H. J. ale wszechwładnej gestapo. Próbowano go złamać kilkakrotnymi aresztowaniami, lecz Wicek nie ustępował. Po raz ostatni aresztowano go na wiosnę 1940 roku. Postawa jego w więzieniu była nadzwyczajna. W czerwcu tegoż roku siedziałem z nim razem w jednej celi i wtedy przekonałem się naocznie, jak ten niepozorny chłopak umiał korzystnie wpłynąć na swoje otoczenie. Trzeba pamiętać o tym, że w celi nr 27 towarzystwo było bardzo mieszane, a więc obok dwóch więźniów politycznych siedzieli także młodociani złodzieje, karciarze i inne „typy spod ciemnej gwiazdy”. Można sobie łatwo wyobrazić, że w tych warunkach dochodziło często do najróżniejszych starć i kłótni, jednak spory te załatwiał zawsze z powodzeniem nie kto inny jak Wicek, czym zasłużył sobie na powszechną miłość towarzyszy niewoli. O swoich przejściach na gestapo nie lubiał dużo opowiadać, czasem tylko, gdy mu zanadto dopiekło, przyznawał się, jak go niehumanitarnie bito i kałowano.

Nadszedł dzień 27 czerwca. Przed więzieniem zajęła „buda” i każdy z więźniów zorientował się natychmiast, że z pewnością pójdzie „lager”. Atmosfera napięcia w całym więzieniu, nikt jednak nie przypuszcza, żeby i z naszej celi mógł ktoś odejść, byliśmy bowiem sami nieletni, a więc w naszym mniemaniu na „lager” za młodzi. Szczęk kluczy w zamku i do celi wpada opasły Wachtmeister.

— Vincent Klimek, geboren....., anziehen und fertigmachen!

Gdyby nagle piorun uderzył, nie zrobiłby na nas takiego wrażenia, jak te słowa. Wicek ubrał się prędko, w międzyczasie wsunął mi do kieszeni letniego płaszcza trochę lekarstw, ostatni nerwowy uścisk dłoni i nikt z nas go już potem więcej nie ujrzał.

Do kilku miesięcy dowiedziałem się z listów brata, że mój „kolega z Placu Zamkowego” jest w Oświęcimiu i trzyma się dobrze. To samo opowiedział mi o nim ojciec, którego Wicek opatrywał przez dwa miesiące na „krankenhalle” w Oświęcimiu. Zawsze pogodny — mówił ojciec — zawsze wesoly, chociaż sam chory, ciągle gdzieś ganiał i „organizował”, ażeby tylko przyjść z pomocą swym cierpiącym współtowarzyszom niewoli.

Do rocznym pobycie w obozie zginął ś. p. Wincenty Klimek z rozkazu berlińskiego gestapo, które zażądało natychmiastowego wyćpienia wszystkich kalek znajdujących się w obozie oświęcimskim.

Wiadomość o śmierci Wicka napełniła wszystkich jego przyjaciół głębokim smutkiem, ale i uwielbieniem dla młodego i skromnego, lecz jakże wielkiego duchem bohatera.

JOZEF WOLNY, stud. Un. Wrocław.

## *Kocjan Leon*

Urodził się dnia 5 maja 1913 roku w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

W roku 1921 rodzice jego wracają z emigracji i osiedlają się w Rybniku. Tutaj ośmioletni Leon jest świadkiem zmagania się ludu śląskiego w krwawych powstaniach z zaborcą niemieckim. Wryło to głębokie piętno w sercu młodego chłopca.

W latach 1926–1932 uczęszcza do Państwowego Gimnazjum w Rybniku. Spokojny, opanowany, bardzo koleżeński Leon pozyskał serca swoich kolegów. W roku 1932 na skutek choroby ojca przerywa naukę i oddaje się pracy zawodowej, by w ten sposób dopomóc rodzinie. Po zajęciach służbowych widzimy go codziennie w świetlicy Młodzieży Powstańczej, gdzie z zamiłowa-



niem wykuwał młode charaktery przyszłych obrońców Ojczyzny.

Po klęsce wrześniowej przedziera się do Syrii i wstępuje do szeregów Polskiej Brygady Karpackiej. Należy do tych żołnierzy, którzy po upadku Francji odmówili złożenia broni, by dalej prowadzić walkę na śmierć i życie, do tych, którzy wstawili imię oręża polskiego w oblężonym Tobruku. Nie doczekał się jednak tego, o co walczył. Kilka dni przed ofensywą na Mte Cassino ginie od kuli wroga.

RYSZARD TŁOŁKA, ppor.

## Koczoł Ryszard

**B**ył piątym z dziewięciorga dzieci pracowitych i zacnych gospodarzy ze wsi Moszczenica Śl. koło Jastrzębia Zdroju. Urodził się 2 października 1916 r., dzieciństwo spędził wśród pól i łąk. Do tych ojczystych łąków i chatki rodzinnej tęsknił później w wojsku i witał ją z radością, ilekroć przyjeżdżał na urlop, już z okien wagonu śpiewając ulubioną piosenkę:

„Witaj domku mój rodzinny, biały domku z facjatką“...

W 1928 roku zaczął uczęszczać do Gimnazjum w Rybniku. Mimo bardzo niedogodnych warunków dojazdu, wykazuje nieprzeciętne postępy w nauce. Bierze żywy udział w życiu szkolnym, a w siódmej i ósmej klasie jako marszałek sejmiku wodzi rej wśród młodzieży. Odznacza się nie tylko zdolnościami i pilnością, ale i jakąś szlachetną powagą, bijącą z jego pięknej młodzieńczej postaci. Po złożeniu matury w r. 1936 wyjeżdża w czasie wakacji na kurs szybowcowy do Ustianowej. Potem wstępuje do wojska i zostaje przydzielony do podhalańskiego pułku piechoty w Cieszynie, ale już w styczniu 1937 r. widzimy go w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie.

Jako pilny i śmiały uczeń, prawy i uczynny kolega wnet znajduje uznanie przełożonych i przyjaźń towarzyszy.

Bodźcem do pracy jest mu gorący patriotyzm. Toteż pracuje z zapałem, by kiedyś być pożytecznym. Przez życie nie należy pełzać, lecz ulatać — jest jego dewizą.

W sierpniu 1938 r. doczekał się pierwszego dłuższego, a samodzielnego lotu na trasie: Dęblin — Kraków — Lwów — Dęblin. Pierwszy obowiązkowy skok ze spadochronem wywarł na nim tak głębokie wrażenie, że zapisuje się do sekcji spadochroniarzy.

W czerwcu 1939 r. zostaje pilotem z przeznaczeniem do eskadry „myśliwców“. Od-



bywają się przyspieszone promocje i młodzi lotnicy zostają rozesłani do pułków. Ryś, wysłany do 2 pułku lotniczego w Krakowie, odlatuje w połowie sierpnia na tajne lotnisko.

Wyszedłszy cało z kampanii wrześniowej, przedostaje się z resztką polskich dywizjonów do Rumunii, a stąd zimą wyjeżdża do Francji. Kończy 6-tygodniowy kurs w Afryce celem zapoznania się z obcymi maszynami i wiosną bierze czynny udział w wojnie francusko-niemieckiej, walcząc jako myśliwiec. W tym okresie koledzy Ryśka mogli najlepiej przekonać się o jego harcie ducha i wierze w zwycięstwo pomimo nowej klęski. Przybywszy z kolei do Anglii, wal-

czy dalej z wrogiem w polskich formacjach lotniczych.

Nie doczekał się jednak wolności i zwycięstwa, nie zobaczył już ojczystych pól, chaty i matki kochanej. Tak często śpiewał w marszu lotników:

A jeśli z nas ktoś legnie wśród szaleń-  
[czych jazd,  
Czerwieńszy będzie kwadrat, nasz lotni-  
[czy znak!...

Nie przypuszczał wtedy, że i jego krew będzie kwadrat ten czerwienią poła.

Dnia 2 grudnia 1940 r. zginął nad Londynem śmiercią lotnika.

RÓŻA PALIWODZIANKA.

## *Kowal Władysław*

**K**owal Władysław, zwany w domu „Sławek“, urodził się dnia 28 czerwca 1919 roku w Czarnym Dunajcu, pod Zakopanem. Szkołę powszechną ukończył w Chorowcu. W roku 1935 rodzina przeprowadza się do Rybnika i tutaj Sławek wstępuje do 5-tej klasy gimnazjum. W roku 1939 zdaje maturę i zapisuje się na wydział leśny politechniki lwowskiej, lecz tragiczne dni września 1939 roku przekreślają jego zamiary.

Od chwili rozpoczęcia działań wojennych Sławek przebywa z rodzicami w Jarosławiu, gdzie zamieszkali po opuszczeniu Rybnika. W maju 1940 roku umawia się z Florianem Prockiem, zbiegiem z Rybnika, że przekradną się do Węgier, a stamtąd do wojska polskiego. W tym celu pojechali we dwójkę do siostry Władka, Aurelii Mianowskiej, pod Częstochowę po „papiery“. Zanocowali u pewnego aptekarza. Niestety chciało, że akuratnie tej nocy gestapo przyszło aresztować jego i syna. Zbiry gestapo aresztowały również Sławka i Florka,

u których po rewizji znaleziono mapę z wyznaczoną trasą na Węgry i fałszywą legitymację, wystawioną przez inż. Mianowskiego, która stwierdzała, że są pracownikami kopalni rudy w Konopiskach. Było to w pierwszych dniach czerwca 1940 r.

Od tej chwili nie było już dane Sławkowi oglądać polskiej ziemi. W dniu 1 lipca 1940 roku razem z Florkiem wyprowadzeni z częstochowskiego więzienia do lasu pod Olsztynem, zostali rozstrzelani.

Znajdujący się wówczas w więzieniu pewien lekarz notował wszystkich w tym czasie rozstrzelanych więźniów oraz miejsce ich stracenia, toteż w grudniu 1946 r. nastąpiła ekshumacja wszystkich straconych i uroczysty ich pogrzeb w Częstochowie.

Tak zginął Władysław „Sławek“ Kowal, wychowanek rybnickiego gimnazjum, jeden z wielu, którzy złożyli swe młode życie na ołtarzu Ojczyzny.

ALFRED KUBICA.

## Kozielski Józef



**D**o nieżyjących już wychowanków naszego gimnazjum należy profesor gimnazjum handlowego śp. Józef Kozielski, zamęczony przez Niemców w Bytomiu.

Był synem górnika z Radlina. Jako dziesięcioletni chłopak przeżywał bohaterskie zrywy ludu śląskiego przeciw Niemcom. Już wtenczas zrodziło się w nim pragnienie zostania nauczycielem i działaczem oświatowym wśród ludu śląskiego. W roku 1923. wstąpił do gimnazjum w Rybniku, które ukończył w 1931 r. i zapisał się na Uniwersytet Jagielloński, dawanien lekcji zarabiając na utrzymanie. Mimo trudnych warunków ukończył uniwersytet z wynikiem dobrym, otrzymując dyplom magistra filozofii z prawem nauczania w szkołach średnich

Do krótkim pobycie w Mławie pod Warszawą przeniósł się do Rybnika, gdyż pragnieniem jego było pracować na Śląsku. Od 1936 roku do wybuchu wojny był profesorem Szkoły Handlowej w naszym mieście. Po wkroczeniu okupanta na Śląsk musiał

opuścić tutejszy teren, udając się do Zagłębia Dąbrowskiego, gdzie od 1. lipca 1940 roku pracuje jako nauczyciel języka polskiego i religii w szkole powszechnej w Będzinie. Równocześnie należy do tajnej organizacji na Śląsku. Niestety dostaje się do niej podstępnie agent gestapo, który spowodował aresztowanie 16 członków; między nimi jest i prof. Kozielski.

Było to 10 lipca 1941. Sąd ludowy w Berlinie skazał go na 3 lata więzienia. Ostatnio odbywał karę w Bytomiu, pracując w słynnej kaźni więźniów politycznych w hucie Jula, gdzie była bardzo ciężka praca i najgorsze odżywianie. Niejeden więzień szedł rano do pracy, by już z niej nie wrócić.

Do roku ś. p. Kozielski był już tak wycieńczony, że lekarz uznał go niezdolnym do pracy, ale zarządca więzienia i inspektor sprzeciwili się temu, twierdząc, że takie polskie polityczne psy muszą pracować do ostatka, że polska inteligencja musi być zniszczona. Józef poszedł do pracy, tracąc kilkakrotnie przytomność. W sobotę, dnia 14. listopada 1942. roku koledzy musieli go z huty przynieść, gdyż był już zupełnie wyczerpany. Na więziennym placu inspektor Lange rozkazał dwom strażnikom w obecności wszystkich więźniów dotkliwie go pobić „dla przykładu“, aby inni nie ośmielili się symulować, po czym wrzucono go do ciemnicy na pięciodniową głodówkę.

W poniedziałek, dnia 16. listopada wyniesiono z niej już martwe tylko zwłoki.

Nie dożył tej chwili, aby znowu pracować w wolnej i niepodległej Polsce, którą tak kochał i dla której tyle wycierpiał. Na prośbę rodziców ciało jego zostało wydane i w dniu 20. listopada 1942 r. pochowane w rodzinnym Radlinie.

WALERIA MANDRYSZÓWNA, kl. 3 d



## Krupiński Andrzej



Jako syn Bolesława i Haliny urodził się dnia 27 listopada 1922 roku w Niwce koło Sosnowca.

W domu, przepełnionym duchem religijnym i miłością zawodu górniczego, zwano go od imienia patronki górników — „Basikiem“, co ujmująco harmonizowało z dziewczęcą niemal twarzą o wielkich czarnych oczach.

W latach 1930—32 zaczął pierwszy okres nauki w szkole powszechnej, potem wstąpił do gimnazjum im. Staszica w Sosnowcu, a po przeniesieniu się rodziców do Rydułtów przeszedł do kl. III. gimnazjum w Rybniku, gdzie w r. 1939. zdał małą maturę.

Od najmłodszych lat uczył się doskonale. Zalety intelektualne łączył z wielką szlachetnością i prawością charakteru, mając przy tym w wysokim stopniu rozwinięte poczucie koleżeństwa, które przewijało się przez cały okres nauki, począwszy od najmłodszych klas, a skończywszy na politechnice.

Wybuch wojny zastał go jako 16-letniego chłopca na Wołyniu, skąd wraz z matką przedostał się pod koniec 1939. roku do Warszawy i tu w roku 1940. wstąpił na komplety gimnazjum Czackiego. Komplety te jednak na skutek silnych represji, stosowanych przez Niemców wobec tajnego na-

uczania zostały rozwiązane. Wówczas zapisał się do legalnie prowadzonego liceum samochodowego, które zostało wkrótce przejęte przez Szkołę Wawelberga. Po ukończeniu tych studiów został w 1942. roku przyjęty na Politechnikę Warszawską, która wówczas w ramach dwuletnich studiów obejmowała cały kurs przedwojenny. Na skutek wielkiego skondensowania materiału uczniowie pochłonięci byli ogromem pracy. Mimo to jednak wśród nauki dojrzywało uczucie patriotyzmu i tęsknota za utraconą Ojczyzną.

Pod koniec 1942. roku Andrzej wraz z najbliższymi przyjaciółmi wstąpił w szeregi Armii Krajowej, składając uroczystą przysięgę.

Pełne nauki dni dopełniała więc praca w konspiracji, ukrywana ściśle nawet przed rodzicami, wobec których nie miał tajemnic. W r. 1944 do otrzymania dyplomu brakowało mu już tylko kilka miesięcy i Basik snuł plany o asystenturze przy katedrze prof. Stefanowskiego na Politechnice Warszawskiej, zanim nie ziści się jego marzenie o powrocie na ukochany Śląsk.

Dzień 1. sierpnia 1944. roku odebrał mu jednak z rąk książkę, zmieniając ją w granat i karabin.

Już 31 lipca cała sekcja, w której był Andrzej, stanęła na swym posterunku przy CIWF-ie na Bielanych, by poprzez Kampinos przejść przez gehennę powstania. Sekcja była wcielona do 237. plutonu w grupie „Żubra“ i dnia 1 sierpnia zaatakowała bezskutecznie CIWF. Po nieudanym ataku oddział, nie posiadając prawie zupełnie amunicji, cofał się na Kampinos i pod wsią Bernerowo, na polach Radiowa pomiędzy stacją Babice, Fortem, a wsią Łaski został zaatakowany przez 2 czołgi niemieckie i zmasakrowany. Po przyjsciu na „pole boju“ Niemcy wyłapali resztę ocalałych

powstańców i rozstrzelali w pobliskim lesie. Drobna jedynie garstka chłopców zdołała się uratować ucieczką od śmierci.

Ekshumacje zwłok na polach Radiowa, przeprowadzone w listopadzie 1945 r. i na wiosnę 1946 r. pozwoliły odnaleźć wszyst-

kich poległych kolegów Andrzeja, jego jednak ciała nie znaleziono. Dwaj koledzy z sekcji, którzy zdołali się uratować widzieli go ostatni raz w tyralierze na polu Radiowa. Od rannych brzasków 2. sierpnia 1944 r. ślad po Andrzeju zaginął. J. K.



Basik na lekcji fizyki

## Kubatko Ewald

Urodzony 6. września 1917 r. w Rydułtowach wstąpił w roku 1928. do gimnazjum, egzamin dojrzałości zdał w roku 1937. Ulubieniec i współpracownik prof. Dudziaka, z zamiłowaniem i bardzo skutecznie przez wiele lat pomagał mu w rozbudowie okazałej pracowni zajęć praktycznych.

W przyszłości miał zamiar studiować chemię, żeby więc zdobyć sobie środki materialne, przyjął pracę na poczcie, najpierw w rodzinnych Rydułtowach, a później w niedalekim Knurowie. Pracował tam aż do wybuchu tej najstraszliwszej z wojen...

Jako znanego Polaka okupanci z miejsca wyrzucają z posady i odtąd przebywa w domu rodziców w Czernicy. Dnia 2-go ma-

ja 1940 r. zostaje aresztowany za pracę konspiracyjną...

Kol. Ewalda znałem dobrze już w czasach gimnazjalnych, prawdziwą wartość jego charakteru poznałem jednak dopiero w pierwszych tygodniach wojny w roku 1939, kiedy to ochłonawszy z przygnębiających wrażeń pierwszych dni września od razu przystąpiliśmy do organizowania pracy konspiracyjnej. On był jednym z pierwszych jej organizatorów. Z natury spokojny i zrównoważony, kierujący się rozsądkiem, nie uczuciem, wykazywał w pracy organizacyjnej stanowczość, obowiązkowość i, co najważniejsze, trzeźwość i rozwagę. Sylwetka jego odbijała się dodatnio na tle innych organi-





zatorów ruchu podziemnego, których poczynania świadczyły o dużej znajomości wyczynów Sherlocka-Holmesa, a mniej o zmyśle rzeczywistości.

Bywał wszędzie — jeździł bez względu na pogodę nawet bardzo daleko. Kiedy rozmawiał z robotnikami śląskimi, którzy byli ciągle narażeni na działania wrogiej propagandy i na represje okupanta, potrafił wlać w ich serca tyle nadziei i wiary w zwycięstwo, tak ich duchowo uodpornić, że wszyscy z nich zostali twardymi i prawdziwymi Polakami do końca!

Marzeniem Ewalda było zmontowanie tajnej stacji krótkofalowej. Ta żyłka mechanika nie dawała mu spokoju. Zbierał więc wszelkiego rodzaju części, mogące się do tego celu przydać i montował je po cichu. Niestety — jego marzenie nie miało się spełnić. Aresztowano go i wywieziono do obozu.

Pamiętam nasze spotkanie w Dachau! Ubrany w biało-niebieski pasiak i z ogoloną głową wydawał mi się jeszcze wyższy wzrostem niż zwykle. Usta miał zacięte! Oczy pozostały jednak te same, duże i może nieco marzycielskie.

Był jeszcze wówczas przygnębiony uwięzieniem jak i samym brzmieniem nazwy Dachau! Najwięcej może wtedy przytłaczała go troska o matkę, którą kochał taką synowską miłością, jaką rzadko się dziś spotyka.

Drugi raz spotkałem się z nim parę miesięcy później w Mauthausen-Gusen. Twarz miał mizerną, wychudłą! Tam to zaczęła się dla nas prawdziwa golgota! Życie obozowe podobne było do życia dżungli, gdzie jedynym prawem było prawo silniejszego. To nie było prawo pięści, lecz jakieś inne, nam dotąd nieznanne, które wymagało nie tylko wielkiej prężności ducha, olbrzymiej siły woli i samozaparcia, ale także i zaradności życiowej. Może nazwę je prawem prawdziwego człowieczeństwa i charakteru. Oczywiście prawo to istniało dla nas więźniów, nie dla oprawców. Oni kierowali się innym prawem: prawem sadyzmu i zwyrodnienia, dążącym do zupełnego zniszczenia nas!

Nikt z więźniów nie był do takiego życia przygotowany. Tam każdy człowiek stawał się takim, jakim był w rzeczywistości. Spadły z niego wszelkie osłony cywilizacji i kultury. Znikła różnica zajmowanego stanowiska, a pozostał tylko nagi charakter. Ludzie, uważani w życiu światowym za dobrych, porządných, za wielkich patriotów, okazali się tam często marnymi, podłymi istotami. Dlatego można tam było poznać prawdziwą wartość człowieka. Wspólna niedola, wspólne cierpienia i wspólna idea wiązała nas prawdziwą przyjaźnią, wolną od egoizmu, a pełną miłości i szacunku dla drugich.

Kol. Kubatko nie bardzo mógł się początkowo dostosować do okropnych warunków życia obozowego! Ciągle myślał o domu, o matce, co było może powodem depresji duchowej, objawu w obozie nadzwyczaj niebezpiecznego! Ponadto los był dla niego okrutny. Przydzielono go zrazu do tzw. „Steinträgerkommando“, komanda najcięższego. Trzeba tam było znosić na ramionach duże kamienie z odległego kamieniołomu do obozu!

Widok to był koszmarny. Długi wąż setek więźniów, pochylonych pod ciężarem granitowych głazów, zsuwał się z wyżyn kamieniołomu do obozu. Kamienie były twar-

de i ostrymi krawędziami raniły barki więźniów. Ani chwili odpoczynku, tylko zawsze „im Laufschrift“, do tego niemiłosiernie bicie i kopanie zwyrodniałych kapów niemieckich...

Obraz przypominający pracę niewolników egipskich przy budowie piramid. Nic więc dziwnego, że tu najwięcej padało naszych towarzyszy.

Po pewnym czasie udało się jednak Ewaldowi wydostać z tego piekła. Jego zdrowie było jednak już mocno nadwyżęzone. — Schudł jeszcze bardziej. Rysy twarzy zaostrzyły się. Jedynie oczy posiadały dawny swój wyraz. Głód szarpał ciągle jego organizm (będąc dużego wzrostu potrzebował jeść więcej od innych) mimo to jednak zawsze dzielił się z kolegami tym, co posiadał. Zawsze pozostał tym dawnym usłużnym, pełnym współczucia dla drugich kolegą! Te wszystkie cierpienia hartowały go z dniem każdym. Dobrze zdawał sobie spr-

wę z tego, że nieprędka stąd wyjdzie, że może nie ujrzy już domu, nie ujrzy ukochanej matki...! Oswoił się z tym wszystkim. Całą swoją nadzieję kładł w Opatrzności Bożej. To podtrzymywało go na duchu. Pocięszał również innych. Wskazywał na inne piękniejsze, większe cele! W końcu powodziło mu się już, jak na warunki obozowe, nieźle. Organizm za bardzo jednak był wyczerpany, a ciało udręczone. Podzielił los wielu innych. Umarł na gruźlicę. Oddał życie z myślą o Polsce i swojej matce!

Jest on żywym przykładem bohaterskiego zmagania się ludu śląskiego z teutońskim najeźdźcą, zmagania, które tu szczególnie było trudne i wymagające ofiar wobec zdrajców — konfidentów gestapo, paraliżujących działalność śląskiego podziemia.

STANISŁAW GRYCMAN, kl. 1 lic.

JERZY KUBEK, stud. Pol. Gliw.

## Lasek Stanisław



Urodził się dnia 14 maja 1918 r. w Gorliczynie (powiat rzeszowski). Odumarty młodo przez rodziców, dostał się na wychowanie do klasztoru OO. Franciszkanów w Kobylinie (woj. poznańskie), gdzie przebywał do skończenia 6-tej klasy gimnazjum. O jego wychowanie i wykształcenie dbała niezmiernie siostra jego Anna,

która, zamężna i zamieszkała podówczas w Rybniku, pragnęła mieć Stacha blisko siebie.

W ten sposób Stach znalazł się w roku 1935 w Gimnazjum Państwowym w Rybniku, zajmując w klasie siódmej wolne obok mnie miejsce na ławie szkolnej.

Zamieniliśmy ze sobą szczerzy uścisk dłoni i spojrzenie, które uczyniło z nas najlepszych przyjaciół. Bo też Stach był mi odtąd najwierniejszym przyjacielem.

Niewysokiego wzrostu, krępej budowy, o łagodnych rysach twarzy i dużych, trochę marzycielskich oczach, odznaczał się pięknym charakterem. Koleżeńki w każdym calu, sumienny, w obojętności bardzo łagodny, nawet ustępliwy, ale w postanowieniach swoich niezachwiany i konsekwentny w osiągnięciu swoich zamierzeń.

Miał zamiar poświęcić się lotnictwu; w tym celu skończył po zdaniu egzaminu dojrzałości w roku 1937 kursy szybowcowe i motorowe. Powołany w roku 1938 do służby wojskowej w 73 pp. w Katowicach, nie rezygnuje ze swoich zamierzeń lotniczych, pragnąc po roku przeszkolenia w piechocie przejść do Szkoły Podchorążych Lotnictwa. Wojna zastaje Stacha w mundurze z naszywkami podchorążego i wzywa do spełnienia najszlachetniejszego obowiązku — obrony Ojczyzny.

Stach był zawsze idealistą — romantykiem. Przejęty szczególnie pismami Słowackiego nauczył się od niego miłości Ojczyzny, tej miłości, co mocniejsza jest nad śmierć. I poszedł na zew, natchniony miłością Polski

i wolą zwycięstwa, z nich czerpał moc do największych wysiłków i całkowitej ofiary. I tam daleko, gdzieś za Wisłą pod lasem janowskim, w tym czasie, gdy Polska kładła się do grobu, spoczął i Stach w jej świętej ziemi.

I zdaje mi się, że mój najwierniejszy przyjaciel, złożyłwszy dla Polski swe młode życie, wierszami Słowackiego mówi do mnie z żołnierskiej mogiły:

„Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach  
[przekażcie,  
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode,  
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,  
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod  
[wodę“.

KAROL MICZAJKA.



## Markiewicz Stanisław



Ulubieńcy bogów umierają młodo! — z bólem powtórzyć muszę stare przysłowie, gdy przesuwam w pamięci szeregi najpiękniejszych postaci naszej szkoły: Koczor, Zimny, Pajączek, Musioł, Wolny, Sobik, Mazanek, Brachmański, Pukowiec, Picchoczek, Klimek, Sanecznik i tylu innych, wybijających się bądź zdolnościami

i pilnością, bądź charakterem, bądź innymi zaletami.

Należy do nich i Stach Markiewicz, uczeń naszego zakładu w latach 1930 — 38, później podchorąży szkoły oficerskiej w Komorowie, poległy dnia 17 września 1939 r. w bitwie pod Banachami.

Piękny fizycznie i duchowo, z zapałem oddaje się poza nauką pracy harcerskiej, piastując kolejno coraz ważniejsze stanowiska w drużynie gimnazjalnej i pomagając ofiarnie młodszym druhom w szkołach powszechnych.

Krótki swój, bo 19-letni zaledwie, ale piękny żywot zakończył bohaterską śmiercią w obronie napadniętej zdradziecko ojczyzny, przemierzywszy jej ziemie od Tarnowskich Gór aż po Lubelszczyznę.

Cześć Ci, bohaterski chłopcze, cześć, Druhu serdeczny!

INOCENTY LIBURA.

## Malcher Gerard



Czytając w szkole dzieła Sienkiewicza, Orzeszkowej i innych autorów, opowiadające o bohaterach walk o wolność, nie przyszło nam na myśl, że znajdziemy się w podobnych warunkach, że i spośród nas wyrosną ludzie tamtym podobni. Choć dzieliła ich wiekowa przestrzeń czasu, chociaż walczyli w odmiennych warunkach, to jednak treść tej walki była ta sama, cel ten sam i ofiara ta sama. Bynajmniej nie myślimy apoteozować martyrologii narodu polskiego, ani zanadto rozczulać się nad nią. Chcemy tylko podkreślić z pełnym rozsądkiem to, co było, uwiecznić pamięć tych bohaterów, którzy żyli z nami, walczyli i ginęli dla sprawy. Taką naprawdę bohaterską postacią — bynajmniej nie przesadzając — była postać Gerarda Malchera.

Znaliśmy go w szkole jako nadzwyczaj obowiązkowego ucznia, dobrego i bardzo uczciwego kolegę. Był zawsze spokojny i zrównoważony. Nie robił żadnych „psikusów” ani głupstw. Przez wytrwałą i nieznaną kompromisu pracę nad sobą wykuł swój nieugięty charakter.

Urodził się dnia 19 sierpnia 1919 r. w Bziu Górnym, skąd po ukończeniu szkoły powszechnej przeniósł się z rodzicami do Jastrzębia-Zdroju i zaczął uczęszczać do naszego gimnazjum, które ukończył w roku

1938. Wojna przerwała mu studia na politechnice, wskazując nowe pole działania.

Spotkałem go w smutnych dniach października we Lwowie. Stosunki tu były bardzo opłakane. Ledwo co przeszedł straszliwy koszmar wojny, a tu na nową zanosilo się klęskę. Lwów był przeludniony, głód mieszkaniowy przybierał z dnia na dzień na sile. Setki i tysiące ewakuowanych potraciło głowy, wędrując w różnych kierunkach, szukając nie wiadomo czego, sypiając po dworcach i szopach. Komitety odżywcze słabo były zorganizowane. Za jednym bochenkiem chleba trzeba było stać czasem całą noc w ogonkach przed piekarniami, ażeby wreszcie dowiedzieć się, że chleba już nie ma. Najgorzej było tam, gdzie były dzieci małe, potrzebujące pomocy i opieki.

Te bolączki przejmowały do głębi Gerarda. Odżyły w nim idee starego i wypróbowanego harcerza. Zawsze uśmiechnięty i pogodny, grzeczny i uprzejmy zaczął działać.

Przy pomocy kilku chętnych przyjaciół wyszukiwał dach nad głową i ciepły kąpiel dla matek z dziećmi. Usilnymi prośbami starał się nakłonić właścicieli piekarni do oddania paru bochenków chleba dla tych, którym choroba nie pozwalała na długie wystawianie w ogonkach.

Kiedy i to nie pomogło, sam zgłaszał się do spełniania różnych posług. Gdy nie mógł osobiście, wysyłał na zmianę przyjaciół ze swego grona, którzy gorliwie wypełniali jego polecenia. Najgorzej było z chorymi, którym trzeba było lekarza i lekarstw. Z istic samarytańskim zaparciem dokonywał i tej trudnej misji.

Drogi nasze rozeszły się w grudniu 1939 r. Po raz drugi spotkałem go w 1941 r. Był jakiś dziwnie poważny i zamyślony. Wiedziałem, że zmianę spowodowały warunki, w jakich żyli Polacy pod okupacją. On nie mógłby wysiedzieć spokojnie i beczynnje.

Ta bezczynność męczyłaby go więcej, niż owe ofiary, jakie ponosił codziennie dla sprawy polskiej.

Po nieudanej wyprawie na Węgry powrócił z mocnym postanowieniem powtórzenia jej raz jeszcze. Zmógł się jednak i po ciężkiej walce wewnętrznej postanowił pozostać. Tu mógł działać z większym pożytkiem dla Polski i siebie, aniżeli gdzieś daleko w świecie.

Tak dużo było Polaków, potrzebujących pomocy! Więc niósł im pomoc materialną w formie zasiłków pieniężnych, zbieranych wśród tych, którzy jej udzielać mogli. Zopiekował się biblioteką szkoły powszechnej w Jastrzębiu Dolnym oraz prywatną biblioteką domu wypoczynkowego Spółki Brackiej w Jastrzębiu-Zdroju, którym groziło całkowite zniszczenie. Dzięki jego poświęceniu ocalała i dalej spełniała swoje zadanie wśród ludzi spragnionych słowa polskiego.

Drugim dziełem, które wyszło z jego inicjatywy, było redagowanie i wydawanie gazetki „Zew“. Nieustrudzony w zbieraniu ar-

tykułów i wiadomości, drukował z pomocą przyjaciół dziesiątki numerów, które nie tylko na naszych terenach, ale i na Opol-  
skim czytano.

Podróżując dniami i nocami, narażał się na każdym kroku na niebezpieczeństwo. Przy tym wszystkim zachowywał jednak dziwną pogodę ducha i w najbardziej krytycznych sytuacjach zwykł mawiać: „Dobrze jest, jak jest!“

Zdradzony przez konfidentów gestapo, który wkradł się w szeregi konspiracyjne, został aresztowany dnia 31 marca w Katowicach. Świadomy jednak ogromnej odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła, i przewidując wymuszanie na nim przy pomocy tortur zdradzenia tajemnic, któreby mogły spowodować aresztowanie wielu współtowarzyszy i zniszczyć dotychczasową pracę, wolał złożyć ofiarę ze swego życia i wybrać bohaterską śmierć. Wyrwał się z rąk gestapo i skoczył z trzeciego piętra na bruk.

WALTER BURZYŃSKI, stud. Un. Wrocław.  
JERZY KUBEK, stud. Pol. Gliw.

## Marcisz Wilhelm



Urodził się dnia 8 czerwca 1915 roku w Boguszwicach, gdzie też kończy szkołę powszechną. Następnie uczęszcza do Gimnazjum Państwowego w Rybniku i w roku 1937 zdaje maturę. Z braku funduszków przerywa dalsze studia i obej-

muje posadę w starostwie rybnickim, gdzie pracuje do chwili powołania na ćwiczenia wojskowe.

Po paru miesiącach wybuchu druga wojna światowa, w której bierze czynny udział.

W walkach koło Lwowa dostaje się do niewoli niemieckiej i przebywa rok w obozie jeńców polskich w Czechach, pracując ciężko w lesie. Po rocznym pobycie w obozie zostaje wysłany do Nadrenii, gdzie pracuje na roli u gospodarza. Warunki życia polepszyły się nieco, lecz tęsknota za krajem i swoimi była coraz większa. Dzięki zabiegom ojca przyjeżdża w lutym 1942 roku na urlop i pozostaje w kraju. Przez pół roku pomaga rodzicom przy gospodarstwie, następnie „Arbeitsamt“ przydziela mu pracę na kopalni w Chwałowicach, gdzie zatrud-

niony jest jako robotnik do roku 1943. W tym to czasie Wilhelm zaczyna pracować dla „Matki“, jak nazywał Polskę. Po pewnym czasie rodzina Tkoczów, gdzie zbiera się koło młodych patriotów, wędruje za kraty, a następnie do Oświęcimia. Czuje Wilhelm, że i jemu grozi niebezpieczeństwo. Któregoś dnia, przychodząc do pracy, dowiaduje się, że ma być aresztowany, więc ucieka. Cały rok ukrywa się w stodołach, na poddaszu i w innych norach.

Tymczasem Krzyżak wracał już ze wschodu: nie w płaszczu zwycięskim, ale ze złamanym skrzydłem. Myślał więc Wilhelm, że doczeka się chwili wyzwolenia. Lecz oko niemieckiego żandarma czuwało nadal. I oto dnia 17 sierpnia 1944 roku wczesnym rankiem Wilhelm zostaje aresztowany. Nie po-

zwalając mu się ubrać i tak jak spał w stodołę, musi maszerować przez wioskę i miasto dla pośmiewiska.

Pięć tygodni przebywa w więzieniu rybnickim. Co tam przeżył i wycierpiał, najlepiej świadczył jego wygląd, gdy zakuty w kajdany, z twarzą bladą i zapadłą, pozbawioną bruzdami od potu, łez i męki, boso, w łachmanach, ze łzami w oczach, chwiejnym krokiem postępując, żegnał ojczyste miasto.

W Oświęcimiu przebył do 1 grudnia 1944 r., następnie został wywieziony do obozu w Gross Rosen. Ostatnią wiadomość otrzymano ze stycznia 1945 roku, po czym wszelki ślad po nim zaginął.

BRONISŁAWA KLIMASZKA, kl. 3 d.

## *Mazanek Aleksander*

(13. 5. 1921 — 17. 12. 1941).

Pamiętam go dobrze, choć nie był moim uczniem. Ileż razy w czasie przerw na szkolnym podwórzu wzruszał mnie delikatny i szlachetny profil tego smukłego, jasnego jak len blondynka. Szlachetny miał także charakter i gorliwy był sodalis, czciciel Marii.

Maturę zdaje celująco w roku 1939. Wybiera się na medycynę. Ale wybucha wojna. Ojciec, em. kierownik szkoły z Czuchowa, z powodu słabego stanu zdrowia mieszkał w Wiśle, matka z dziećmi czas jakiś w Rybniku. Odwiedziwszy pewnego razu ojca, Oleś jest świadkiem jego aresztowania. Gdy

daje znać o tym matce, sam pada ofiarą jako „deutschfeindlich gesinnt“.

Na próżno matka stara się o zwolnienie. — Pani nie wie, jakiego ma syna — on był w tajnym związku — wydaje o nim opinię Ortsgruppenleiter.

Po paru miesiącach pobytu w Mauthausen umiera ojciec. 17 grudnia 1941 roku ginie młodziutki syn jego Aleksander jako pierwsza ofiara świeżo zbudowanej komory gazowej.

Cześć ci, bohaterski chłopcze!

INOCENTY LIBURA.

## *Mikołajec Wilhelm*

Wystarczy otworzyć niegłębokie wnętrze ziemi, aby poczęło krzyżeć trwogą i przerażeniem — pisał Józef Kisielewski w dziele „Ziemia gromadzi prochy“ o ziemi nadodrzańskiej. Słowa te w całej pełni zastosować możemy i do naszej rybnickiej ziemi, zboczonej krwią

w czasie ostatniej okupacji. Te mogiły i krzyże, obficie wyrosłe, oskarżają Niemców i będą pokoleniom przyszłym dodawać siły do walki z niemieczyzną.

Dziś, gdy tylko wiatr szumi o tych, którzy odeszli w zaświaty z myślą o Polsce, zastanówmy się chwilę nad mogiłą Wilhelma



Mikołajca. Urodził się 24 czerwca 1914 r. w Kochłowicach, powiatu katowickiego. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do gimnazjum w Rybniku, następnie poświęcił się dziennikarstwu, pracując w redakcji „Polski Zachodniej” aż do września 1939. Oprócz pracy zawodowej brał czynny udział w życiu społeczno-politycznym, należąc do wielu organizacji politycznych i zawodowych, między innymi także do harcerstwa. (On to pierwszy z Mandryszem, Petersem i Rohdym z drużyny gimnazjalnej odbył spływ Wisłą do Gdańska i Gdyni).

Po zagrabieniu Polski w 1939 roku Niemcy zaraz go wyrzucili z mieszkania jako element niepożądany. Od tego też roku musiał się Wilhelm ukrywać przed aresztowaniem. Pożegnał więc żonę i dzieci i udał się do tzw. „gubernii”, gdzie mimo ścigania przez gestapo brał udział w pracy podziemnej.

Po czterech latach wrócił na Śląsk do wsi Turzy w powiecie rybnickim, gdzie przebywała jego żona. Tu u jednego z gospodarzy, p. Oślizłoka, była dlań przygotowana kryjówka. Niedługo jednakże w niej przebywał.

Pewnego dnia Wilhelm, zawiadomiony o chorobie żony, która mieszkała u swych rodziców, wyszedł z ukrycia, by się z nią zobaczyć. Niestety jakiś zdrajca zauważył

go i doniósł żandarmom. Dnia 13 sierpnia, nie spodziewając się niczego, Wilhelm spotrzął grupę żandarmów i gestapowców, którzy przybyli do Turzy i szybko posuwali się w kierunku domu, gdzie przebywał. Miał jeszcze tyle czasu, że wyskoczył przez okno do ogrodu i tam ukrył się pod krzakami. Tymczasem gestapowcy otaczali już dom i ogród. Wyrzucili następnie wszystkich z domu i rozpoczęli rewizję. Po dłuższej chwili, gdy zamęt nieco przycichł, Wilhelm, ukryty pod krzakami, podniósł się, by opuścić niebezpieczny ogród. Naraz ciszę poranku przerwał huk wystrzałów. Wilhelm, który w tym momencie biegł w stronę płotu, zachwiał się i padł ugodzony kulami wroga. Na trawie, zroszonej letnią rosą, ciało Wilhelma zastygło w kałuży krwi. Ukryci poprzednio gestapowcy zaraz zaczęli rewizję ubrania zamordowanego. Jedyną bronią, znaną przy nim, był różaniec.

Następnie odwieźli zwłoki na cmentarz w Jedłowniku i tam je zakopali, nie dopuszczając do nich nawet żony i dzieci. W cztery miesiące po zamordowaniu Mikołajca ktoś zdradził miejsce jego kryjówki. Ponownie wtargnęli gestapowcy do Turzy i zastrzelili p. Oślizłoka na jego własnym podwórzu oraz dwóch innych gospodarzy: Dudę z synem i Palotą oraz spalili ich gospodarstwa. Na zgłiszczach powiesili tablicę z napisem: „Todt dem Verräter” z symboliczną czaszką kościotrupa.

Dziś w odrodzonej Polsce, kiedy chwile okupacji są dla nas tylko koszmarnym snem, musimy skupić swe siły i czuwać z oczyma utkwionymi na Odrę i Nysę.

Czytelniku tego krótkiego wspomnienia, gdy los zaprowadzi Cię w okolice Turzy, wspomnij ten symbol germańskiej nienawiści, tablicę z napisem: „TODT DEM VERRÄTER”, zadumaj się i przyrzeknij na tym miejscu, że polskiego ducha nigdy wrogości nie oddasz.

STANISŁAW POHL, stud. Un. Wrocław.

## Musiol Franciszek



Musiol Franciszek (w środku)

Urodził się 20 listopada 1921 r. w Markłowicach już po śmierci swego ojca, który zginął bohatersko w trzecim powstaniu śląskim w Bukowie nad Odram. Matka jego choć była prostą kobietą, zastąpiła chłopcu i ojca, wszczepiając w jego młodą a wrażliwą duszę miłość do Boga, Ojczyzny i Rodaków.

Już w szkole powszechnej mały Franek odznaczał się wielką pilnością i zdolnościami. Za radą nauczycieli zapisał się do gimnazjum w Rybniku. Przez całe cztery lata swego tam pobytu znany był ze swej pilności i uczciwości. Chętnie pomagał mniej zdolnym kolegom, zwłaszcza w matematyce, do której czuł szczególny pociąg.

Nie było mu dane skończyć liceum i pójść na dalsze studia, gdyż odwieczny wróg Polski wkroczył na Śląsk.

Franciszek był wówczas młodym chłopcem, nie mógł jeszcze z bronią w ręku stanąć do

walki z najeźdźcą. Nie chciał jednak dostać się w ręce germańskie, które zamordowały mu ojca, i uchodzi na wschód. Dostaje się do niewoli rosyjskiej, po krótkim czasie jednak wraca i zostaje zmuszony do ciężkich robót. Ale nie upada na duchu. Jest Polakiem bezkompromisowym — od wybuchu wojny do końca wierzy niezłomnie w klęskę Hitlera i w powstanie niepodległej Polski. Broni się zaciekle przed wojskiem niemieckim, a gdy go wreszcie wbrew woli zaciągnięto, przyjeżdża na urlop, idzie do lasu i staje w szeregach partyzanckich. Bardzo przez dowódców lubiany, otrzymuje odpowiedzialne zadania jak n. p. rozwożenie broni, co wykonuje z niespotykaną odwagą i zuchwalstwem. Jeździ dziesiątki kilometrów przez wioski i miasta, obładowany nowymi amerykańskimi automatami w mundurze niemieckiego kaprała, salutowany przez niemiecką policję.

Tymczasem dom jego rodzinny jest pod stałą obserwacją policji. Los chciał, że gdy w dzień Bożego Ciała wypoczywał krótko w domu, napada go żandarmeria niemiecka. Nie uląkł się, owszem, przyjął nierówną walkę, lecz przemoc zwyciężyła — Franciszek padł, ugodzony kulą w głowę.

Tak zginął młodzieniec szlachetnego charakteru i gorący patriota. Grób jego na cmentarzu w Markłowicach — bez pogrzebu — czeka na dawnych kolegów z gimnazjum, by go nawiedzili i oddali mu hołd. Młodo odszedł, lecz dla Polski dużo uczynił.

Niech zawsze trwa w sercach naszych cześć i pamięć dla tych bohaterów — szalciców. Niechaj będą dla nas jasnym drogowskazem.

MAGDALENA MICHALSKA.  
FRANCISZEK ZAMARSKI.



---

## Noga Herbert



Urodził się w Raciborzu dnia 13 kwietnia 1921 r. Był uczniem szkoły powszechnej SS. Urszulanek, potem naszego gimnazjum w latach 1934-37, a później Śląskich Zakładów Technicznych w Katowicach.

W czasie wojny (1940 r.) ucieka spod okupacji niemieckiej przez Węgry, Jugosławię, Turcję na zachód. Walczył jako lotnik w 316 Dywizjonie Myśliwskim, dokonując szeregu brawurowych czynów i godnie stając obok innych Rybniczian-bohaterów powietrza, jak: Figura, Knapczyk, Koczor, Dreja, Konieczny z Biertułów, Czempik z Niedobczyc, Trybuś z Chwałowic i as lotnictwa polskiego w Anglii śp. kpt. Janas z Niedobczyc, uczeń Szkoły Handlowej, kawaler wszystkich odznaczeń polskich i angielskich. Przeżywszy szczęśliwie wojnę zginął tragicznym zrządzeniem losu na skutek katastrofy lotniczej 29 lipca 1945 r. nad miejscowością Hilltop.

Na wiadomość o śmierci jedyne go syna umiera w 3 dni później matka jego, wdowa zamieszkała w Rybniku.

I. L.

## Pajaczek Józef



Wielka wojna, która w ostatnich latach wstrząsnęła całym światem, pochłonęła wiele ofiar. Ziemia polskie stały się terenem krwawych walk. Ale mimo klęski wrześniowej, kto się czuł na prawdę Polakiem nie siedział bezczynnie. Przede wszystkim młodzież, a w jej szere-

gach i uczniowie naszego gimnazjum. Do nich należał uczeń IV. kl. i harcerz Józef Pajaczek, siostrzeniec Alfonsa Zgrzebnjoka, znanego działacza śląskiego i przywódcy 3. powstania.

Druh Józef urodził się dnia 18. 2. 1923 r. w Rybniku, jako syn Leona i Marii z domu Grzebnjok. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Rybniku przeszedł do Państwowego Gimnazjum, gdzie ukończył chlubnie 4 klasy w roku 1939. We wrześniu pod naporem wojsk niemieckich uchodzi do Radomia, wraca, ale ponieważ grozi mu aresztowanie, ratuje się ucieczką do swego kolegi z ławy szkolnej i we wsi Chruszczyna Mała w powiecie pińczowskim pracuje na roli. Jednocześnie bierze udział w akcji konspiracyjnej pod pseudonimem „Lemis“, zaprzysiężony w roku 1942 przez dowódcę drużyny bojowej. Zatrudniony później w

Urzędzie Gminnym w Nagorzanach, przechodzi tajny kurs Szkoły Podchorążych i kolportuje prasę konspiracyjno-wojskową. Po ukończeniu kursu jako kapral bierze udział w walce z Niemcami koło Skalbmierza, gdzie w tym czasie przez kilka tygodni utrzymuje się mała Rzeczpospolita Polska dzięki opanowaniu wsi i miasteczek przez miejscową partyzantkę. Jako dowódca karabinu maszynowego z podchor. Ramzesem ściga cofający się oddział Ukraińców, a w dniu 5. 8. 1944 r. walczy w obronie ludności cywilnej, mordowanej w Skalbmierzu przez ściągnięte silne oddziały niemieckie. Po 2-godzinnej walce oddział naszych chłopców pod dowództwem por. Brzozy wycofuje się przed przeważającymi siłami Niemców. Druh Józef jednak z okrzykiem, że Polak się nie cofa, zostaje z karabinem maszynowym dla osłony oddziału wraz z podchor. Ramzesem, st. strz. Kol-

cem, strz. Matem i plut. Dobrzańskim. Niebawem w walce wręcz, obsypany przez Niemców granatami, ginie śmiercią walecznych. Wraz z nim giną Ramzes, Kolec, Dobrzański. Z oddziału składającego się z 27 żołnierzy zostało tylko 8, w tym 4 rannych. Po śmierci w uznaniu bojowej dzielności i poświęcenia został awansowany do stopnia podporucznika i odznaczony Krzyżem Walecznych.

Pochowano go nocą na cmentarzu w Gorzkowie z honorami wojskowymi, wśród tłumów okolicznej ludności. Pozostawił żonę i dziecko.

Józef Pajączek zginął jak wielu, ale to nie powstrzymało innych od walk i dalszych ofiar dla ojczyzny. Z ich bohaterstwa i krwi powstała znów wolna Polska.

ZOFIA KONIECZNA  
ANNA KURZYDYMÓWNA

## *Pluta Franciszek*



**W**śród wielu, którzy oddali życie dla ojczyzny, znajduje się skromny student, jeden z pierwszych uczniów naszego gimnazjum. Jest nim Franciszek Pluta, urodzony 19. listopada 1910 roku na obczyźnie w Botrop. Z końcem wojny światowej jako 8-letni chłopak wraz z rodziną wraca do ukochanego kraju. Gdy bra-

my Państwowego Gimnazjum w Rybniku otwierają się dla polskich uczniów, dąży i on, by lepiej poznać i jeszcze bardziej ukochać swój kraj i mowę ojczystą.

Zdolny i wytrwały, po ośmioletniej pracy otrzymuje świadectwo dojrzałości. Aby zdobyć środki materialne na dalsze studia, przyjmuje w roku 1931 posadę urzędnika pocztowego w Rydułtowach. Jesienią 1932 roku udaje się na Uniwersytet Poznański na wydział filozoficzny. Po rocznej służbie wojskowej (1933-34) w podchorążówce piechoty w Zambrowie wraca na przerwane studia, które kończy w roku 1937. Obejmuje posadę urzędnika w Starostwie w Tarnowskich Górach.

Gdy w roku 1939 Hitler napada na Polskę, ewakuuje się wraz z całym starostwem do Lwowa. W wigilię tegoż roku w przebraniu

wraca do domu i ukrywa się aż do wiosny 1940 r. Chcąc uchronić rodzinę od przesładowania, uchodzi do Krakowa. Tam pracuje na kolei i w szeregach konspiracyjnych.

W r. 1943 aresztują go Niemcy i wysyłają do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, później do Gusen. Pierwszy znak życia od niego otrzymuje rodzina w maju tegoż roku

z Gusen. Pracując ciężko w kamieniołomach, nabawił się choroby płucnej, która w lutym 1945 r. rzuca go na łożo szpitalne. Żyje w gorącym oczekiwaniu oswobodzenia przez wojska alianckie, które w szybkim tempie zbliżają się do obozu. Niestety na 3 dni przed wkroczeniem wojsk alianckich zostaje wraz z całym szpitalem zagazowany przez niemieckich barbarzyńców.

ALEKSANDRA GRZESIEWSKA, kl. 3 d.

## *Pawelec Zbigniew*



Młodszy brat mój Zbyszek skończył lat szesnaście i 4. klasę gimnazjum, gdy wybuchła wojna. Już od samego początku barbarzyńskiego gospodarowania Niemców w naszym kraju młoda jego dusza nie mogła pogodzić się z tym stanem rzeczy. Będąc jeszcze na Śląsku, zaczyna konspirować naiwnie i dziecinnie, jak to tylko młodzi i pełni temperamentu chłopcy potrafią. Zbierają się na tajne schadzki, kierowani samym tylko impulsem, że trzeba coś zrobić, że trzeba za wszelką cenę pokazać Niemcom, że nie przegraliśmy jeszcze, że zostały miliony takich, co walczyć będą do ostatka. — Tylko nie wiedzieli, jak walka ta będzie wyglądała.

Na razie drukują małe kartki z mapą Polski, która sięga po Odrę i Nysę, nalepiają te mapki nocą na murach, ciesząc się na dru-

gi dzień z tego, ile to Niemcom zaszkodziłi. Po pewnym czasie, kiedy paru tych młodych przymknęło, Zbyszek zdecydował się wyjechać do tzw. „Gubernii“. I tam, pomimo młodego wieku, zaczyna pracę konspiracyjną. Jego żywy charakter, umiłowanie wspólnej sprawy nie pozwalają mu siedzieć bezczynnie. Po przeszkoleniu bojowym dostaje się do oddziału leśnego. Wesołe jego usposobienie, poczucie humoru i optymizm sprawiły, że był ogólnie bardzo lubiany tym więcej; że jego niezwykła ambicja każe mu być pierwszym we wszystkich ochotniczych wyprawach i wypadach.

W nocy z 4 na 5 czerwca 1944 r. w czasie patrolu młodzi partyzanci napotykają silniejszy oddział Niemców. Wywiązała się walka, w czasie której Zbyszek został ciężko ranny w brzuch. Patrol trzymał się jeszcze dość długo, dopiero kiedy stracił jeszcze jednego z ludzi, który padł na miejscu, dowódca zdecydował się wycofać.

Rannego Zbyszka umieszczono w pewnym dworku pod Wolbromiem, gdzie mimo dwukrotnej operacji zmarł 10. czerwca 1944 r. i pochowany został w lesie (obecnie spoczywa na cmentarzu w Wolbromiu).

Zginął, nie doczekawszy się Polski, o której tyle zawsze mówił i którą nad życie ukochał.

JANUSZ PAWELEC

## Piechoczek Stanisław i Skudrzyk Ryszard



Piechoczek Stanisław



Skudrzyk Ryszard

Nieraz słyszy się nazwy masowych obozów śmierci: Oświęcim, Treblinka, Majdanek, Dachau, Buchenwald i t. d., gdzie wśród wielu milionów ludzi różnych narodowości zginęło wiele tysięcy Polaków.

Wobec tych tragicznych nazw skromnie brzmią liczne nazwy wsi polskich z Krakowskiego, Poznańskiego, Warszawskiego w których rozgrywały się krwawe tragedie, gdzie Niemcy znęcali się nad ludnością polską, określając te straszne mordy jako „akcję oczyszczania” czyli pacyfikację.

Dnia 4 lipca 1943 r. w Liszkach pod Krakowem zginęli w ten sposób zamordowani przez Niemców dwaj dawni uczniowie tutejszego gimnazjum Stanisław Piechoczek i Ryszard Skudrzyk.

Obydwaj byli przez wszystkie lata szkolne dobrymi przyjaciółmi i uczniami i razem też zdali maturę w r. 1939. kończąc liceum typu matematyczno-fizycznego.

W dzień wybuchu wojny byli w „Obozach junackich” na Pomorzu i stamtąd też rozpoczęli na własną rękę wędrówkę na wschód, by nie dostać się w ręce Niemców. Dopiero pod koniec października wrócili do Rybnika. Piechoczek udał się do Ruptawy w pow. rybnickim w poszukiwaniu ro-

dziny, tam bowiem ojciec jego posiadał majątek. Został tylko matkę w ciężkich warunkach, gdyż niemiecki „Treuhänder” wygnał ją z majątku. Zaraz też w grudniu tego samego roku zaczęły się przesłuchy na gestapo w poszukiwaniu ojca, który był posłem na sejm, (po roku został ujęty i zesłany do obozu koncentracyjnego, gdzie zginął).

Wtedy już zagrożono matce Stanisława, że w zamian za ojca wezmą syna. Pod koniec stycznia 1940 r. Piechoczek, Skudrzyk i inni koledzy uplanowali wycieczkę na Węgry. Wyprawa się jednak nie udała. Wkrótce potem, po kilkudniowym pobycie w Rybniku, Stanisław Piechoczek i Ryszard Skudrzyk przeszli granicę „Gubernii”, zatrzymując się jakiś czas w Krakowie. Następnie rozłączyli się. Skudrzyk zamieszkał wraz z rodzicami i braćmi w Liszkach pod Krakowem. Piechoczek przebywał parę miesięcy w Rudniku n/Sanem, gdzie pracował przy robotach kolejowych. Starał się wtedy wszelkimi sposobami sprowadzić do siebie ojca, który się jeszcze ukrywał, lecz okazało się to niemożliwe. Wtedy Stanisław Piechoczek przeniósł się także do Liszek.

Pamiętnego dla tej wsi dnia 4 lipca 1943 r. wszyscy mieszkańcy wsi zostali wygnani

z domu na rozległy pagórek, zwany Maciejówką. Ucieczka, o której niejeden myślał, była niemożliwa. Wieś była otoczona kordonem, 2000 Niemców, SS i SA, wśród których było wielu Ukraińców, mówiących dobrze po polsku. Inni przeszukiwali dokładnie domy, ogrody i pola. Kogo znaleziono w ukryciu, tego natychmiast rozstrzelano. Na łące tymczasem ugrupowano wszystkich, mianowicie kobiety i dzieci razem, mężczyzn rozdzielono według wieku, kazano się wszystkim położyć twarzą do ziemi i nie ruszać się, ani podnosić głowy. Gestapowcy tymczasem rozmieścili się w stodole, która stała na łące.

Po chwili ze stodoły wyszedł gestapowiec, trzymając w ręku kartki z nazwiskami. Czyta. Jako drugie pada nazwisko Stanisława Piechoczka, potem Ryszarda Skudrzyka. Piechoczek podniósł się, Skudrzyka jeszcze nie było.

Oto jak opisuje tę chwilę naoczny świadek, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, dr. Stanisław Rospond:

„Piechoczek, Ślązak, maturzysta, smukły, przystojny, o zaciśniętych zawzięcie, wąskich, ambitynych ustach, inteligentny mój partner gry w szachy. Ojca zostawił w obozie, matkę na Śląsku, a sam znalazł przytułek w Liszkach. Chłopak z charakterem, żądny wiedzy. Marzył o politechnice. Szedł pewnym, aługim krokiem. Spojrzał na lewo, na stodołę i wtedy nerwowo zacisnął usta. Wchodzi do stodoły Piechoczek. Ściągają dane osobiste.

- Imię i nazwisko?
- Stanisław Piechoczek.
- Data i miejsce urodzenia? Zawód?
- Urzędnik „Arbeitsamtu“.

To wystarczy. Ręce wiążą mu w tył, każą wyjść po drabinie parę szczebli w górę. Następnie poderwanie drabiny. Już ciało zwisa bezwładnie. Powróż wrzyna się aż do krwi w przeguby rąk. Wykręcone w stawach ręce trzeszczą. Już to sprawia niewypowiedziany ból. Oprawcy przyglądają się

ofierze. Może zacznie „spowiadać się“. Zaciśnięte usta uparcie milczą. Głucho dudnią razy po plecach i piersiach. Trzymano się taktu raz dwa, raz dwa... Znana pedanteria i systematyczność niemiecka.  
— Mów! Gadaj!

Cisza! Ani jęku, ani odpowiedzi. Usta nerwowo zaciśnięte nadal milczą. Włosy potem męki zlepione. Z młodzieńczej twarzy robi się w mig starcza maska, pełna bruzd wyżłobionych potem, łzami i męką“.

Niemcy chcieli wydobyć nazwiska tych ludzi, którzy uciekli z przymusowych robót z Niemiec. Brali do stodoły także innych mieszkańców wsi, nawet kobiety, przeważnie jednak młodzież.

Przyszła kolej na drugiego Ślązaka.

Skudrzyk Ryszard — po raz trzeci wywołuje go gestapowiec. Wstaje Rysick. Idzie do stodoły. Widzę go jak na dłoni. Zdrowy, krępy, przystojny chłopak. Twarda, zahartowana, śląska natura. Ciemno-blond czupryna zwisa mu nad czołem. Żwawym krokiem wchodzi do stodoły. Prawą ręką odgarnął kosmyk włosów, zwisający mu nad czołem. To był częsty jego gest brawury i młodzieńczości. Zaczyna się „przesłuchanie“. Posłuchajcie: cios jeden, drugi, trzeci... Cicho. Ani jęku. Czy może obawiał się, żeby ojciec, tuż obok w dole leżący, nie słyszał jego jęków. On go tak kochał! Dopiero w miarę wzmagania się ciosów ciche, przytłumione: aaa! ooo! doszło moich uszu.

— Mów! gadaj! Cisza. Znów młócka. Znów ciche: ooo!

Wyrzucili go ze stodoły. Zepchnęli z progu stodoły. Zatoczył się. Ale nie upadł. Już on nie taki rumiany! Błady. Zgarbiony. Chwiejnym krokiem idzie położyć się do szeregu innych skatowanych. Ale i w tej chwili nie zapomniał o podrzuceniu głowy w tył, o odgarnięciu ręką czupryny z nad oczu“.

„Śledztwo” trwało parę godzin. Trzydziestu zbitych leżało niedaleko stodoły. Wtedy po przemowie jednego z gestapowców, który nazwał tych trzydziestu bohaterów „polskimi bandytami”, zostali oni na oczach wszystkich rozstrzelani. W ciągu jednej godziny musiano wykopać dół, głęboki na trzy metry, tam na rozkaz gestapowców wrzucono ciała, zgarnięto krew i mózgi poległych.

— Och, panie, ja o tym i dziś nie mogę wspomnieć — mówił mi ojciec Ryszarda, który przeżył to wszystko i zbierał z ziemi

tak straszliwie rozbitą głowę własnego dziecka.

Teren musiano zrównać z ziemią. Nie wolno było robić grobu ani postawić krzyża. — Wystarczy otworzyć niegłębokie wnętrze ziemi, aby poczęła krzyczeć trwogą i przerażeniem... — przychodzą na myśl słowa Kisielewskiego.

Dopiero w lutym 1946 r. sprowadzono ciała bohaterów i złożono uroczyście na cmentarzu w Liszkach.

ELEONORA GRZESICZEK.  
GABRIELA SŁAWIKÓWNA.

## Procek Florian



Był to chłopak żywy, zawsze wesoły i czynny. Należał do drużyny harcerskiej i był ulubieńcem młodszych kolegów i dzieci. Sam dzieci bardzo lubił, organizował z nimi gry, zabawy, zawsze był ich wodzem, níc też dziwnego, że go tak lubiano. Po ukończeniu kilku klas gimnazjalnych, mimo szczerych chęci kształcenia się, musiał przerwać naukę z powodu ciężkich warunków materialnych. Przeszedł do pracy zawodowej: najpierw pracował w kupiectwie, później dostał posadę w Zakładach Technicznych.

Wojna zastała go w szpitalu, gdzie przebywał dla wyleczenia ran operacyjnych. Jako harcerz i gorący patriota nie mógł

przeboleć upadku Ojczyzny. Cała rodzina zajęła stanowisko zdecydowane i otwarte jako Polacy.

Dnia 11 listopada 1939 r. druh Florek zdobył się na czyn niezwykły i śmiały. Przecież to święto narodowe, a tu trzeba patrzeć jak same „hackenkreuze” na domach powiewają i trzeba się kryć ze swymi uczuciami. Burzy się w nim dusza. Trzeba jakoś zaprotestować przeciwko przemocy. Obmyślawszy wszystko dokładnie, wdrapuje się nocą po obluźowanych już mocno klamrach na komin fabryczny naprzeciwko sądu i tam na szczycie zawiesza chorągiew polską. Po ulicach całą noc chodzi warta z psem, ale on nie daje się złapać. Nazajutrz Niemcy pienią się ze złości i mają dużo kłopotu z usunięciem powiewającej nad miastem polskiej flagi. Fakt ten silnie poruszył serca mieszkańców.

Odważny chłopak już niedługo cieszył się życiem. W roku 1940 Niemcy chcą go ciągnąć do wojska. Znowu buntuje się w nim dusza. Jak to? On ma iść do wrogich szeregów i ma może braci mordować? Nigdy! Stanowczo sprzeciwił się temu, więc aresztują mu ojca (który wkrótce zmarł) i brata. Jemu samemu udało się zbiec. Wraz ze swym kolegą Kowalem, również uczniem

naszego gimnazjum, przekroczył granicę Generalnego Gubernatorstwa pod Zawierciem. Miał zamiar iść na Węgry, a stamtąd dalej na zachód, by w szeregach Armii Polskiej walczyć o wolność. Niestety do domu, w którym nocowali, przychodzi w nocy żandarmeria niemiecka po gospodarza. Złapano ich, a ponieważ nje mieli dokumentów, uwięziono ich jako podejrzanych i z wielu innymi rozstrzelano w lesie pod Olsztynem dnia 3 lipca 1940 r. Florek szedł na

śmierć męźnic, czując świętość sprawy, za którą oddaje życie. Tak zginął i jego kolega Kowal.

Oto jeden z przykładów, jak młodzież polska, rwąca się do czynu, musiała ginąć z ręki wroga. Zwłoki ofiar tej egzekucji odkryto niedawno i w grudniu 1946 roku pochowano uroczyście na cmentarzu woj-skowym w Częstochowie.

BARBARA PYZIKÓWNA, abs. lic. hum.

### *Przesdziną Brunon*



Urodzony dnia 16 grudnia 1913 roku w Wielopolu, rozpoczął naukę gimnazjalną w tut. gimnazjum w roku 1925, a ukończył egzaminem maturalnym w roku 1934. Po ukończeniu gimnazjum za-

trudniony był w rybnickim Starostwie w Wydziale Oświaty, gdzie cieszył się dużą popularnością i zyskał wielu sympatyków. W roku 1936 przeniósł się na stanowisko sekretarza gminnego do wioski rodzinnej Wielopole i tu rozwinął szerszą działalność społeczną: założył Organizację Młodzieży Powstańczej, był prezesem Związku Obrony Kresów Zachodnich, reżyserem kółka teatralnego i pracował tak aż do wybuchu wojny polsko-niemieckiej.

W czasie okupacji przyznawał się otwarcie do swej polskości, za co aresztowany został i wywieziony do obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen, gdzie zmarł jako mę-czennik i bohater w dniu 11 grudnia 1941 roku.

PRZESDZINĄ JAN, ojciec zmarłego.

### *Rabinowicz Jerzy*

Po wrześniu 1939 roku, kiedy żołnierz polski zmagął się bohatersko z germańskim najeźdźcą, Polska, zwana krainą mogił i krzyżów, pokryła się na nowo tysiącami grobów poległych w obronie Ojczyzny.

Niedaleko Warszawy we wsi Babice (gmina Blizne) znajduje się cmentarz wojskowy.

Tam w grobie nr 193 spoczywają zwłoki młodego polskiego podchorążego, Jerzego Rabinowicza.

Jerzy urodził się dnia 29 września 1917 r. w Poznaniu. W latach 1928 — 1936 uczęszczał do Państwowego Gimnazjum w Rybniku, gdzie zdał egzamin dojrzałości. Następnie uczęszczał do Instytutu Pedagogicz-



nego w Krakowie i w roku 1938 otrzymał dyplom nauczycielski. Powołany do czynnej służby wojskowej jesienią 1938 r., odbywał ją we Lwowie. Z wybuchem wojny jako plu-

tonowy-podchorąży dostaje się na front i bierze udział w bohaterskiej obronie stolicy. W dniach między 17 — 20 września 8 kilometrów przed Warszawą we wsi Börnerowo w czasie inspekcji stanowisk pada, ugodzony kulą nieprzyjacielską w pierś. Odzyskawszy na parę chwil przytomność, zawołał imię ukochanej matki i zmarł na rękach kaprała Sylwestra Goryczki.

Zginął śmiercią żołnierza, wierny przysiędze złożonej Bogu; zginął, nie splamiwszy honoru żołnierskiego, za świętą sprawę Ojczyzny.

Cześć jego pamięci!

HERBERT MUSIOLIK.

### *Ruda Stanisław*



Urodzony dnia 12 listopada 1912 roku w Mikulczycach, powiatu bytomskiego. Przekracza z rodzicami po krzywdzącym plebiscycie w 1922 r. krwawiącą granicę na Śląsku, by osiąść w Knurowie w po-

blizu promieniującego już wtedy polskością gimnazjum rybnickiego, do którego wstępuje w 1924 r. Jednak po 4 latach, ze względów materialnych, opuszcza je, by oddać się pracy zarobkowej. Pracuje w charakterze laboranta w Zakładach Koksochemicznych w Knurowie aż do wybuchu wojny polsko-niemieckiej.

Utrata niepodległości nie załamuje go na duchu. Owiany duchem „Ody do młodości“, pracuje w tajnej organizacji. Dnia 7 czerwca 1942 r. o północy we własnym mieszkaniu aresztowany przez agentów gestapo dostaje się do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i ginie tam po siedmiu miesiącach.

Prof. LEON CHUDOBA.

### *Sanecznik Zygmunt*

Urodził się dnia 11 marca 1923 roku w Rybniku. Po ukończeniu 6 klas szkoły powszechnej im. Adama Mickiewicza, złożył egzamin do gimnazjum,

którego uczniem był do roku 1939. Po wybuchu wojny uciekł wraz z prof. Pyrą w stronę Krakowa. Osiedlił się po tym w Mielcu i pracował w pewnej firmie bu-





dowlanej. Z matką, która mieszka nadal w Rybniku, korespondował drogą okrężną, narażając siebie i ją na poważne niebezpieczeństwa. Z małych swoich dochodów utrzymywał częściowo starego ojca, który musiał również uchodzić przed okupantem i ukrywał się w Sanoku. Zygmun był członkiem tajnego związku partyzanckiego. — Szczęście mu jednak nie sprzyjało, gdyż został wraz z 9 kolegami aresztowany przez gestapo w pewnej kawiarni w Mielcu dnia 4 lutego 1944 r. Odstawieni w kajdanach do więzienia w Rzeszowie zostali oddani pod sąd doraźny, i w dniu 11 lutego rozstrzelani. Zygmun zginął jako ósmy i został wraz z przyjaciółmi pogrzebany przez hitlerowców na gnojowisku koło dworu Jędrzejowicza pod Rzeszowem. Gdy grób ten później władze polskie odkryły, odbył się

uroczysty pogrzeb poległych w służbie dla Ojczyzny dnia 15 września 1944 r. we wsi Pobitno pod Rzeszowem.

Zygmun Sanecznik był to smukły, żywy jak skra chłopiec o dużych piwnych oczach, z których bił entuzjazm i zapał młodzieńczy. W harcerstwie nauczył się czynnie kochać swój naród i Ojczyznę, z tego też ogniska czerpał moc i siłę woli. Objawia się to i na procesie w Rzeszowie, kiedy zbiyty i wyczerpany milczy zawzięcie przed trybunałem, nie chcąc zdradzić miejsca urodzenia swego i swej rodziny.

Ppor. W. P. Mieczysław Hołdowski, osobisty przyjaciel straconego, który był obecnym na tej rozprawie, opowiada o jego męskim zachowaniu się wobec wyroku śmierci. Zresztą wszyscy skazańcy przyjęli go ze spokojem, godnym Polaków.

Zygmun był też wielkim miłośnikiem muzyki. Kochał skrzypce i swój fortepian, na którym grywał z zapałem Szopena. Matkę swoją, najdroższą mu istotę, pocieszał jak mógł w listach, że niedługo się zobaczą, że Ojczyzna wnet będzie wolną, a on powróci znów do gimnazjum i będzie mógł grywać ulubionych mistrzów. Prosił, by mu przysłała zdjęcie naszego gimnazjum, by choć widokiem drogich murów szkolnych nasycić swoją tęsknotę. — Bóg pokierował inaczej.

JOACHIM BUTTER.

## *Sobik Stanisław*

Urodzony dnia 21 września 1911 roku, pierwsze nauki pobiera w szkole powszechnej, następnie jest wychowankiem naszego gimnazjum. Bierze czynny udział w życiu społecznym szkoły (znakomicie np. odegrał rolę kowala w sztuce „Kościuszko pod Racławicami“, którą wystawił prof. Starkel). Jest zapalonym szachistą i zdobywa mistrzostwo Śląska w tej sztuce.

Po maturze trzy lata szuka pracy, dopiero od roku 1936 znajduje zatrudnienie w tuższym urzędzie pocztowym jako urzędnik. Gdy wybucha wojna, ucieka wraz z kolegami przed nawałą niemiecką, docierając do Węgier. Po dwumiesięcznym pobycie w ojczyźnie Listy, na prośbę żony wraca do domu. Na pocztę jako Polak wrócić nie może, w końcu jednak udaje mu się znaleźć pracę na kolei. W czasie służby



wiele czasu poświęca pracom podziemnym, wyjeżdżając w tej sprawie często do Katowic, Krakowa i innych miejscowości. W grupie partyzanckiej, którą tworzy, zostaje komendantem. Niestety jeden z członków organizacji zdradza ich. Śledzi zamiary i czyni kolegów, notuje nawet wycieczki do lasu i donosi do gestapo.

Dnia 11 lutego 1943 r. Stanisław wraz z żoną i bratem zostaje aresztowany. Po dwóch dniach męczarni w lochach rybnickiego gestapo przy ul. Raciborskiej, wywożą wszystkich troje do Oświęcimia. Po trzytygodniowym nieludzkim śledztwie, nie zdradziwszy nikogo, Stanisław jako więzień polityczny dzieli niedolę tysięcy innych ofiar terroru hitlerowskiego. Dni płyną mu

smutno i jednostajnie. Troska o żonę, która jest w obozie kobiecym, i o dzieci, które zostały w Rybniku, przygnębia go, ale nie załamuje duchowo. Wierny swej filozofii stoickiej, którą długoletnim ćwiczeniem w sobie wypracował, sam w listach pociesza zrozpaczonych rodziców:

„Wy macie teraz dużo trosk i kłopotów, ale patrzcie z nadzieją w lepszą przyszłość, bo wiadomo, że po burzy zaświeci znowu słońce. Wszystko przechodzi: i złe i dobre“.

W parę miesięcy dostaje się na słynny blok 11. Czuje powiew śmierci nad sobą, ale jest spokojny i opanowany jak zwykle. „Jeśli ginę, to wiem, że ginę za Ojczyznę“, mówi do kolegów. Dnia 24 czerwca widzi się jeszcze z bratem i żegna się z nim po raz ostatni.

W dzień Bożego Ciała (25 czerwca) przy apelu zostaje zawieszany. Czuje, że wybiła dla niego ostatnia godzina, więc śle przez kolegów ostatnie pozdrowienia dla żony, dzieci i rodziców. Niebawem z kilku kolegami pada pod salwą niemieckich zbrodniarzy.

Zdrajca zaś żyje i podobno dobrze mu się powodzi.

ANIELA GRZYBKÓWNA, kl. 1 lic. hum.

## *Wspomnienie towarzysza niedoli*

Pracowałem wtedy w komandzie „Geräte-kammer“, mieszczącej się w tzw. „Stabsgebäude“. Był to magazyn sprzętu siodlarskiego, a stan całego „komanda“ wynosił 2 ludzi. Praca polegała na utrzymywaniu w czystości siodeł, uprzęży końskiej i rowerów. Kiedy mój towarzysz Duda został jako górnik przeniesiony na kopalnię Jawiszowice, zostałem sam i zaraz pomyślałem o tym, żeby na to miejsce ściągnąć Staszka. Praca tu bowiem nie była ciężka, „pod dachem“ i — co najważniejsze — do

roboty nikt nie napędzał. Sobik, dawny przywódca w pracy organizacyjnej, został nadal w obozie naszym wodzem ideowym, stał się niejako naszym ojcem, który zawsze umiał pocieszyć, wlać wiarę i nadzieję w rychłe wyzwolenie.

Pracował wtedy w tzw. „Kiessgrubie“ przy wydobywaniu żwiru. Praca tam była ciężka, na domiar złego spotykały go tam ze strony Grzonki z Rybnika, zawodowego rzeźmieszka, który był kapem tego „komanda“, szykany i ostre napaści.



Sobik Stanisław jako nr 107482

Przy pomocy kolegów-rybniczian: Jasia Gemskiego (Gembczyka) i Józka Hanusza, starych „łagrowców“, wyzyskując ich stosunki w tzw. „Arbeitsdienst‘cie“, dostał Staszek pod koniec maja 1943 r. przydział do mojego „komanda“.

Przebywając teraz całe dni razem w zamkniętym magazynie, miałem sposobność poznać go głębiej. Szlachetna to była postać. Już za czasów jego działalności podziemnej zdumiewał mnie jego zapał, który umiał przelewać na swoich ludzi. Umiał wydawać rozkazy z równoczesnym narzuceniem silnej woli wykonania rozkazu. Potrafił oceniać zdolności swoich podwładnych i postawić każdego na właściwym stanowisku. Miał przy tym bezgraniczne zaufanie w uczciwość ludzką i to było jego jedynym błędem. Sam bezgranicznie uczciwy, wielki idealista, widział w każdym tylko dobre cechy charakteru, w każdym widział takiego zapaleńca, jak on sam. Takim pozostał do końca.

Zawsze skromny i cichy, znosił cierpliwie wszystkie ciężary i upokorzenia, które przynosił z sobą każdy dzień w Oświęcimiu. Skombinował sobie polską książeczkę do nabożeństwa, którą starannie ukrywał w magazynie między sprzętem i wiele chwil spędzał na skupionej i żarliwej modlitwie. Myśli swoje często zwracał w kierunku życia pozagrobowego, wszczynał ze mną dyskusje na tematy oderwane, dążył do pogłę-

bienia swojej wiary na podstawie dogmatów i Pisma św., przechodził do zagadnień metafizycznych.

W prostej jego filozofii przebijała głęboka wiara w życie wieczne i Najwyższą Sprawiedliwość.

Kiedyś mówił Stach do mnie:

— Wiesz, Karol, miałem dzisiaj piękny sen.

Otóż śniło mi się, że byłem wolny. Było tak cudnie na świecie!

Piękna i uroczysta zieleń pokrywała ziemię i tak pięknie lipy kwitły...

W jakiś czas potem zaczęły przychodzić wyroki z Berlina. Obserwować można było, jak według kolejnych numerów wzywano ludzi do podpisania t. zw. „Schutzhaftbefehlu“ (nakazu aresztowania) lub na blok jedenasty, skąd już nie wracali. Numery wzywanych wzrastały z dnia na dzień i niustępliwie zbliżały się do naszych liczb. Ucichły rozmowy, rozproszyła się nasza grupka, która często schodziła się na pogawędki. Każdy dążył do samotności.

Pogodny czerwiec rozwinął wdzięki lata w całej krasie. Ci, którzy pracowali na „Auszenkomandach“, opowiadali jak pięknie jest na świecie. Opowiadali o kołyszących się łąkach kłosów, o czystej i wonnej zieleni łąk, pokrytych kobiercem kwiatów, opowiadali o drzewach przydrożnych, udzielających rozłożystymi koronami ożywczego cie

---

nia...., gdy w obozie słońce prażyło bez-  
litośnie wychudzone twarze więźniów i bez-  
włose głowy, spalając je na ciemny brąz  
i pokrywając strudzone czoła kroplami  
potu.

Piękny i inny był świat za drutami. Ten  
świat nieznany był już nam, istniejący tyl-  
ko w dziedzinie marzeń i wyobraźni. Jakże  
daleko był od nas!

Wstał cudny poranek święta Bożego Ciała,  
przynosząc z sobą wiele refleksyj i wspanie-  
nia z minionych lat:

Piękna pogoda, gałązki brzoźowe, uroczysty  
i podniosły nastrój, procesja, dzieci w bieli,  
ksiądz z monstrancją pod baldachimem i  
kwiaty, kwiaty, kwiaty...

W obozie dzień ten nie różnił się niczym  
od tylu innych dni roboczych. A jednak...  
Wyruszamy rano ze Stachem do naszej „bu-  
dy“ do siodeł i rowerów, postanawiając  
zgodnie jak najmniej pracować. Istotnie tak  
się złożyło, że nie pilnowano nas w ten  
dzień tak dokładnie.

Stach był wyjątkowo poważny, ale ani cie-  
nia smutku nie odkryłem na jego twarzy.  
Uniesiony był jakimś radosnym nastrojem,  
twarz miał rozpromienioną. Marzyliśmy o  
tym, jak to wkrótce na wolności będziemy  
mogli uczestniczyć w procesji Bożego Ciała  
i śpiewać po polsku...

Patrzę do okna, przez które widać było  
kulistą koronę lipy, usianą złocistymi kwiat-  
kami.

— Patrz Stachu, — mówię do Sobika —  
jaka piękna jest ta lipa i jak cudnie kwit-  
nie.

Otworzyliśmy lekko okno, by wypuścić tro-  
chę zapachu lipowego kwiecica. Wieczorem  
wróciliśmy na blok, gdzie oczekiwała na  
Stacha paczka z domu. Już się i apel skoń-  
czył, więc Stach zabrał się do rozpakowa-  
nia paczki i przyrządzenia kolacji.

Nie zaczął jeszcze jeść, gdy pisarz blokowy  
wywołał Jego numer:

— Zgłosisz się zaraz w „Schreibstube“ —  
mówi.

Stach odłożył wszystko i zostawił na łóżku,  
a sam poszedł.

Tknęło mną złowrogie przecucie, przypo-  
mniał mi się sen Stacha o wolności i o  
kwitnącej lipie.

Poszedłem z nim do „Schreibstuby“, gdzie  
czekało już kilku innych o podobnych nu-  
merach.

Wiedziałem, co ich czeka.

Odprowadzono wszystkich na blok XI. Idzie  
nas kilku w pewnym oddaleniu za nimi.  
Oglądają się, rzucają nam drobne przed-  
mioty, które mieli przy sobie: zapalniczkę,  
cygarniczkę, pędzel do golenia...

— Weźcie to na pamiątkę!

— Już się nie zobaczymy!

Jeszcze jedno spojrzenie, jeszcze jedno ski-  
nienie ręki, jeszcze jeden uśmiech, w któ-  
rym był żal i łzy, a potem zaciśnięte zęby  
i głowa dumnie odrzucona do góry i ostat-  
nie słowa do nas:

— Trzymajcie się! Pozdrówcie nasze żony  
i dzieci!

A potem ciężkie, żelazne drzwi zamknęły  
się z łoskotem, i ciężka sztaba żelazna pod-  
parła je z wewnątrz.

Wiedziałem Go po raz ostatni.

Stach przestał żyć dla świata.  
Ta, o którą tak nieugięcie walczył, zażąda-  
ła od Niego ofiary życia i krwi...

KAROL MICZAJKA

---

## Sojka Henryk

(15 lipca 1920 — 15 grudnia 1941).



Korespondując z ojcem, który wówczas przebywał w Anglii, przysyłał mu zdjęcia, z których niektóre zamieszczamy.

I. L.

Był to dzielny i urodziwy chłopiec o jasnych falujących kędziorach. Zdawszy małą maturę w roku 1939 ukrywał się czas jakiś po wybuchu wojny w kielecczyźnie i radomskim, później z Sanojka przekradł się na Węgry (Ungwar, Budapeszt), skąd wyjechał na Bliski Wschód. Przeszkolony w Syrii i Palestynie walczył pod Tobrukiem, brał udział w ofensywie na Benghasi. Poległ w bitwie pod Gazalą dnia 15. grudnia 1941 r. Spoczywa na cmentarzu w Tobruku.



Mogiły polskie w Tobruku

## Stefek Walter

Piękną tradycją chlubi się rybnickie gimnazjum, które już przez kilkanaście lat przed wojną wydawało wychowanków, przynoszących mu chlubę, a wychowawcom pełne zadowolenie. Zawierucha wojenna rozproszyła po całym świecie Polaków i okryła smutkiem całą Polskę. Z okresem tym zaczął się polski szlak do obozów koncentracyjnych.

Na tej męczeńskiej drodze znalazł się również brat mego kolegi Stefek Walter, urodzony 14 października 1916 r. w Karwinie na Zaolziu. Tułaczy swój los rozpoczyna bardzo wcześnie, bo mając zaledwie 4 lata zostaje wygnany wraz z całą rodziną przez Czechów. Po powrocie ojca z trzeciego powstania śląskiego Walter wstępuje do szkoły powszechnej w Niedobczycach, gdzie

jego ojciec jest kierownikiem. Po ukończeniu 4 klas wstępuje do Państwowego Gimnazjum w Rybniku. Przez cały okres ośmioletni pracuje bardzo wiele społecznie. Szczególnie wyróżnia się na gimnazjalnych deskach scenicznych, przy wystawianiu „Dziadów“, „Wesela“, a zwłaszcza „Wyzwolenia“, gdzie wspaniale odgrywa trudną rolę Konrada. Po otrzymaniu dyplomu dojrzałości wstępuje na U. J. w Krakowie na wydział prawniczy. Jednak i w tym okresie nie zapomina o scenie, organizując przy miejscowym T. C. L. w Niedobczycach kółko teatralne. Pod jego reżyserią wystawia się sztuki, ciesząc się wielkim powodzeniem w całym powiecie. W czasie tej pracy przeziębiam się i prawie dwuletnia choroba kładzie kres jego studiom i dalszej pracy

społecznej. Rok 1938. to rok powrotu na ziemię rodzinną, na Zaolzie. Niedługo jednak cieszył się szczęściem, bo nadchodzi rok 1939. Z zapowiadającego się świetnie prawnika okupant robi cegielnianego łopaciarza. Ale Walter woli w pocie czoła wraz z całą swoją rodziną pracować, aniżeli wyprzeć się Polski. Równocześnie bierze udział w organizacji podziemnej. W styczniu 1943 r. zostaje zamknięty w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Nastają teraz dla Waltera dni piekła wśród drutów kolczastych. Dnia 13 listopada 1944 r. śmierć położyła kres jego męczarniom. — Waltera rozstrzelano. W obozie zginęli również jego rodzice i siostra, absolwentka gimnazjum Sióstr Urszulanek. Z rodziny liczącej pięć osób pozostał tylko najmłodszy syn i córka.  
W. B.

## Stokłosa Eryk



**W** czasie terroru, jaki szerzył na ziemiach naszych totalizm niemiecki, najbardziej prześladowano młodzież. Okupant bowiem rozumiał doskonale, że ona stanowi rdzeń duchowy narodu, że jest w każdej chwili gotowa do czynów heroicznych, toteż zaraz w pierwszych dniach zaboru rozpoczęły się masowe aresztowania. Drugim celem przebiegłej polityki niemieckiej było zgermanizowanie po-

zostałych jeszcze na wolności. Plany te nie udały się jednak w zupełności, gdyż znaczna część stawiała opór władzom okupacyjnym. Do opornych należał i Eryk Stokłosa, syn inspektora szkolnego, urodzony 24 maja w 1915 roku w Rybniku.

Żywy, zręczny, inteligentny chłopczyk w szkole powszechnej już zdradzał wybitne zdolności i szczególne zainteresowanie światem zwierzęcym. W jedenastym roku życia został uczniem Państwowego Gimnazjum w Rybniku i brał poza nauką czynny udział w życiu społecznym szkoły: w drukowaniu pisemka, w kole sportowym i w drużynie harcerskiej. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w roku 1934 zapisuje się — zgodnie ze swymi zamiłowaniem — do Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, którą kończy chlubnie w roku 1939.

Niestety działania wojenne przeszkodziły młodemu lekarzowi w rozpoczętej pracy. W roku 1940 zostaje powołany przez władze niemieckie do wojska. Jednak honor i mi-

łość ojczyzny nie pozwoliły mu przywdziać wrogiego munduru. Za opór ten, za niepodpisanie karty poborowej zostaje natychmiast aresztowany. Po pewnym czasie ratuje się ucieczką i ukrywa się pod przybranym nazwiskiem w Sudetach na „Schwarzbergu“. Tam skazany jest z konieczności na ciężką pracę w kamieniołomach. Wyczerpuje go ona fizycznie i staje się powodem długotrwałej choroby, spowodowanej — jak stwierdził lekarz — noszeniem ciężkich kamieni na głowie. Po pewnym czasie, podejrzany przez władze śledcze o pracę organizacyjną wśród współtowarzyszy niedoli,

zmienia miejsce pobytu i przenosi się do Wrocławia, gdzie pracuje jako robotnik w „Steingut Werke“. Tu ponownie rozpoczyna prace konspiracyjne, lecz tym razem już nie na długo. Długo tłumiona choroba kładzie go na łożo śmierci i w roku 1943 kończy młode życie. Zimne już wargi umierającego zdołały jeszcze w godzinie śmierci wypowiedzieć następujące słowa: „Mam tylko jedno życzenie — jeszcze raz jeden Polskę zobaczyć“.

BRONSIÓWNA IRENA  
i AUGUSTYNIAK JANINA

### *Stock Rudolf*



Urodzony dnia 8. X. 1914 r. w Czerwionce pow. Rybnik. W r. 1934 kończy Państwowe Gimnazjum w Rybniku, a w r. 1937 Szkołę Główną Handlową w Warszawie, uzyskując stopień mgra nauk ekonomiczno-handlowych. Do życia przygotował się bardzo poważnie. Wszyscy pamiętamy jego miłą sylwetkę i wspominamy jako serdecznego kolegę i dzielnego współtowarzysza walki o wolność naszej Ojczyzny.

W 1939 roku bierze czynny udział jako podchorąży w kampanii wrześniowej. — Po klęsce nie składa broni, pamiętając słowa przysięgi „walczyć będąc o wolność Rzeczypospolitej do ostatniej kropli krwi“. Już w

listopadzie 1939 r. pracuje w budzącym się ruchu podziemnym. Jest łącznikiem między okręgiem Katowice i okręgiem Rybnik. Już wtedy zaczyna go tropić oko okupanta. Ukrywa się, ale pracuje dalej z pełnym poświęceniem.

Ścigany przez Niemców cudem unika aresztowania i decyduje się w kwietniu 1940 r. na wyjazd za granicę. Dnia 13. 4. przekracza granicę austro-węgierską na odcinku Rattersdorf-Koszek. Wpada w ręce policji węgierskiej, która go odstawia do granicy austriackiej. I tym razem unika czyhającej na niego ręki wroga, przekracza ponownie granicę węgierską i dostaje się szczęśliwie do Budapesztu. Tam po dłuższych naleganiach podejmuje się bardzo niebezpiecznej funkcji łącznika z krajem i uruchomienia punktów przerzutowych na przebytej przez niego trasie. Nie było mu dane cieszyć się całkowitym wykonaniem powierzonego mu zadania. Już w maju 1940 r. zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu w Wiedniu. Następnie przechodzi obozy koncentracyjne w Dachau i Ravensbrück.

Zwolniony w roku 1941 pracuje na utrzymanie rodziny jako robotnik kolejowy, a później jako pracownik umysłowy. Mimo

swych ciężkich przejść broni i teraz nie składa. Wstępuje do podziemnego ruchu oporu i czynnej walki z odwiecznym wrogiem. Pracuje, walczy, postępowaniem swoim zagrzewa innych do działania.

Nie doczekał się wolności Ojczyzny, za którą tak wytrwale i nieprzerwanie walczył. Dnia 28 października 1944 r. w czasie

tajnego zebrania zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu w Katowicach, a następnie w Mysłowicach, gdzie go dnia 17 listopada 1944 r. rozstrzelano.

Zginął od kuli wroga, z którym jako prawdziwy żołnierz walczył do ostatniej kropli krwi.

PAWEŁ PILNY, por.

## Wawrzyńczyk Wilhelm



**P**odczas ostatnich dziejowych wstrząsów i przewrotów naród polski przeżywał wielkie cierpienia, okazując równocześnie zdolność do wielkich poświęceń i bohaterstwa. Szczególnie młodzież nasza walczyła ofiarnie o święte prawa narodu. Gdy jedni bojownicy ginęli, pojawiali się drudzy, wiedząc, że ich walka przyspieszy wyzwolenie.

Słuszną jest rzeczą, że dziś naród polski ludzi tych czczy jako bohaterów i stara się ich pamięć utrwalić.

Wśród poległych znajduje się wielu wychowanków naszego gimnazjum, a jednym z nich jest Wilhelm Wawrzyńczyk. Oto krótki jego życiorys:

Urodził się w 1914 r. w Kokoszykach koło Wodzisławia, gdzie również uczęszczał do szkoły powszechnej. Ojca swego nie znał,

gdyż poległ on w pierwszej wojnie światowej. Wychowany przez ukochaną matkę, młody Wilhelm wstąpił w 1927 r. do Państwowego Gimnazjum w Rybniku. W 1935 roku przeniósł się do Żor, gdzie złożył egzamin dojrzałości z wynikiem dobrym. Później jako podchorąży odbył służbę wojskową w Kielcach. Wybuch wojny zastał go w Radlinie I, gdzie pracował jako urzędnik na kop. „Ema“. W czasie okupacji należał do armii podziemnej, był komendantem placówki: Radlin, Rydułtowy, Pszów. Niestety znalazł się zdrajca, który o tej działalności doniósł Niemcom. Urządzono obławę i schwymano część członków. Wawrzyńczyk zdołał uciec do lasu i skryć się bezpiecznie. Widząc jednak, że nie może dłużej w Radlinie pozostać, udaje się do sztabu A. K. w Pszczynie i tam bierze dalszy udział w walce z okupantem. Podczas służbowej podróży z oficerem, który przyjechał z Anglii celem nawiązania bliższego kontaktu z krajem, został schwytyany na dworcu w Piotrowicach przez gestapowców, przebranych w mundury kolejarzy. Spojniewierany i zbity Wilhelm dostał się do obozu w Mysłowicach, gdzie różnymi torturami starano się go zmusić do zeznań. Lecz on ze spokojem znosił męczarnie, nie wypowiadając ani jednego słowa. Wysłany z kolei do Oświęcimia, wiedział, że już stąd nie wyjdzie, więc pożegnał się z rodziną w liście, przesłanym drogą nielegalną:

„Kochani, Drodzy, mnie może już tylko uratować szybki koniec wojny. Jest to



rzecz zupełnie naturalna, że wolałbym żyć, bądźcie jednak pewni, że jeżeli mnie poprowadzą na stracenie, będę umiał umrzeć ze spokojem i godnością Polaka, który wie, za co ginie... Pisali mi z domu, że brat zamierza mnie odwiedzić; cieszyłbym się z tego bardzo, wątpię jednak czy dostanie zezwolenie, bo patrzą tu na mnie z wielką nienawiścią. Najlepiej nawet, jeżeli nie będziecie wcale wspominać o mnie. Jak on przyjedzie na urlop, radzę mu pozostać, ale ostrożnie, bo może być podpatrywany... Pisałem matce, żeby się nie smuciła i nie płakała, bo mój honor nie jest splamiony, niech wie, że wierne serce jej syna do niej należy, a jeżeli zbolełe serce matczyne zaszłocha, niech pokaże się jej Ukrzyżowany i Matka Jego, a szczęśliwsza będzie, zaś Franciszka (narzeczona

Wilhelma — przyp. red.) niech pamięta, że honor cenniejszy jest od życia. Ją i matkę w tym tylko okłamywałem, że nigdzie nie wyjeżdżałem, bo ich nie chciałem smucić, a z posterunku zejść nie mogłem. Jeszcze raz ostatni dziękuję Wam za wszystko najserdeczniej, pozdrawiam was wszystkich i życzę Wam wszystkiego najlepszego. Wilhelm“.

„Standgericht“ skazuje Wawrzyńczyka na rozstrzelanie. Dnia 2 listopada 1943 r. o godzinie 1-szej w nocy odczytano mu wyrok i natychmiast go wykonano.

Po śmierci ten bohater i męczennik został odznaczony najwyższym orderem wojskowym, a mianowicie krzyżem *Virtuti Militari* w lutym 1944 r. (Biuro Historyczne w Warszawie, nr krzyża 112/BP).

CECYLIA BOBKÓWNA, kl. 3 d.

## Wija Józef

(3 lutego 1916 — 14 lutego 1944).



○ tym wybitnie zdolnym uczniu naszego zakładu i dzielnym obrońcy Ojczyzny skąpe tylko, niestety, mamy wiadomości ze względu na wczesny wyjazd z kraju i niemożność korespondowania z rodziną.

Urodził się w Westfalii. Po maturze kończy w r. 1938 podchorążówkę rez. przy 4 psp. w Cieszynie, a w rok później — zawodową w Mińsku Mazowieckim.

We wrześniu 1939 r. walczy pod Warszawą, awansuje na podporucznika. Po zajęciu stolicy przez Niemców wraca w przebraniu do domu rodzicielskiego. Na Wielkanoc 1940 roku przekracza granicę węgierską, później jugosłowiańską, dążąc do Wojska Polskiego. Bierze udział w walkach we Francji, a po jej upadku razem z oddziałami polskimi przechodzi do Anglii i służy w brygadzie spadochronowej.

Pod koniec wojny ginie w nieszczęśliwym wypadku samochodowym, o czym mówi nam przekazany w gazecie nekrolog:

„S. p. Józef Wija, porucznik, dowódca kompanii spadochronowej, zmarł dnia 14 lutego 1944 r. na skutek nieszczęśliwego wypadku podczas pełnienia służby. W zmarłym tracimy wzorowego oficera i dowódcę oraz towarzysza broni. Cześć Jego pamięci! Pogrzeb odbędzie się dnia 17 lutego 1944 r. o godz. 15-tej na cmentarzu w Perth. — Dowódca i Żołnierze Oddziałów Spadochronowych“.

ANTONI PINIOR.

## Wolny Stanisław



Wspomnieniom o czynach bohaterów dawnych czasów poświęcono mnóstwo pism i książek, może dlatego, że nie byli tak liczni. Terazniejsza wojna ujawniła nam, ile waszych siostr i braci bez wahania i bohatercko oddało to, co posiadało najdroższego — za Polskę. Nie wiemy jeszcze obecnie dokładnie, ilu ich było, ale sądzę, że liczba ich będzie ogromna. Chciałabym chociażby jednemu z tych cichych bohaterów poświęcić parę słów — rzucić garść wspomnień. Jest nim wychowanek naszego gimnazjum, Staszek Wolny. Urodził się dnia 19 maja 1914 r. w Gorzycach. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do naszego gimnazjum, a z 5-tej klasy przeszedł do gimnazjum kupieckiego, które ukończył. Od najmłodszych lat był członkiem Z. H. P., gdzie był wodzem „Wilcząt“. Po skończeniu szkoły nie porzucił pracy społecznej. Do wybuchu wojny pełnił funkcję referenta starszoharcerskiego przy hufcu rybnickim.

Gdy w 1939 roku Ojczyzna uległa przemocy, był jednym z pierwszych, którzy stanęli do pracy konspiracyjnej. Polska organizacja Partyzancka (P. O. P.) to nazwa tajnej komórki, która zawiązała się na naszym terenie. Celem jej było szkolenie okupantowi na każdym kroku, pomaganie uwięzionym rodakom oraz ich rodzinom z funduszów, które posiadali ze sprzedaży znacz-

ków, ułatwianie Polakom wydostania się za granicę za „legalnymi“ paszportami, wrzucie wydawanie gazetki informacyjnej „Zryw“.

Strasznym więc było ciosem, gdy jeden z członków, niegodny imienia Polaka, wydał organizację w ręce gestapo. Przeprowadzając u aresztowanych rewizję, znaleziono wtedy znaczki, o których już poprzednio wspomniałam.

Dnia 17 kwietnia 1940 r. druh Staszek został aresztowany i umieszczony w więzieniu śledczym w Rybniku. Trwało ono 3 miesiące, lecz znane z metod niemieckich sposoby wymuszania zeznań na uwięzionych, pozostały bez rezultatu. Stało się na tym, że uwięzieni zrzucili odpowiedzialność na p. Bielawnego, którego tutaj w ogóle nie było, a wiadano, że jest w bezpiecznym miejscu. Mimo, że winy Staszekowi nie udowodniono, został wywieziony pierwszym transportem, jaki szedł ze Śląska do Oświęcimia. Było to 22 czerwca 1940 r.

Odtąd znany nam będzie jako „Schutzhaftling nr 1092“. Z opowiadań kolegów dowiedziałam się, że nigdy nie tracił nadziei, zawsze był optymistycznie nastrojony. Nawet po przyjeździe do obozu, gdzie nie mógł się przyzwyczaić do nowego życia, nie zmienił swej postawy. Cały jego pobyt w obozie koncentracyjnym był jednym pasmem cierpień, które trudno opisać. Koledzy wspominają, że pierwsze miesiące pobytu były najgorsze. Nikogo znajomego, wszystkie lżejsze prace spełniali obozowcy-Niemcy. Nowi musieli przechodzić tzw. „kwarantannę“. Były to, o ile można je tym mianem nazwać, ćwiczenia gimnastyczne. Nowoprzybyli wykonywali godzinami te same ruchy, a gdy z wyczerpania upadali, znajdowano sposoby, by ich znowu do przytomności doprowadzić. Chciał się więc Staszek jak najprędzej wydostać stamtąd do prac wierząc, że tam mu będzie lepiej. Odtąd woził ciężko obciążone ziemniaczki. Z pustymi trzeba było wracać bie-

---

giem, za niewykonanie rozkazu znowu czekały tortury. Stach miał dosyć wątlą budowę, więc siły zaczęły go niebawem opuszczać. Z pomocą kolegi dostał się w końcu do układania drzewa lub cegieł. Jednak i ta praca wyczerpywała jego słaby organizm. Przyjęto go więc do oddziału politycznego, pozostał tam aż... 3 dni, gdyż po stwierdzeniu dokumentów został usunięty. Nawet te przejścia nie załamały go duchowo. Wreszcie dostał się (oczywiście za protekcją) do tzw. „Hauptwirtschaftslagru“, gdzie segregował żywność, wysyłaną na front. Koledzy z ulgą zauważyli wtedy, że jego wygląd się cokolwiek poprawił. Ale i tutaj nie był długo, gdyż złapano go, jak się starał o zdobycie żywności dla ginących z głodu kolegów i dla siebie.

Odtąd już harował przy pracach ziemnych pod budowę fabryki benzyny syntetycznej. Była to praca nadzwyczaj ciężka. Wychodził o trzeciej rano, a wracał późnym wieczorem. I w tym okresie znalazł jeszcze zawsze w niedzielę czy święto chwilę czasu, by porozmawiać z współtowarzyszami niedoli o czymś miłszym. Zawsze mu się zdawało, że wojna już... już się kończy, a wtedy jego największym życzeniem było pracować gdzieś na Śląsku Opolskim. Do-

wiedziałam się także, że prowadził notatki ważniejszych wydarzeń, stenografował je. W przeddzień, gdy miały się dostać poza mury obozu, Staszek został przeniesiony do innych prac. Zostały one w skrytce i nie zdążono ich wyjąć.

Należy też wspomnieć, że Staszek spotkał się w obozie z ojcem. To go podobno strasznie przybiło. Jak tylko mógł, starał się, by ojciec otrzymał lżejszą pracę. I doczekał się tej chwili, że ojciec został zwolniony, choć on musiał pozostać za drutami... Na zawsze niestety.

W okresie letnim 1942 r. panowała w obozie epidemia tyfusu. Koledzy Staszka bali się, by się nie zaraził, gdyż organizm jego był już bardzo wycieńczony. Gdy zaczął gorączkować, sam nie wierzył jeszcze, że to tyfus, nawet nie chciał się do łóżka położyć. Gorączka jednak była coraz wyższa. Stwierdzono u niego tyfus plamisty. Póki miał przytomność, wierzył święcie, że chorobę przetrzyma. Był pod opieką lekarską dr Głogowskiego — rybniczanina.

Ale śmierć jest nicubłaganą... 23 sierpnia 1942 r. zmarł w baraku dla zakaźnie chorych.

Nie doczekał Polski, my nie doczekaliśmy powrotu bohatera.

ROMANA WIECZOREK, abs. lic. hum.



## Zdziałek Gerhard

Urodził się 7 grudnia 1912 w Brzeziu nad Odrą jako syn Karola i Józefy z domu Warcok. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Brzeziu. W roku 1927 zaczął chodzić do gimnazjum w Wilnie, a w roku 1932 przeniósł się do Państw Gimnazjum w Rybniku. Tu zdał egzamin dojrzałości w r. 1935, po czym służył w wojsku i osiągnął stopień podporucznika. Chęć zdobycia wyższego wykształcenia zaprowadziła

go do Krakowa, gdzie studiował prawo. Powołany na ćwiczenia w r. 1939 pozostał w wojsku aż do wybuchu wojny. W nocy z 2. na 3. września 1939 poszedł z małym oddziałem na wywiad i już nie wrócił. Było to pod Augustowem, gdzie też złożyło jego zwłoki.

Zginął na posterunku w obronie Ojczyzny.

EDWARD KOCZWARA.

## Ziemicki Bogusław

\* 28. I. 1913 † 28. IX. 1939.



Należy do starszego pokolenia naszych wychowanków, bo wstąpił do gimnazjum już w drugim roku jego istnienia t. j. w 1923, zakończył je normalnie w osiem lat później. Pochodził ze Lwowa, skąd rodzice jego przenieśli się po objęciu Górnego Śląska przez Polskę. Wzrostu krępego, zrównoważony fizycznie i duchowo, Boguś był pracowitym uczniem, dziel-

nym chłopcem i wytrwałym harcerzem IV Rybnickiej Drużyny od początków jej istnienia aż do wyjścia z gimnazjum.

Do maturze pragnął studiować medycynę, ale z powodu wielkich ograniczeń na tym wydziale poszedł na chemię, którą studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, później lwowskim. W międzyczasie odbył służbę wojskową i po wybuchu wojny zmobilizowany jako podchorąży rezerwy wyruszył z lwowskim pułkiem piechoty na front. Wśród nieustannych walk dotarł aż pod Warszawę i tu w ostatnim dniu obrony stolicy pod Babicami dnia 28 września 1939 r. poległ ugodzony pociskiem artyleryjskim.

Zginął wierny do końca swoim młodzieńczym ideałom, pozostawiając w cichym smutku osamotnionych rodziców, których był jedynym dzieckiem, i czującą pamięć w sercach tych, którzy go znali.

INOCENTY LIBURA

## Zimny Paweł



Jako syn Ignacego i Marianny z domu Janik urodził się druh Paweł w Rydułtowach dnia 30 maja 1917 r. Już w szkole powszechnej wybijał się zdolnościami wśród rówieśników i kolegów, więc

ojciec mimo skąpych środków materialnych postanawia wysłać chłopca do gimnazjum. Jesienią 1929 r. zdaje Pawełek do 1. klasy i tu wyróżnia się nadal nie tylko zdolnościami, ale i pilnością, zdobywając sobie uznanie profesorów i — zniżkę opłat szkolnych.

Koleżeński, uczynny i lubiany przez wszystkich dla prawości charakteru należy (obok Brunona Kozła) do prymusów i często bywa obierany na wójta klasowego. Był — jak się to mówi — i do tańca i do różańca. Jako dzielny sportowiec bronił barw klasy na mistrzostwach szkolnych, w drużynie był przybocznym, kochał też muzykę i pięknie grał na skrzypcach.

Wszechstronnie uzdolniony, ze szczególnym jednak zamiłowaniem oddawał się rozwią-

zywaniu zadań matematycznych, pomagając sobie przy tym charakterystycznymi ruchami rąk z przejęciem.

Miał jedną tylko wadę fizyczną — słaby wzrok. I dlatego po maturze w 1937 roku postanowił pójść na okulistykę, by później pomagać współcierpiącym. Przedtem jednak miał jeszcze do spełnienia obowiązek wobec ojczyzny, służbę wojskową.

Ukończywszy podchorążówkę przy 73 p. p. w Katowicach, został przydzielony do 11 p. p. w Tarnowskich Górach jako plutonowy podchorąży. I stąd w pamiętnych dniach sierpnia wyrusza na wojnę przeciwko Niemcom, z której już nie powrócił ku niewymownemu bólowi swych rodziców. Podobno poległ gdzieś w okolicach Krakowa czy Biłgoraja...

Druh Paweł był uczniem klasy, którą przez pięć lat prowadziłem jako wychowawca,

mam więc dotąd żywo w pamięci szczupłą twarz i zgrabną postać Pawełka, prawdziwy typ polskiego harcerza. Spędziliśmy wiele wspólnych godzin na rozważaniu dzieł literackich, na wędrowce rowerowej dookoła Śląska z oddaniem hołdu Karolowi Miarce, patronowi klasy, na cieszyńskim cmentarzu, pielgrzymowaliśmy razem do Częstochowy po maturze, spotykaliśmy się na harcerskich obozach i odprawach. I zawsze mię uderzała obok inteligencji szlachetna prostota i męska stanowczość w jego obejściu. To też z prawdziwym bólem dowiedziałem się o jego zaginięciu na wojnie. Na szczęście obok zmiennych są i niezniszczalne wartości, więc obcowanie z piękną duszą Pawełka łagodzi boleść straty.

STANISŁAW GRYCMAN  
ANTONI URBAŃCZYK  
INOCENTY LIBURA

## Profesorowie

### *Bączkiewicz Szymon*



**M**yszę, że nie zdziwisz się, Drogi Szymku, że ja właśnie o Tobie piszę, myślę nawet, że z niecierpliwością jak spłaty serdecznego długu oczekujesz ode mnie tych słów wyznania, które mają być moją publiczną odpowiedzią na Twą cichą, tyloletnią już wśród nas nieobecność.

Sądzę, że tam, gdzie materia jest niebytem, tylko uczucia liczyć się będą. Nie przesłonią Ci więc ich głębi nieudolne, ziemskie, wybierane słowa.

Kiedy wszedłeś po raz pierwszy do koleżeńskej naszej sali, wszedł między nas razem z Tobą Twój uśmiech promienny, a przyjaźń, którą bratnie dusze tajemnie kojarzą, żywej już przyjaźni podawała dłonie. Nie widział nikt pochmurnej Twej twarzy. Umiałeś troski wiarą rozpogadzać. Dla każdego miałeś Twój uśmiech najlepszy i dobre, życzliwe jak dla brata spojrzenie. Chciało się dobrym być przy Tobie, dobrocią za dobroć Ci płacić i darzyć nią wszystkich dokoła.

Takim byłeś dla nas, kolegów, takim samym i dla uczniów byłeś. Zawsze mi przed oczyma pamięci przybiega ten obrazek miły: rozpięta się na korytarzach wrzawa przerwa wesoła, a Ty wracając z lekcji obejmujesz

przyjaźnie ramieniem szczupłą postać chłopięcą i z pochylonym życzliwie uchem wysłuchujesz słów jakiejś zwierzanej ufnie troski uczniowskiej ...

A potem... Gonią się już zazdrośnie obrazami miłe... Widzę, z jaką zapobiegliwością czułą zakładasz swoje gniazdko rodzinne, towarzyszę Twoim uśmiechniętym, świadomym nowych obowiązków troskom. Pokazujesz mi przygotowywane starannie mieszkanie, pytasz o radę, czy ładnie odmalowane pokoje i czy zawiesić ten duży obraz nad bufetem w jadalni... Dzielisz się swoją radością i szczęściem swoim i chcesz, by się z Tobą cieszyli ci, którzy Cię Kochają...

Ale najjaśniej promieniała Twoja twarz pogodna i ufna, kiedyś o marzeniu swym mówił. Zasiadaliśmy przy Twoim wspianym odbiorniku radiowym i na tle cudownych głosów Tito Schippy i Beniamina Gigli tłumaczyłeś mi z entuzjazmem finezje i czary włoskiego bel canta. A potem, jakby sił własnych próbując, porzucałeś uciążliwą poprawę maturalnych zadań i sam sobie przy pianinie akompaniując, ułatywałeś tonami Rigoletta, Carmeny lub boskiej Aidy ku swoim najgorętszym marzeniom...

Dlatego, gdy o Twoim życiu rozwijającym ufnie młode skrzydła do wyśnionego lotu myślę, wzruszona myśl moja w subtelne, przejmujące fklwie dźwięki się przemienia. Dźwięki jakiegoś cichego, pogodnego preludium, nagle brutalnie zdławionego w krtani.

Przesłania je wizja strasząca odgrzebanego ciała w zżartym przez robactwo oficerskim mundurze, w tym samym, w którym Cię po raz ostatni widziałem, gdyś szedł bronić Ojczyzny.

Oto dzieje naszej dwu i pół letniej niespełnionej przyjaźni.

Nie wiem, dlaczego los wyrządził tę straszną i niezasłużoną według naszych ludzkich pojęć krzywdę. Tobie, Twojej zacnej rodzinie, Twojej wiernej towarzysze, która wciąż oczekuje ufnie Twego powrotu i Anulce małej, której widokiem ani razu nie mogły się nacieszyć Twe oczy.

I nam wszystkim, których byłeś przyjacielem najlepszym. Żegnamy Cię z tych szkolnych kart naszej księgi, Szymku Drogi, wierząc, że uśmiech, który zawsze usta Twe ozdobił, jaśniejszą niż wśród nas promienieje radością.

Jest napewno szczęście, droższe od najdroższych marzeń. Wiesz o tym od nas lepiej.

KAZIMIERZ HERZ.

\* \* \*

Szymon Bączkowicz urodził się dnia 16. lutego 1910 r. w Radzionkowie. Po ukończeniu miejscowej szkoły powszechnej wstępuje w r. 1922 do Państwowego Gimnazjum klasycznego w Tarnowskich Górach, gdzie w osiem lat później uzyskuje świadectwo dojrzałości. Studia wyższe na Uniwersytecie Jagiellońskim, przerwane roczną służbą wojskową, kończy w r. 1936 jako magister filozofii w zakresie filologii klasycznej.

W styczniu 1937 r. rozpoczyna swą pracę pedagogiczną w gimnazjum rybnickim, gdzie pozostaje do września 1938 r. Następnie przenosi się do Państw. Gimnazjum im. Odrowążów w Chorzowie, aby ułatwić sobie dojazd do Konserwatorium Muzycznego w Katowicach, gdzie studiuje pod okiem prof. Romaniszyna, rokując poważne nadzieje jako tenor.

O gimnazjum rybnickim nie zapomina, dając koncert na cele Samorządu uczniowskiego wraz z sopranistką M. Prockówną i barytonem W. Zielonką.

Wybuch wojny zastaje go w mundurze. Z końcem 1939 r. pisze do rodziny jedyny list z niewoli. Prawdopodobnie zginął w Katyńniu.

## Fajkosz Wiktor



Pochodził spod Piotrowic na Śląsku Cieszyńskim (ur. w 1902 r. w Markłowicach Dolnych) z rodziny górniczej. W Orłowej ukończył gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej, a potem wydział filozoficzny na Uniw. Jagiellońskim.

W charakterze nauczyciela biologii pracował dwukrotnie w Państw. Gimnazjum w Rybniku w czasie przerwy zaś w Szarleju, by w r. 1938 powrócić na Śląsk Cieszyński do Państw. Gimn. w Cieszynie. Aresztowany przez Niemców w kwietniu 1940 r. dostaje się do obozu koncentracyjnego w Mauthausen i tam ginie 10 października tegoż roku.

Był jednym z tych dobrych, na wskroś szlachetnych duchów, które za główne powołanie swego ziemskiego bytowania uważają wytwarzanie wokół siebie atmosfery przyjaźni, szczerości, oddania i służby bliźnim. Prostolinijność postępowanie, naturalność i bezpośredniość, nie dopuszczająca w stosunkach z drugimi najmniejszej nawet dozy dyplomacji, wyrachowania, czy pozy, skromność i liczne przymioty serca i charakteru jedna mu wielu przyjaciół. Zamilowany przyrodnik, nieprzeciętny, sumienny pedagog i nauczyciel, szczery przyjaciel młodzieży, oddany jej całym sercem,

starał się przelać na swych uczniów swoje ogromne umiłowanie przyrody i wrażliwość na jej piękno.

Oto dwa wspomnienia wychowanków prof. Fajkosza, towarzyszków obozowej niedoli i świadków jego śmierci:

\* \* \*

W Mauthausen-Gusen spotkałem mojego dawnego wychowawcę, śp. prof. Fajkosza. Pamiętałem go jako dobrego pedagoga i wykładawcę, którego jednak nie można było łatwo oszukać czy wywieść naszymi sztuczkami w pole. Budził w nas wszystkich wielkie poważanie, któremu towarzyszył nieraz i strach przed „oblaniem“. Szacunek ten zachowaliśmy dla niego i tam w obozie. Nie był to już może ten sam szacunek z czasów gimnazjalnych, jaki czuje się w stosunku do starszych i wychowawców, lecz inny, głębszy, jaki odczuwamy wobec ludzi bardziej doświadczonych, choć równych nam i związanych z nami wspólną dolą.

Spotykając w tych warunkach naszych wychowawców, doznawaliśmy jakiegoś dziwnego uczucia. Nie wiem, jak je określić. Było to jednak coś w rodzaju uczucia radości, że jednak są z nami ci, którzy nas wychowywali, wpajali w nas na ławie szkolnej nie tylko wiedzę, ale i uczyli nas kochać to, co piękne i dobre, uczyli kochać wolność i Polskę! Nie czuliśmy się już tak osamotnieni. Staraliśmy się o to, aby nasze postępowanie nie przyniosło ani im, ani nam wstydu. Śp. prof. Fajkosz miał zrazu szczęście dostać się do „Effektenkammer“. Było to „komando“, które pracowało przy utrzymywaniu ewidencji naszych cywilnych rzeczy. Pracę mieli lekką i spokojną tak, że prof. Fajkosz dobrze wyglądał. Zdarzył się jednak przykry wypadek, który zadecydował o losie profesora Fajkosza i całego „komanda“.

Ktoś z pracowników skradł zegarek, czy coś podobnego, a wszystkich spotkała straszna kara. Po odpowiedniej porcji batów, staniu po nocach pod płótnem i wiszeniu na słupku, dostali się wszyscy z tego „komanda“ a wśród nich i śp. prof. Fajkosz, do karnej kompanii. Zaliczano też do niej z miejsca wszystkich Żydów, mających pójść na zatracenie. Kompania ta wykonywała najgorsze prace, nie miała chwili odpoczynku, pracowała o wiele dłużej od innych więźniów, a jedzenie dostawała jeszcze marniejsze, niż reszta. Nie zapomnę nigdy widoku prof. Fajkosza w tym okresie czasu. Po pierwszych dniach pobytu w karnej kompanii zmienił się nie do poznania. Musiał dźwigać bez przerwy na swoich barkach ciężkie skrzynie z kałem. Nie jestem w stanie opisać tego wszystkiego. Była to jednak ogromna męczarnia. Oprawcy chcieli upodlić tych ludzi, lecz zapomnieli o tym, że ludzie ci posiadają duszę, która nie da ująć się w kajdany, nie da zmieszać się z kałem, lecz staje się mocniejszą i piękniejszą. Prof. Fajkosz nie skarżył się nigdy, choć sińce, pokrywające jego ciało, mówiły za siebie. Z prawdziwym bohaterstwem znosił wszystkie upodlenia. Był też jednym z niewielu, którzy tak długo, bo aż pięć tygodni, wytrzymali w karnej kompanii. Rzadko wówczas można było się z nim spotkać. Pamiętam, że stał się jakby niższy, twarz mu zczerniała i stała się bardziej kościstą. Po pięciu tygodniach zmarł na rewirze z wyczerpania.

JERZY KUBEK.

\* \* \*

Kwiecień i maj 1940 r. to okres masowego aresztowania i wywożenia Polaków do obozów koncentracyjnych.

Jednym z takich transportów przybył śp. prof. Fajkosz. Należał do tych więźniów, którzy nie rozpaczali, nie upadali na duchu, prędko starali się dostosować do okropnych warunków, panujących w obozie. Obóz by w stadium rozbudowy. Jedna część więźniów wychodziła do pracy w kamieniołomach, druga część pracowała przy budowie obozu.

W tej ostatniej grupie pracował śp. prof. Fajkosz. Nosilem wówczas z kamieniołomów do obozu kamienie, którymi zawaliliśmy podmokły i gliniasty teren obozu. Wówczas miałem możliwość parę razy zamienić kilka słów ze śp. prof. Fajkoszem, który wspólnie z innymi więźniami ciągnął na drucie przeciągniętym przez ramię olbrzymi walec, ugniatający w ziemię naniezione przez nas granitowe głazy. Wolał — jak mówił — tę ciężką pracę, niż piekło w kamieniołomach. Organizm jego nie należał do silnych, płuca były zaatakowane. Głód i ciężka praca zrobiły resztę. Podczas jednego z apelów więziennych zauważyłem, że na tzw. tradze, służącej do noszenia kamieni, leżało pod płótnem widmo człowieka. Człowiekiem tym był śp. prof. Fajkosz. Apel się skończył, odmaszerowaliśmy do bloków.

Z krematorium buchał ogień. Ciało prof. Fajkosza pało ofiarą „całopalenia“.

W kartotece obozowej wymazano jeden numer. Niemcy pozbyli się jednego numeru, lecz w kraju żona straciła męża, dzieci ojca, uczniowie dobrego wychowawcę i przyjaciela, a my, którym los pozwolił przetrwać ten koszmarny czas, zanego towarzysza do li i niedoli, patrzącego śmiało śmierci w oczy.

EMIL ZIELEŻNY, więzień nr 1054.

## Marek Tadeusz

Rok tylko mieliśmy zaszczyt pracować z nim w naszym zakładzie, ale wybitna jego inteligencja i kultura ducha pozostawiły trwałą w nas pamięć.

Był jednym z pionierów ruchu harcerskiego (jednym z siedmiu harcmistrzów Rzeczypospolitej). Był autorem znakomych podręczników (np. obozownictwa) i prac peda-



gogicznych. Pracował w ostatnich latach przed wojną jako zastępca dyrektora Łopuszańskiego (b. ministra oświecenia) w Rydzynie, starej fundacji Sułkowskich. Był tam wysoko postawiony doświadczalny zakład naukowy, prowadzony internatowo na wsi, we wspaniałej rezydencji książęcej. Niezwykle zdolności i umiłowanie nauczycielskiego zawodu prof. Maresza znalazły w tym

ośrodku wychowawczym i naukowym wdzięczne pole do pracy.

Jako jeńiec oficerskiego obozu w Dessel zginął nieodżałowanej pamięci druh Tadeusz wraz z setką swoich kolegów w czasie bombardowania miasta przez amerykańskie lotnictwo. Taką wiadomość otrzymaliśmy w r. 1943 w Dobiegniewie (Oflag II e).

INOCENTY LIBURA

## Szczepański Tadeusz



**D**ługoletni i dobrze zasłużony wychowawca fizyczny rybnickiej młodzieży. Sam będąc synem pedagoga, oddawał się pracy nauczycielskiej z zamiłowaniem, podnosząc stale poziom — i rozbudowując życie sportowe zakładu i okolicy.

Był mimo młodego jeszcze wieku (ur. 1902 roku) uczestnikiem obu wojen światowych. We wrześniu 1939 r. jako dowódca kompanii karabinów maszynowych batalio-

nu marszowego 75 pp. wyrusza z Oświęcimia na wojnę. Niestety z powodu odarcia stóp musiał odejść do szpitala. Po kłęsce przedziera się przez góry do Węgier i Jugosławii, by wiosną 1940 roku stanąć w szeregach armii polskiej we Francji.

Bierze udział (w stopniu kapitana) w walkach 2 dywizji piechoty. Po upadku Francji znalazł się w obozie internowanych w Szwajcarii. Tam poza pracą zarobkową w lesie, wiele pracuje społecznie, nadwyrężając osłabione serce.

Po kilku atakach umiera w marcu 1945 r., krótko przed zakończeniem wojny. Matka staruszka, żona i 7 letni synek nie doczekali się jego powrotu.

— Mamusiu, przecie ja muszę widzieć swego fatusia — skarży się dziecko, które nie znało ojca.

Porzucił dom i rodzinę, by spełnić swój obowiązek.

I. L.

## Trzy spotkania w obozie oświęcimskim

### *Dr. Tomiczek Stanisław*

**P**rof. Tomiczka spotkałem w Oświęcimiu w drugiej połowie lipca 1941 r. Dzwonne to było spotkanie. Po wieczornym apelu śpieszę na bloki z meldunkami pacjentów, przyjętych do szpitala obozowego.

Na ulicy obozowej wśród mrowiska ludzi owrzodziały o wychudłych twarzach i zapadłych policzkach spotykam człowieka o wysokiej postawie i znanych mi rysach twarzy. Stoimy naprzeciwko siebie w długim milczeniu. Po chwili pytam z niedowierzaniem:



— Czy pan kiedyś był w Rybniku?

— Tak, uczyłem w gimnazjum — odpowiada przyciszonym głosem. — I w tej chwili rozpoznaję mojego profesora, opiekuna Koła Polonistów, którego byłem prezesem.

— Cóż się stało? Jak pan profesor znalazł się w Oświęcimiu?

— Po kampanii wrześniowej w 1939 roku, w której brałem czynny udział — opowiada dr Tomiczek — przebywałem przez pewien czas na Wołyniu, a następnie osiadłem w Krakowie. Tutaj aresztowało mnie gestapo dnia 31 stycznia 1941 r. i przetrzymywało przez dwa miesiące w więzieniu „Montelupich” w Krakowie. Do Oświęcimia przewieziono mnie w marcu 1941 roku. Obecnie pracuję w zewnętrznym „komandzie” przy kopaniu rowów drenażowych.

Kto czytał lub słyszał o warunkach robót ziemnych na błotach i mokradłach oświęcimskich, ten oceni, jakie katusze i męki przechodzili więźniowie. Pracowali oni od rana do nocy bez wytchnienia. Nogi zapadały powyżej kostek w glinę. Łopaty oblepiały się tłustym ilem, a ręce mdlały od ciągłego rzucania. Nie wolno było na chwilę wyprostować krzyża lub ulżyć rękóm, gdyż rozstawieni wzdłuż kolumny pracującej kapowie i ich pomocnicy wśród ciągłego wrzasku i przekleństw bili bez litości, a często w szale wściekłości zabijali. Za

każdą wracającą z pracy kolumną niesiono na deskach lub wieziono w taczkach zabitych i nieprzytomnych z połamanymi kośćmi. Ciężka praca, bicie, głód, a do tego forsowne marsze w drewniakach, miażdżynajsilniejsze organizmy.

— „Jestem głodny i słaby, nie wiem czy jutro zajdę do pracy” — skarżył się prof. Tomiczek.

Przyjrzałem mu się bliżej i lzy wzruszenia stanęły mi w oczach. Nogi miał mocno opuchnięte, pokryte ropiejącymi ranami, twarz bezbarwną, posiniaczoną, oczy podbite, a całe ciało pokryte świerzbem i wrzodami. Postanowiłem pomóc mu za wszelką cenę, a przede wszystkim wydostać go z ciężkiego „komanda” pracy.

Następnego dnia po wieczornym apelu szukałem go na bloku, lecz bezskutecznie. Kolekty donoszą mi, iż pobitego i wyczerpanego do ostatka odprowadzono do szpitala. Po długich poszukiwaniach odnalazłem go już nieżywego wśród trupów. Prawdopodobnie skrócono mu życie zastrzykiem karbолоwym, tak pospolicie stosowanym w Oświęcimiu. Nie wrócił do swojej żony i syna Jurka, do których tyle ciepłych słów pisał z obozu. Nie urządzono mu żadnego pogrzebu. Ciało jego spalono w krematorium. Pamięć po nim pozostanie zawsze żywą wśród kolegów profesorów i jego wychowanków. Wielka idea, dla której życie oddał, niech będzie dla nas jasnym płomieniem, wskazującym nam drogę ku szczytom wiernej służby Bogu i Ojczyźnie.

\* \* \*

Śp. dr Stanisław Tomiczek urodził się dnia 9 sierpnia 1902 r. w Cieszynie. W styczniu 1919 r. brał czynny udział w walce obronnej z Czechami wraz z grupą studentów gimnazjum cieszyńskiego. W roku 1920 walczył na froncie wschodnim i zdobył Krzyż Walecznych. W roku 1921 zapisał się na uniwersytet we Lwowie na wydział filozoficzny, po którego ukończeniu zdobył tytuł doktora filozofii.

---

Pierwszą jego placówką w wykonywaniu pracy zawodowej było gimnazjum SS. Urzulanek w Przemyśle, następnie gimnazjum matematyczno-przyrodnicze w Katowicach. W roku 1933 został przeniesiony do gimnazjum w Rybniku, a stąd po 3 latach do Cieszyna jako dyrektor Szkoły Pracy Społecznej. Po objęciu Zaolzia organizuje w Boguminie nową Szkołę Pracy Społecznej, gdzie pozostaje do wybuchu wojny.

### *Osuch Roman*

Prof. Osuch, matematyk gimnazjum rybnickiego, zginął w obozie oświęcimskim. Pobity, wyczerpany z resztek sił, zachorował na tzw. „Durchfall“ i dostał się na oddział infekcyjny szpitala obozowego. „Durchfall“, coś w rodzaju tyfusu brzuszego lub krwawej dezynterii, powodował w Oświęcimiu największy odsetek śmiertelności.

Zgłodniałych więźniów karmiono odrobiną chleba i zupą z jarmużu, pokrzyw lub brułki. Zupa była obficie zaprawiona saletrą, której składniki zabójczo wpływały na przewód pokarmowy. Saletra zżerała błonę śluzową jamy ustnej, spalała tkanki narządów trawiennych, niszczyła zdolność absorpcji kiszek. W ustach otwierały się rany, puchły dziąsła, a przyjęty pokarm organy oddawały z krwią, często bez wiedzy człowieka. Chorzy leżeli na podłodze bez różnicy choroby. Chorzy na tyfus plamisty zarazali się „Durchfallem“, gruźlicy dostawali obydwu tyfusów, a wszyscy bez wyjątku mieli świerzb i wrzody. Całe ciało to jedna zropiała rana.

W takich warunkach znalazł się prof. Osuch. Gdy go spotkałem wśród chorych, przedstawiał słabą imitację człowieka. Wychudły i wynędzniały do ostateczności leżał bezwładnie wysoką gorączką. Cóż w takich warunkach pomoże personel sanitarny, który nie ma żadnych środków leczniczych, a stosowany węgiel drzewny i biały proszek „Bolus“ chybiały celu. Chorzy dostawali to samo jedzenie, co zdrowi, ten sam czarny chleb i tę samą salefrowaną zupę. Prof. Osuch zdawał sobie sprawę, że śmierci nie ujdzie. Wśród okropnych boleści, wśród męczarni i bólów zmarł w nocy, nie doczekawszy się wolności, za którą tak tęsknił. Ciało jego spalono w krematorium.

### *Dobrowolski Tadeusz*

Profesora Tadeusza Dobrowolskiego spotkałem w Oświęcimiu na oddziale chirurgicznym w szpitalu obozowym (blok 21). Prof. Dobrowolski został aresztowany pod innym nazwiskiem („Jurkowski“) i zaraz po przyjeździe do obozu dostał się do tzw. „Karniaka“. Przeznaczano tam ludzi skazanych na śmierć. Skatowany i zmaltretowany nie do poznania przebywał przez kilka miesięcy w szpitalu obozowym. Prof. Dobrowolski w obozie stał się człowiekiem głęboko wierzącym, odmawiał z chorymi wspólne modlitwy i do każdego umierającego wołał księdza z ostatnimi posługami. Zmarł po moim wyjeździe do Dachau w czerwcu 1942 roku i dlatego bliższych szczegółów śmierci nie znam.

Cieszyn, w czerwcu 1947 r.

KS. KONRAD SZWEDA.

### *Zagan Artur*

Urodził się w Wielkich Górkach na Śląsku Cieszyńskim w 1901 r. Gimnazjum ukończył w Cieszynie, a następnie wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Od roku 1927 pełni obowiązki nauczyciela w Państwowym Gimnazjum w Rybniku. Przeniesiony stąd służbowo do Państwowego Gimnazjum w Chorzowie z ogromnym żalem i niechęcią opuszcza zakład, z którym



się zżył, żegna swoich kolegów i uczniów. W roku 1938 ofiarowano Mu stanowisko dyrektora w Bytomiu, którego jednak nie przyjął. W swojej skromności, która była jedną z jego cech, nie uważał się za godnego. Objął w gimnazjum w Boguminie posadę nauczycielską. Z dniem 1 września 1939 r. przeniesiony został do Katowic, gdzie miał pełnić obowiązki kierownika Ogniska metodycznego historii.

Cechowała go ogromna pracowitość, sumienność i obowiązkowość. Przełożeni cenili Go jako doskonałego nauczyciela i wychowawcę, koledzy kochali za Jego pełne prostoty obejście i gotowość do wszelkiej pomocy, szanowała młodzież, gdyż w jego bardzo stanowczych wymaganiach widziała nie tylko troskę o nią samą, ale i bezwzględną sprawiedliwość oraz dobre, choć na pozór srogie serce.

Uczył historii i języka niemieckiego. Niejedną przy tym miał sposobność do wskazywania, jak rozumieć należy obowiązek pracy dla narodu. Niejednokrotnie miał możliwość zwracać swym wychowankom uwagę na charakter zachodniego sąsiada. Jakże wymownym i tragicznym zarazem przykładem świętego obowiązku i ofiary zwyrodnienia teutońskiego stać się miało jego życie.

Okres wojny i okupacji spędził w Krakowie. Od pierwszej chwili wszedł w wir

pracy konspiracyjnej czy to jako nauczyciel na tajnych kompletach szkolnych, czy przede wszystkim jako jeden z najwybitniejszych pracowników tajnej organizacji oświatowej, przygotowującej powrót polskiej administracji szkolnej na Śląsk. Od roku 1943 prowadził poza innymi pracami organizację przyszłego szkolnictwa polskiego na terenie Opolszczyzny. W pracy tej, kierowanej z Warszawy, był ośrodkiem całego szeregu poczynań na terenie Krakowa, łącznikiem między różnymi ludźmi i organizacjami. Mieszkanie Jego było stałym punktem kontaktowym, miejscem wielu zebrań i narad. Znali kolegę „Leszka“ w Krakowie liczni pracownicy polskiego podziemia.

W listopadzie roku 1944 na dwa miesiące przed wyzwoleniem Krakowa został aresztowany. Skatowany do utraty przytomności przez gestapo, po miesięcznym pobycie w więzieniu Monteluppich w Krakowie umieszczony został w obozie koncentracyjnym w Gross Rosen na Dolnym Śląsku (dzisiejsze Rogoźne koło Strzegomia). Upodlenia i udręki, związane z systemem obozowym, znosił z dużym spokojem i godnością, a nawet pogodą. W rozmowach z towarzyszami niedoli nie przestawał snuć marzeń i planów na temat dalszej pracy, którą widział zawsze w szkołach i na Śląsku w jego dawnych historycznych granicach. W toku ewakuacji obozu w Gross Rosen, wywieziony w początkach lutego 1945 r., znalazł się po pewnym czasie (nie wiadomo po jakiej poniewierce i tułaczce) w zachodnich Niemczech, w obozie w Dora. Widziano Go tam jeszcze w dniu 1 marca. Zmarł w tym obozie w dniu 6. marca 1945 r., jak to zanotował Czerwony Krzyż.

Nie wrócił do Swoich, choć tak bardzo za Nimi tęsknił, nie wrócił do kraju, chociaż żałował każdego dnia, który spędza zdala od wrócej w nim pracy, nie podjął swej ukochanej pracy nauczycielskiej, by realizować przygotowywane w czasach okupacji plany i zamierzenia. Pozostał gdzieś z dala od swoich i kraju jako jedna z milionów

---

ofiary niemieckiego barbarzyństwa. Życiem  
Swoim i śmiercią dowiódł prawd, tylekroć  
wpajanych w swoich uczniów, prawd o obo-

wiązku pracy dla własnego narodu we  
wszelkich okolicznościach, mimo piętrzą-  
cych się trudności.

Dr. KAZIMIERZ POPIOŁEK

. . . . .

„A tobie ciągle jeszcze marzy się o cudzie,  
O stalowych rycerzach, co się biją chrobrze...  
Cudów chcesz? — Pomyśl tylko, że są zwykli ludzie,  
Którzy wszystko tak jak on chcą wypełnić dobrze“...

(Z poezji konspiracyjnych).

Jeśli w życiu nauczyciela kryje się głęboki  
tragizm, znajdujący swój oddźwięk nawet  
w przysłowiach, to wydaje się, że jedną z  
głównych jego przyczyn jest nieporozumie-  
nie między uczniem a nauczycielem, a ra-  
czej brak możliwości oceny nauczyciela  
przez ucznia w okresie wspólnej pracy w  
szkole. Uczeń zdobywa się na obiektywną  
ocenę swego wychowawcy i jego trudu  
zwykle dopiero w latach pozaszkolnych, gdy  
jego kontakt z byłym nauczycielem jest za-  
den albo bardzo nikły, w chwili gdy nau-  
czycielowi swemu nic już dać nie może. Na-  
odwrot jakże często nauczyciel pozbawiony  
jest radosnej świadomości, że jego praca,  
wysiłek, jego myśl, zaszczerpiona w duszy  
ucznia, wrzasta i wydaje plony.

To było dawno — pamiętam — chyba dwa-  
dzieścia lat temu. W gorącym wrześnio-  
wym słońcu prezentowałem ogoloną gło-  
wę po raz pierwszy na zakurzonym dzie-  
dzińcu rybnickiego gimnazjum, zamieszany  
w tłumie kilkuset podobnych do mnie i róż-  
niących się tylko wzrostem, wiekiem i ilo-  
ścią gwiazdek na czapce adeptów wiedzy,  
moich przyszłych kolegów. Sąsiad z mojej  
wioski, wyższy ode mnie o parę centymet-  
rów, drugoklasista, objaśniał mi tajemnice  
życia gimnazjalnego. „— Tu jest sala gim-  
nastyczna, tam na piętrze gabinet fizycz-  
ny...“ Podeszliśmy do bramy. Chudy, wy-  
soki tercjan odpędzał od niej starszych  
uczniów, usiłujących nie wiedzieć dla cze-  
go i poco wejść do wnętrza budynku. Za-

trzymaliśmy się naprzeciw wejścia. W głę-  
bi korytarza spacerował wolno młody,  
szczupły pan w ciemnobrązowym garniturze  
i żółtych półbucikach. Nie wiem dla czego  
po dziś dzień pamięć zachowała tak wier-  
nie nawet te drobne szczegóły ubioru. Za  
każdym zbliżeniem się profesora do bramy,  
gromada napastujących chudego podła chło-  
paków przycichała i cofała się, a na dzie-  
dziniec wylaływał spłoszony szept: — „Ża-  
gan“ —.

„To jest profesor Żagan, strasznie ostry“ —  
objaśnił mnie towarzysz. Uczył mnie łaciny.  
Mówię ci, okropnie jest zły. Jak kto nie  
umie, to on się tylko na niego popatrzy  
i powie: — bratku, ja cię zjem — to już  
masz dość. Módl się, żeby cię nie uczył“. —  
Nie pamiętam już czy modliłem się wtedy  
o to czy nie, fakt że profesor Żagan uczył  
mnie dopiero w klasie czwartej. Gdy wszedł  
pierwszy raz do klasy, zadrżeliśmy i wy-  
mieniliśmy znaczące spojrzenia.

Opinia, przekazana nam przez starszych ko-  
legów, głosiła coprawda zgodnie, że profe-  
sor jest ostry, ale sprawiedliwy! i „jeśli się  
będziesz uczył, możesz być spokojny“, ale  
jedno w niej było niepokojące: owo za-  
strzeżenie „jeśli się będziesz uczył“. W tym  
kierunku jakoś niewiele z nas zdradzało  
wybitniejsze inklinacje.

Do pierwszej lekcji przyszły następne.  
Strach ustępował miejsca szacunowi. Trze-  
ba się było uczyć — prawda. Kto się nie

---

---

przygotował do lekcji, wiedział napewno, że jeśli nie zwolni go lekarz, nie wywoła dentystka szkolna, lub nie zajdzie inna zbawienna okoliczność, oberwie czwórę na pewno. Po kilku miesiącach opinia o profesorze uzupełniona została jeszcze jednym dodatkkiem: „Umie nauczyć. Jak ci wyłoży, to wszystko zrozumiesz“.

Gdy wspominam te czasy, nasuwa mi się jedno ciekawe spostrzeżenie. Profesor Żagan był jednym z niewielu wychowawców, któremu nie daliśmy żadnego przydomka. Cytowało się niektóre charakterystyczne powiedzenia, byli tacy, co potrafili naśladować ton jego głosu, ale imienia dodatkowego nie otrzymał.

W wyższych klasach nie spotkałem się już z profesorem. Przeniesiono go do Chorzowa, a przed samą wojną do Bogumina. Los zbliżył nas dopiero w czasie okupacji.

Odwiedziłem państwa Żaganów w Krakowie, gdzie wespół z wieloma uchodźcami ze Śląska przeczekiwaliśmy okres okupacji. Rozmowa toczyła się, jak to zwykle w czasie wojny, o polityce, o tym kiedy się to wszystko skończy, jaka sytuacja na froncie, a potem o znajomych. Podziwiałem jak doskonale pamiętał profesor wszystkich dawnych uczniów. Przypominał nazwiska, nawet drobne wydarzenia z życia szkolnego. Ilekroć potem rozmawiałem z profesorem, zawsze wracaliśmy do dawnych wspomnień. Profesor ożywał się wtedy. Wyczuwało się, że stale jeszcze żyje szkołą. Nieraz dokładnie opowiadał przebieg ciekawszych lekcji, perypetie z uczniami, których trzeba było przez całe półrocze przyciskać po to, by im na końcu roku dać dobrze, cytował rozmówki z rodzicami na wywiadówkach, wspominał psikusy uczniowskie...

— Spotkaliśmy się w pracy konspiracyjnej, w tajnym Śląskim Biurze Szkolnym. Małe mieszkanko Profesora było ośrodkiem, w którym koncentrowała się tajna robota. Adres jego znali kurierzy, przywożący ze Śląska wieści o krwawym terrorze i rozwijającej się sieci placówek konspiracyjnych,

znali uciekinierzy, chowający się przed gestapo, kierownicy tajnego nauczania, znali wszyscy, potrzebujący porady czy pomocy. Mój Boże, ilu rozmów, marzeń o przyszłej szkole, o pracy repolonizacyjnej w szkołach na Opolszczyźnie, ilu gorących dyskut świadkami były ściany ciasnego pokoiku profesora.

Przychodzili tam pojedynczo, zbierali się społem wszyscy, którym było ciężko i choć na chwil parę oderwać się chcieli od koszmarniej rzeczywistości. Przychodzili inni po radę, przychodzili po pomoc.

Nieraz do późnej nocy w ciasnym pokoiku płonęło światło za czarną roletą zaciemniającą. Stukała maszyna do pisania notując plany, programy, wytyczne...

Czasem mówiło się o tym, co kto z nas będzie robił po wojnie. — „Chciałbym być dyrektorem gimnazjum w Bielsku — mówił wtedy profesor — albo na Opolszczyźnie. (Profesor Żagan pochodził ze Śląska Cieszyńskiego z Górek Wielkich). Chciałbym zmierzyć się tam z tą zarazą, którą Niemcy posiali w sercach młodzieży. Odgrzebać polskość, przysypaną popiołem hitlerowskich wpływów“.

Raz, a było to w okresie hitlerowskich zwycięstw, westchnął ktoś przy profesorze: „Czy to się zmieni? Czy my przetrzymamy tę wojnę?“

— „Zmieni się! — odpowiedział profesor. — My może nie przetrzymamy, ale to nie ważne. Nas może nie być. Będą inni i zbudują taką Polskę, jakiej jeszcze nie było. Zbudują! Na pewno! Gdzie się walka toczy, tam muszą być ofiary; takie jest prawo.“ Nie wiedzieliśmy wtedy, i nie przypuszczali, że jedną z ofiar będzie właśnie profesor Żagan.

Front zbliżał się do Krakowa. W Lubelskim od kilku miesięcy była już polska. W jakiś wieczór listopadowy 1944 roku odwiedziłem profesora po raz ostatni. Jak zawsze wspominaliśmy dawne czasy, marzyli o przyszłości, wymieniali wiadomości o tym,

---

co dzieje się tam, za linią frontu na wyzwolonych ziemiach. Profesor był wesoły. — „To się niedługo skończy — mówił — a potem robota!”

Noc już była późna, gdy trzymając w ręce przepustkę nocną bocznymi ulicami wracałem do domu.

Na drugi dzień około południa wywołano mnie z biura. Jakaś nieznana mi młoda panienka, zapłakana i zdenerwowana powiedziała krótko: — „Profesor aresztowany. Gestapo przeprowadziło rewizję w mieszkaniu”...

Nie spotkałem więcej profesora Żagana. Z grypsów i listów wiedzieliśmy, że maltretowano go przy przesłuchaniu, lecz nie wydobyto zeznań. Wywieziono go do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, gdzie ciężko chorował i kilkakrotnie był operowany z powodu zakażenia krwi w ręce, potem ewakuowano do obozu w Dora w górach Harzu. Na tym kończą się nasze wiadomości o jego losach.

Przez dwa lata nie było żadnej wiadomości o zaginionym. Poszukiwania nie dawały rezultatu. Aż któregoś dnia zastałem na stoliku kartkę z nadrukiem Polskiego Czerwonego Krzyża. Treść była krótka. Stereotypowe zdanie: „Artur Żagan, urodzony w Górkach Wielkich, lat 42, zmarł w obozie w Dora dnia 8 marca 1945 r. Dowód: fotokopie list zmarłych.”

Zmarł w chwili, gdy na wolnym już Śląsku uruchamiano gimnazja i szkoły. Nie doczekał radosnego, upragnionego powro-

tu do szkoły, do umiłowanej pracy.

Nie znamy szczegółów jego śmierci, brak wiadomości o ostatnich dniach życia profesora. Wiemy tylko, że odszedł człowiek, który serce i pracę, życie swoje całe poświęcił młodzieży i szkole. Człowiek, który wierzył w młodzież i w to, że stanie ona na miejscu tych, co odeszli, dokończy ich pracę i spełni marzenia, że dośpiewa do końca pieśń o nowej Polsce, pieśń, która tym, co w walce padli, na wargach zamarła, by tym potężniej w młodych piersiach wybuchnąć. Trzeba dokończyć dzieła budowy.

Taki był niepisany testament śp. profesora Artura Żagana, jednego z szarych żołnierzy Wielkiej Sprawy.

Na grób, zagubiony w obcej ziemi, nie rzucili kwiatów, nie złożyli wieńca wdzięcznej wychowankowie. Nie odszukamy pewnie nigdy zagubionej wśród tysięcy grobów mogiły, lub wiatrem rozwianych prochów.

Miał kwiatów na grób poległego, żywym rzucajmy jego testament, głosząc za poetą prawdę radosną o tym, że trud żaden na marne nie idzie, że przecie „po nas zostanie coś, co się zawsze powraca: wielkie, największe kochanie i prosta, najprostsza praca”. (E. Szymański).

Poległym stawia się pomniki, na tablicach pisze patetyczne słowa. Czasem nie trzeba wielkich słów, a pomnik wystarczy najprostszy. O taki wołam dla śp. profesora Żagana, o pomnik z pracy i wielkiego ukończenia Sprawy, której na imię Polska.

ZDZISŁAW PYZIK.

## *Pyra Andrzej*

**W**śród ofiar z grona nauczycielskiego znajduje się również profesor filologii klasycznej, Andrzej Pyra, ceniony i poważany pedagog, który zginął w tragicznych okolicznościach z rąk niepoczynałych sprawców.

Ktokolwiek znał prof. Pyrę, wie dobrze, że był człowiekiem nieugiętych zasad i bezwzględnej rzetelności. Fatalna pomyłka czy bezkrytyczny donos, jeden z tych nieodpowiedzialnych aktów samowoli, które były powodem tylu nieszczęśliwych wyroków w

latach okupacji, położył nie tylko kres prawemu życiu, ale na pewien czas zabił jego dobre imię.

Toteż z prawdziwą ulgą czytamy słowa jednego z wychowanków prof. Pyry, które rzucają światło na tę ponurą tragedię, przywracając wiarę w człowieka, którego tak dobrze znaliśmy.

Dzięki informacjom p. Ludwika Schweigera, partyzanta z terenu Podhala (pseudonim por. Siwy), obecnie inspektora w Prezydium Rady Ministrów w Warszawie, jesteśmy w możności zrekonstruować bliższe okoliczności tragicznej śmierci prof. Pyry. Oto kilka fragmentów z listu p. Schweigera:

„Kiedy w roku 1942 pojawiłem się na terenie Ochotnicy, wsi, w której znaleźli schronienie prof. Pyra, odszukałem go i spotykałem się z nim często w ukryciu, po nocach, w młynie Warmuza Jana. Powtarzałem mu informacje radiowe, zaznajamiałem go ze stanem prac konspiracyjnych w zakresie dopuszczalnym, otrzymywałem od niego książki, pieniądze, żywność dla ukrywających się. Spotkania te były nacechowane głęboką troską o los ludzi, wyjętych spod prawa i troską o los Ojczyzny”.

W sierpniu 1944 r. por. „Siwy” jako oficer dywersji i wywiadu przy 1 p. s. p. opuścił na jakiś czas Ochotnicę celem dokonania kilku większych akcji. Po swoim powrocie dowiedział się, że jego przyjaciel i nauczyciel prof. Pyra został poprzedniej nocy rozstrzelany na rozkaz dowódcy 3 baonu na skutek bezkrytycznego donosu ówczesnego sekretarza gminy.

„...Wyprowadzono go wysoko w góry w takie urwiska, że na drugi dzień zwłoki trzeba było wlec na gałęziach smreczyny, bo o dojeździe końmi nie było mowy. Pochował go ksiądz na cmentarzyku górnej wsi”.

„Sprawa jasna i prosta — konkluduje p. Schweiger. — Zamordowano niewinnego człowieka z rozkazu pijanego bydlęcia bez rozumu i sumienia”.

Słowa te nie tylko wyjaśniają przyczyny tragicznej śmierci prof. Pyry, ale równocześnie rzucają smutne światło na tło sprawy, to jest na działalność i metody postępowania niektórych „ludzi z lasu”. Obok prawdziwych bohaterów nie brakło wśród nich, nawet wśród przywódców, jednostek, które nie były w stanie sprostać moralnie swoim odpowiedzialnym zadaniom.

„Trzeba wrócić — pisze dalej p. Schweiger — profesorowi Pyrce, nauczycielowi polskich dzieci, który i mnie wśród wielu innych uczył prawości, piękna i miłości Ojczyzny na wzorach starożytnych, jego honor i nieposzlakowaną opinię”.

Szkoła, której prof. Pyra był długoletnim nauczycielem, nie może nie odpowiedzieć na ten wzruszający apel ucznia, występującego w obronie dobrego imienia swego wychowawcy.

A oto końcowy fragment listu:

„Teraz kiedy kończę mój list, nie mogę się oprzeć wizji tej trochę śmiesznej postaci w czarnym palcie, i widzę jak profesor Pyra idzie pod górę po głębokim śniegu i niesie dla nas, obdartych i brudnych partyzantów, pół, dosłownie pół kilo mięsa. Na więcej był w owych latach za biedny, a równocześnie był za bogaty, by się z nami nie podzielić”.

Damyśmy i my tę okazałą sylwetkę kolegi, kiedy po dzwonku lekcyjnym, z dużą teką pod pachą, z pochyloną w dół głową, spoglądając tylko z podełba na boki, sunął spokojnie korytarzami do klasy, oczekującej jego wejścia z przygotowanym na wargach powitaniem: „Salve, magister!”

My dzisiaj już tylko żegnać go możemy. I on stał się ofiarą wojny. K. H.





---

## W drodze krzyżowej

Nadszedł dzień 18 stycznia 1945 r., pamiętny dzień ostatecznej likwidacji obozu oświęcimskiego, dzień, zwiastujący wrogom zbliżającą się nieuchronnie klęskę, nam zaś, numerom w pasiakach, iskierkę nadziei.

Podniecenie i rozgorączkowanie obejmowało nie tylko więźniów, ale i naszych krwiożerczych stróżów, którzy w obliczu nieuchronnej zguby wpadali z jednej ostateczności w drugą: to udawali bardzo dobrych i współczujących, a strach wyzierał z ich rozszerzonych źrenic, to wpadali we wściekłość, a wtenczas biada tym, co wpadli w ich szpony.

Od rana nieprzerwanie wychodziły przez bramę setki więźniów w zwartych szeregach z tobołkami, paczkami, tłomokami. Każdy przygotował się do drogi, jak mógł najlepiej. W ostatnim bowiem dniu otworzono wszystkie magazyny odzieżowe i żywnościowe, wydając z nich zapasy bez ograniczenia. Ruch w obozie zrobił się niczym w ulu. Przed kancelarią obozową palił się stos kartofek, aktów i pism, a funkcjonariusze SS pilnowali, aby wszelkie dowody ich działalności zostały całkowicie zniszczone.

Około godziny dwunastej w nocy pochłonięła nas fala wypływających z obozu więźniów. Księżyc świecił jasno, oświetlając drogę i chrupiący pod nogami śnieg. Mróz szczypał w uszy i odmrażał policzki i ręce, ale nikt nie czuł mrozu. Szliśmy rażno po udeptanym śniegu w księżycową noc, w nieznaną i niebezpieczną przyszłość. Wznosząc oczy do nieba, ten i ów robi nieznacznie znak krzyża i szepce słowa modlitwy. Pytamy się sami siebie: Co gotuje nam los? Czy wreszcie będzie łaskawszy, czy też nadal tak nieludzko okrutny?

Jeszcze ostatnie spojrzenie za siebie i ciche westchnienie; westchnienie, które miało być wyrazem ulgi, ale przytłoczone ogromnym ciężarem niepewności i obawy, z trudem dobyło się z piersi.

Obok nas nieodstępni stróże, odziani w grube płaszcze i korzuchy, z karabinami przygotowanymi w każdej chwili do strzału.

Wśród mroźnej nocy słychać ich nawoływanie i ujadanie rwących się na smyczach psów.

Idziemy spokojnie i miarowo z szeptem modlitwy na ustach, składając los nasz w ręce Wszechmocnego.

Wtem — strzał!

Stłumiony, niewymownie żalony okrzyk kobiety uleciał w powietrze, nie budząc echa w przyrodzie. Oglądamy się nieznacznie do tyłu. Postać kobiety z podniesionymi jak do modlitwy rękami zachwiała się, zastygła na moment w bezruchu i runęła pod nogi zbira, w którego rękach jeszcze drgała świeżo odpalona broń...

Zaczerwienił się śnieg pod ciałem niewinnej ofiary. Twarz jej w blasku księżycy jaśniała jakimś nadziemskim światłem, ręce wciąż do modlitwy złożone...

SS-man wykrztusił jakieś przekleństwo, skrzywił w potwornym grymasie usta i ciężkim butem zepchnął ofiarę do rowu. Potoczyło się bezwładem swoim ciało na spoczynek bez trumny, bez pogrzebu, tylko długi, bez końca orszak pędzonych skazańców oddawał jej w milczeniu ostatni hołd. Zerwał się zbrodniarz z krzykiem, miotając przekleństwa, odwrócił się do przechodzących, wywijając naślęp kolbą karabinu... Dopędził naprzód jak oszalały zwierz, zmuszając do przyśpieszenia kroku.

Ale nic nas nie obchodziły jego dzikie okrzyki, nie odczuwaliśmy razów ciężkiej kolby, mając wciąż przed oczyma piękną twarzyczkę, zastygłą w blasku męczeństwa. Odleciał od nas lęk i strach, jakby nad nami unosił się duch tej męczennicy i tylu milionów ofiar Oświęcimia.

I tak długa bez końca kolumna wynędzniałych cieni sunęła wciąż naprzód, znacząc drogę trupami i krwią...

KAROL MICZAJKA.



Ramy tej książki i możliwości nasze pozwalały nam dać zaledwie cząstkę obrazu bohaterskich poświęceń w walce o święte prawo narodu do życia. Poczujemy się więc do obowiązku choć przykładowo wspomnieć o postawie starszego społeczeństwa i młodzieży pozagimnazjalnej naszego powiatu w czasie okupacji. Dlatego po zamknięciu (nie zupełnej na pewno) listy naszych wychowanków, którzy oddali życie za Polskę, podamy jeszcze dwa wspomnienia, jakie nam się udało zdobyć.

### *Stankusz Leopold*

Jeden z wielu bojowników o wolność Ojczyzny, człowiek cichy, zawsze o czymś wielkim myślący. Urodził się dnia 24 marca 1889 r. jako syn zwykłego górnika w Łaziskach w powiecie rybnickim. Już od młodości interesował się działalnością polityczną i społeczną, choć nie posiadał wyższego wykształcenia. Przed pierwszą wojną światową wyjechał do Westfalii za pracę (Botrop) i rozwinął tutaj żywą działalność polityczną, skupiając koło siebie Polaków. Na wiadomość o plebiscycie wraca do kraju, by głosować za Polską. Bierze później udział w trzecim powstaniu, tworząc oddziały bojowe na terenie Łazisk, Gorzyczek, Gorzyc i Uchylska.

Druga wojna światowa budzi w nim dawnego bojowca. Już pierwsze dni okupacji rzucają go w odmęt zacieklej walki z niemiecką propagandą. Ukrywa sztandar powstańczy, dodaje otuchy słabszym, zapominając o sobie i swej rodzinie. Schwytany z młodszym bratem Rudolfem (wychowankiem rybnickiego gimnazjum), męczony i głodzony, dostaje się do więzienia w Rybniku i tutaj siedzi blisko pół roku, a po tym skazany na dożywotnią pracę przymusową (2 lutego 1940 r.), zostaje wywieziony do Oranienburga. Tu barczysty niegdyś człowiek, o pięknej rozumnej twarzy, już po dwu tygodniach zmienia się w kościotrupa. Staje się posępnym i bardziej milczącym, zawziętym. O jego przejściach w obozie towarzyszył tak wspomina:

„Wyczerpany straszną fizyczną pracą, jest niezdolny do niej i trzeba go wyleczyć. Lecz straszne to było lekarstwo. Przywiązany do płotu, stał na mrozie 26 godzin, a kiedy zemdlał, oblewano go wrzącą wodą i stawiano z powrotem pod płot”.

Mimo tych tortur Leopold, choć złamany fizycznie, nie upadł na duchu. W obozie oświecał słabszych, dodawał odwagi innym, zbierał pilnie wiadomości polityczne z całego świata. Jego najmilszą czynnością było czytanie książek do nabożeństwa, jedynych jakie były w obozie. Przeniesiony do słynnego Dachau, zaklina w listach rodzinę i znajomych na miłość Boską, aby wytrwali do końca. „Że nie ma kamieni, to nic, są za to gwiazdy na niebie, pamiętajcie i wy o jednej z nich” — pisze do nich, używając przenośnych wyrażań.

Jako niezdolny do pracy musi zginąć. Rankiem 20 października 1942 r. przyszło po niego dwóch esesowców. Przed odejściem powiedział do przyjaciela z Gołkowic: „W razie gdybym dzisiaj nie wrócił, to wiesz gdzie jestem. Jeżeli będziesz miał to szczęście powrócić do wolnej Ojczyzny, to pozdrów ode mnie żonę, córkę, syna i brata i powiedz, że byłem zawsze myślą przy nich i że zginąłem dla Boga i Ojczyzny. Pamiętki im żadnej nie pozostawię, bo nic nie mam, pozostawię im tylko myśl o mnie”. Pod krematorium czekało już 149 skazańców. Leopold wjechał jako ostatni do pieca.

FRANCISZEK KRÓTKI, kl. 3 d.

## Harcerze z Gotartowic

Wśród wielu, których nie złamała potęga hitleryzmu i którzy pomimo zwycięstw niemieckich nie utracili ducha, była i młodzież harcerska z Gotartowic. Wierna swym hasłom XIII drużyna stanęła twardo i nieugięte do walki z okupantem. Już w początkach 1940 roku trzej młodzieńcy: Buchalik Paweł, Buchalik Franciszek i Frelich Alojzy stworzyli związek tajnej organizacji, która miała na celu pomoc rodzinom więzionych Polaków i podtrzymywanie polskości. W tym celu młoda trójka z własnych funduszy zakupiła aparat radiowy, by mieć łączność ze światem. Dalszym etapem było zdobycie maszyny do pisania, którą wykradli nocą z Urzędu Gminnego w Kłokocinie. Wyprawa udała się znakomicie, a „blockleiter“ wioskowy został zamknięty. Wreszcie zakupiono powielacz. Zdobyte skarby ukryto u Frelicha, gdzie na strychu był mały pokój obłożony wokół sianem. Tam w dniu 11 lipca 1941 r. wyszła na świat pierwsza gazetka na dwóch stronicach druku: „Zew Wolności“.

20 pierwszych egzemplarzy chodziło z ręki do ręki, niosąc do polskich serc nadzieję i otuchę. W ciągu krótkiego czasu piśmko zdobyło sobie uznanie u czytelników, którzy wyczekiwali niecierpliwie ukazania się nowego numeru. I tak co niedzielę wychodził „Zew Wolności“, wzywając do wytrwania, do hartu ducha i odwetu za krzywdy. Rosło grono kolporterów, skła-

dające się z harcerskiej młodzieży. Do nich należeli druhowie: Śpiewok Bolesław (uczeń z Żor i młodociany poeta), Holec Paweł, Podleśny Paweł, Juraszczyk Paweł, Kula Sylwester, Kocztorz Bolesław, Smółka Alojzy, Buchalik Ernest, Sojka Walenty, Emrych Jan, Stajer Benedykt i inni.

Piśmko to docierało niemal do każdych rąk polskich w powiecie rybnickim, a nawet znane było w pszczyńskim i bielskim. Zebrane z ofiarnych rąk fundusze rozdzielane były wśród biednych osieroconych rodzin polskich. I tak regularnie „Zew“ odwiedzał Polaków, aż nadciągnęły chmury złowrogie. W nocy z 22 na 23 maja 1942 r. kilka aut gestapo zajechało do Gotartowic. Wioskę obsadzono kordonem policji, a w mieszkaniach Frelicha i Buchalików przeprowadzono ścisłą rewizję, aresztując całe prawie rodziny. Hołek Paweł, gdzie ostatnio mieściła się redakcja, zaczął strzelać do dobijających się gestapowców i padł trafiony ich kulami. W ciągu miesiąca aresztowano całą prawie młodzież harcerską i wielu starszych obywateli. Bici i katowani nieludzko w więzieniach mysłowickich trzymali się twardo.

Nadszedł dzień 22 lipca 1942 r. Na małym placyku w wiosce obok potoczka, gdzie zwykle pasano gęsi, zaczęto ustawiać szubienice. O godzinie 5 po poł. zaczęły zajeżdżać auta ciężarowe z uzbrojonymi ge-



Buchalikowie Ernest, Franciszek i Paweł

Podleśny Paweł

---

stapowcami. Otoczono wioskę i obstawiono karabinami maszynowymi miejsce stracenia. Wszystkim Polakom z okolicznych osiedli danó rozkaz stawienia się na egzekucję. Kilkudziesięciu zakładników — Polaków miejscowych stało obok szubienic, a wkoło zgromadził się tłum około 5000 ludzi: Polacy, by żegnać swoich — Niemcy, by tryumfować, jak młodzi z płaczem będą błagali o litość.

Nadjechało auto-więźniarka. Za chwilę wysiedli z niej dwaj młodzi redaktorzy: Buchalik Paweł i Franciszek, bracia stryjeczni. Zbici, sponiewierani, wynędniali nie do poznania.

Nastała chwila ciszy. Gestapo odczytało wyrok Himlera, skazujący ich na karę śmierci przez powieszenie. Bracia weszli śmiało na stopnie szubienicy. Tu i ówdzie wybuch szloch, płyną łzy i krwawią się serca Polaków. Niemcy triumfują, ale triumf ich wnet przygasa. Padają ostatnie słowa Franciszka, a po nim Pawła:

— Jestem niewinny... Niech żyje Polska! Matko Częstochowska, ratuj nasze rodziny! Kał zawiesza im sznury na szyję, małe stuknięcie desek i dwaj młodzi bohaterowie

oddali życie za wymarzony od młodości ideał — za Polskę.

Posypały się przekleństwa Niemców — myśleli, że śmierć ugnie młodych, że pokażą swoją potęgę i zastraszą Polaków. Tymczasem wręcz przeciwnie. Ostatnie słowa skazańców, ich postawa, wpoity w serca rodaków przekonanie — jak miło jest umierać za Ojczyznę. Przekleństwa niemieckie: „Verfluchte Polen“, ale i słowa uznania: „Brave Kerle“ — były najlepszym świadectwem, że ideały, jakie wydawcy „Zewu“ przelewali na papier, mieli też w swoim sercu i nawet śmierć na szubienicy nie zdołała zmienić ich przekonai.

Pozaocznie rozstrzelani zostali w Oświęcimiu z wymienionej na wstępie grupy młodzieży druhowie: Sojka Walenty (21 lat), Emrych Jan (20 lat), Stajer Benedykt (17 lat) i kilku starszych. Reszta osadzona w obozie w Oświęcimiu, 16 i 17-letni chłopcy: Śpiewok Bolesław, Podleśny Paweł, Kocinatorz Bolesław, Juraszczyk Paweł, Smółka Alojzy, Kula Sylwester, Buchalik Ernest (brat powieszzonego) zginęli tam w niespełna pół roku, wierni swym hasłom — Bóg i Ojczyzna!

## Szubienice gotartowickie

Dzwonki bez snu u powiek,  
niebo otwarte jak rana.  
Cztery szubienice na ramionach świtu,  
oto rybnicki poranek.  
Krajobraz krzyczy, a powiew  
szpieści: przytul, przytul.

Przyszli górnicy z Niedobczyc i Emy,  
spoglądali w szubienice, jak w mrok.  
Hutnicy, czerwoni i wzruszeni,  
u bosych stóp czterech szubienic,  
podkuty omdlewał krok.

Wiodli czterech. Studentów.  
Jakże wam to łagodniej powiem?  
Bilo Śląska olbrzymie tętno,  
a górnikom, zamroczonym górnikom  
zanurzyło się sto kopań w głowie.

Pierwszy zwiśł, ciemne skrzydło,  
drugi głowę oparł o świt,  
trzeci młody jak greckie malowidło,  
ze szklanych oczu spłynął dźwięk.

Był taki, co wiązał i podciągał,  
brunatny jak dym znad huty.  
Lud mu groźnym milczeniem urągał,  
krzyk na wietrze rozpaczał i drżał,  
gawronami opadał w łąkach.

Czwartego, ach! czwartego, Boże,  
podnieśli w górę jak pióro,  
a gdy kał mu pętlicę nałożył,  
Pan Bóg, ach, ludzie, Pan Bóg  
za głowę się chwycił oburącz!

WILHELM SZEWCZYK.

---

# W OGNIU WALK



Gen. Sikorski robi przegląd polskich oddziałów.

## Odwet za Rybnik

**K**watera naszego batalionu, wchodzącego w skład 6. dywizji piechoty mieściła się w Starej Wsi pod Pszczyną. Przybyłem tam, by zmienić oficera zawodowego natychmiast po mobilizacji naszego pułku, czyli 26 sierpnia. Chciałem być na Śląsku, jak najbliżej Rybnika.

1. września rano o godz. 5. jak zwykle obudził mnie ordynans. Pół godziny później pluton był gotów do wymarszu na ćwiczenia i prace, związane z budową stanowisk. W chwili, gdy miałem dać znak do wyruszenia, nadszedł pędem goniec na rowerze. Zamknięta koperta — w środku rozkaz: „Pogotowie bojowe, natychmiast wymarsz na linię alarmową“.

Piętnaście minut później, po serdecznym pożegnaniu z gospodarzami maszerowaliśmy na czele batalionu w kierunku Żor. W drodze nalot pojedynczego samolotu niemieckiego — pierwszy ranny. I natychmiast sa-

tysfakcja — odlatującego Niemca złapały dwa nasze, z jasnego nieba spadły „Pe-zet-cle“, krótka walka i płonący „Szkop“ walił w dół. Pierwsza, ale niestety i ostatnia walka powietrzna, którą wtedy we wrześniu widziałem. Potem były już tylko maszyny ze złowrogim krzyżem.

Na linii alarmowej Brzeźce — Branice rozmieściłem swój pluton — trzy działka przeciwpancerne. Odprawa u dowódcy batalionu — zadanie: „Utrzymać się na zajętych stanowiskach 24 godzin, do czasu, gdy będąca w domarszu dywizja zajmie główną linię obrony, a po wykonaniu zadania wycofać się na linię Stara Wieś — Piaski do odwodu dywizji.“

Wracając z odprawy sprawdziłem stanowiska moich działek i poczułem się trochę nieswojo. Batalion rozrzucony na odcinku 5 do 6 kilometrów, prawe skrzydło odsłonięte „wisiało w powietrzu“. Skrzydłem tym

były lasy kobiórskie z linią kolejową Żory-Pszczyna, gdzie miał być 73 p. p., a jak stwierdziliśmy, nie było nikogo.

Wystarałem się o drużynę strzelecką dla osłony jednego z działek, zajmującego ważne stanowisko na skraju wspomnianego lasu. Porozmawiałem z chłopakami, starając się wprowadzić wesoły nastrój. W końcu zabrawszy z sobą gońców i obserwatora, pojechałem na rowerze do odległej o 200 m szosy Żory—Pszczyna.

Już przedtem widziałem grupki cywilów, ciągnących ku Pszczynie pieszo i na wozach, oglądających się trzwożliwie do tyłu. Nie miałem jednak czasu z nimi porozmawiać — najpierw trzeba było spełnić obowiązek. Dopiero po dokonaniu tego mogłem zatrzymać się, porozmawiać z uciekinierami. Początkowo byli to raczej mieszkańcy Żor, ale wkrótce poznałem Rybniczian. Pierwszy był duży autobus Śląskich Linii Autobusowych z pracownikami Zakładu Psychiatrycznego, o ile pamiętam. Potem inni, na wozach, rowerach, pieszo, z wózkami, z rzeczami i bez, a wszyscy, znajomi i nieznajomi opowiadali o napadzie olbrzymich sił niemieckich na miasto, opanowaniu jedną tylko myślą: uciekać, uciekać! Ale byli i tacy, szczególnie młodzi, którzy poznawszy mnie, nie chcieli odejść, żądając broni i chcąc iść naprzód.

— Odbić Rybnik! — bo przecież to niemożliwe: Rybnik, nasze miasto! —

Trzeba było tłumaczyć, pocieszać, nawet zmyślać, aby tylko rozwiać przestrach, i dodać otuchy. Może później niejeden myślał, że była to zarozumiałość, przecenianie własnych sił, fanfaronada, podczas gdy sami mieliśmy tyle wątpliwości — nie wiedząc prawie nic o wrogu, o jego uzbrojeniu i możliwościach, a znając własne, na szczeblu naszego odcinka, słabości.... Ale dodawaliśmy otuchy, zmyślając nawet, aby tylko podnieść na duchu i cywilów i samych siebie.

Trwało to długo — coraz to nowe grupy, cała szosa zabita ludźmi i wozami, końmi,

nawet byłem. Dopiero około godz. 11. droga zaczęła pustoszeć. Kazałem ją zamknąć przygotowanymi przeszkodami, posłałem meldunek do dowódcy batalionu i ostrzelany przez krążący nad naszymi liniami samolot dotarłem do swoich chłopaków, zdenerwowanych i myślących jak i ja wyłącznie o tym, jak wypadną nasze działka. — Czy to prawda, co mówili uciekinierzy i rozbitkowie z żorskiej Obrony Narodowej, że są one bezsilne wobec niemieckich czołgów...?

Bo że na nas waliła dywizja pancerna, która łamała każdy opór po drodze, o tym już wiedzieli wszyscy. I wzruszające było, jak żołnierze z kompanii strzeleckich i karmów przychodzili, pytając, co my „pepance“ myślimy, szukając u nas otuchy.

A potem „szkopy“ nadeszły. Ostrożnie, badając gdzie słabe miejsca. Wprawdzie, mając wszędzie swoich szpiegów, wiedzieli o nas prawie wszystko, ale przeprowadzone w ostatniej chwili zmiany i nasze milczenie zmyliły ich. Uderzyli szybko i równie szybko się wycofali. Na przedpolu pozostały cztery nieruchome cielska dymiących czołgów — praca naszych działek. I był triumf, szła radość. A najważniejsze — wiara w nasze siły, wiara w nasze działka, małe, ale kąśliwe.

Przekonali się o tym Niemcy w następnych dniach. Niejeden raz jeszcze czarny krzyż ginął w ogarniających czołgi płomieniach. Wytworzyliśmy sobie własny sposób walki z nimi — w naszym wykonaniu prawie niezawodny. Pierwszy pocisk w gąsienicę czołgu, a gdy ten gwałtownie zakreślił, drugi — w zbiornik benzyny umieszczony w tyle. I prawie każdy się palił, tak że wykluczona była naprawa i dalszy użytek. Pozostawał tylko szkielet.

Spokój mieliśmy do wieczora. W nocy na rozkaz dywizji — wycofanie się na linię główną pod Pszczyną. W następnym dniu znów walka. Już poważniejsza. Artyleria, moździerz, lotnictwo. I brak wiadomości nawet o tym, co się dzieje u sąsiadów, czy

---

---

na tyłach. A wieczorem fatalny rozkaz: wycofujemy się, bo na okrażają. Żołnierzy trudno ruszyć — nie chcą się cofać, nie chcą opuszczać swoich stanowisk. Ale trzeba. Wychodzimy jako ostatni, w tylnej straż dywizji. Po północy opuszczamy Piaski, idąc lasami kobiórkimi na Bieruń Stary. Droga jednak już odcięta. Całą niedzielę siedzimy w lasu pod Międzyrzeczem, otoczeni ze wszystkich stron. Walka i sukcesy. Znowu nasze działka i osiem „wykoń-

czonych“ czołgów. A w nocy przebijanie się przez pierścień niemiecki, przeprawa przez Wisłę. Oświęcim. Walka cały dzień, a zawsze w pierwszej linii działka.

Zdały egzamin aż do końca: gdy dwa zamilkły rozbite, a do trzeciego zabrakło pocisków.

Do dziś jeszcze żywo mam w pamięci te płonące czołgi i myśl przy każdym z nich: — To mój odwet za Rybnik! —

F. B., ppor.

## P. O. P. w Rybniku

Nie wiadomo dziś jeszcze, z jaką oceną spotka się w przyszłości działalność P. O. P. na Śląsku. Godzi się jednak zaznaczyć, że była to pierwsza polska organizacja podziemna na tym terenie za czasów hitlerowskiej okupacji. Tu małe sprostowanie: litery POP oznaczały skrót nazwy „Polska Organizacja Powstańcza“, nie zaś, jak chcą niektórzy, „Partyzancka“. W latach 1939/40 partyzantka nie była jeszcze pojęciem obiegowym.

Można przypuszczać, że w historii polskiego ruchu podziemnego POP zajmować będzie stosunkowo skromne miejsce. Należała bowiem do tej sporej liczby tajnych organizacji zdeptanych, gdy zaledwie poczęły kiełkować. Tylko po części zawiniły tu niedoświadczenie i nieporadność pierwszych konspiratorów. Bezpośrednio do likwidacji POP przyczyniła się zdrada nasłanych szpiegów i „uproszczony“ system gestapowskich dochodzeń, tak znamieny dla metod hitlerowskich.

Uderzano bowiem na oślep, chwytając w swe sidła wszystkich możliwych kandydatów na konspiratorów. Decydowały wiek i środowisko upatrzonych ofiar. Przy takich metodach zawsze ktoś z rzeczywistych członków organizacji wpadł w matnię. U niektórych udawało się znaleźć kompro-

mitujące materiały, inni załamywali się przy „przesłuchaniach“, naprowadzając swych dręczycieli na właściwy ślad.

Kierownictwo POP na ogół nie miało złudzeń co do bezwzględności gestapowskiej maszyny wywiadowczej. Z takimi „uproszczonymi“ metodami walki przecież się nie liczone. Zaważyło to zasadniczo na losach organizacji.

Z końcem września do Rybnika powracać zaczęli młodzi Polacy z kampanii wrześniowej, którym udało się uniknąć śmierci i niewoli. Miasto na pierwsze wejście musiało sprawiać na przybywających przynębiające wrażenie. Na pozór Rybnik w ciągu miesiąca zniemczył się doszczętnie. Z wszystkich domów zwisały flagi ze swastyką. Ludzie na ulicach pozdrawiali się powszechnie hitlerowskim podniesieniem ręki.

Polacy przycichli i pochowali się w swoich domach. W ścisłych kółkach znajomych opowiadano sobie o wcale licznych renegatach. Piszący te słowa, zanim z zajętego już miasta (1 września) lasami przekradł się do swoich — obserwował wjazd czołgów niemieckich do Rybnika. W grupach „heilujących“ Volksdeutschów dostrzegł nieje-

---

---

dnego, którego dotąd zwykł był uważać za Polaka. Podobne doświadczenie mieli wszyscy.

Powoli dopiero, zaglądając sobie uważnie w oczy, Polacy poczęli się odnajdywać. Już wówczas okazało się, że gimnazjum rybnickie dobrze spełniło swój obowiązek wychowawczy. Na byłych wychowanków zakładu — z nielicznymi wyjątkami — można było liczyć. Niejeden, być może, pamięta jeszcze grupki młodych eks-maturzystów z ostatnich roczników przedwojennych, spacerujących po mieście, z ostentacją kłaniających się zdjęciem kapelusza napotkanym znajomym i obserwujących spod czoła, jak napotkany odpowie: pozdrowieniem hitlerowskim, czy zdjęciem kapelusza, znamionującym Polaka. Dużo w tym było chłopięcej przekory i naiwności. Był to jednak wyraz owej powszechnie nurtującej Polaków potrzeby rozeznania się w rozmiarach sił własnych.

Młodzi Polacy nie pracowali z reguły, radząc sobie ubocznie wszelkimi sposobami. Niemcy początkowo sami zamykali Polakom dostęp do pracy i zarobku, ci zaś uważali, że nie godzi się im pracować dla Niemców. Grupki bliższych znajomych schodziły się w gościnnych domach bez wyraźnego celu — na partyjkę szkatla, na pogawędkę.

Jedna z takich grup spotykała się w gościnnym domu przy ulicy Jankowickiej. Wokół Stanisława Wolnego utworzyło się coś w rodzaju klubu dyskusyjnego. Najwięcej rozprawiano na najbardziej wówczas pasjonujący (wobec zastoju na froncie zachodnim) temat klęski wrześniewej. Podobnie jak wszędzie wówczas, gdzie Polacy dyskutowali o wypadkach września, namiętnie szukaliśmy winy i winowajców. Zawiedzeni w wierze — już nie w możliwość zwycięskiego marszu polskiego na Berlin, ale w wierze w realną siłę armii polskiej, wyrokowaliśmy bezwzględnie i surowo.

Prędzej, czy później musiała się przecieżyć wyłonić kwestia własnej aktywnej działalności antyniemieckiej. Obchodzono ten temat przez czas dłuższy ostrożnie. Nie z braku wzajemnego zaufania, ale przez jakąś dziwną wstydlivość, która żadnemu z nas nie pozwalała wystąpić pierwszemu z inicjatywą. Toteż gdy wreszcie ktoś wspominał o konieczności rozpoczęcia działalności konspiracyjnej — okazało się, że wszyscy przemyśleli już ten temat po swojemu i mieli własne projekty. Staś Wolny — jak zawsze — rzecz rozważył najtrzeźwiej i z wszelkimi szczegółami. My — reszta grupy — do zagadnienia podchodziliśmy z większym zapałem, niż rozsądkiem, mając dość mętny, chociaż urzekający obraz czekających nas zadań. Rychło jednak poddaliśmy się spokojnym argumentom Staśka. Od tej chwili był naszym przywódcą, choć nie nominalnym.

Zaczęliśmy od szukania kontaktów w mieście i na terenie powiatu. Nie było przypadkiem, że pierwsze grupy, stworzone w określonym już celu, oparte były o trzon, złożony z byłych wychowanków gimnazjum rybnickiego. Znano się w tym środowisku najlepiej i na ogół wiedziano komu zaufać. Staszek Wolny zrozumiał od razu, że nie można będzie działać w odosobnieniu, że trzeba dołączyć do jakiejś większej organizacji. Było jednak oczywiste, że grupa rybnicka nie pierwsza wpadła na pomysł tworzenia organizacji tajnej. Wiedzieliśmy przecie, że obok naszej grupy — zawiązały się już samodzielnie inne w samym Rybniku.

Tu konieczna jest dygresja. Nie mieliśmy wówczas jakiegoś określonego programu ideowego. W dyskusjach na ten temat przyznawano, że kiedyś do ideowego zróżnicowania polskich grup oporu dojść będzie musiało. Wówczas jednak chodziło o jedną rzecz tylko: o akcję czynną przeciwko okupantowi. Z tego też punktu widzenia zaczęliśmy szukać organizacji, w ramach której moglibyśmy się zmieścić.



---

Było oczywiste, że należało jej szukać w Katowicach. Ale do kogo się zwrócić?

W Katowicach przebywał w owym czasie Józef Pukowiec, przyjaciel Staśka z harcerstwa. Ten ułomny, a przecież niesłychanie żywotny i energiczny człowiek z pewnością nie pozostał bezczynny. Musiał wiedzieć, gdzie szukać łączności.

Któregoś dnia Staszek wybrał się do Pukowca. Towarzyszyłem mu w tej wyprawie. Józef Pukowiec przyjął nas serdecznie. Staszek, nie klucząc zbyt wiele, wyjaśnił cel wizyty. Józef Pukowiec wysłuchał wszystkiego z uśmiechem, po czym począł nam tłumaczyć, że nie zajmuje się niczym, o organizacjach konspiracyjnych nie wie, w ogóle wojnę zamierza spędzić możliwie w spokoju. Oczywiście było, że taił prawdę. I to nawet nie bardzo zręcznie, tak, jakby chciał, byśmy mu nie wierzyli.

Wróciliśmy strapieni tym — jak się nam zdawało — brakiem zaufania. Rychło jednak miało się okazać, że wizyta w Katowicach spełniła swój cel. Z Katowic do Stanisława Wolnego przyjechał przedstawiciel organizacji POP, dający do zrozumienia, że o osobie Staśka i o możliwości nawiązania z nim łączności dowiedział się od Pukowca. Staszek — jak należało — nie od razu zawierzył nieznanemu wysłańcowi. Dopiero po dłuższym kluczeniu i zastosowaniu wszelkich możliwych środków ostrożności doszło do pierwszej decydującej rozmowy. Grupa nasza stała się z mianowania komendą powiatową POP. Komendantem wybrano Jerzego Kąkola. Kierował wszakże całością Staszek Wolny.

W grupach, tworzonych w całym powiecie, być może zbyt pośpiesznie, rozpoczęła się praca szkoleniowa już wedle określonych dyrektyw. Wówczas, te wszystkie narzucone nam metody szkolenia wydawały się nam nad wyraz małostkowe. Tylko Staszek traktował je z całą powagą. Późniejsze doświadczenia okupacji dowiodły, że pracowaliśmy we właściwym kierunku.

Pracę organizacyjną prowadzono na kilku odcinkach: wojskowym, sabotażowym i propagandowym. Zaczęło się przewożenie bibuły. Kolportowaliśmy pismo POP „Zryw“. Pierwsze numery były fotograficzną — rozmiarów pocztówkowych — odbitką pisma maszynowego. Numer pierwszy zawierał fotografię generała Sikorskiego. Czy zdawaliśmy sobie sprawę z grożącego ze strony niemieckiej niebezpieczeństwa? Raczej nie. Opakowani bibułą w pociąg, jadąc w towarzystwie umundurowanych ss-manów, raczej odczuwaliśmy urok przygody. Byliśmy jeszcze tacy młodzi!

Obok kolportażu pisma, komórki organizacyjne trudniły się sprzedażą znaczków na fundusz POP, palonych w obecności kupujących. Być może, że akcja ta przeprowadzona została nieco lekkomyślnie. Zdradcy, których już wówczas — nie wiedząc o tym — mieliśmy we własnych szeregach, dostarczyli gestapo pierwszych materiałów, dotyczących POP, już w pierwszych miesiącach 1940 r. Ale ta pierwsza bibuła spełniła swój cel: dowiodła działalności polskiej mimo okupacji, pokrzepiła Polaków, przyłoczonych zwycięstwem hitlerowskim, dodała znów pewności siebie. Byliśmy i działaliśmy: to wówczas było już dużo. Ludność polska otrzymała pierwsze wiadomości, nie zaczerpnięte ze źródła goebbelsowskiej propagandy. Nadto być może optymistyczne. To prawda. Pozwalały jednak znów jaśniej spojrzeć na świat, w którym zdawało się niepodzielnie zapanował okupant. Budziły ducha oporu. Utwierdzały chwiejnych.

Działalność w grupach sabotażowej i wojskowej w powiecie rybnickim nie wyszła poza prace przygotowawcze.

Nadszedł kwiecień 1940 r. Niemcy rozpoczęli pierwsze pobory do wojska. Aresztowano opornych. Dochodzić zaczęły pierwsze ostrzeżenia z wiarogodnych źródeł: gestapo wiedziało o naszej działalności, na niektórych zwróciło szczególnie baczną uwagę. Czuliśmy, że jesteśmy w przededniu

---

jakiejs większej akcji hitlerowskiej, wymierzonej w naszą organizację. Kilku bardziej zagrożonych, zgodnie z pierwotnymi planami, postanowiło uchodzić za granicę — do wojska polskiego. Staszek Wolny uznał tę decyzję. Na nasze namowy jednak, by uchodził razem z nami, odpowiedział: muszę zobaczyć, co się tu będzie działo — organizacji nie można zostawiać na łasce losu.

Naszej grupie ucieczka nie wiele pomogła. Niewielu przeżyło. Pod przybranymi nazwiskami wpadliśmy w ręce niemieckie i znaleźliśmy się w obozie koncentracyjnym. Wymknęliśmy się tylko rybnickiej gestapo, która miała z nami poważniejsze porachunki.

Wkrótce po tym w Rybniku rozpoczęła się seria aresztowań. Gestapo i tym razem nie znało szczegółów. Działano, jak zawsze, na ślepo. Dopiero w wyniku tej akcji Niemcy dowiedzieli się widocznie czegoś więcej, bo zaczęli uparcie szukać określonych już osób. 18 kwietnia wraz z szeregiem innych członków organizacji aresztowany został Stanisław Wolny. Wiemy, że był bity. Zdołał jednak oszukać gestapo. Niemcy nie wiedzieli i nigdy nie dowiedzieli się, kogo ujęli w jego osobie. 22 czerwca Staszka przewieziono do Oświęcimia. Jerzy Kąkol uszedł w kierunku Niemiec. Inni albo powpadali w ręce gestapo, albo znaleźli schronienie w „generalnej gubernii“. Działały jeszcze rozproszone grupy, które wejść miały później do nowopowstałych organizacji podziemnych. Na tym właściwie kończy się historia rybnickiej POP.

W niespełna rok później gestapo rozbiło organizację w Katowicach. Komendant „Hajducki“ został ujęty po walce w Wiśle. Na którejs z rozpraw ostatnich w sądach wspomniano, że Hajducki zginął w Wiśle. Mogę z całą stanowczością stwierdzić, że zachodzi tu pomyłka.

Któregoś dnia w 1941 r. pod wieczór, w czasie wolnym od robót, stałem w Oświęcimiu przed swoim blokiem. Przeprowadza-

no właśnie grupę cywilów na blok 11. Wiedzieliśmy, że na rozstrzelanie. W grupie rozpoznałem Hajduckiego, z którym skontaktowałem mnie kiedyś w Katowicach Stanisław Wolny. Zrozumiałem, że POP przestała istnieć. W dziesięć minut później przybiegł do mnie Staszek. On również widział grupę skazańców i poznał Hajduckiego.

\* \* \*

Na tym możnaby skończyć opowieść o P. O. P., pierwszej organizacji tajnej na terenie powiatu rybnickiego. W 1942 rozstrzelano w Oświęcimiu część uwięzionych Osiągnięcia POP zblednąć miały wobec czynów późniejszych organizacji, jak: ZWZ, AK, AL, BCH i inne. Ilość ofiar spośród członków POP była wszakże niewspółmiernie duża.

\* \* \*

Winien tu jeszcze jestem złożyć hołd pamięci przyjaciele.

W Oświęcimiu Staszek Wolny, założyciel i przywódca POP w powiecie rybnickim, zachował swą niewzruszoną postawę. Przybył do obozu wraz z wieściami o klęsce Francji. Oglupiały i zaszczuty tygodniowymi praktykami obozowymi, przechodziłem wówczas swój okres psychicznego załamania. Przygnębiające wiadomości ze świata zdawały się odbierać resztki nadziei. Wówczas to pierwsze rozmowy ze Staszkiem pokrzepiły mnie na nowo. On ani przez chwilę nie stracił swego spokoju. Bez przesadnego optymizmu, ale trzeźwo oceniał sytuację. Myślę, że również wielu innym rozmowy z nim pomogły w przezwyciężeniu nieuniknionego prawie w pewnej fazie życia obozowego niżu moralnego.

W obozie — po pierwszym okresie ciężkiej pracy — Stach dostał się do tzw. TWL (Truppen-Wirtschaftslager) jako pisarz na maszynie. Tu mógł przyjść fizycznie nieco do siebie. O więźniów, pracowników tego komanda, dbano troskliwiej, dostarczając im w okresie szalejącego tyfusu plamistego

możności utrzymania czystości. Obawiano się bowiem zarażenia SS-manów, z którymi więźniowie ci stykali się w czasie pracy. Staś interesował się żywo wszystkimi problemami obozu. Często przychodził do mnie, wyciągając mnie na rozmowy na temat zagadnień, jakie stwarzało życie w obozie. Jednym z takich problemów była na przykład kwestia tzw. „muzułmanów”. Staś żywo interesował się przyczynami „muzułmaństwa”, dochodzącego aż do prostracji i załamania się ludzi w obozie. Miał zapewne rację, doszukując się w pierwszym rzędzie przyczyn psychicznych.

Po ucieczce 4 więźniów z grupy roboczej TWI. — wszyscy pracownicy tego komanda, a między innymi i Staszek, przeniesieni zostali do grupy roboczej przy budowie zakładów „Buna”. Staś znalazł się w brudnym, doszczętnie zawoszonym bloku. Do pracy wyruszano o 3-ciej nad ranem. Wracano późnym wieczorem. Namawiałem go, by przeszedł do kancelarii w szpitalu, gdzie wówczas znalazłoby się dla niego miejsce. Wolał pozostać w swym komandzie, tłumacząc mi, że „Buna”, jako przedsiębior-

stwo prywatne, czasami potrafi wymóc zwolnienie więźnia do pracy w przedsiębiorstwie na wolnej stopie. Jemu uczyniono takie obietnice. Uważał, że da mu to możliwość zwolnienia.

Wkrótce zachorował na tyfus plamisty. Chorobę przechodził ciężko. Doszło częste przy tyfusie plamistym zapalenie opon mózgowych. Po 16 dniach choroby — zmarł, po uprzedniej krótkotrwałej poprawie.

W dzień po śmierci Stanisława Wolnego, rozstrzelano grupę rybniczan, związanych z POP. Być może, że on był również na liście skazanych.

Gdy myślę o Staszku Wolnym, trudno mi jakoś pogodzić się ze zwrotem o „kamieniach, rzucanych na szaniec”. Nie sposób dowieść wielkich wartości, jakie wraz z człowiekiem zginęły nieujawnione. Przecież ci wszyscy, którzy znali Stanisława Wolnego, jego zawsze trzeźwe i rzeczowe rozumowanie, tak rzadkie wśród Polaków, przyznają wraz ze mną: zginął przedwcześnie człowiek wielkich możliwości.

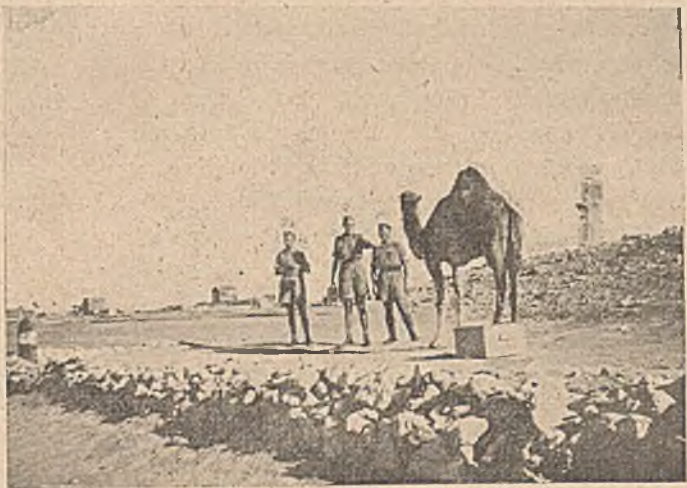
WOJCIECH BARCZ (Bernard Petters).

## W obozie Latrum

Latrum, 3 lipca 1940 r.

**K**apitulacja Francji. Kilka dni niepewności i obawy, że zmuszą nas niedawni towarzysze do złożenia broni... i radość z powziętej decyzji przejścia gra-

nicy syryjsko-palestyńskiej z bronią w ręku wbrew woli władz francuskich... uciążliwa droga w tropikalnym upale... wszystko to już za nami!





Rybniczanie w Emaus

Setki dużych czworobocznych namiotów na skrawku Ziemi Świętej między Jerozolimą a Tel-Aviv rozbrzmiewa śpiewem i mową polską.

Gwar, nawoływania, rozkazy, „przyzwyczajanie się” do nowego miejsca postoju.

W obozie naszym zatarły się zupełnie różnice pochodzenia, stanowisk niegdyś zajmowanych, wieku i wykształcenia. Obok siwiejącego rezerwisty profesora, radcy, robotnika, rolnika, rzemieślnika, uwija się młodzież gimnazjalna, akademicka, robotnicza i wiejska. Niema lepszych i gorszych, mądrzejszych i głupszych, bogatszych i biedniejszych. W całej tej masie żołnierskiej, przemundurowanej na wschodni sposób w angielskie szorty powyżej kolan, koszule i hełmy tropikalne, widać jeszcze tu i ówdzie kręcących się pól — cywilów —, skwapliwie zabiegających o to, by jak najprędzej ubrać się w mundury, stanąć w szeregach i dalej, choć na obczyźnie, bić się za wolność zdeptanej ojczyzny.

Na wzgórzach, gdzie teraz stoją namioty polskiej braci, przed dwoma tysiącami lat to samo słońce, które dzisiaj błyska w bagnecie polskiego żołnierza, błyszczało w krótkim mieczu i tarczy rzymskiego legionisty, stojącego na straży helleńsko - łacińskiej kultury. W tysiąc lat później te same pagór-

ki, deptała okufa w stal stopa Krzyżowca. W szeregach tego kwiatu rycerstwa Europy dźwięczał i polski miecz, brzmiała mowa polskich rycerzy, którzy porzucili dom, rodzinę i dobra doczesne dla obrony dóbr wiecznych. Siedemset lat później znalazł się tu znów żołnierz polski, aby bagnetem torować drogę do wolnej Ojczyzny, którą pokochał nad wszystko, by walczyć w obronie kultury.

Do ziemi, która kryje prochy rzymskich legionistów i Chrystusowych rycerzy, stąpa żołnierz polski — symbol nieśmiertelnej wielkości Narodu i Jego ideałów. Historii, po której śladach teraz stąpamy, możemy patrzeć prosto w twarz:

- bośmy byli zawsze narodem rycerzy, a nie rozbójników.
- bośmy najwyższe wartości cenili wyżej niż życie.
- bośmy długość drogi naszej w historii mierzyli klingą rycerskiego miecza a nie łokciem kupca, ceniącego wyżej korzyść od honoru.
- bośmy do ogólnego skarbcza kultury i postępu dali bogactwa niezniszczalne i tych wartości własną pierśią ofiarnie w ciągu wieków od barbarzyństwa bronili.

— bo nie znamy w dziejach naszych słowa kapitulacja, a nawet w niewoli nigdy nie byliśmy niewolnikami.

Spójrz, żołnierzu polski, z obozu w Latrum na daleki kraj! Odwieczny wróg niszczy,

plugawi, nasze świętości — morduje naszych ojców, siostry i braci. Ich krew i ofiara wyda nowych mścicieli. My stać się nimi musimy.

PAWEŁ PILNY



## Spotykamy się na dalekich szlakach wojny...

Czorośnie kilkanastu, później po kilkudziesięciu abiturientów opuszczało podwoje naszego gimnazjum. Jedni zaczęli studia uniwersyteckie, inni oddawali się pracy zarobkowej. Zadzierzgnięte na ławce szkolnej węzły koleżeństwa nie urywały się jednak wcale. Zrzeszało nas Akademickie koło Rybniczian, gromadząc na zebraniach wakacyjnych, wieczorkach, zabawach i wycieczkach, będąc jakby przedłużeniem życia szkolnego na gruncie koleżeńskim i towarzyskim.

Wybuchła wojna światowa. We wrześniu 1939 r. większość z nas walczyła z naporem niemieckich kolumn pancernych na Polskę. Potem, po przegranej bitwie, dla jednych treścią kilku lat życia stały się oflagi i stagi, drugich los zagnał do więzień i obozów koncentracyjnych, gdzie znosili nieopisane męki i upodlenie człowieczeństwa (K. Szweda Konrad, Tatarczyk Leon, Winkler Eryk, Depta Władysław, Michalski Paweł, Miczajka, Uczkiewicz Mietek i tylu innych...) lub z godnością Polaka umierali,

inni wstąpili w podziemia polskie, aby dalej prowadzić walkę z najeźdźcą, nie szczędząc trudów ni krwi i często ginąc na szanicach polskiej Sprawy (Adamczyk Brunon, Buchalik Maks., Heliosz, Zipser Franek); jeszcze inni przenieśli się do t. z. „Generalnego Gubernatorstwa“, lub wylądowali na terenach Z. S. R. R.

Znaczna grupa rybniczian po klęsce wrześniowej przedostała się za granicę, głównie do Rumunii i Węgier i o tych właśnie kolegach chciałbym wspomnieć szerzej.

W pierwszych dniach października 1939 r. na ziemi francuskiej nowopowstały rząd Rzeczypospolitej ogłasza manifest o formowaniu się polskiej armii pod dowództwem gen. Sikorskiego. Moralny imperatyw kazał nam zrobić wszystko, by jak najszybciej znaleźć się w polskich szeregach. Tyśięczne fale Polaków poczęły płynąć w strony Francji. Kilkudziesięciu naszych kolegów pokonałszy niezliczone trudności, przedostało się do Marsylii, a stamtąd do tworzącej się armii, zasilając szeregi dywizji gre-



Czterdzieści wieków patrzy na nas

nadierów i 2. dywizji piechoty. Gdy spistość armii francuskiej pod uderzeniem niemieckich tyranów poczęła katastroficznie trzeszczeć, polskie wojska, osłaniając niesławny odwrót Francuzów, cofały się w dwu kierunkach. Jeden wiódł do północnych i zachodnich portów francuskich, skąd w niezmiernie trudnych warunkach udało im się częściowo przedostać do Anglii. W szeregach I-go korpusu, który począł się formować na ziemi brytyjskiej, znaleźli się między innymi Ryszka, Józek Czech, Władek Brzezinka, Aleks Grzesik, Ryś Tłołka, Jerzy Malcher... Drugi szlak wiódł w kierunku Szwajcarii, do której przedarła się prawie cała 2. Dywizja piechoty. Spośród kolegów, którzy na terenie szwajcarskim dali się poznać ze swej ruchliwej pracy kulturalno-oświatowej w wojsku, należy wymienić przede wszystkim Miecia Basistę. Dla innych kolegów los mniej był łaskawym, gdyż wpadli do niemieckiej niewoli, w której musieli siedzieć aż do końca wojny (np. Norek Rzazonka, Jurek Bochenek).

Dalszą grupę kolegów zawierucha wojenna zapędziła aż na środkowy i Bliski Wschód. Na skutek zmienionych warunków polityczno-wojennych na wiosnę 1940 roku przedostanie się do Francji z Rumunii i Węgier stało się prawie niemożliwe, więc fala ochotników do wojska polskiego została kierowana na Bałkany, by stamtąd przedzierać

się dalej do tworzącej się w Syrii Brygady Strzelców Karpackich.

Droga do Brygady nie była łatwa. Po wy-dostaniu się z obozu internowanych trzeba było własnym przemysłem przemknąć się przez zieloną granicę węgiersko-jugosłowiańską lub rumuńsko-jugosłowiańską. Szczególnie niebezpieczną była przeprawa przez burzliwą i głęboką Drawę, której pilnowali zhitleryzowani strażnicy madziarscy. Wielu przedzierających się znalazło śmierć w jej nurtach. Z Jugosławii droga wiodła do Aten. Stamtąd naszą „Warszawą“ czy na obcych statkach płynęliśmy do Bejrutu. Niezapomniane było spotkanie na rozpalonej od żaru słonecznego ziemi syryjskiej kolegów z ławy szkolnej. W czerwcu 1940 r. spotykam w obozie pod Homs, gdzie organizowała się Brygada, Ks. Rudka Szawernę, Pawła Piłnego, Gulca Waltera, Sowę i Resia z Pszowa, Staszka Musioła, Czempika, śp. Rducha ze Skrzyszowa, śp. Sojkę z Niedobczyc obok śp. ks. Palkę i śp. ks. Waculika, franciszkanów rybnickich.

Odtąd wspólnie dzielić będziemy losy dziś już legendarnej Brygady Karpackiej. Długa będzie nasza droga do Ojczyzny i... cier-nista. Da się ona pobieżnie streścić w kilku zdaniach: Po kapitulacji Francji Brygada z bronią w rękę przebija się przez Liban do Palestyny. Tam przechodzimy intensywnie-



W świątyni Luksor

ne przeszkolenie na sprzęcie brytyjskim. i wyjeżdżamy do Egiptu, a stąd wiosną 1941 roku na Pustynię Libijską. W sierpniu tegoż roku Brygada obejmuje odcinek obronny na perymetrze oblężonego Tobruku. Bez mała przez sześć miesięcy bijemy się z „makaroniarzami“. Zaszyci w skalne bunkry głębokich jazów nadmorskich lub piaszczyste okopy pod Meduaurem (wzniesienie, z którego Włosi mieli pierwszorzędnny wgląd w nasze stanowiska), nuciliśmy nieraz:

Karpacka Brygado, daleki twój świat,  
Daleki żołnierza tułaczy szlak,  
Daleka twa droga w zawiejach i mgłach  
Od śniegów Narwiku w libijski piach...

15. grudnia 1941 r. w sławnej bitwie pod Gazalą Brygada okryła oręż polski nowym wawrzynem. Na polu chwały śmiercią żołnierza zginęli nasi koledzy: śp. Sojka z Niedobczyc i śp. Rduch ze Skrzyszowa. Ciała ich spoczywają na piaszczystym cmentarzu tobruckim.

Po kampanii libijskiej wracamy do Egiptu, skąd Morzem Czerwonym, Morzem Arabs-

kim, przez Zatokę Perską przybywamy do mitycznej krainy Adama i Ewy — Iraku.

Tymczasem na mocy układu Marsz. Stalin — Gen. Sikorski ze 120 tysięcznej masy polskiej, napływającej z terenów Związku Radzieckiego na Środkowy Wschód organizuje się w Iraku Armia Polska na Wschodzie, później przekształcona na II Korpus Polski. W ten sposób grupa rybnickich kolegów szkolnych znacznie powiększyła się. Przewodzi jej senior i kilkakrotny prezes A. K. R. — Janek Kłosok.

2. Korpus, odbywszy przeszkolenie wojskowe i otrzymawszy nowoczesny sprzęt bojowy, zostaje po roku przerzucony do Palestyny i Egiptu, by z początkiem 1944 roku wejść na krwawy ring wojenny w Italii. Nie miejsce po temu, by opisywać koleje tych ciężkich zmagania z Niemcami. Nadmienię tylko, że tak na stokach Monte Cassino na linii Gustawa, czy linii Hitlera, jak i na całym szlaku adriatyckim od Ortony do linii Gotów włącznie lała się i krew kolegów — rybniczian. Bohaterską śmiercią zginął m. in. Kocjan Leon z Rybnika i ppor. Burzywoda z Rydułtów, dow. plutonu wozów pancernych.

Nie prędko też zapomnę o tym, gdy ciężko rannego w szpitalu pod Bari, odwiedzali mnie koledzy z ławy szkolnej — choć drogę mieli nieraz bardzo daleką. Ale przyjaźń i koleżeństwo nie zna przeszkód przestrzeni. Ks. Rudek Szawerna, z którym zawsze kłóciłem się w szkole, przyjechał do mnie aż spod Bolonii. Przywiózł mi wtedy swój naprawdę serdeczny i szczery uśmiech, którego tak było nam brak na szlakach tułaczki i wojny...

W akcji bojowej mocno przerzedziły się szeregi inteligencji. To też już z początkiem 1945 r. rozpoczęło organizować na terenie wojska we Włoszech szkolnictwo ogólnokształcące i zawodowe. Wylizawszy się z ran, zostałem przeniesiony z wojska do Gimnazjum i Liceum nr 1, które mieściło się w Alessano, na samym końcu obcasa



**Komunia polowa  
w pustyni libijskiej**

buta włoskiego. Wśród wykładowców znaleźli się i rybniczanie: prof. Ciętek Zdzisław, Staniczek Wincenty, i Wiaterek Ryszard.

W czasie inspekcji naszej szkoły przez ks. biskupa gen. Gawlinę zawitał do nas i kolega z rybnickiej ławy, ks. Sławik Bonifacy, znany działacz społeczny i duszpasterz na emigracji (od Indyj Wschodnich poprzez Cejlon, Madagaskar, Syrię, Palestynę, Egipt, Italię, Anglię aż do Ameryki Półn.), kawaler krzyża walecznych za Monte Cassino, ostatnio proboszcz polski w Edynburgu, gdzie ufundował bursę dla polskich chłopców. Przez wspomniane Gimnazjum i Liceum, które istniało później na terenie Anglii, przewinęło się kilkudziesięciu kolegów rybnickich. Mimo, że poziom nauki był bardzo wysoki, wśród abiturientów, którzy otrzymali najlepsze świadectwa dojrzałości, znajdują się i rybniczanie. Z przyjemnością wspomnę choćby tylko „celera“ w matematyce i fizyce — kol. Warchełę Rudolfa z Wielopola, Gołąbka Teodora w chemii, obok tak pilnych i pracowitych uczniów jak: Depta Władek, Opic Edwin, Pajak, Salamon, Stęchły, Tomiczek Pawlas...

Osobny rozdział należałoby poświęcić tym wszystkim kolegom, którzy przymusowo zostali wcieleni do „Wermachtu“. Bardzo często ryzykowali oni życie, by przedostać się do naszych szeregów. Dzieje niejednej ucieczki klasyfikują się do rzędu powieści sensacyjnych.

Potem, gdy działania wojenne skończyły się, już na terenie Anglii mieliśmy do wyboru: albo dalszą tułaczkę zagraniczną w imię niewiadomej idei, albo powrót do Ojczyzny. Znaczna większość nas już wróciła. Reszta wraca.

Robiąc dzisiaj bilans, czy w okresie wojny wychowankowie Gimnazjum i Liceum rybnickiego dobrze spełnili swój wobec Polski obowiązek, w pierwszym rzędzie chylimy czoła przed duchami tych, którzy padli na posterunku. Dali oni przykład, że w dziele odbudowy utraconej wolności nie ma żadnych kompromisów: jest tylko bezpardonna walka, walka na śmierć i życie!

Przed nami znów, którzy z tej walki wynieśliśmy życie, stoi święty obowiązek: przez uczciwą, rzetelną i wytężoną pracę przyczynić się do najrychlejszej odbudowy wolnej i demokratycznej Polski.

Mgr ALFONS MROWIEC.



# Odyseja w piaskach libijskich

(Wyjątek z pamiętnika).

18 stycznia 1941 r.

Rozpętało się na pustyni nowe piekło. Pod wieczór hamsin przemienił się w szaloną burzę. Ogromne masy piasku, siłą wiatru podrywane z ziemi, wyły i pędziły w powietrzu, że na pięć metrów nic nie było widać. Szczęściem zdążyliśmy na czas schować się do naszych bud. Dla pewności nakrywamy je dodatkowo włoskimi kocami i przyciskamy ciężkimi kamieniami. Mimo to wewnątrz ciemno od kurzu jak w wędzarni. Nasze gardła i tchawice rżęzą, oczy łzawią, powieki pieką boleśnie. Gorąco nie do wytrzymania. Z każdego leje się pot kroplisty. O spaniu mowy nie ma. Dopiero gdzieś koło północy burza nieco złagodniała. Trzepiemy koce i bieliznę. Ale niebawem wichura wzmagą się na nowo. Tym razem otwierają się niebieskie upusty, i leje deszcz jak z cebra. Miesza się z piaskiem i pyłkiem glinowym. Brudna ciecz i błoto zatyka uszy i oczy, zlepia włosy. Wszystko to jest takie nieznośne. Mijają długie bezsenne godziny nocy. Burza szaleje bez przerwy.

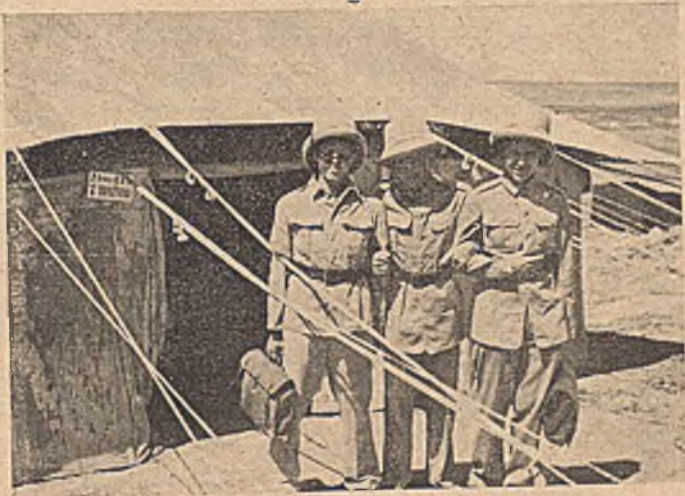
W pewnej chwili wesoły Āta z Chorzowa wrywa się z budy na pole: wypił za dnia zbyt wiele wina włoskiego. Mijają minuty,

godziny, a on nie wraca. Obabuleni w koce wychodzimy na poszukiwania, wołamy, szukamy naderemnie. Āta przepadł jak kamień w wodę. Czarne myśli pchają się do rozgorączkowanych głów, choć nie chcemy wierzyć, by Āta zginął w piaskach, był przecież taki cwany i rezolutny...

O świcie burza ustała. Zrywamy się znowu na poszukiwania. I oto widzimy taki obrazek: Āta, zwinięty w kłębek i w koc zwiniony, śpi snem sprawiedliwych nie dalej, jak 10 kroków od naszego obozowiska.

Z trudem udaje się nam go zbudzić. Podnosi głowę, siada, przeciera oczy i pyta: „kajżech to jest, pierona?“ A po tym opowiada jak to było:

— Wicie przeca, żech sie wyłoz wyónaczyć... Wrócom późni do moi szlafszuby, ida i ida, a tu pieróna kandego trefić ni moga i, mi się zdo, że te budy nasze porwoł wiafer. Chodza tam i nazod, wołom na wos, a wy, pierony, nic. Piosku mi tak nasuło do hydronia, żech już niy móg od-dychać. To se myśla, że jak tak byda dalej laził, to mie całkiem zadusi. Więc żech sie położył na ziemia ryjokiem za wiatrem, łowinążech sie moja regimentpalica kocem i czekom, aż ta pierońsko burza diobli we-



Trzech karlusów na pustyni

zmą. Czekom, czekom... zachciało mi się spać, no i jak widzicie, toch się zdrzymała i przespała niezgorzi. A teraz to, Paulku, dej mi trocha tej czerwonej ćmogi, bo se musza hyrdek przepłukać i tego pioszczystego chroboka zaloć...

Niebawem słońce wypłynęło na świat z głębin morskich, rozpraszając do reszty nasze udręki... Po tej burzliwej nocy wyglądamy jak utopcy, wyciągnięci z jakiejś

mazi gliniastej, albo jak ów Odys tułaczy, gdy go wyrzuciła burza na ląd. Bierzemy więc kąpiel w morzu, zmywając przylepiony do ciała muł i piasek. Trzeba było również wyprać bieliznę i mundur, a potem czekać aż je słońce osuszy. W międzyczasie dla rozrywki wyprawiamy różne harce na brzegu, znowuż podobnie jak w Odysei Homera, tylko niestety nie zjawiła się nam żadna królewna Nauzyka z orszakiem dzieci.

Mgr ALFONS MROWIEC.

## Jak przedarłem się na wschód?

Gdy miałem chwycić za pióro i przełać na papier trochę własnych przeżyć z ostatnich lat, nadleciały wspomnienia... Tamte dalekie sprzed wojny, piękne i miłe, czasy nauki szkolnej jak rajski owoc, co lśni czarem młodości, zapamiętałem i wiary w własne siły.

Czy na to je przywoździć na pamięć, by się roztkliwiać, rozmarzać? Słabość woli tylko stąd wyniknie i zawziętość zmaleje.

Zresztą zwali się zaraz potworny koszmar dni okupacji, nabrzmiałych naprzemian bezdenną rozpaczą i ufną nadzieją. Koszmar, który swą potwornością przerasta wrzysko, co ludzkie.

Lecz koszmarnie lata minęły. Znowu, jak dawniej, załopotwały biało-czerwone sztandary, zwiastując początek jeszcze twardej, ale jaśniejszej rzeczywistości. Zegar czasu nie zatrzymuje się i nie duma nad tym, co było. Tylko człowiek ma władzę przeszłość zatrzymać, więc może jednak z tej władzy skorzystać?...

Rok 1937, 1938. Klasa II i III b Państwowego Gimnazjum w Rybniku. Profesor Dominik jest opiekunem klasy. Język polski wykłada wymagający prof. Libura, matematykę — prof. Marszał.

Spośród z górą czterdziestu kolegów pozostał w pamięci Karamara, „chodząca encyklopedia”, potem Mocha z Jastrzębia, u-

rodzony sceptyk, ćmiący pokątnie papierosy, Musioł z Radlina — prymus z matematyki, ulubieniec prof. Marszała, Kurowski z Wodzisławia o mlecznych włosach i kobiecym głosie — grono niezmiernie ambitne. Oprócz nich — szereg innych mniej wybitnych luminarzy klasowych, no i reszta — pospolite ruszenie.

W jesieni 1938 r. przeniesiony zostałem do gimnazjum w Boguminie, na Zaolziu. Tylko niewielu spośród byłych kolegów, bliżej Bogumina mieszkających, dotrzymało mi towarzystwa. Poziom nauki niższy od rybnickiego, ogólny niepokój polityczny, wiążąca w powietrzu zawierucha dziejowa — oto mgliste wizje tamtych dni.

Wrzesień 1939 r. Błysk i grom! Ojczyzna powalona, zdeptana, jej imię zohydzone przez propagandę hitlerowską! Bezgraniczna rozpacz w młodych sercach, rozpacz, która nabrzmiwia bólem w miarę rozwoju wydarzeń: Dania i Norwegia obezwładnione, Holandia, Belgia, wreszcie i Francja pada bezsilnie, żelazny pierścień zagraża Anglii...

Pierwszy rok okupacji spędzam w domu przy rodzicach, następnie parę miesięcy ciężkich robót przy budowie kanału Odra-Dunaj pod Kędzierzynom, wreszcie mobilizacja do oddziałów tzw. Arbeitsdienst. Trzymiesięczne przeszkolenie w Bawarii, potem roboty w Polsce na lotnisku w Krośnie.

---

Nadchodzi pamiętny, historyczny dzień 22 czerwca 1941 r. O północy budzi nas potężny, nieustanny ryk samolotów bombowych, które załadowane kolejno startują, ażeby po godzinie wrócić po nowy ładunek zniszczenia. Sądząc z wiadomości powtarzanych wokoło, wszystko szło jak z płatka. A jednak lęk panował tego dnia wśród Niemców. Szeptem dzielono się obawą, że Führer tym razem się jednak pomylił.

I znowu rozpoczęły się ciężkie dni. Nareszcie po długich miesiącach ciężkiej przyfrontowej służby na Ukrainie wracam szczęśliwie do domu.

Wrogi mundur drapieżnych półbogów nie na długo jednak pozwolono mi zrzucić. W trzy miesiące później, tj. w marcu 1942 roku doręczono mi kartę mobilizacyjną do armii niemieckiej.

I znów przeszkolenie rekruckie w Nadrenii, a po trzech miesiącach znalazłem się powtórnie na terenach ZSRR w okolicy Orła na środkowym odcinku frontu. W duszy dojrzewiała decyzja...

12 kwietnia 1943 r. Ciemna, pochmurna noc przedwiośnia. Mży drobny deszcz. Stoję na posterunku przy cekaemie wraz z drugim kameradem, nazwiskiem Höcker z Hamburga. Tamten jest gefrajtem i podchorążym, ja zwykłym strzelcem. Przed powołaniem do wojska był SA-Obersturmführerem. Ambitny, ale w swych wielkich okularach na nosie ogromnie komiczny. Przechadza się, jak bocian, na swoich długich nogach, obuty w niedopasowane filce wartownicze. Krok nerwowy, szybki. Spogląda to w stronę pozycji sowieckich, położonych w dolinie o 700 metrów, to w stronę ziemianki, skąd ma nadejść zmiana, to wreszcie na swój naręczny zegarek.

Śliskie zwały czerniałego śniegu pogłębiają grobowy nastrój tej nocy. Na froncie panuje zupełny spokój, tylko czasem to tu, to tam odezwie się pojedynczy strzał karabinowy. Broni maszynowej wcale nie słychać: Niemcy zarządzili jak najdalej idącą oszczędność amunicji.

Mój towarzysz wreszcie nie wytrzymał. Wiadomo, w butach mokro, czego się tknąć, wszystko ocieka wodą, wokół diabelnie ciemno, a tymczasem zegarek wskazuje już 15 minut przed trzecią nad ranem.

Przyjęte było w drużynie, że zmianę szedł budzić jeden z wartowników na 15 minut przed oznaczoną godziną, lecz winien był natychmiast wracać na posterunek. Czynił to zawsze gefreiter Höcker, mieszczuch, ogromnie wrażliwy na niewygody frontowe, i mimo że był podchorążym i zastępcą dowódcy drużyny, nigdy na posterunek już nie wracał, lecz gdy zmiana szykowała się do wyjścia z ziemianki, rozpalał w piecu ogień, gotował herbatę, wypijał i skoro tamci wyszli, kładł się na swoją pryczę wysłaną trzema kocami (i... ożywioną rojem drobnych a dokuczliwych stworzonek).

Na tym niewinnym nawyku hamburskiego gefreitera budowałem swój plan. Wykonać postanowiłem go właśnie dzisiejszej nocy. Nie można było dłużej czekać. Za trzy dni dywizja miała być przesunięta na inny odcinek frontu. Przygotowania były w toku. Piesza włóczęga dziesiątki, a może setki kilometrów wzdłuż frontu nie kryła nic ponętnego. Poza tym teren tutejszy znałem już jak własną kieszeń, co też nie było bez znaczenia.

Na posterunku nie rozmawialiśmy prawie nigdy. Raz dlatego, że rozmowy takie były surowo wzbronione, powtóre, że Höcker do rozmowy ze mną nie był skory, bo kaleyłem język niemiecki niemilosiernie.

W ciągu tych dwóch godzin warty modliłem się gorąco. Prosiłem Boga Wszechmocnego i Matkę Najświętszą, by wzięli w swą opiekę moją rodzinę, tam daleko na Śląsku. Wiadomo, czym groziła dezercja dla rodziny żołnierza.

Starałem przygotować się na śmierć. Żegnałem rodziców, siostrę i braci, dziękowałem za wychowanie i miłość. Obrazy lat szkolnych przesunęły się w wyobraźni. Łzy cisnęły się do oczu.

— „Es ist fünfzehn vor drei, ich gehe sie wecken“ — odezwał się w pewnej chwili hamburczyk.

— „Gott sei Dank!“ — odburknąłem w odpowiedzi.

Odczekałem chwilę (do ziemianki było 30 metrów), następnie przeżegnałem się krzyżem świętym i podskoczyłem do ckm-u. Rozładowałem go i wyciągnąłem podajnik, chowając go do kieszeni płaszcza. Amunicję taśmową zmieszałem z błotem. Cztery granaty zanurzyłem w wodzie na dnie rowu. Rakietnice wyrzuciłem daleko przed siebie. Schwyciłem wreszcie karabin i pobiegłem ostrożnie w stronę drutu kolczastego. Byłem jak w gorączce, ręce drżały nerwowo. Przede mną zamajaczyły druty zasieków.

Kto opisze moje przerażenie! Upatrzonogo jeszcze w dzień otworu w zasiekach nie było. Jednak w następnej sekundzie oprzytomniałem. Przecież to więcej w lewo! A zresztą można i tu spróbować — drut nie zbyt wysoki... Mimo woli jakoś poszedłem w lewo.

Znalazłem otwór, przechodzę ostrożnie. Prawy but tylko gdzieś mi się zaplątał w drucie — szarpnąłem mocniej...

O Boże! Straszliwa eksplozja i blask, rozdarły grobową ciszę i ciemność. W świetle wybuchu zdążyłem spostrzec obok jakiś lej i nasyp. Siłą własnej woli, czy też wybuchu, padłem na nasyp twarzą do ziemi. Na prawym biodrze poczułem coś ciepłego. Może rana?...

Lącząc, uprzytomniłem sobie, że szarpnąwszy butem, zerwałem minę w zasiekach, która wybuchła mniej więcej w tym miejscu, gdzie chciałem początkowo się przedostać.

Wybuch miny na przedpolu oznacza alarm dla całego batalionu. Jednak rakiety opadły i nic się nie działo.

Nie zwlekając, zerwałem się i począłem biec co sił w nogach w stronę okopów sowieckich. Pamiętam, że przesadziłem w biegu drut kolczasty, potem znalazłem się w

okopie. Wszystko trwało zaledwie parę minut. Biegnąc, nie myślałem o tym, że podsłuchy niemieckie, wysunięte przed pozycje główne, mogą mnie usłyszeć, że wystarczy jeszcze jedna rakietka...

Zziębnięty i spocony, oparłem się o ścianę okopu. Tutaj czułem się na razie bezpieczny. Musiałem odpocząć.

Po chwili zauważyłem, że poczyna się lekko rozwidniać. Kontury otaczających przedmiotów zamajaczyły wyraźniej. Rowy były tutaj płytsze, a załamania ich więcej owalne, nie takie jak u Niemców. Wyszedłem z rowu i rozglądałem się. Do 20 metrów było można przedmioty rozpoznać. Nie wiele mi to jednak pomaga. Wszędzie cicho. Poszedłem na wprost, stąpając ostrożnie. W pewnym momencie zdawało mi się, jak gdyby ktoś przytłumionym głosem rozmawiał. Przystanąłem. Tak, wyraźnie dolatywał mnie jak gdyby spod ziemi szmer rozmowy: rozmawiano po rosyjsku!

Ale właśnie teraz należało być przezornym i sprytnym: Krzyknę na nich zdaleka — będą strzelać, murowane! Podejść do nich zbyt blisko — przestraszą się fryca i też kropną! Zszedłem z powrotem do okopu i posuwałem się ostrożnie w ich stronę. Dość. Rozmowę było słychać całkiem wyraźnie. Puls bił mi w skroniach jak młot. Skryłem głowę za nasyp i zebrawszy się na odwagę, krzyknąłem głośno:

— „Towariszcz, nie strelaj, ja Polak!“

Rozmowa urwała się momentalnie. Powtórzyłem to samo już głośniej.

— „Kto eto?“ — usłyszałem szybki, gwałtowny głos. — „Wychodi po bystrej!“

Niewiele myśląc, wydrapałem się z okopu i stanąłem na krawędzi w całej swej okazałości.

— „Fryc!“ — wrzasnął tamten z furją.

Wyskoczył błyskawicznie z rowu i celując we mnie karabinem, zaczął z boku podchodzić, zataczając półkole.

— „Ruki w wierch, fryc kaput!“ — usłyszałem już blisko za sobą.

---

Podniosłem posłusznie ręce w górę.

— „Koniec ze mną“ — myślę, ale zaczynam jeszcze raz od nowa: „Nie strzelaj, ja Polak“. I nic wystrzelił. Trzymając wciąż karabin gotowy do strzału, podkradł się do mnie i zdjął mi karabin z ramienia, powtarzając wciąż: „Ruki w wierch“. Następnie zdjął pas z pełnymi ładownicami (ulotki rosyjskie wzywały, by zabierać przy zdawaniu się broń z sobą) i sprawnie przeprowadził rewizję za granatami. W kieszeni płaszcza znalazł podajnik ckm-u. Groźnie spojrzął na mnie i potrząsając nim w rękę, zapytał: — „Czto eto? Szczęście, że pamiętałem trochę rosyjskich słów jeszcze z pobytu na Ukrainie. Wy tłumaczyłem więc, że „rozruszałem ciężki pulomiot“ — co było nie zupełnie ściśle, ale uspokoiło groźnego rewidenta. Najspokojniej włożył mi podajnik z powrotem do kieszeni.

Poprowadzili mnie do swego ckm-u w okopie. Szedłem, a w piersiach czułem szaloną radość. Przecież mój wariacki krok się udał! Zacząłem mówić bezładnie o wszystkim, co dzisiejszej nocy przeżyłem, szybko, z satysfakcją, że mogę się wreszcie po tylu miesiącach milczenia przed kim wywnęrzyć. Chciało mi się wziąć ich obu w ramiona, i serdecznie wyściskać. Słuchali z początku nieufnie, nie wszystko dobrze rozumiejąc, potem zaczęli spoglądać na mnie z zaciekawieniem, wreszcie sami poczuli się o to i tamto zapytywać. Kiedy po godzinie schodziliśmy w dolinę (ckm-y ściągano z nastaniem świtu), zdawało nam się, że znamy się od dawna, że nic nas nie dzieli, a wszystko łączy.

W dolinie przyjął mnie dowódca kompanii, starszy lejtnant, najpierw bardzo nieufnie i podejrzliwie, kiedy jednak moi dwaj znajomi opowiedzieli całą sprawę od początku, stał się przystępny, a nawet serdeczny. Wezwał sanitariusza, który mi opatrzył lekką ranę na biodrze i sprowadził lejtnanta, mówiącego po polsku. Stęskniony za językiem ojczystym, wdałem się z nim zaraz w rozmowę, naprzemian pytając i odpowiadając.

Wkrótce przyniesiono obfite śniadanie (z konserwy amerykańskiej), do tego wódki i papierosów. Zabrałem się z apetytem do jedzenia, podczas gdy lejtnant nie zasypiał sprawy, skrzętnie wypytując o uzbrojenie i wyżywienie Niemców, o rozmieszczenie stanowisk artylerii (w czym się nie bardzo jako strzelec orientowałem), moździerzy, gniazd ckm-ów i rkm-ów (to już wiedziałem dokładnie), nastrój żołnierzy, ich bojowe nastawienie itp.

Kiedy wyszedłem wreszcie z ziemianki, a przywitało mnie uśmiechnięte, wiosenne słońce, nabrałem animuszu i zaintonowałem z całych sił: „Jeszcze Polska nie zginęła“...“ — tak prosto, po żołniersku.

Poprzez Oddział Polityczny Dywizji, gdzie obwożony po różnych odcinkach frontu, wzywałem przez megafon żołnierzy niemieckich do przejścia na stronę Armii Czerwonej, poprzez obóz dla jeńców wojennych w Aleksynie koło Tuły, gdzie spotkałem rodaka i kolegę szkolnego Kubka Maksymiliana z Rydułtów (obecnie major i szef wydziału w Dep. Samochodowym), poprzez obóz dla jeńców Słowian w Krasnogórsku pod Moskwą — dostałem się wreszcie do 3. Dywizji Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR w Sielcach, gdzie znów spotykam rybniczana: por. Józka Rudolfa i obecnego adiutanta wojewody, mjra Fojcika. Odesłany do Riazania na podchorążówkę, wyszedłem stamtąd po przyspieszonym kursie podporucznikiem W. P., by ruszyć na front.

\* \* \*

Radosny był powrót po trzech latach tułaczki do wioski rodzinnej. Rodziców i rodzeństwo zastałem w zdrowiu, z wyjątkiem brata, który jeszcze w r. 1943 przepadł na froncie wschodnim bez wieści. Z zabudowań szopa spalona, dom ocalał — jeden z niewielu w zniszczonym do cna Rogowie. Bóg przyjął tamtą pamiętną modlitwę!

I do kochanych murów gimnazjalnych wróciłem jeszcze! Witwały serdecznie przybysza z dalekiej wędrowni. I one i on mało się

zmienili, postarzelii się tylko. Słuchały życzliwie, jak po ośmiu latach rozłąki zdawał egzamin dojrzałości. Dziwiły się trochę, bo przecież tym razem było nieco inaczej: Ten przybysz musiał zdać egzamin najpierw zdaleka od swych stron rodzinnych, na polu walki, wśród obcych i wrócił, by uczynić to teoretycznie.

Z grona profesorów niewiele zostało. Jest prof. Szymański, obecny dyrektor, prof. Kossman, prof. Libura.

Również spośród kolegów klasy II i III b mało kto się ostał. Musioł, matematyk, zgi-

nął śmiercią bohaterską w walce z okupantem w oddziałach partyzanckich. Jedynie Mięsołka z Rybnika i Chłódka z Niedobczyc spotkałem. O innych brak wiadomości. Czas goi rany i warstwą zapomnienia pokrywa przeżycia, osoby i nazwiska. Warto jednak czasem tę warstwę zetrzeć i przypomnieć o tym, co było wzniosłego i wartościowego z minionych dni. Żąda tego duża ludzka, a obowiązek wobec przeszłości nakazuje.

DĄBEK JÓZEF, POR.

## Pod Monte Cassino

(Wspomnienie uczestnika).



Odnaczenia polskie jednego z wychowanków

Jest godzina 11 przed północą z dnia 11 na 12 maja 1944 r. Sto kilkanaście pułków artylerii alianckiej rozpoczyna bombardowanie stanowisk niemieckich na odcinku 2. Korpusu pod Monte Cassino. Wychodzimy z wnek wykopanych pod czołgami, by popatrzeć się na wspaniałą robotę alianckiej artylerii. Masyw Mte Cassino i okolicznych wzgórz, oświetlonych światłem księżycy i ogniem tysięcy rozrywających się pocisków, chwileje się w swych posiadach, klasztor stoi jednak niewzruszenie, jakby pociski nie miały się jego odwiecznych murów.

Żołnierz polski stoi przed trudnym zadaniem: Już od szeregu miesięcy najlepsze pułki angielskie, hinduskie, nowozelandzkie, amerykańskie i francuskie krwawią bezskutecznie u stóp góry, będącej kluczem do linii Gustawa... Teraz przychodzi kolej na nas. Jeszcze kilka chwil dzieli nas od natarcia. Wśród piekielnego huraganu ognia cofamy się w myśli do pamiętnych dni września, gdy rozbici przez hitlerowskich najeźdźców drogą na Rumunię, Jugosławię i Włochy dążymy do tworzonej przez gen. Sikorskiego Armii Polskiej we Francji... Zbyt prędko jednak miał prysnąć mit o po-



Odznaki oddziałów: 2 baon panc., spadochroniarze, dyw. Warsz., 2 bryg. panc., 8 Armia

ędcze naszej siostrzycy, chronionej linią Maginota. Gdy część naszych dywizji stawia dzielnie czoło Niemcom na froncie, reszta nieuzbrojona, wśród ogólnego zamieszania szuka drogi tam, gdzie o kapitulacji się nie mówi.

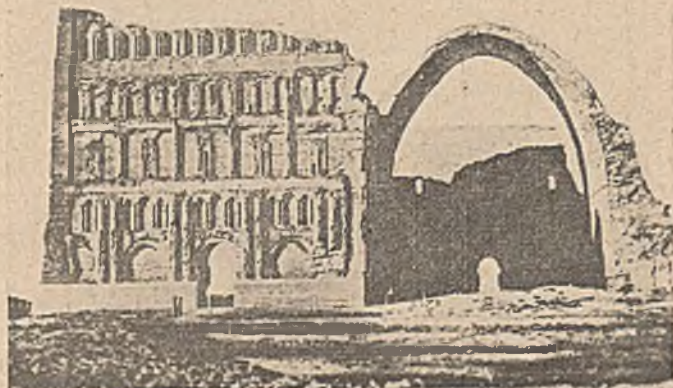
W krytycznych dla Anglii miesiącach 1940 roku umacniamy wybrzeża Szkocji w oczekiwaniu inwazji i śledzimy z dumą brawurowe zmagania naszych lotników na podniebnym szlaku bitwy o Anglię. Brygada Karpacka w oblężonym Tobruku utrwała sławę oręża polskiego, a gdy niemiecki korpus afrykański staje pod Aleksandrią, otrzymujemy zadanie obrony pól naftowych Iraku i Persji.

Przewiezieni na pustynię iracką, przechodzimy do nowego rodzaju broni — do broni pancерnej. Ćwiczymy na zdobycznym sprzęcie. W dni urlopów zwiedzamy kolebki kultury pomiędzy Eufratem i Tygrysem, staje-

my u stóp przerażających ogromem grobowców faraonów — piramid i sfinksów, chodzimy po miejscach, gdzie żył i nauczał Chrystus.

Dzień za dniem mija na spełnianiu obowiązków żołnierskich wśród namiotów pustyni. Zabójczy klimat, temperatura do 65° Celsjusza pod namiotami, choroby tropikalne, powodują straty w szeregach, nie zdołają jednak ani na chwilę osłabić ducha. Wreszcie, gdy ofensywy amerykańsko-angielskie znoszą niemiecko-włoski korpus ekspedycyjny w Afryce, zajmują Sycylię i lądują we Włoszech czujemy, że i dla nas wybiła godzina.

Przewiezieni do Włoch stajemy przed linią Gustawa w okolicy Mte Cassino. Morderczy ogień setek dział różnego kalibru zasypuje bez przerwy pozycję wroga. Powoli, jak za mgłą, zostają wspomnienia Babilonu, Ziemi Świętej i Egiptu. Zapominamy o cu-



Ruiny starożytnego Wschodu



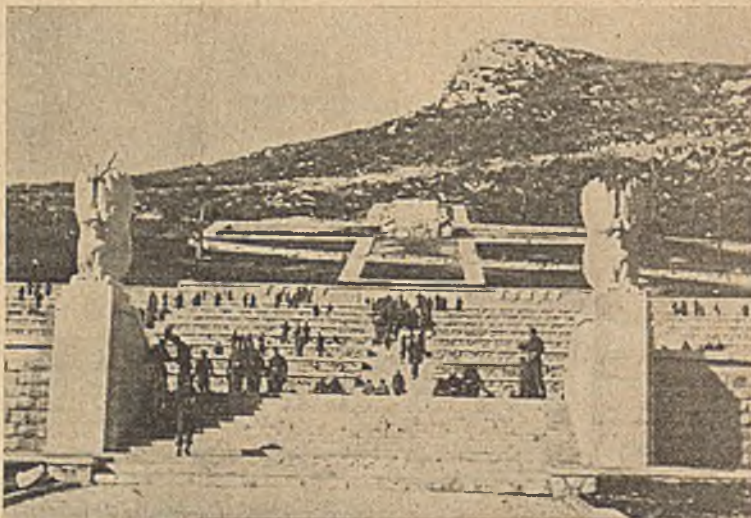
Nad Oceanem Indyjskim

dach przyrody i wysokiej kulturze Unii Południowo-Afrykańskiej, znikają z oczu piramidy i sfinksy, tysiącletni świadkowie potęgi faraonów. Myślimy o ciężkim zadaniu, jakie nas czeka za chwil kilka, gdy milknąc zaczną działa nasza artyleria i przyjdzie spotkać się z odwiecznym wrogiem. Myślimy o naszych bliskich w Ojczyźnie, o rodakach ginących na szubienicy, rozstrzeliwanych na rogach ulic, jednak trwających w bezwzględnej walce z najeżdżącą... Dymią kominy krematoriów, jęczą najbliżsi w pętach niewoli. Drogi do nich bronią wyborowe oddziały spadochroniarzy niemieckich.

Niech artyleria zamilknie! Jesteśmy gotowi. Jak lotnicy nasi w walce o Anglię, jak ma-

rynarze na wszystkich morzach i pod ich powierzchnią, jak nasi bracia w Ojczyźnie — spełnimy swój obowiązek!

Myliłby się ktoś myśląc, że setki ton żelaza i stali zdołały zniszczyć wroga, broniącego zamienionej w potężną twierdzę Monte Cassino. Przekonujemy się o tym niebawem, zasypywani ogniem zza każdej skały, z każdej szczeliny. Każdy krok, każda piędź ziemi musi być krwawo okupiona. Obok niepogrzebanych od miesięcy ciał żołnierzy alianckich padają zwłoki Polaków, walczących z wiarą, że otwierają drogę do wolnej Ojczyzny. Po ich trupach pchają się inni, niszcząc granatami bunkier po bunkrze. Przez siedem dni walka toczy się ze zmiennym szczęściem. Ze zgrozą dowładujemy



Cmentarz Monte Cassino



się o stratach, dochodzących do 70% stanu oddziałów, o śmierci szczerych przyjaciół i kolegów, których przed chwilą mieliśmy przed sobą. Wycieńczeni do kresu sił i wybici, tracimy coraz to nowe zdobyte uprzednio pozycje. Wszystko wskazuje na to, że grozi nam klęska. Siedząc na stanowisku słysząc przez radio rozkaz do generalnego natarcia piechoty. Łzy stają nam w oczach, gdy patrzymy na drapiące się po stromych zboczach sylwetki żołnierzy. Jesteśmy bezsilni, nie mogąc im pomóc czołgami. Nawet i ogniem dział wesprzeć ich teraz nie możemy. Słuchawki mam stale na uszach

i z biciem serca słucham komunikatów z pola walki. Oddziały prą stale naprzód, ponosząc dotkliwe straty. Nagle... uszom nie wierzę! — Polska flaga zatknęta na Monte Cassino! — Wstrząśnięci do głębi, padamy sobie w objęcia! — płaczemy z radości.

Lotem błyskawicy płynie po falach eteru radosna wieść, że Monte Cassino zdobyte przez polskich żołnierzy. Wyśmiewana w niemieckich komunikatach „armia cowbojów“ pokazała zęby niemieckiej pysze. Droga do Rzymu wojskom alianckim otwartą. Nowa, o ileż krwawsza Samosierra!

RYSZARD TŁOŁKA, ppor.

## Z ziemi włoskiej do Polski



Rybniczanie pod włoskim niebem

lipiec 1944 r. Offida, nędzna miścina włoska, na południe od Ancony. Nareszcie między swoimi! Nareszcie można porozmawiać ludzkim językiem, polskim! Nareszcie spragnione oko doczekało

się upragnionej chwili — zobaczyło wojsko, polskie wojsko! Chociaż mundur inny, lecz orzełki na czapkach te same, co kiedyś... Chociaż na obcej ziemi, lecz żołnierze ci sami, co we wrześniu, ogarnięci tym samym szaleństwem, szaleństwem walki z germańskim barbarzyńcą.

Po załatwieniu formalności, przywdziewam mundur i już należę do tej szarej masy, której przewodnim hasłem jest marsz „z ziemi włoskiej do Polski“. Po kilku dniach mego pobytu w Kurpusie spotykam pierwszego znajomego. Jest nim mój „stary“ kolega St. Morgała. Krótkie powitanie, serdeczny uścisk i najciekawszy temat: „Jak tam Rybnik?“ Mamy trochę czasu, więc udajemy się do pobliskiej „trattoria“, chcąc chwilę tę upamiętnić „fiaską“ czerwonego wina. Wkrótce przechodzimy na nasz najmilszy temat: „Nasza szkoła, nasza dawna II b“. Padają obustronne pytania i odpowiedzi. Okazuje się, że i tutaj na południu dosyć liczne grono wychowanków naszego gimnazjum walczy o nową Polskę. Nie brak również naszych byłych pedagogów. Otrzymuję od Stasia parę adresów — no i... czas na mnie. Dalej w drogę!

Parę dni później rozpoczęła się ofensywa na Anconę, linię Gotów...Walka idzie na całego, człowiek nie ma chwili wytchnienia, nie ma się również czasu na wspomnianie tego starego gmachu w Rybniku przy ul. Kościuszki 41 i na wszystko, co z nim jest związane.

Po zdobyciu Bolonii zostajemy wycofani z akcji. Spotykam wówczas ppor. Tłokę Ryszarda, byłego ucznia naszego gimnazjum. Dumnie zawisła na jego piersi kokarda orderu „Virtuti Militari“. Został nim odznaczony po bitwie pod Monte Cassino.

Następnie w krótkich odstępach czasu spotykam często dawnych uczniów naszego gimnazjum. Mgr Alfons Mrowiec, jeden z pierwszych, którzy na obczyźnie walczyli przeciw Niemcom. Był członkiem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, otoczonej przez Niemców w Tobruku. Dalej koledzy z mojej starej II b: Kuśka Grzegorz, Szymura Henryk oraz inni, podchorążowie Go-

łąbek T., Krasnodębski, Kołowrot Jan, Sowa Norbert, Plener Jan, Hoszek Florian, Sierny Alfred, Karwoł Maksymilian, Depta Wł., Stęchły Wł. Pająk Teodor i inni.

Z wychowawców moich, oprócz wyżej wymienionego mgr Mrowca, spotkałem również ppor. Ciętaka oraz prof. Cieklińskiego St., który uczył w szkole polskiej w Palestynie.

Dumnie mogłem stanąć przed moim byłym opiekunem klasy i jako wójt klasy II b z roku szkolnego 1938/39 zdać raport:

„Było nas 43, trzech sprzeniewierzyło się naszej sprawie, z pozostałych czterdziestu jeden zginął śmiercią bohatera w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, reszta zaś pozostała wierna tym ideałom, któreś nam wpajał podczas Twych patriotycznych pogadań, ideałom służby dla dobra ogółu, ideałom służby dla Polski“.

HERBERT MUSIOLIK.



## Różnie bywało

(Ze wspomnień partyzanta).

Słońce jak wielkie ognisko dogasało na krańcach widnokregu, kładąc purpurowe smugi na lśniącem śniegu. Komendant, siedzący przy oknie niskiej chałupy, zgasił niedopałek papierosa, poprawił

rewolwer za pasem, popatrzył przez okno i rzucił gdzieś w stronę sufitu pytanie:

- Gotowe?
- Tak! — odpowiedziało kilka głosów.
- Wymarsz!

---

Wysypaliśmy się przez niskie drzwi na podwórze. Suchy trzask butów i troje sań wypełnionych po brzegi (było nas 26) pomknęło po utartym śniegu. Słońce już zeszło, zerwał się drzemiący dotąd wiatr i zaczął spędzać na niebo chmury.

— Pogoda psuje się — zauważył któryś.

Minąwszy z boku wieś, skręciliśmy na drogę wiodącą przez las. Celem dzisiejszej wyprawy było rozbicie posterunku niemieckiej żandarmerii w G...

Minęło lato 1944 roku, obfite w dziwne wydarzenia, zbroczone krwią żołnierza armii podziemnej. Batalion nasz, który do późnej jesieni siedział w lasach, staczając liczne potyczki i bitwy z Niemcami, został rozdzielony na małe oddziały, które ulokowano po wsiach. Rosyjscy towarzysze broni: „Haroszyj“, „Miedźwiedź“ i „Akuła“, którzy uciekli do nas z niewoli niemieckiej, ruszyli przedzierać się przez front do swoich. Do naszych oddziałów zaczęli napływać nowi ochotnicy, więc odczuwało się dotkliwy brak broni i należało organizować wyprawę zdobywcze. Ostatnio nasi wywiadowcy zbadali, że w G. na posterunku możemy wzmoćić nasz arsenał. Dwadzieścia karabinów, cztery rewolwery, trzy pistolety automatyczne, piętnaście granatów i niespełna tyśiąc naboju stanowiło całą naszą siłę bojową. — Jeszcze nam tylko szabel brakuje, a możemy iść na Berlin — żartował dwumetrowy Longin, siedzący obok mnie na saniach. Po obu stronach leśnego duktu tu i tam stały niskie świerki, okute lodem, a nad nimi w górze szumiały smukłe sosny. Czasem tylko szum lasu zakłóciły łańcuchy, brzęczące u dyszli.

— Słuchajno — zwrócił się do mnie komendant. — Co dziś czujesz w powietrzu? Już taki przyjął się zwyczaj, że przed każdą wyprawą pół żartem, pół serio pytało mnie o losy wyprawy, ja zaś sposobem pytań delfickiej odpowiadałem jak to się mówi: „na dwoje babka wróżyła“. Wobec tego przepowiednie moje zawsze się sprawdzały.

Ale dzisiaj nie zdobyłem się na żaden wymyślny koncept.

— Czy ja wiem? — mruknąłem, wciągając parę razy w nozdrza powietrze — zdaje się, Stary, coś niewyraźnie...

Las się skończył, zapadła noc chmurna i ciemna, jechaliśmy przez jakieś uspione wioski. Cicho jak wilcy przemknęliśmy przez tor kolejki i szosę. Po kilkugodzinnej jeździe stajemy koło chaty, stojącej na uboczu pod lasem. Stąd trzeba iść z 10 km pieszo przez okopy i zasieki, które Niemcy w jesieni wykopali. Według doniesień wywiadowców między okopami były schrony, w których mieli siedzieć własowcy. Trzeba więc było przemykać się ostrożnie. Konie zostały w stodole.

Do 15-minutowej zagrzewce długim węzłem ruszyliśmy w czeluście nocy pod kierownictwem dwóch przewodników. Z nieba na białą pierzynę ziemi spadały kryształki śniegu. Wiatr w nagłych podmuchach podwiewał płaszcze od dołu, sikił śniegiem po twarzy, wdzierał się w nozdrza i oczy, przeciskał się przez ubranie, ziębił ciało. Buty, brnąc w śniegu, rozmiękły i ssały wilgoć. A my, zaciskając zęby i kuląc się, by było cieplej, jak korowód upiorów nieustrudzenie szliśmy naprzód. Na ziemi, w górze, wokół nas — wszędzie biała nicość. Idąc jako straż tylna, widzę tylko majaczące niepewnie postacie moich kolegów. Granaty nieznośnie ciężą w chlebaku. Rzemień od pistoletu automatycznego wrzyna się w szyję. — Uwaga, okopy — podaje jeden drugiemu. Mijamy zasieki z drutu kolczastego.

— Wchodzić do okopów! — pada rozkaz. Wijemy się w labiryncie rowów dobiegowych. Staczamy się przez doły przeciwpancerne. Broń gotowa do strzału. Białe, aż oczy bołą patrzeć. Wokół cicho i pusto, tylko wiatr świszczy w drutach kolczastych i zimno ostrymi szpilkami przenika aż do kości. Przeszliśmy okopy bez przeszkód. Jak się okazało własowców w bunkrach nie było.

Przed nami rozłożyła się biała równina. Przewodnicy czują się niepewnie z powodu śnieżycy. Kompas i mapa zawodzą. Ktoś zdjął długi wojskowy szynel. Kilku narzuciło go na głowy i pałą papierosy. Ten i ów bierze do garści śnieg i gasi pragnienie.

— Wymarzona noc na uderzenie — mówi do mnie serdeczny kolega Szary, też Ślązak. — Ale łatwo zbłądzić — mruczy ktoś z boku.

— Byle tylko przed północą dojść na miejsce. Godzina dziesiąta — mówi komendant. — Marsz! Wyciągać zdrowo nogi!

Minuty wloką się jak wieczność, śnieg sypie się z nieba bez przerwy, jak piasek w klepsydrze. Powieki ciężkie jak ołów kleisen. Pod czaszką tłoczą się myśli, przypomina się dom rodzinny w Rybniku, ciepły pokój. Niech się już wreszcie coś stanie, byle tylko nie myśleć. Godzina jedenasta, dwunasta, pierwsza, a my wciąż idziemy. Coś nie w porządku.

— Zdaje się zbłądziliśmy — mówi przewodnik „Krepy“.

Uciekamy się ponownie do pomocy kompasu, ale nic z tego nie wychodzi. Maszerujemy dalej. Nagle idący na przodzie komendant zauważył świeże ślady, które przecinały nam drogę w poprzek. Przykucnęliśmy do ziemi, jeżąc się lufami karabinów. Najdalej przed godziną ktoś tędy przechodził, śnieg jeszcze nie zdążył zasypać śladów.

— Na pewno Niemcy — budzą się domysły. Oglądam z „Szarym“ ślady.

— Psa by na taką pogodę nikt nie wygonił, a chciałoby się tam Niemcom włóczyć po polach, do tego jeszcze w nocy — mówi Szary i świeci dyskretnie latarką po ziemi. Po chwili wstając z ziemi, śmieje się:

— A dyć, picrona, to nasze ślady, sam przeca widać metrowo szłapa Longina!

Błądzimy w kółko.

— Trzeba dobrnąć do jakiejś wioski i cały dzień przemelinować — mówi komendant po krótkiej naradzie.

— Żeby tylko gdzieś na Niemców nie wyleźć. Niech się dzieje wola Boża! — idziemy. Nad ranem śnieg przestał padać. Z szarego świtu wyłoniły się jakieś chałupy i ciemna ściana lasu. Komendant wysłał patrol na zwiady.

— No — zwraca się do mnie — wykrakałeś. Patrol oznajmił, że we wsi spokój, a do nieszczęsnych G. cztery kilometry.

— Trzeba przeczekać dzień, a z wieczora uderzyć — decyduje komendant.

Wybraliśmy na melinę chałupę, stojącą najbliżej lasu.

Wieś ciągnęła się długim szeregiem, a po obu jej stronach w pewnym oddaleniu był las.

Wiara przyniosła słomy ze stodoły. Na kominie zaczął wesoło trzaskać ogień. Pozdejowano buty. Mokre skarpety i onuce rozwieszono nad piecem; brudna i cuchnąca potem woda kapała z nich z sykiem na ogień. Było ciasno i duszno. Ten i ów drzemał, zagrzebawszy się w słomę. Na stole, na ławach i w słomie wałała się broń, napęczniała wilgocią, ciężka, pokryta rudymi plamkami rdzy. Pod wpływem ciepła humory się poprawiły, a gorąca kawa rozwiąła do reszty znużenie. Przez trzy godziny spaliśmy jak zabici, tylko na strychu wartownik przez dziurę w strzesze przeglądał teren, a drugi w baranicy i w korzuchu chłopskim wałęsał się po podwórzu, udając gospodarza.

Potem naciągnięto suche buty, wyczyszczono broń. Ktoś znalazł stary gramofon, przypominający młodość Edisona i jedną wyszczerbioną płytę. Wielka tuba gramofonowa skrzeczała refren jakiejś karczemnej piosenki:

„Kawałek szczęścia, kawałek glück'u

I już po wszystkim i już po krzyku.

Co znaczy dolar? Co znaczy funt?

Ten kto ma szczęście, ten ma grunt“ —

powtarzało się bez końca.

Powoli zbliżało się południe, za oknami snuł się pochmurny dzień, gdy wartownik

ze strychu oznajmił, że na szosie słycał warkot aut. Wiadomość ta zelektryzowała nas. Szybko sprzątnięto słomę z izby i wszelkie ślady naszego pobytu. Pojedynczo wymknęliśmy się do stodoły. Przez chwilę słycał było jeszcze warkot aut, potem wszystko ucichło. Zastygliśmy w oczekiwaniu.

— Co to może być? — zadawał sobie każdy pytanie.

— Coś w każdym razie jest nie w porządku, powiedział komendant.

Kilku chyłkiem wysunęło się na zwiady. Po powrocie meldują, że trzy auta ciężarowe i jedno pancerne z niemiecką żandarmerią zatrzymały się na skraju wsi. Żandarmi otaczają wieś ze dwóch stron. Jest ich ponad 200, ale że wieś jest długa, więc szczerlnie jej obstawić nie potrafią.

Twarz komendanta nabiegła krwią, jednak jest spokojny i opanowany.

— Załadować broń! — głuchy szcęk rozpływa się po stodole.

— Co robić? — widać na twarzach zakłopotanie.

Widzimy już przez szpary w stodole, jak Niemcy niepewnie kręcą się po polach. W końcu komendant, uchylwszy wrota stodoły, czołga się przez podwórze w stronę bliższego lasu i daje znak ręką. Pełzniemy za nim pod płot, by tam przykucnąć za kupą gnoju. Niemców widzimy jak na dłoni. Trzech stoi na wprost, po chwili są już na muszkach naszej broni.

— Ognia! — krzyczy komendant.

Pada dwadzieścia strzałów i trzy krótkie serie z automatów. Głośny grzmot płynie przez pola i odbija się echem od ściany lasu. Dwóch Niemców chwije się z rozciągniętymi rękoma i wali się na ziemię. Reszta zapada gdzieś za zasy. Wtem czupryny śnieżnych wydm zaczynają dymić, strzały karabinowe mieszają się z bronią automatyczną, cała wioska trzęsie się od huku: Niemcy otworzyli ogień.

— Nie strzelać na darmo! — woła komendant.

Niemcy strzelają coraz gęściej na ślepo. Kule jak złośliwe osy świszczą wokół. Sztachety w płocie łamią się jak badyle.

W serca wstąpił zapal bojowy.

Z naszej strony od czasu do czasu pojedyncze strzały lub krótki jazgot pistoletów automatycznych.

Razem z „Krępy“ czołgamy się przez drogę na drugą stronę wsi, by zobaczyć, co się tam dzieje. Znaleźliśmy się na podwórzu, gdzie zamiast płotu stała pochyła zasłona z gałęzi świerkowych przeciwko zadmom. Podbiegliśmy pod nią, rozsuwając gałęzie. Szeroki wąwóz, przechodzący w dolinę, ciągnął się aż pod las. Po obu stronach wąwozu porosłego krzakami — na pagórkach stali Niemcy, było ich ze 30-tu. Wąwozem prosto na naszą zasłonę szło z bronią gotową do strzału trzech.

— Niech bliżej podejda — szepcze do mnie Krępy.

Czekamy... Strzelanina z drugiej strony wsi ustała. Widocznie nasi wycofują się ku nam.

Trzech Niemców jest coraz bliżej. Otwieramy ogień. Niemcy padają na ziemię i strzelają do nas. Nasze strzały okazują się bezskuteczne.

Krępy, który zawsze odznaczał się szaloną odwagą, wyskakuje zza zasłony, ja za nim i obaj pędzimy prosto na strzelających Niemców, krzycząc:

— Hände hoch! ...Krępy ma tylko trzy naboje w rewolwerze, a ja pusty automat. Niemcy zrywają się z ziemi i zaczynają uciekać. Jeden z nich rzuca karabin i z podniesionymi rękoma ucieka w bok, ku tym na pagórku, po chwili czyni to drugi i rzuca pistolet automatyczny. Krępy podnosi go. Trzeci z trudem brnie po kolana w śniegu i dyszy jak lokomotywa. Doganiamy go. Staje... na jego twarzy widać przerażenie, podnosi jedną rękę do góry, a w drugiej kurczowo trzyma karabin. Bełkocze jakieś niezrozumiałe słowa.

Wymierzam mu sierpowy cios w szczękę, wyrwam karabin i biegnę dalej. Słyszę za sobą dwa strzały, odwracam się i widzę rozciągniętego Niemca i Krępego, który stoi nad nim z dymiącym rewolwerem. Wracam, odpinam pas z ładownicami zabitego. Ze wsi wybiegają nasi.

W tej chwili Niemcy z pagórków, którzy na to wszystko patrzeli w osłupieniu, otwierają gwałtowny ogień. Wokół nas podnosi się biała kurzawa. Dostaję w nos rękoszetem, ciepła struga krwi sączy się po twarzy.

Nasz oddział odruchowo dzieli się na dwie części, gdy jedni biegną w stronę lasu, drudzy, przykucnięci w krzakach, ostrzeliwują się.

Widzę, jak Szary przewrócił się na ziemię i nie może biec dalej, ktoś do niego podbiega i pomaga mu wstać: ranny jest w nogę.

Byle dobiec do lasu!

Dwumetrowy Longin z rozpiętym płaszczem i rozsypaną czupryną pędzi jak wicher, rycząc jak ranny bawół. Las jest coraz bliżej, strzały coraz gęstsze. Widzę jak przewraca się Wołodajowski i wlecze się na czworakach.

Pierwsi z naszych dobiegają do lasu.

Kłękawszy za drzewem, strzelam ze zdobycznego karabinu (polskiego, jak stwierdziłem później). Komendant, który biegł na końcu, przewrócił się parę kroków od mnie i leży. Myślałem, że ranny, więc czołgam się ku niemu, ale on tylko osłabł.

Wszyscy już dopadli do lasu. Jesteśmy ocaleni. Żaden Niemiec tutaj nie wejdzie.

Strzały cichną, a my znikamy w zielonej gęstwinie. Na twarzach radość. Po półgodzinnym marszu języki się rozwiązują: padają domysły, kto nas wsypał czy też wyszedł. Rannych niesiemy na zmianę na skrzyżowanych karabinach: obaj dostali w nogi. Niemcy jakoś lichy strzelali. Ktoś na końcu fałszywym głosem zaczyna śpiewać:

„Kawałek szczęścia, kawałek glück'u

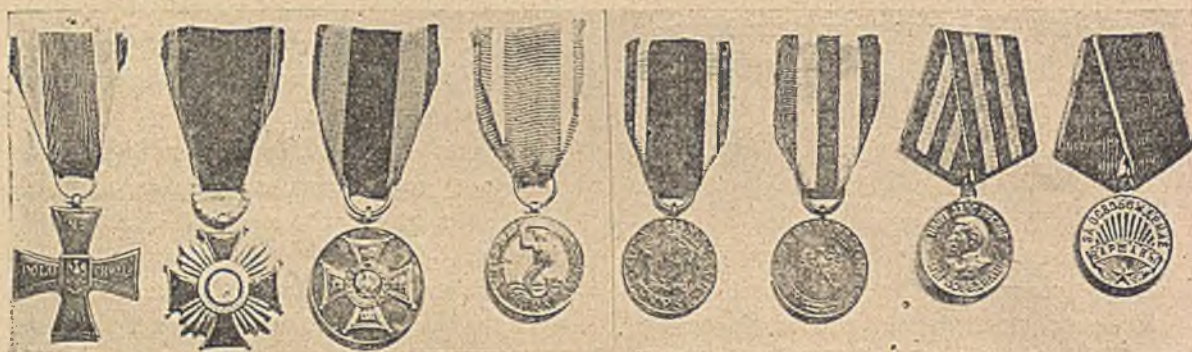
I już po wszystkim i już po krzyku...

Tak to na pół szczęśliwie, a na pół niefortunnie zakończyło się nasze wojowanie.

W kilka tygodni później na zamarzniętych drogach polskich warczały radzieckie czołgi, a ja z „rozwiędzykami“ na pancernym aucie pędziłem w stronę Śląska.

ZBIGNIEW LIBURA.

## Z walk o Warszawę



Odnaczenia naszych zuchów zdobyte na szlaku Lenino—Berlin

**P** przed paru dniami w podziemiu domu, gdzie mieścił się pułkowy punkt obserwacyjny, spotkałem się z podporucznikiem Rudolfem Juzkiem, zastępcą dowódcy

batalionu. Przy świetle karbidowej lampy czarne oczy błyszczały gorączką tylko co ukończonego trzydniowego boju.

Najtrudniej było pierwszego dnia o świcie.



Marszałek Zymierski  
na polu walk

Żołnierze wiedzieli już, że za godzinę rozpocznie się natarcie i piaszczysty okop nagle stał się w ich świadomości jakimś przytulnym mieszkaniem... Gdy jednak zaczęła się muzyka artyleryjskiego przygotowania, gdy pojawiły się nasze samoloty, zrobiło się raźniej na duszy — wyskoczyli z rowów i poszli naprzód.

Nie doszli jeszcze do niemieckich okopów, ogień dział, moździerzy i ckm-ów przycisnął ich do ziemi.

Wtedy wyszli ze swego punktu obserwacyjnego por. Grzegorz Machowikow i jego zastępca ppor. Juzek. Nie kłaniając się kulom i pociskom, podbiegli do tyraliery atakujących, porwali ich za sobą. Dowódca z grupką żołnierzy szedł na przedzie, dotarł do pola minowego i jak gościnny gospodarz ukazał nam przejście, przygotowane przez saperów.

„Pada młody stary kapitan... oprzytomniały wróg uderza w styk z sąsiadem z prawa, rzucając do akcji 4 czołgi i około stu fizylierów.

Ppor. Juzek zjawia się w zagrożonym miejscu i wszystkim udziela się jego spokój... Kontratak zostaje odparty, wzgórze utrzymane.

Trzeciego dnia o świcie żołnierze przekraczają tor i błyskawicznym atakiem zajmu-

ją wybrzeże kanału, zmiatając po drodze dziesiątki oszołomionych fryców. Zadanie wykonane.

Trzydniowa bitwa, o której sucho w komunikatach, toczyła się o setki metrów zaledwie. Oddział posunął się w ciągu tych dni niewiele ponad kilometr. Ale był to kilometr niezwykle ważny — było to zdobycie bazy wypadowej, klinem wżerającej się w pozycje Niemców.

Warszawa! Broczy codziennie krwią żołnierzy polski, walczy i umiera, by przyspieszyć dzień jej wolności.

Podporucznik Juzek prowadzi dziś żołnierzy do boju na przedpolach Warszawy. W ciągu pół roku przeszedł od Berdyczowa do Pragi. To znacznie więcej, niż połowa drogi do Katowic, rodzinnych stron ppor. Juzka.

W tej chwili wypoczynku, w podziemiu, oświetlonym karbidową lampką, po trzech dniach i nocach nieprzerwanego boju, Rudolf wraca myślą na zachód — na rodzinny Śląsk. W śmiałym marzeniu widzą mu się biało-czerwone flagi nad śląskimi hałdami, szybami i wielkimi piecami. Będziemy i tam Rudolfie Juzek, już niezadługo.

(„Zwycięzimy“ — Gazeta 1. Armii Wojska Polskiego — 21 października 1944 roku).

\* \* \*

Rok 1944. Późna jesień. Stoimy nad Wisłą w rejonie Praga — Jabłonna. Naprzeciw nas stoją 3 dywizje pancerne niemieckie: Nordland, Westland, SS-Totenkopf, które mają uderzyć z flanki na Pragę i odbić ją z rąk naszych.

Nasz pułk (4 pułk ciężkich czołgów: 60-tonowych „Isów“) otrzymuje zadanie powstrzymać ewentualne natarcie nieprzyjaciela od północy. Manifestacyjnie w biały dzień jedziemy wzdłuż Wisły pod obstrzałem najcięższej artylerii niemieckiej, bijącej do nas z lewego wyniosłego brzegu, w rejonie wsi Białoleka Dworska wysuwamy się na pozycje wyjściowe pod Jabłonną, gdzie piechota wykopała dla naszych czołgów wnęki, z których tylko sterczą wieże pancerne i lufy dział odpowiednio zamaskowane. Od Niemców dzieli nas tylko cmentarz.

Po kilku dniach Niemcy robią próbne uderzenie jednym batalionem piechoty, wspomagane przez brygadę „Panter“. Uprzedzeni o tym przez wywiad, ściągamy w nocy artylerię dywizyjną i przeciwpancerną i fryce cofają się, zostawiając dymiące wraki czołgów. Po tym manewrze Niemcy nalotami junkersów dwukrotnie bombardują nasze stanowiska, wtóruje im najcięższa artyleria kolejowa. Straty nasze tym razem są znaczne.

Dowództwo II Białoruskiego Frontu, zorientowawszy się w zamiarze Niemców, rzuca na nasz odcinek 2 brygady przeciwpancerne oraz kilka dywizjonów ppanc. Po tym przegrupowaniu Niemcy rezygnują z natarcia na Pragę i odsyłają dywizje Nordland i SS-Totenkopf na Węgry, jak doniosły nam rozwiędzcyki. Plan okrążenia i podjęcia Pragi został udaremniony.

Radosne były święta Bożego Narodzenia na wolnej już ziemi polskiej. Tysiące pa-

czek przysłały nam polskie dzieci z Podlasia, były w schronach choinki, brzmiały polskie kolędy.

Dnia 5 stycznia ruszamy w kierunku na Garwolin i nocą przebywamy Wisłę na pontonach w rejonie Warki.

— Czort pobieri taką waszą zimę! — klną nasi rosyjscy towarzysze, gdy co dzień prawie musimy to skrobać, to bielić na nowo nasze czołgi dla zamaskowania ich na śniegu.

— U nas, powiadają, jak w listopadzie pomalujesz tanki, tak do marca masz spokój!

Na przyczółku mostowym pod Warką zebrały się wszystkie jednostki pancerne i wszystkie prawie dywizje piechoty do natarcia na Warszawę wzdłuż lewego brzegu Wisły.

W nocy z dnia 11 na 12 stycznia potężny ogień artylerii, moździerzy i katuszy niszczy pierwsze linie niemieckie i wojska nasze ruszają prawie bez przeszkód. Niestety most na Pilicy załamał się pod czołgami i na 2 dni stanąć musi ofensywa. Pod ogniem niemieckiej artylerii saperzy nasi i radzieccy naprawiają most. I w trzecim dniu dopiero pułk naszych „Isów“ (Józef Stalin) wali na Górę Kalwarię, witany entuzjastycznie przez ludność. Przez Piaseczno, Błonie docieramy do Sochaczewa, łącząc się z 2 dywizją piechoty, która nacierając od Modlina, zamknęła kocioł wokół Warszawy.

Dnia 17 stycznia na ulicach zdobytej Warszawy urządzamy defiladę, którą odbiera ówczesny generał Rola-Zymierski.

Tegoż dnia jeszcze wieczorem ruszamy w pościgu za nieprzyjacielem na zachód, by zatrzymać się dopiero po dwóch tygodniach na Wale pomorskim, gdzie czekały nas ciężkie jeszcze walki.

Mjr. LEON FOJCIK.





## Pod obcym mundurem

W ciągu dwu lat zdołaliśmy ustalić 50 z górą nazwisk naszych wychowanków, którzy w dniach burzy i gromu bohatersko stawiali czoło wroziej nawałnicy, składając najwyższą ofiarę w obronie świętych praw narodu.

Liczba tych poległych na polu walki, rozstrzelanych, zawisłych na szubienicach, ściętych, spalonych żywcem, zagazowanych, zmarłych z wycieńczenia w obozach — jest na pewno większa. W setki i tysiące może idzie liczba tych, co walczyli w szeregach narodowej, jawnej lub podziemnej armii, przedzierali się z narażeniem życia tysiące kilometrów ku swoim na obczyźnie, za wszelką cenę starali się uniknąć pracy dla wroga, lub długie lata spędzili za drutami obozów za to, że mieli odwagę (jak Janek Czech) prosto w oczy Niemcom powiedzieć: „Leider, aber ich hab' schon einmal geschworen“.

Nie będziemy jednak fałsi faktu, że wielu również wychowanków szkoły przywdziało mundur niemiecki, walczyło w szeregach i ginęło za sprawę wroga. Ile w tym było łatwego pogodzenia się z losem, ile tragicznego rozdarcia, a ile wyraźnej zdrady, trudno jest dokładnie ustalić.

Przykłady por. Dąbka, majorów Fojcika i Kubka, por. Juzką i wielu innych świadczą, że dla wielu służba w wojsku niemieckim była jednym ze środków przedarcia się ku swoim. Zjawisko to przybrało tak duże rozmiary, że dowództwo niemieckie zmuszone było stosować coraz większe ostrożności aż do niewysyłania Polaków na linię frontową, wobec czego wojskowa przydatność tych przymusowych „wehrmachtowców“ była niewielka.

O duchu panującym wśród nich świadczyć może fakt, że wyjeżdżający do wojska Ślązacy chóralnie śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła“. Przyjeżdżając na urlop starali się nie wracać do swoich oddziałów, lub przechodzili wprost do partyzantki, oddając jej dzięki swoim mundurom nieocenione przy-

sługi, jak Franuś Musioł na przykład, który wioski i miasta objeżdżał obładowany amerykańskimi automatami dla partyzantów i... salutowany jako podoficer przez niemieckich żołnierzy.

Ile było bolesnego rozdarcia duszy u tych, którzy nie mieli sił czy możliwości wyrwać się z niemieckich rąk, pouczyć mogą wiersze i zapiski Bolesława Chłapka, poległego gdzieś na zachodzie.

„Los chciał — pisze ze Strassburga — że bym po niespełna 5 latach wojny i ja stał się jej uczestnikiem. Jakieś niemiłosierne i niesprawiedliwe przeznaczenie zaprowadziło mnie tam, gdzie wykuwa się granice cudzej ojczyzny..., gdzie ogień i eksplozje przyodziejają ziemię w płaszcz popiołów, żużel i zgliszczy, tam gdzie niezliczona ilość rozumnych istot życie składa za jednego... Tam mimowolnie znajduję się i ja, tam cierpię i ja!“

O zgrozo! Czy na prawdę zasłużyłem sobie na to?... Jedno jednak mię strasznie boli, jedno niewymownie mi serce rani, jednego nie mogę sobie wybaczyć, a jest nim to, co mię matka zachowywać i pielęgnować uczyła, a co ja zachować nie mogłem — to, co mi nauczyciele i wychowawcy w serce wpałali, a ja z serca wyrzucić musiałem, to, czego ja sam szczyścielem w przyszłości być chciałem, a być nie mogę — to mój fałszywy patriotyzm, to moja zdradzona miłość Ojczyzny.

Serce moje napęłnia rozpacz i niezadowolenie, bo ofiaruję siebie dla obcych, dla tych, którzy mię prześladowali, otwarcie mówiąc dla swoich wrogów...“

Zachowane wyznania Bolesława Chłapka są przejmujące i wymowne.

I takich ludzi na Śląsku musiały być tysiące, bo naród nie mógł się skazać na samozagładę.

Nie możemy ich czcić jako bohaterów, ale współczuć i rozgrzeszyć musimy.

I. LIBURA.

## Za drutami obozów jenieckich



Pierwsze mogiły

**P**rzechowalnią nazywają niektórzy obozy jeńców wojennych, zwłaszcza tzw. oflagi.

Określenie w porównaniu z piekłem obozów zniszczeń dość słuszne, jeśli nie liczyć tych cmentarzy pod drutami (zmarłych z wycieńczenia, zastrzelonych w ucieczce lub w innych okolicznościach) i tej najcięższej dla męskiego ducha męki: bezradnej bezczynności, gdy świat cały wokoło żyje, działa i walczy, gdy naród własny zмага się i krwawi, gdy najbliżsi naprzód od nas wyczekują pomocy.

Toteż co młodsze i bardziej krewkie natury cały swój spryt i energię, cały czas wolny pomiędzy apelami, rewizją i wydawaniem jenieckiej zupki, poświęcały jednej naczelnej sprawie: wyrwać się poza druty! Poza poczwórny pierścień stalowych zwojów i kolców, wysokich wież wartowniczych z reflektorami i bronią maszynową, wzmocniony łańcuchem strażników, psów gończych i patroli dniem i nocą krążących wokół obozu — małej, odosobnionej wysypki wśród pomorskich lasów i pól (mam na myśli obóz w Dobiegniewie, tzw. Oflag II c).

Najśmielszy był przelot przez druty z pomocą nożyc i kładki z drewnianych wycieraczek w pewien wieczór grudniowy. Z dokładnym i obmyślanym wspaniałe po-

działem pracy, z obliczeniem czasu co do sekundy: podczołgać się pod główny pierścień, przeciąć druty, przerzucić pomost poprzez zwoje, drugi rząd drutów i — w pole! — zanim odwrócony wartownik zawróci. Próba była wyjątkowo szczęśliwa, jednego tylko (na trzech) złapano: wpadł biedaczysko do jeziora, przemarzył i chorego na zapalenie płuc w jakimś stogu nakryto.

Najdowcipniejszy był sposób, kiedy uszyto mundur wojskowy, sporządzono z drzewa karabin (mistrzów w obozie mieliśmy cudownych), odpowiednie pieczątki i szarym świtem służbowo przez bramy i wartownie odstawiał „niemiecki żołnierz“ paru swoich kolegów do szpitala w Starogardzie, rugając na wartowni niemieckiego podoficera, żeby się śpieszył. Zdaje się, że cwaniaków jednak później złapano.

Najwięcej wysiłku i przygotowań kosztował inny pomysł, gdy z baraku 24, z „boksu“ sztabowych pod pryczą robiono podkop przez całą szerokość placu obozowego. Zaczęli zimą, a w lipcu, gdy zboże wyrosnie, mieli się pewnej nocy wydostać za druty na wolność. Istniało kilka wtajemniczonych zespołów: jedni kopali otwór, drudzy w wąskich woreczkach pod płaszczem wynosili piasek do ustępów, inni dostarczali odpowiednio przyciętych desek na umocnie-

nie podkopu. Mieli w nim światło elektryczne i rodzaj windy na sznurach. Ale deski rzecz zdradziły. Niemcy widząc, że ich ciągle ubywa, wpadli na trop. I zaczęli szaleć, urządzając rewizje, opukując w barakach posadzki, kopiąc w poprzek majdanów głębokie rowy... Trwało to kilka miesięcy, aż pewnego razu wystukał Szkop pięknie zakryte cegłami zejście do loszku pod pryzą. Łatwo sobie wyobrazić zawód naszych spiskowców.

Większość jednak mieszkańców „oflagu” w inny sposób ratowała się od gnębiącej nudy i szaleństwa. Mimo zakazów i kontroli, nie dopuszczającej wielu przedmiotów do obozu, powstały tu z biegiem czasu najrozmaitsze pracownie i przedsiębiorstwa. Rzeźbiarze i malarze, specjaliści od wyrobów z blachy, włosia i kości (ze śmietnika za kuchnią), szewcy, krawcy, kucharze, zaspakajali artystyczne i materialne potrzeby jeńców.

Zwłaszcza odkąd zaczęły przychodzić amerykańskie paczki, rozwinęło się bujnie życie handlowe i przemysłowe. Oto np. firma „Czajnik” na pomysłowych piecykach z puszek od konserw z dmuchawkami (paliwem był wyrzucony z obozowej kuchni żużel) dostarcza od 7 rano do wieczornej trąbki wrzątku niezbędnego do amerykańskiej „neski” (Nescafe) lub wody przemysłowej do mycia głowy, prania lub kąpieli. Osobne przedsiębiorstwa eksploatowały, przesiewały żużle z kuchennych popielników. Firma „Elegancja” prasuje krawaty, inna wyrabia swetry i rękawice, naprawia buty, szyje czapki, krawaty, oznaki broni, a nawet przy głównym bazarze ogłasza się firma „Koko”, która gotuje obiady, wypieka torty i ciastka dla obozowej śmietanki na prywatne przyjęcia i uroczystości pułkowe.

Poczta obozowa wydaje coraz nowe serie wspaniałych znaczków i upamiętnia rocznice historyczne ozdobnymi kasownikami, a kiedy się zniszczą niemieckie „lagermar-

ki”, mennica obozowa bije śliczne w wykonaniu i praktyczne banknoty.

Swego rodzaju arcydziełem był obozowy zegar w kształcie wieży na głównej ulicy, sporządzony z dykty i blachy (z puszek od konserw), albo nowoczesny fartak w ruchu na wystawie leśników.

Najpoważniejszym jednak objawem duchowej przeżności rzeczypospolitej jenieckiej była działalność kulturalno-oświatowa, obejmująca obok pracowni naukowych i wzorowo prowadzonych, a powstałych prawie z niczego bibliotek przede wszystkim mnóstwo szkół wszelkiego rodzaju od powszechnych dla szeregowców poprzez gimnazja, licea, wukaeny, instytuty aż do uniwersytetu i politechniki włącznie, oraz wszelkiego rodzaju kursy (rolnicze, ogrodnicze, pszczelarskie, leśne, handlowe, budowlane, hodowli zwierząt futerkowych itp.), wreszcie odczyty i wystawy, a nawet własna prasa: oficjalna i tajna — bez cenzury.

W obozie (wciąż mówię o Dobiegniewie) działają bez przerwy dwa teatry: „Wielki” z Ziejewskim, Koechlerem, Strugarkiem, dający istotnie wielki repertuar, i Teatr Kukielek, osiagający w swoim zakresie wyniki fantastyczne. Bajeczne stroje, wnętrza, dekoracje sporządza się z materiału, jaki jest jeńcom dostępny, a więc papier wszelkiego rodzaju, koce, resztki bielizny i pościeli, celofanowe opakowania amerykańskich papierosów itp., które pod ręką obozowych mistrzów przemieniają się w cudowne kotary, draperie, kostiumy, rzeźby, architekturę, zwłaszcza gdy je oświetlą kolorowe lampy i reflektory obozowych elektrykarzy.

Trzy chóry: Echo, Lech i Harfa, coś cztery orkiestry z filharmoniczną na czele, dawały piękne koncerty i uświetniały religijne uroczystości. Zwłaszcza niestrudzony ppor. Młodziejowski, młody kompozytor, muzyk i dyrygent (a także zdolny aktor i geograf uczonej) dawał rzeczy na najwyższym poziomie będące: wspaniałe oratoria wielko-

---

tygodniowe Palestriny, obszerne fragmenty z Halki, Aidy, Fausta, utwory Walewskiego, Noskowskiego, czy własną „Balladę o Janosiku” (była to cała prawie opera) wiele innych utworów, stanowiących program stałych i nadzwyczajnych koncertów. Wreszcie z szlachetną prostotą urządzona kaplica obozowa, kaplica co dzień pełna, a w niej śliczna słowiańska Madonna z Dzieciątkiem rzeźby Popławskiego, piękne uroczystości wielkotygodniowe, procesje Bożego Ciała, zaduszna, nabożeństwa niedzielne, pogrzeby, pogłębione życie religijne przez rekolekcje, rozważania i wykłady, dopełniają obrazu życia wewnętrznego obozu.

Czas przymusowej bezczynności jeńcy nasi dobrze wykorzystali do przyszłej pracy w Ojczyźnie. Szwedzka misja YMCA i szwajcarska Czerwonego Krzyża stwierdzały zgodnie, że wśród obozów jenieckich w Niemczech — polskie stały na pierwszym miejscu w pracy kulturalno-oświatowej, a na sępich, drapieżnych twarzach oficerów niemieckich, zjeżdżających co pewien czas gromadnie do polskiego obozu, malowało się zdumienie i podziw, graniczący z przerażeniem, że to wzgardzone i podbite plemię jest prężnym i twórczym narodem, umiejącym w najgorszych warunkach rządzić się i organizować życie zbiorowe — narodem, przed którym stoi wielka przyszłość.

J. LIBURA.



---

# GLEBA, Z KTÓREJ WYROŚLIŚMY

## Ziemia rybnicka

Dzieje powiatu.



Pierwsze wiadomości o pobycie praczo-wieka na ziemi rybnickiej pochodzą z środkowej epoki kamiennej — me-zolitu. Świadczą o tym łupane narzędzia krzemienne, znalezione w Kuźni Rybnic-kiej. Liczniejsze znaleziska z młodszej epoki kamiennej (Bluszczów, Biertułtowy, Brzezie, Chudów, Krzyżkowice, Lubo-mia, Łyski i Niedobczyce) są dowo-dem, że w tym czasie okolice tutejsze były już gęściej zaludnione. Z epoki bron-zowej znane jest tylko jedno znalezisko w Popielowie, zaś z okresu wpływów rzym-skich pochodzą monety, znalezione w Czer-nicy, Jastrzębiu, Pogrzebieniu i Wodzisła-wiu, z tego czasu pochodzi także osada mieszkalna i groby, stwierdzone w Łyskach. Słowiańską jamę mieszkalną z dwoma do-łami na odpadki odkryło w Brzeziu.

Żywym świadectwem pobytu naszych przod-ków na ziemi rybnickiej jest grodzisko pier-ścieniowe pomiędzy Lubomią a Krzyżkowi-cami, pochodzące z końca VI albo począt-ku VII w. o powierzchni przeszło 4 ha, najstarsze i największe w Polsce grodzisko słowiańskie. Do naszych czasów zachowały się dobrze utrzymane wały i głębokie fosy. Był to gród pograniczny i zarazem obron-na placówka na ważnym szlaku handlowym, idącym przez Bramę Morawską wzdłuż Od-ry na północ.

Gród ten rzuca snop światła na życie na-szych przodków. Umiejętność bowiem bu-dowania takich grodów świadczy, że był to naród znający się na sztuce wojennej tak dobrze, jak na uprawie roli i hodowli bydła. Ślady wskazują na to, że podobne forty-fikacje ciągnęły się nieprzerwanym łańcu-chem od Cieszyna do Opola, a stamtąd da-lej na północ. Według dra Jakimowicza czas zburzenia grodziska lubomskiego przypada na połowę XI w. w związku z wypadkami za panowania Mieszka II. Gród został pra-wdopodobnie zdobyty, zrównany z ziemią, mury drewniano-ziemne spalone i rozrzu-cone.

Około 500 metrów na północ położona jest na szczycie wzgórza druga mniejsza waro-wnia, zwana w języku ludowym „Kotówek“ lub „Zamczysko“. Naturalne wzgórze było dodatkowo umocnione u podstawy i szczy-tu wałem i fosą, które zachowały się czę-ściowo do dnia dzisiejszego.

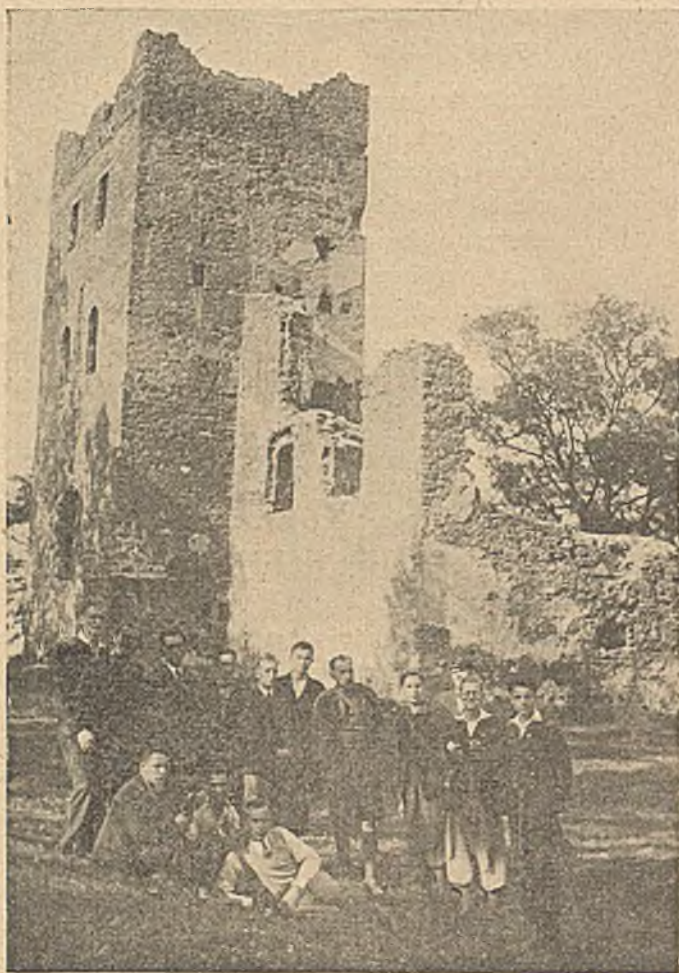
Między obu grodziskami istniał prawdo-podobnie ścisły związek. Zachodzi tu rzad-ki wypadek podwójnych grodów: większy

dla ludu i załogi wojskowej, a mniejszy był siedzibą księcia (wojewody) i miejscem kultu religijnego.

Ziemia rybnicka złączona jest najpierw ściśle z historią Śląska, a następnie z historią księstwa opolskiego i raciborsko-rybnickiego. Pierwszym panem na Rybniku był książę Mieczysław, syn Władysława Wygnańca, którego żona Ludmiła przebudowała starą warownię rybnicką na klasztor i sprowadziła do niego siostry norbertanki. Biskup Wawrzyniec potwierdził w dniu 22 maja 1223 r. klasztorowi fundację książęcą i oddał ze swoich dóbr dziesięciny. Jednak już w 1228 r. przeniósł się klasztor do Czarnowasów pod Ogolem.

W 1241 r. przewala się przez ziemie rybnickie nawała tatarska. Oddział Tatarów oblegający warownię wodzisławską został

jak głosi legenda, dzięki przebiegłości chłopów radlińskich zupełnie rozgromiony, a rozbitkowie osiedlili się w pobliskich lasach i dali początek wiosce Mszana. Kraj został bardzo zniszczony i wyludniony i wtedy rozpoczyna się na większą skalę kolonizacja niemiecka. Przemysław, książę na Raciborzu, Rybniku, Żorach, Mikołowie i Pszczynie (1283 — 1306) złożył hołd królowi czeskiemu i odtąd należy nasze księstwo do ziem lennych korony czeskiej. Do śmierci Przemysława objął rządy jego syn Leszek, który zmarł bezpotomnie w 1336 r. i państwo przypadło Mikołajowi II, mężowi księżny Anny, siostry księcia Leszka, z Przemyslidów opawskiego. Za jego następców husyci najechali ziemię rybnicką i zajęli miasto Rybnik (z tego czasu mamy podanie o księdzu Walencinie, poległym w



Ruiny zamku w Chudowie

---

Jankowicach), oparły się im jednak warowne Żory i Pszczyna. W dniu 13 kwietnia 1433 r. zadał Mikołaj Husytom, i ich sprzymierzeńcowi Bolesławowi opolskiemu kłeskę na Rudzkiej Górze, gdzie stoi obecnie Szpital Psychiatryczny. W czasie budowy tego Zakładu wygrzebano tu wiele kości i pochowano we wspólnej mogile. Miejsce to wskazuje kapliczka św. Urbana, stojąca dziś przy drodze gliwickiej.

Ostatni z Piastów książę rybnicki Waclaw, pan na Rybniku, Żorach i Wodzisławiu oddał ojcowiznę pod opiekę korony polskiej, a zwyciężony przez wojska króla Macieja węgierskiego, umarł bezdzietnie w Kłodzku (1424 — 1456).

Wojna trzydziestoletnia i walki religijne spustoszyły znów ziemię rybnicką i wpłynęły bardzo ujemnie na stan moralny ludności. Znany jest z tego czasu proces w Raciborzu (od 16 sierpnia do 16 listopada 1667 r.), w którym 12 osób z powiatu rybnickiego, posadzonych o czary, zostało po dłuższych torturach skazanych na śmierć przez ścięcie lub spalenie żywcem na stosie. W latach 1647 — 1666 powiat rybnicki wraz z całym księstwem opolsko-raciborskim znajduje się pod władzą królów polskich Władysława IV i Jana Kazimierza, którzy obejmują te ziemie jako zastaw za niewypłacone przez Habsburgów posagi żon Zygmunta III. Dlatego tu też w okresie szwedzkiego „potopu“ chroni się Jan Kazimierz, stąd wyrusza do zrzucającego jarzmo kraju. Niestety po śmierci tego króla cesarz spłaca długi i łączność Śląska z Polską znowu zostaje zerwana.

W wieku XVIII, w okresie tzw. trzech wojen śląskich, przypadł Śląsk do Prus. Wysokie podatki, kontrybucje wojenne, obowiązek dostarczania dalekich podwód, a także liczne bandy grasujących tu cyganów wyniszczyły ludność.

Zaczęła się 180-letnia niewola pruska, okres bezwzględnej germanizacji i heroicznej walki ludności śląskiej o wolność, walki, któ-

ra zakończyła się dopiero za naszych czasów walnym zwycięstwem.

Do przejęcia Śląska przez Prusy zaczął się pogarszać przede wszystkim stan ludności wiejskiej, która doprowadzona uciskiem do rozpacz, zaczyna się buntować. Bardzo ruchliwi są chłopci z powiatu rybnickiego, którzy prawie we wszystkich buntach biorą czynny udział. Rozruchy te, tłumione krwawo przy pomocy wojska, mają wprawdzie podłoże socjalne, lecz nie były pozbawione pobudek narodowych, gdyż chłopci buntowali się nie tylko przeciwko panom, ale także przeciwko władzy pruskiej, wojsku i urzędnikom. Na czele ruchu byli zawsze Polacy, np. Lewiński z Wodzisławia w roku 1766, Maksymilian Sznuter z Knuruwa, zwany „panem i generałem powstańców“, w roku 1811, Józef Bienia z Jedłownika w 1811 roku, którzy piszą polskie odezwy. Jedną z nich podpisało blisko 100 sołtysów, zwracając się do ludności o czynną pomoc.

W czasie wojen napoleońskich w 1805 r. przeciągnęła przez nasz powiat silna armia rosyjska, zdążająca na pomoc Austrii przeciwko Napoleonowi pod Austerlitz.

W 1807 r. obsadzili powiat Francuzi i pozostali tu przez dłuższy czas. Miasta i wsie ponosić musiały bardzo wysokie koszty kwaterunkowe, wyżywienia i podwód.

W 1813 r. zaczęła się przymusowa rekrutacja do wojska pruskiego. Ponieważ nikt z ludności polskiej nie chciał iść na obcą służbę i bić się o nieswoje sprawy, więc Prusacy zastosowali represje. Miejscowy kronikarz opowiada np., że niejaka Katarzyna Sosnowa z Markłowic została powieszona za nogi głową w dół, ażeby tym sposobem wymusić od niej zeznanie, gdzie się znajduje jej mąż i jej bracia. Wielu bowiem mężczyzn uciekło wówczas przez pobliską granicę do Polski albo Austrii, ażeby ująć poboru. O gorliwości tych rekrutów świadczy fakt, że z transportu przeznaczonego do twierdzy kozielskiej zbiegła w drodze przeszło połowa.

Wiek XIX na Górnym Śląsku, to okres wzmagającego się uświadomienia narodowego, którego załazek tkwi już w powstaniach chłopskich XVIII w. Budzi się duch polski wśród najszerzych warstw ludowych, które idą za wezwaniem swych przywódców tej miary co: Józef Lompa, Karol Miarka, Juliusz Ligoń, księży Szafranek, Bończyk, Damrot, Pośpiech z Kokoszyc, a wreszcie Korfanty Wojciech, trybun ludu śląskiego. W proroczych słowach przepowiada ks. Konstanty Damrot zmartwychwstanie Ojczyzny w wierszu „Wieże Piastowskie na Śląsku“:

Że godło Piastów zaświeci z tych wieży  
Znćw i nad Śląskiem zaświta swoboda,  
Gdy anioł biały\*) swe skrzydła rozszerzy,  
I będzie jeden pasterz i jedna trzoda.

W pierwszych wyborach do niemieckiego zgromadzenia narodowego (1848 r.) wybrano z powiatu rybnickiego Polaka Franciszka Rybnickiego, wolnego sołtysa z Dolnych Radoszów.

Walka „Kulturna“ dała się we znaki i naszej okolicy. Dochodzi do ostrych zafaręgów w Wodzisławiu i okolicy oraz w Pszowie. Język polski, choć wyrugowany ze szkoły, zachował się w kościele i w zaciszu domowym, by przetrwać wszelkie przesładowania. Na powiat rybnicki oddziaływał szczególnie Racibórz, gdzie ruch polski, dzięki doktorowi Rostkowi i innym działaczom przybrał realne kształty. Ludność chętnie czytała gazety polskie, jak np. „Katolik“ i „Nowiny Raciborskie“, wychodzące od 1889 r. Na czoło ruchu narodowego wysuwa się dr Biały, dr Różański, później ks. Pośpiech z Kokoszyc, wydawca „Górnoślązaka“ i od 1912 r. poseł polski do parlamentu niemieckiego.

Dr Biały zakłada w Rybniku w 1895 roku „Towarzystwo Czytelń Ludowych“. Ludność zaczyna się skupiać w polskie towarzystwa i związki, których celem jest pogłębienie i rozszerzenie ruchu narodowego oraz połączenie Śląska z Polską. Wielu bezmieni-

\*) oczywiście „orzeł biały“.



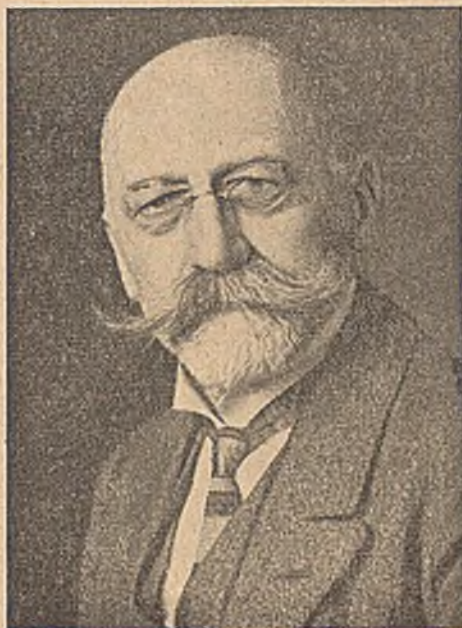
Dr. Biały

nych działaczy daje początek towarzystwom polskim. W 1898 r. powstaje towarzystwo „Sokół“ w Rybniku, w 1912 r. towarzystwo śpiewacze w Pszowie, Przegędzy i Lubomi, chłopi łączą się w „Rolniku“, powstaje wiele innych towarzystw świeckich i kościelnych. Robotnicy skupiają się w polskich związkach robotniczych ze Zjednoczeniem Zawodowym Polskim na czele.

Ocenę pracy tych towarzystw dają trzy znane wyroki sądów pruskich przeciwko Towarzystwu „Sokół“ w Rybniku i towarzystwu śpiewu „Paderewski“ w Pszowie. Oto czytamy w nich, że „Sokół“ jest krzewicielem polskich idei narodowych, skupiony w nim element polski pielęgnuje te idee i rozszerza je; dalej wyrok stwierdza, że towarzystwa śpiewu biorą aktywnie udział w polskich świętach narodowych, że popierają polskie dążenia narodowe, których ostatecznym celem jest odbudowanie Państwa Polskiego, a środkiem pielęgnowanie historii polskiej i polskich pieśni narodowych, opiewających przeszłość. I rzeczywiście w święto Grunwaldu dnia 15 lipca 1910 r. w Krakowie brało udział tysiące Górnoślązaków, mówiących po polsku.

W wyborach do niemieckiego parlamentu w 1903 r. wysunęła ludność polska pow. pszczyńskiego i rybnickiego własnego kandydata, który przepadł, choć uzyskał 13.151





Dr. Różański

głosów (Kowalczyk). Za to w wyborach z r. 1907 zwyciężają Polacy, wybierając proboszcza Skowrońskiego większością, tj. 20.038 głosów, zaś w 1908 r. w tym samym okręgu wyborczym ks. proboszcza Wajdę, który otrzymuje 15.091 na 23.886 wszystkich głosów. W następnych wyborach z tego samego okręgu wyszedł znowu zwycięsko Polak, ks. Paweł Pośpiech z Kokoszyca.

Wspomnieć tu należy o „śląskim Drzymale, inwalidzie górniczym z Pszowa, Franciszku Chrószczu, któremu zabroniono budować na własnym gruncie. Zrozpaczony ciągłymi szykanami i ukrywaniem swej w ziemi wykopanej kuchni, zabija w końcu niemieckiego żandarma i ginie śmiercią samobójczą 8 sierpnia 1906 r.

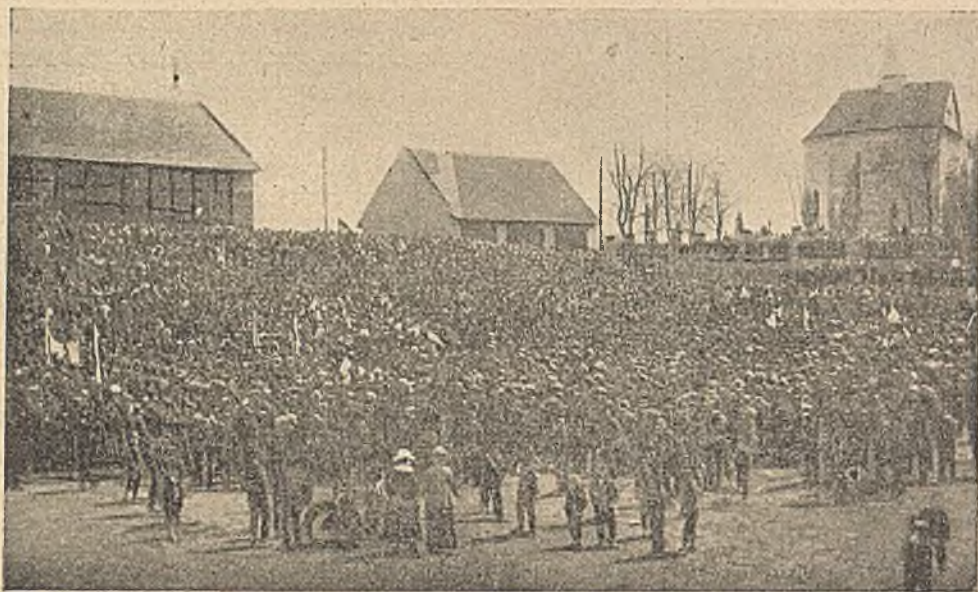
Pierwsza wojna światowa (1914 — 1918) sparałizowała ruch narodowy. Przywódców ludu polskiego dr. dr Białego i Różańskiego aresztowano, a wszystkich czynniejszych Polaków zaciągnięto do wojska. Ruch polski zamarł na krótki czas, by wybuchnąć później z żywiołową siłą. Już w listopadzie 1918 r. zaczyna się na terenie powiatu rybnickiego organizować Polska Organizacja

Wojskowa (P. O. W.), która miała na celu przyłączenie ziem śląskich do Polski i życie polskie zaczyna się bujnie rozwijać. Przedwojenne towarzystwa i organizacje wznawiają swoją czynność, powstają nowe, do których napływają tutejsi Polacy w niespotykanych dotychczas ilościach. W wyborach do rad gminnych, w dniu 9 listopada 1919 r., odnieśli Polacy walne zwycięstwo, opanowawszy już poprzednio rady robotnicze.

Władze pruskie patrzyły z niepokojem na rozrastający się ruch polski. W grudniu 1918 r. wydano zarządzenie, według którego wszelkie usiłowania oderwania Górnego Śląska od Niemiec będą uważane za zdradę stanu. Do tego przestępstwa zaliczono wybory do Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu, przygotowania do pobierania polskiej daniny narodowej, organizowanie straży polskich i związków wojskowych. W styczniu 1919 r. ogłoszono w powiecie rybnickim stan oblężenia. Ale Polacy nie dali się zastraszyć. Wybory do niemieckiego i pruskiego zgromadzenia narodowego zostały przez ludność polską powiatu zbojkotowane. Zbojkotowano również wybory do Konstytuanty pruskiej w lutym 1919 r.

W dniu 1 maja 1919 r. urządzili Polacy olbrzymią manifestację narodową w Rybniku, jakiej to miasto jeszcze nigdy przedtem nie widziało.

Szybko zbliżała się chwila dziejowa, w której lud śląski samorzutnie chwycił za broń, nie mogąc dłużej znieść obcego jarzma. I choć komisarz pruski Hoersing rozwiązał wszystkie polskie związki wojskowe, POW. rosła na siłach. Uformowano I Pułk Strzelców Rybnickich, którego komendantem był Józef Buła z Rydułtów. W dniu 17 sierpnia 1919 r. wybuchło pierwsze powstanie. W Ligocie Rybnickiej rozbrojono kompanię „Grenzschutzu“ i zabrano ją do niewoli, później doszło do walki między Ligotą i Boguszowicami, do utarczek doszło w Zembrzydowicach, Godowie, Gołkowicach i na całym tamtejszym pograniczu, a także w



Manifestacja narodowa w Rybniku 1. maja 1919 r.

Pszowie. Kompania 2-ga pierwszego Pułku Strzelców Rybnickich w Pszowie została zaskoczona z dwóch stron. Utraciwszy kilku ludzi, musiała zaniechać walki, jednak zadała nieprzyjacielowi ciężkie straty.

Czas powstania, jak twierdzi niemiecki generał Hoefler, był dobrze wybrany, gdyż niemieckie siły były rozprószone, jednak powstanie musiało upaść z braku broni i niejednoczesnego ruszenia wszystkich oddziałów w powiecie.

Wbrew woli ludności polskiej narzucono nam plebiscyt. Na początku lutego 1920 r. władza na terenie plebiscytowym Górnego Śląska przeszła w ręce Komisji Międzysojuszniczej pod przewodnictwem francuskiego generała Le Rond'a z siedzibą w Opolu. Powiat rybnicki został obsadzony w dniu 4 lutego 1920 r. przez batalion strzelców alpejskich, wzmocnionych przez włoskie oddziały.

Zawrzała praca organizacyjna. Z Rad Ludowych, przekształconych na Komitety Narodowe, utworzono Komitety Plebiscytowe. Na czele powiatowego Komisariatu Plebiscytowego stanął zasłużony działacz dr Różański. Powiat podzielono na podkomisariaty. W każdej miejscowości powołano do

życia Komitety Plebiscytowe, które podzieliły wieś na okręgi z setnikami na czele, ci zaś mieli do pomocy dziesiętników, zwanych mężami zaufania.

Rozpoczęła się teraz walka dwóch ras: walka o duszę ludu śląskiego, o jego przyszłość i wolność. Po stronie polskiej stanął zwartą masą lud narodowo uświadomiony, zaś w drugim obozie stanęła garstka zniemczonych jednostek oraz napływowi Niemcy. Walka była twarda i bezwzględna, nie uszanowała nawet niekiedy rodziny i związków krwi.

Na skutek terroru niemieckiego wybuchło w nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 r. drugie powstanie. Powstańcy obsadzili w ciągu jednego dnia cały powiat, przy czym doszło do małych utarczek w Dębieńsku Starym, Przegędzy i Wodzisławiu. Po kilku dniach władza przeszła w ręce Komisji Międzysojuszniczej, a policja niemiecka musiała ustąpić mieszanej policji plebiscytowej, złożonej z Polaków i Niemców. Cel powstania został osiągnięty.

W dniu 20 marca 1921 r. odbył się plebiscyt. Za Polską oświadczyło się w powiecie rybnickim 52.332 obywateli, czyli 73,1%.



Sztandar powstania rozwinięty

Na wiadomość, że Polsce chciano przyznać za ledwie powiat rybnicki, pszczyński i część powiatu katowickiego, na zapowiedzi szykan i rugów robotników polskich, wybuchł dnia 2 maja strejk generalny, a w nocy z 2 na 3 maja 1921 r. P. O. W. wydało hasło do trzeciego powstania.

W powiecie rybnickim między II a III powstaniem sformowano trzy pułki o sile 8.700 podoficerów i szeregowych i 85 osób pełniących funkcje oficerów. Stan liczebny podniósł się po wybuchu powstania do 11 tysięcy chłopów, które tworzyły: 5 p. p. Wojsk Powstańczych (pułk rybnicki), 13 p. p. (żorski) i 14 p. p. (wodzisławski). Najtrudniejszą sprawą było uzbrojenie, które jednak zakupiono, albo odebrano niemieckim organizacjom bojowym (26 ciężkich karabinów maszynowych). Już o godz. 24 było miasto Żory opanowane przez powstańców, w godzinach porannych obsadzono Rybnik za wyjątkiem Paruszowca i Szpitalu Psychiatrycznego. Paruszowiec, w którym stał batalion niemiecki, zajęto po krwawej walce w godzinach popołudniowych. W ciągu jednego dnia został cały powiat rybnicki zajęty i wyznaczona planem operacyjnym linia obsadzona. Pułki powiatu rybnickiego zasilone pułkiem raciborskim, obsadziły

front południowy od Olzy do Dziergowic i walczyły także pod Górą św. Anny.

Nawet wróg uznał waleczność powstańców rybnickich. I tak generał niemiecki von Hülsen, dowódca odcinka południowego, pisze: „Atakowaliśmy trzema kolumnami i w ciężkich walkach na granaty ręczne, mìnomioty, po przygotowaniu artyleryjskim, nie mogliśmy zdobyć wytkniętego celu z powodu rozpaczliwie broniących się przeciwników“. — Tymi przeciwnikami były za ledwie dwie kompanie pułku żorskiego. — Głównodowodzący siłami niemieckimi generał Hoefler pisze tak: „kłęski pod Raciborzem (właściwie Olzą) i Olesnem... dowodzą, że powstańców nie należy lekceważyć“. Na innym miejscu ten sam generał, omawiając plan Hülsena zaatakowania powiatu rybnickiego, pisze: „Niemieckie oddziały weszłyby tu w szeroką okolicę zamieszkałą przez fanatyczną ludność, gdzie świetnie uzbrojone i dzielne batalione włoskie zostały w dniu 4 maja pobite i utraciły 25 do 30 zabitych i przeszło 100 rannych“ (mowa tu o Czerwionce, gdzie doszło do starcia w pierwszym dniu powstania).

Wojska powstańcze odniosły pełny sukces, ich wysiłki nie poszły na marne. Przyznano



**Kompania Lyski: wyjazd na front**

nam znaczniejsze obszary ziemi śląskiej, aniżeli zamierzano pierwotnie. W dniu 21 października 1921 r. obwieściły wszystkie dzwony kościelne, że ziemia rybnicka, z małymi wyjątkami, została przyznana Polsce. W dniu 1 lipca 1922 r. przybyły do Rybnika pierwsze oddziały polskiej policji, a dnia 3 lipca odbył się na rynku w Rybniku uroczysty akt oddania władzy w ręce polskie, o godzinie 11 tegoż dnia załopotał na ratuszu rybnickim oficjalnie sztandar polski. Dnia 4 lipca wkroczyły do Rybnika, witane entuzjastycznie, oddziały wojska polskiego:

3 pułk strzelców podhalańskich i 1 bateria 23 pułku artylerii polowej.

Po wielowiekowej niewoli wróciła część Śląska do Polski. W dniu 1 września 1939 r. wybuchła druga wojna światowa, rozpoczęta niemieckim napadem na Polskę. Już przed godziną 5 spadła pierwsza bomba lotnicza na teren Szpitala Psychiatrycznego. Rybnik, broniony przez 1 batalion 75 pułku piechoty, został zajęty w godzinach porannych przez potężny klin pancerny niemiecki. Ludność polska powiatu rybnickiego przeszła 5 lat ciężkiej okupacji. Tysiące



**Grupa powstańców z Rydułtów**



**Grupa powstańców z Piechoczkciem**

Polaków zginęło w obozach koncentracyjnych lub poległo w wojnie. W styczniu 1945 roku część pobitej armii niemieckiej w odwrocie na zachód zatrzymała się znowu na ziemiach rybnickich. Utworzył się front, biegnący wzdłuż rzeki Rudy od Żor do Ryb-

nika, po czym zbaczał na południe wzdłuż Szpitala Psychiatrycznego, na przedmieście „Maroko“, dalej Jejkowice, Gaszowice, Suminę, Nową Wieś, Kobylę i Racibórz. Dwa miesiące (od 26 stycznia do 25 marca) toczyły się walki na tej linii. Szkody, spowodowane działaniami wojennymi, obliczono bez miasta Wodzisławia, Rybnika i Żor i bez budynków państwowych na 20,613.525 złotych wartości przedwojennej, nie licząc strat w inwentarzu żywym i martwym. — Uszkodzonych było 15.805 zagród.

Zwycięska armia rosyjska przerwała w dniu 26 marca 1945 r. front pod Żorami i linia bojowa przesunęła się na południową część powiatu. O zaciekłości walk na tym odcinku świadczy fakt, że strategicznie ważna miejscowość Rogowy przechodziła kilka razy z rąk do rąk. W kwietniu przesunęła się linia bojowa jeszcze dalej na południe i ziemia rybnicka została nareszcie oswobodzona. Najbardziej zniszczone zostały miasta: Żory, Wodzisław, a wsie: Gorzyce, Rogów i Nowawieś niemal przestały istnieć.

#### **Bogactwa materialne.**

Po krótkim rysie historycznym powiatu przejdziemy do spraw gospodarczych. Ziemia rybnicka znana jest ze swych bogactw naturalnych, jak węgiel kamienny, sól, wapień, gips, siarka, piaskowiec.

W głębi ziemi kryją się przede wszystkim nieprzebrane skarby czarnego diamentu, który daje dziesiątkom tysięcy naszych mieszkańców pracę i utrzymanie. Zachodnia granica produktywnego karbonu i rybnickiej niecki węglowej przebiega przez Buków, Grabówkę, Rzuchów, Pstrążnę, Lyski i Rudy, a stąd na północny wschód. Produktywny karbon tworzy w naszym powiecie 477 pokładów węglowych o miąższości 270 metrów. Grubość warstw nakładowych (dyluwium) wynosi 50 do 200 m, w niektórych miejscach dochodzi do 450 metrów (Knurów), w kilku zaś miejscach podchodzą warstwy karbonowe pod samą powierzchnię.



**Hałdy w Dębieńsku**

Już w roku następnym wydobyto tam 2000 szefli węgla. Powoli powstawały w powiecie dalsze kopalnie i tak:

Szarłota w Rydułtowach	w 1801 r.
Anna w Pszowie	w 1832 r.
Ema w Radlinie	w 1883 r.
Rymer w Niedobczycach	w 1896 r.
Chwałowice	w 1898 r.
Dębieńsko	w 1903 r.
Knurów	w 1903 r.
Jankowice	w 1914 r.

Obok wymienionych kopalń powstawały w ubiegłym wieku inne, które z czasem zlikwidowano, albo złączono drogą fuzji z powyższymi zakładami.

Początkowo dobywano pokłady, położone pod samą powierzchnią za pomocą kołowrotów i kieratów, a do czerpania wody używano zwyczajnych skrzyń (Pszów). Maszyny parowe wprowadzono dopiero z biegiem czasu. Tak w opisie powiatu rybnickiego z 1823 r. zanotowano jako osobliwość, że „kopalnia Hoym w Niewiadomiu ma już jedną maszynę ogniową”.

Szybki rozwój kopalń rybnickich datuje się od 1900 r. po zmodernizowaniu urządzeń kopalnianych, rozbudowie podziemia i obniżeniu szybów. Węgiel rybnicki jest tłusty i wysokokaloryczny. Koszta jego wydobycia zwiększa jednak w niższych pokładach metan i pył węglowy oraz wody podziemne. Wskutek rozwoju górnictwa wzrosło zapotrzebowanie prochu strzelniczego, więc w 1876 r. powstała fabryka materiałów wybuchowych w Krywałdzie, obecnie bardzo rozbudowana.

Produkcja węgla rybnickiego łącznie z kopalniami bielszowickimi wynosiła w miesiącu październiku 1928 r. 600.000 ton i wykazuje w porównaniu z rokiem 1913 wzrost o 42%.

Rybnickie kopalnie zajmują się obok eksploatacji węgla także fabrykacją innych produktów we własnych zakładach. Na uwagę zasługują koksownie kopalni Ema, Dębieńsko i Knurów. Ta ostatnia jest bar-

dzo nowocześnie urządzona. Produkcja koks, smoły i benzolu, jak i innych produktów ubocznych, jest bardzo wysoka. Zaprojektowane były także dalekobieżne gazociągi, które miały ułatwiać się gazy rozprowadzić do użytku w zakładach przemysłowych i dla użytku prywatnego.

Na kopalni Szarłota, Anna, Ema i Jankowice istnieją duże zakłady elektryczne, przyłączone do ogólnej sieci elektrycznej Województwa Śląsko-Dąbrowskiego i pokrywające w wielkiej części zapotrzebowanie na prąd, nie tylko do oświetlenia, ale także dla celów przemysłowych w licznych zakładach: tartakach, cegielniach, młynach i gospodarstwach rolnych.

Mało kto wie, że powiat nasz posiada również bogate pokłady soli. Występujące w niecce miocénskiej pomiędzy Rybnikiem, Żorami i Orzeszem złoża soli kamiennej, nadają się do eksploatacji i może w przyszłości będą wykorzystane. Na razie jednak kopalnie w Wieliczce i Inowrocławiu nie tylko pokrywają zapotrzebowanie krajowe, ale pracują również na eksport. Miąższość pokładów rybnickich dochodzi do 60 m, przeciętna wynosi 30 m. Cała niecka solna podzielona jest jako nadanie górnicze. Powierzchnia nadań wynosi około 100 km<sup>2</sup>.

Warstwy miocénskie powiatu rybnickiego zawierają wapien, gips, anhydryt, rudy siarczan.

Wapienniki były w Pszowie, Krzyżkowicach, Bujakowie, Czernicy, Gierałtowicach; gipsownie: w Pszowie, Czernicy, Bujakowie, Chudowie, Gaszowicach, Piecach; szklarnie: w Bujakowie, Markłowicach i Kamieniu; potaszarnie: w Markłowicach Górnych, Niewiadomiu, Połomii, Rydułtowach, Swierklanach, Pszowie, Górzycach, Łaziskach (już w 18 w.); kamieniołomy: w Pszowie, Piecach. W Rydułtowach i Radoszowach już w 13 wieku wyrabiano kamienie młyńskie. Początek hutnictwa w powiecie rybnickim przypada na koniec XVI w. Już w 1585 r. jest mowa o hucie (fryszownia — ognisko)

w Stodołach, wsi należącej do Cystersów w Rudach. Fryszownie i huty powstawały przeważnie nad rzeką Rudą, której wodę wyzyskiwano dla celów fabrycznych. Zakłady takie były w miejscowościach: Żory, Ligocka Kuźnia, Rowień, Gotartowice, Stаницe, Stodoły, Rudy, Rudy Małe (kuźnia miedzi), Rybnicka Kuźnia (walcownia blachy żelaznej i cynkowej), Paruszowiec (wysoki piec 1795 r., walcownia 1822-23 r.), Czuchów, Czerwionka, Bełk (kuźnia miedzi), Palowice (huta Waleska i wysoki piec), Popielów, Nieborowicka Kuźnia (wysoki piec, 3 fryszownie).

Rodzimą rudę darniową do fryszowni i wysokich pieców wydobywano na miejscu, a ponieważ była mało wydajna, sprowadzono rudę z Tarnowskich Gór, Rudnych Piekar itd. W ciągu 19 w. podupadły wymienione zakłady hutnicze, a powstały nowe huty względnie fabryki maszyn w Paruszowcu, Gotartowicach, Rybniku i Żorach. Stare mury i ruiny wskazują często, że tu kiedyś wrzała praca i tętniło życie hutnicze. Istniejące dziś huty wzgl. fabryki maszyn, o ile nie ucierpiały od działań wojennych, zatrudniają tysiące pracowników, a wyroby ich znane są nie tylko w Polsce, ale i w krajach pozacuropejskich (np. wyroby emaliowane Huty Silesia w Paruszowcu).

Z dalszych bogactw mineralnych — to źródła solankowo-bromowe w Jastrzębiu-Zdroju, przypadkowo odkryte w latach 1858 do 1860 przy wierceniach węglowych. Solanka została najpierw odkryta w miocenie, a przy dalszych wierceniach po raz drugi w piaskowcu karbońskim. Z przekrojów geologicznych wynika, że solanka występująca w piaskowcu dostała się tam z horyzontu soli kamiennej, który leży w tym samym poziomie co i solonośny piaskowiec karboński w Jastrzębiu. Wybuchy gazów z otworów wiertniczych towarzyszą często wypływom solanek, zawierających pomiędzy innymi składnikami również brom i jod. Zakład zdrojowy w Jastrzębiu bardzo nowo-

ześnie rozbudowany, znany jest nie tylko na Śląsku, ale i daleko poza jego granicami. Warstwa trzeciorzędu, tj. miocen, występujący w okolicy Pszowa, zawiera również siarkę. Z warstw siarkonośnych wytryskują liczne źródła siarczane, które dały w 1806 roku początek zdrojowisku siarczanemu w Zawadzie, a później w Kokoszycach. Zdrojowiska były czynne do 1894 r. Źródła siarczane jeszcze dziś wyzyskuje ludność tamtejsza dla celów leczniczych.

Warstwy siarkonośne dały początek kopalni siarki w Zawadzie. Nadania górnicze, położone w Pszowie, Krzyżkowicach, Rydułtowach, Zawadzie, Kokoszycach, Syryni, Czyżowicach, Rogowie, Bluszczowie, Radlinie, obejmują 28½ km<sup>2</sup> obszaru.

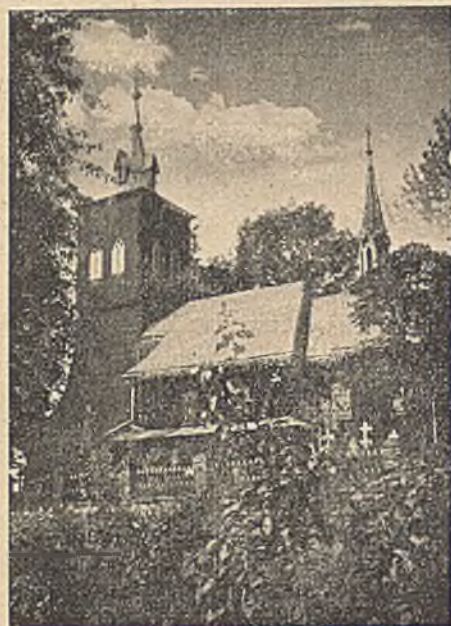
Gleba powiatu jest mało urodzajna, lepsze urodzaje są tylko w południowej części powiatu. Szerokie połacie gleby piaszczystej, a także nieprzepuszczalne i zimne glinki, nie przyczyniają się do zwiększenia wydajności. Dzięki jednak zastosowaniu ulepszeń w uprawie, maszyn rolniczych, nawozów sztucznych, odwadniania pól itd., zbiory powiększyły się ogromnie. Kiedy na początku XIX wieku (według akt gruntowych w Pszowie) stosunek zasiewów do zbiorów wyrażał się stosunkiem 1:3 do 1:4, to obecnie przy dobrych urodzajach na tej samej ziemi wyraża się współczynnikiem 1:10:14. Powiat nasz, obok będzińskiego, ma najwięcej gospodarstw karłowatych w województwie śląsko-dąbrowskim. Hodowla bydła i koni jest słabo rozwinięta. Zapotrzebowanie mleka pokrywać muszą sąsiednie powiaty.

Surowy klimat, woda zaskórna i ujemny skład gleby nie sprzyjają też ogrodnictwu, zwłaszcza drzewostanom szlachetnym. W ostatnim czasie czynione są usilne zabiegi o podźwignięcie ogrodnictwa. Własna uprawa warzyw jest niewystarczająca, niedobór pokrywa sąsiedni powiat raciborski. Za to posiadamy wielkie obszary leśne, zwłaszcza w północnej części powiatu, ciągnące się nieprzerwanie od lasów rudzkich aż do

puszczy pszczyńskiej, które nie tylko stanowią bogactwa materialne, ale podnoszą piękno krajobrazu i pochłaniają nadmiar dwutlenku węgla z naszego zagłębia węglowego.

Na zakończenie tego zarysu gospodarczego słówko o komunikacji. Pierwszą kolej w powiecie uruchomiono w 1853 r. z Raciborza przez Sumię, Rydułtowy, Rybnik, Mikołów, Katowice do Mysłowic. Połączenie z Gliwicami przez Gierałtówce powstało w 1912 r. Później uruchomiono kolej Wodzisław — Jastrzębie — Orzesze 1914—1918 roku, Olza — Pszów 1915 r., Niedobczyce — Boguszowice 1915 r., Olza — Brzezie 1924 r., wreszcie w 1938 r. Rybnik — Żory — Pszczyzna i Moszczenica — Cieszyn. Stan dróg bitych w okresie międzywojennym podniósł rząd polski znakomicie, budując szereg nawierzchni asfaltowych i granitowych, którym nawet przemarsze wojsk pancernych niewiele zaszkodziły.

Tyle o skarbach przyrody i materialnych dziełach człowieka. Więć chociaż słówko jeszcze o glebie duchowej, która tę materialną przenika i uszlachetnia. O tym piasstowym dostojenstwie i powadze we wszystkim: w życiu domowym, w modlitwie, pracy i obrzędzie. Tu krynica zdrowego ducha narodu, tu źródło jego spokojnej mocy i wytrwania. O tych kościółkach z modrzewia, dźwięcznym pogłosie starych gontyn słowiańskich i dworzyszcz (Bełk, Moszczenica, Leszczyny, Jankowice, Popielów, Boguszowice, Syrynia, Przyszowice). O tym pięknie gadki i pieśni śląskiej i odwiecznego obyczaju na dożynkach i weselach, na kiermaszach, prymicjach i pierwszej komunii św. dzieci, w czasie Godów i Zmartwychwstania, o tej rzetelności w mowie i pracy, tak obcej wszelakiej próżno-



Kościółek w Markłowicach  
(dziś już nieistniejący)

ści i lekkomyślności. O tej miłości ziemi ojczystej i narodu w czynie rzetelnym i twórczym, a nie tylko w słowie układnym i pustym.

Oto gleba duchowa, na której wzrosliśmy. Niech ten krótki przegląd dziejów naszej rybnickiej ziemi, jej bogactw i duchowych wartości będzie zachętą do lepszego poznania tej bliższej ojczyzny naszej, jej prac i zmagañ dziejowych, jej obecnych potrzeb i możliwości rozwoju, niech pogłębi i uszlachetni naszą pracę codzienną, niech jej da szersze widnokręgi i wskaże nowe pole działania.

Poznać lepiej — to znaczy ukochać, a to, co z miłością się poczyna, jest piękne i przynosi szczęście.

FRANCISZEK HÜBNER.

#### NASZE MIASTO.

Zachęcony opisem p. Hübnera, skrzętnego badacza i miłośnika naszej rybnickiej ziemi, chciałbym dopisać słówko o mieście samym, o Rybniku.

Jak z małego nad rzeczką Nacyną grodu (gdzie dawny zamek — sąd grodzki dzisiaj), otoczony stawami (rybnik — znaczy staw rybny przecież), rozrastał się powoli, wy-





Rybnik wraca do Macierzy (powitanie władz polskich na rynku dnia 3 lipca 1922)

szedł z doliny na pagórki, przekroczył je i szedł coraz dalej, wcielając okoliczne wioski (Smolna, Paruszowiec, Wawok). Jak za polskich rządów właśnie rósł w oczach i piękniał, rozkwitał coraz nowymi kępami kwiatów i zieloności. Z brzydkiego targowiska pod nowym kościołem zrobił się ogród piękny, przed kolejowym dworcem rozleżał się dywan ślicznych traw i kwiatników, polna wyboista droga stała się wysadzoną drzewami wspaniałą aleją Kościuszki, zjawił się asfalt na ulicach i piękne krawężniki, a płyty kamienne i lampy okazałe na rynku i Placu Wolności. Powstały nowe, tonące w zieleni drzew dzielnice, odnawiały się stare domy i kamieniczki. Niestrudzony pan Jochemczyk sadił co roku coraz to nowe krzewy, i drzewka, coraz piękniejsze zakreślał kwiatniki, coraz nowe wytyczał szpalery ku radości doktora Białego, który tym sprawom patronował. Dziesiątki pracowitych staruszków i kobiet codziennie cierpliwie uprzątało najmniejszy ślad brudu i nieczystości, ogromny czerwony samochód zmywał i szczotkował latem asfaltu, że lśniły jak lustro... A pan burmistrz uśmiechał się tylko i gospodarzył, włodarzył swoim miastem coraz mądrzej, coraz roztropiej, coraz bardziej celowo.

I powstawały z roku na rok coraz okazalsze gmachy i urzędnictwa: wyniosłe domy Boże, uczelnie, urzędy, zakłady gospodarcze, dworce, stadiony!

I stał się Rybnik, choć skromnie na uboczu stojący, jednym z najpierwszych miast w Polsce pod względem czystości, porządku i piękna: Poznań, a potem Rybnik.

To dopiero zewnętrzna strona miasta, a przecież ta druga — duchowa równie była bogata: te zawsze pełne o świcie kościoły i kaplice, te liczne szkoły, do których ścigała co rano młodzież z całego niemal powiatu, a nawet z innych województw, te świetlice i biblioteki, sale odczytowe i sceny, chóry, orkiestry i związki ideowe, własne pisma nawet: „Sztandar Polski i Gazeta Rybnicka“, które pan Knapczyk regularnie trzy razy w tygodniu wydawał...

Wojna, zdawało się, potwornym walcem zmiążdży, zniweczy wszystko. W gruz i popiół poszły domy, dzielnice, szkoły, a rumowiska, wyrwy, zapory, szczątki żelaznych potworów, potrzaskane pnie i konary drzew zaległy ulice. Niektórzy już widzieli nad miastem czarną chorągiew zagłady.

Ale powrócili jego dawni mieszkańcy i dawny gospodarz: zbiedzony, cichy, ale z da-

---

wną miłością do miasta. Znikły ohydne rany wojny. Zielenią się znowu parki i kwitną cudnie kwiaty.

Wróciła szlachetna powaga na Rynek i plac Żołnierza Polskiego. I znowu lśnią czyste jego asfalty i szerokie wygodne chodniki. Znow jest Rybnik świeży, jasno zielony wiosną, a złoty na jesieni. I zaczynają znowu

różowieć twarze jego małców, igrających na skwerach i piaskownicach.

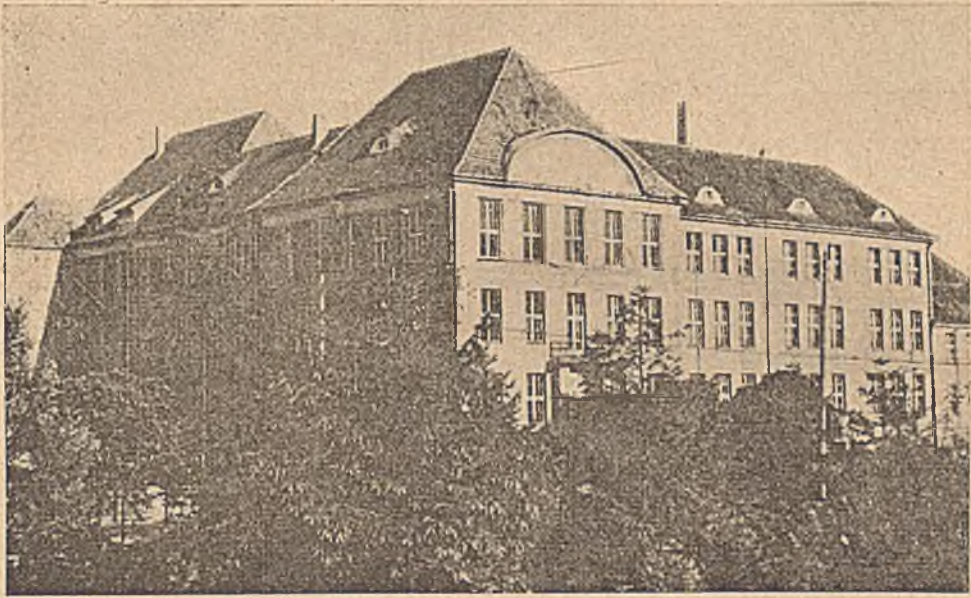
Ach, gdyby takich panów Białych i Weberów miała każda Czerwionka, Rymer, Dębieńsko, każda osada polska i miasto, jakże piękną byłaby nasza Polska, jak zdrowo i przyjemnie było by w niej żyć i pracować!

I. LIBURA.



I w szkolne mury wróciło dawne życie!

XXV



DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE



## Pierwszy polski maturzysta rybnicki składa swej szkole życzenia jubileuszowe

Opole, dnia 25 sierpnia 1947 r.

Znajduję się ciągle w rozjazdach z okazji wizytacji zniszczonych części Śląska Opolskiego. Dlatego proszę mi wybaczyć, że zamiast artykułu, napiszę tylko kilka słów dla Księgi Pamiątkowej.

...Pamiętam, dobrze pamiętam dzień uroczystego otwarcia polskiego gimnazjum w Rybniku – jesienią 1922 r. Z budynku szkolnego, dopiero co wyremontowanego – wybuch amunicji na dworcu rybnickim w czasie powstania zniszczył dach i wszystkie okna – ciągnął pod przewodnictwem ówczesnego dyrektora, niezapomnianego śp. Ks. Dra Siwca długi sznur nowych uczniów polskich do kościoła Św. Antoniego na uroczyste nabożeństwo,

Przeważali już wówczas bardzo znacznie synowie chłopów i górników, podczas gdy za niemieckich czasów dominował element z niemieckich sfer urzędniczych i kupieckich.

Potem pierwsze lekcje w języku polskim! Takie to wszystko było nowe, dziwne, ale jakże bardzo swojskie i bliskie! W ósmej klasie było nas tylko dwóch! Toteż w niespełna jednym roku szkolnym aż do abiturium nauczyliśmy się chyba więcej niż za kilka lat niemieckiego gimnazjum, bo trzeba było być przygotowanym na każdą, bez wyjątku lekcję! Ks. Dyrektor ani profesorowie niczego nie przepuścili. Mam wszystkich w dobrej i wdzięcznej pamięci, a w szczególności śp. Ks. Dyr. Siwca i żyjącego jeszcze profesora Łukasiewicza, którzy nie tylko byli nauczycielami, ale prawdziwymi ojcami nas młodych. Nie tylko uczyli, ale po ojcowsku prowadzili, doradzali, razem z nami snuli plany przyszłości... Słowem, w polskim gimnazjum rybnickim panował w okresie jego wiosny dobry duch, duch ojczystej ziemi rybnickiej. Częstokroć w latach późniejszych, kiedy zajeżdżałem do Rybnika, przechodziłem umyślnie obok gmachu gimnazjalnego, by odświeżyć na chwilę wspomnienia z lat młodości szkolnej. Za każdą taką wizytą stwierdzałem z pewną dumą lokalną, że miasto Rybnik stawało się coraz piękniejsze i czystsze, a budynek gimnazjalny się rozrastał.

Oby ten dobry duch, którym oddychało razem ze mną tyle setek, a później i tysiący młodzieży w gimnazjum rybnickim mieszkał nadal, oby uczelnia ta ściągała do siebie i nadal całe rzesze młodzieży ziemi rybnickiej, a napełniwszy ich dobrą wiedzą i prawdziwą mądrością życiową, rozsyłała ich po wszystkich zagonach naszej Rzeczypospolitej! Tego życzy swemu gimnazjum w uroczystość jego 25-lecia pierwszy polski abiturient tegoż gimnazjum.

KS. BOLESŁAW KOMINEK  
Administrator Apostolski  
Śląska Opolskiego

Zebraane w niniejszej księdze prace dotyczą trzech okresów życia naszej szkoły. Pierwszy okres, to lata wyzwolonego Śląska — pierwsze kroki upojnej wolności, logiczna konsekwencja przelanej krwi powstańczej. Okres ten zawiera karty piękne, dla repolonizacji Śląska w skutkach brzemienne. Praca pedagogów i wychowawców w tym okresie ma w sobie coś pionierskiego, ojcowskiego — przywracając na łono macierzy olbrzymie rzesze młodego pokolenia. Szkoła nasza w tych latach jest jednym z najwybitniejszych zakładów na Śląsku.

Drugi okres, to okres barbarzyńskiej okupacji, kiedy — jak powiedział Norwid — było w Ojczyźnie laurowo i /ciemno. Karty tej części, to nie suche opowiadania ważkich nawet wydarzeń, czy bohaterskich czynów, ale krwią serdeczną pisana epopea wychowanków zakładu, którzy w obronie najświętszych praw Narodu, spełniając swój obowiązek, składają ofiarnie swe życie na Ołtarzu Ojczyzny. Podwoje szkoły były formalnie zamknięte, ale duch jej żył w sercach naszej młodzieży, która rozprószona po wszystkich zakątkach świata, krzewiła prawdy, poznane w murach tego zakładu. Sześćioletnia okupacja w niczym nie zmniejsza prawa naszego do jubileuszowego obchodu XXV-lecia. Utrwalone w księdze przeżycia naszych wychowanków, gdy walczyli za Polskę — są niezbitym dowodem znaczenia naszej szkoły i w tym okresie. Podjęliśmy się tej zbożnej pracy, by święta krew umęczonych i poległych naszych profesorów i wychowanków nie poszła w zapomnienie, lecz przemieniła się w słowa żywe i gorące — słowa, które zawsze będą przypominać i oskarżać zbrodnie niemieckie, popełnione w Polsce. Jeśli czas, lekarz wszystkiego, zetrze kiedyś ślady tych zbrodni, księga ta nie pozwoli, aby zginęły one z naszej pamięci, a imiona bohaterów, wyrte w marmurze przewodzić będą duchowo następnym pokoleniom naszej szkoły.

Okres trzeci — to praca szkoły po oswobodzeniu Śląska, gdy po sześciu latach tragicznego milczenia na korytarzach rybnickiego gimnazjum zadźwięczał znów szkolny dzwonek lekcyjny. Był to symbol odrodzonej szkoły polskiej, która, przygarniając serdecznie dźwiatwę śląską, leczyła jej rany duchowe, zadane w czasie zbrodniczej germańskiej okupacji. Był to gigantyczny wysiłek i dowód niezmiernej aktywności szkoły, pozytywnego przedstawienia umysłów młodzieży na potrzeby i cele wychowania w demokratycznej Polsce Ludowej. W pracy tej wzięło udział znaczne grono ludzi wychowawców, świadomych zadań, które na nich ciążyą, a którym na sercu leżało jedynie dobro Polski. I już dziś możemy powiedzieć, że nie ma takich ran w duszy polskiej, których by polska szkoła zagoić nie mogła.

Prof. Szymański Edward,

Dyrektor Państwowego Liceum i Gimnazjum  
w Rybniku.

---

## W 25-lecie szkoły polskiej na Śląsku

**D**wadzieścia pięć lat w historii narodu nie jest okresem, który by mógł zaciążyć na kształtowaniu się ducha jednego pokolenia. Tak rozumuje pewna część ludzi, która zbyt powierzchownie traktuje życie, nie wysilając się zgłębić istoty żywota ludzkiego, istnienia państwa i narodu.

Jeżeli sobie bliżej uświadomimy dzieje ludzkości, jeżeli zwrócimy uwagę na poszczególne etapy rozwoju i istnienia narodów i kultur, wtedy nie omieszkamy zauważyć, że na przestrzeni znanej nam historii świata działy się przemiany, które właśnie w pewnych tylko okresach były brzemienne w skutkach i spowodowały przeobrażenia i przesunięcia nie tylko w granicach wielu państw, ale i w sposobie bytowania ludzkości na całym świecie. Podobnie rzecz się przedstawia na odcinku historii naszego narodu i państwa.

Z zestawień lat tryumfu i upadku narody czerpią naukę. Sternicy nawy państwowej, przez Opatrzność postawieni na czoło narodu, mają obowiązek unikać błędów, które w przeszłości zaprowadziły naród do upadku i nieszczęścia. Stosować mają przy rządzeniu państwem metody i wzory, które dodatni wpływ wywierają na rozwój życia państwowego, które podnoszą ducha narodu, pogłębiają jego kulturę, jego życie intelektualne i moralność.

Do takiego celu zdążają narody przede wszystkim poprzez dobrze zorganizowane szkolnictwo. Jakie szkoły, takimi będą narody — jaka młodzież, taka przyszłość. Im światlejszy naród, tym wyżej stoi jego kultura i tym sprawniejsze jego rządy, poprzez które spływa na narody błogosławieństwo w postaci dobrobytu i bogactwa.

Polska — po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 — z należyтым zrozumieniem zabrała się do montowania zrębów polskiego życia państwowego, a więc m. in. i szkol-

nictwa. Nie było to zadaniem łatwym. Trzy zaborcze państwa rozbiły spoiwość narodu naszego. Każdy z trzech zaborców wychował nasz polski lud wedle swoich, obcych nam wzorów, przy czym myślą przewodnią każdego zaborcy była dążność do zniweczenia poczucia narodowego, do wyplenienia i /zohydzenia kultury polskiej.

Czy dobrze spełniło państwo swój obowiązek i swoje posłannictwo w tym czasie?

Na to pytanie pozwolę sobie odpowiedzieć w ogólnych chociaż zarysach, jako ten, który okres odradzającej się państwowości polskiej przeżywał bezpośrednio, i dalej jako ten, któremu nie było dane w młodości czerpać wiadomości i nauki z polskiej krynicy wiedzy, ale który był zmuszony kształcić swój umysł w szkole pruskiej, a wszystko co polskie dorabiać samokształceniem wzgl. kursami polskimi na dalekim wychodźstwie.

I kiedy na innych ziemiach powstające do wolnego i niepodległego bytu Polski organizowano życie państwowe, a więc i szkolnictwo, wtedy na ziemi śląskiej panowała jeszcze noc polityczna. Kiedy w innych częściach naszego kraju młodzież korzystała już w polskich szkołach w całej pełni z polskiej nauki, wtedy tu na ziemi Piastów — na Śląsku — grasowały jeszcze bandy Hoersinga, różne grenszuce i selbstszuce, krwawo tłumiąc każdy przejaw życia polskiego. Dopiero po trzech krwawych zrywach wolnościowych ludu śląskiego — a dokładnie od 22 czerwca 1922 r. — kiedy Polska wzięła nas oficjalnie pod swoją opiekę, rozpoczęła się na ziemi śląskiej właściwa robota na wszystkich odcinkach życia państwowego i wtedy dopiero zaczęto planowo organizować tu szkolnictwo polskie, które, jak to ostatnie 25-lecie wykazało, tak chwalebnie się zapisało w historii najmłodszej wówczas dzielnicy Polski.

Na stanowisko kuratora szkolnego w Katowicach powołano człowieka, który dosko-

nale zapoznał się z terenem. Wniknął głęboko w braki i potrzeby na odcinku oświaty na Śląsku, poznał dogłębnie duszę naszego ludu i dobrał sobie do pomocy na wszystkich szczeblach hierarchii szkolnej niemniej zacnych, pracowitych, ofiarnych ludzi, zdających sobie doskonale sprawę z obowiązków, jakie ciążyą na nich wobec historii. A trzeba wiedzieć, że byliśmy biedni w zasoby materialne, podczas kiedy Niemcy, chronieni konwencjami międzynarodowymi, suto korzystali z różnych jawnych i ukrytych subwencji, płynących z bogatej Rzeszy, za które kupowali dusze polskie. Nie wiele to co prawda Niemcom dawało korzyści, gdyż lud śląski w swojej ogromnej masie był odporny na te niecne metody i na te judaszowskie srebrniki. To też liczba szkół mniejszościowych, mimo wysiłków dobrze płatnych niemieckich propagandzistów i naszych zdrajców, stale malała.

W niezliczonych kursach dla starszych nadrabiano zaniedbania przeszłości i uzupełniano braki językowe wśród starszego pokolenia. Czytelnicstwo książki polskiej rozrosło się do niespotykanych rozmiarów, pieśń polska rozbrzmiewała coraz piękniej i potężniej. Nauka polska robiła postępy ku ogólnej radości i pożytkowi wszystkich. W parze z postępem nauki rosło uświadczenie narodowe. Młodzież, poznawszy historię i literaturę polską, pokochała kulturę polską, uświadamiając sobie, że jesteśmy narodem wielkim i zasłużonym w dziejach świata.

Szkoła polska na Śląsku chlubnie więc spełniła zadanie, które jej powierzono i które sobie zakreśliła. Znalazła klucz do serc młodzieży, roznieciła w niej miłość do Polski, zaskarbiła sobie wdzięczność tej młodzieży, czego dowody dała ostatnia wojna. I znowu nie sposób wyliczyć w krótkich



**W pracowni humanistycznej**

Tymczasem szkoła polska w żmudnej, ciężkiej, ale usilnej i konsekwentnie wykonywanej pracy cuda czyniła wśród naszej młodzieży. Coraz więcej uszlachetniany język polski rozbrzmiewał wszędzie, gdzie tylko rozmowy toczono. Obce naleciałości zniknęły szybko jak śnieg po ciepłym deszczu.

zdaniach przykładów heroizmu młodzieży naszej w walce z okupantem. W niniejszym wydaniu jubileuszowym umieszczono kilka fragmentów z tego czasu. Ale i ten krótki zarys jakże wymownie stwierdza miłość wychowanków szkoły polskiej do swojej Ojczyzny!

Czyż to zasługą, że młodzież tak gorąco pokochała tę Polskę, za nią cierpiała i ginęła i o odzyskanie jej wolności walczyła aż do zwycięskiego skutku? Czyż nie polskiej szkoły! Czyż nie polskiego profesora, który acz w ciężkich warunkach z sercem oddawał się kształceniu tego pokolenia. Ten polski nauczyciel, ten polski profesor z szczególną wnikliwością, znanstwem i wysiłkiem niecodziennie spotykanym i dobrą wolą wygładzał narosty długowiekową niewolą nagromadzone i kierował umysł młodoc na drogę, prowadzącą do Polski. A miłość do tej Polski rozżarzył do takich rozmiarów, że nieraz z przerażeniem patrzył na swoich wychowanków. Bo szaleństwem nazwać można było niejedną wyprawę naszej młodzieży w latach walki. Ale też tylko taka „szalona“ młodzież mogła toczyć tak nierówną walkę z uzbrojonym po zęby wrogiem. I tylko taka „szalona“ młodzież mogła z tej nierównej walki wyjść zwycięsko. I tylko taka zakochana w Polsce młodzież po spełnionym obowiązku wojennym, po ofiarach i mękach, po wielkiej daninie krwi, przelanej na wszystkich frontach świata, może zniszczony kraj podźwignąć do nowego i lepszego życia. I tylko taka młodzież może zagospodarować odzyskane ziemie zachodnie i narzucić swoim współpracownikom nasze tempo pracy i zamiłowanie do wysiłku dla powszechności. I tylko taka młodzież może Polsce dać lepsze Jutro! Warunek jeden: Uczyni to, jeżeli kierunek nauki u swoich podstaw nie zostanie spaczony.

Do spełnionym obowiązku w czasie wojny, po walce aż do zwycięstwa, młodzież nasza wróciła mocno przerzedzona do swoich zagród. W czasie tych zmagani nabrała moc doświadczeń, poznała wiele innych krajów i obyczaje innych narodów. Wróciła do domu życiowo dojrzała. Część tej młodzieży wróciła do szkół celem ukończenia studiów. Inna część zajęła różne stanowiska w przemyśle, administracji i handlu. Pracą wykuwa nowe wartości w dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Zrozumiała, że po la-

tach walki trzeba miecz schować do lamusa a pracą i wysiłkiem zdwojonym dźwigać kraj ze zgliszcz i ruin. Rany zadane wojną musimy leczyć rozumnie i konsekwentnie, przy czym mniej liczyć należy na pomoc obcą, jak raczej na swoje własne siły. Aż nadto w ostatnich latach poznaliśmy ten „łaskawy chleb“. I tu w Ojczyźnie i tam na obczyźnie! Gorzki był ten obcy chleb. I właśnie dlatego, że obcy i gorzki, że nieraz dusił, że aż przełknąć go było trudno, że gorycz nami miotła — właśnie dlatego cenić potrafimy więcej, aniżeli każdy inny naród naszą krwawo zdobytą wolność i nasz w trudzie i znoju zdobyty kawałek chleba.

Ufamy, że ta młodzież nasza przez nasze nauczycielstwo tak chwalebnie wychowana i do życia zaprawiona, tak wysoko intelektualnie postawiona, upora się z trudnościami okresu powojennego. Nie należy jej tylko podcinać skrzydeł. Umiejętną opieką należy ją otoczyć, bez narzucania jej obcej woli i bez zbytniego krępowania jej samodzielności, bez prześcigania się w naśladownictwie wzorów, obcych jej upodobaniom. Powiedziano już wyżej, że wysiłków nauczyciela we wszystkich typach szkół niestety nasz ogół nie docenia. Nauczyciel, strudzony męczącą pracą w szkole, niestety często głodny i chłodny, zaprzęgnięty ma umysł kłopotami natury materialnej, bo jest źle opłacany za swój wysiłek. Nie ma czasu na „kombinowanie“, bo jego praca szkolna w całości go absorbuje. Ten wysiłek odbija się ujemnie na jego zdrowiu. Wraz z nim w niedostatkach żyje jego rodzina. Czy na takie traktowanie zasłużył sobie nauczyciel?

Niech mi wolno będzie przynajmniej z tego miejsca podnieść ten fakt. Niech to będzie głos ostrzegawczy, a nie przytyk. Krzywda nauczyciela musi być usunięta czym prędzej, jeżeli dobro naszego narodu leży nam rzeczywiście na sercu.

Powojenne szkolnictwo nasze znalazło się w nader opłakanym położeniu. O tym wie-



---

le powiedziec może cała ziemia śląska, a najwięcej ta jej część, która nawiedzona została działaniami wojennymi. Mnóstwo szkół legło w gruzach, a inne znalazły się w stanie, jakby przeszła przez nie szarańcza. Tak było i w Rybniku, gdzie m. in. gmach gimnazjum państwowego przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy.

Zaraz po wyzwoleniu miasta Rybnika zjawiał się jako jeden z pierwszych prof. Szymański, który otrzymał polecenie zorganizowania w naszym gimnazjum ponownie nauki. Znalazł kilku kolegów - profesorów i zabrali się bohatersko do robót wstępnych. Pomagała również młodzież. Z uporem właściwym nam Polakom — piętrzące się trudności pokonywano z poźniwą godną zaradczością i dziś po 2 latach wznowionej nauki, dyrektor Szymański wraz z całym gronem profesorskim powiedziec sobie mogą, że trud ten sownie się opłacił. Szczegółowe zestawienie, drukowane na innym miejscu tej książki, daje temu prawdziwe i chlubne świadectwo. To nic, że nie było na czym siedzieć, z czego się uczyć, na czym pisać, to nic, że nauczyciel wraz z uczniem był głodny, że marzył, że nie było się w co ubrać, że nie miał nawet gdzie spocząć po wysiłku całodziennym. Wszystko to przetrwano. Uczyniono to dla wyższej sprawy. Cała tragedia polega na tym, że zawsze jeszcze znajdzie się ktoś z bezkrytycznej społeczności, który za niepowodzenia swojego dziecka w szkole czyni odpowiedzialnym Bogu ducha winnego profesora. Nie szuka winy u siebie, że nie pilnuje swojego dziecka, czy też w domu uzupełnia ono swoje wiadomości, czy przerabia lekcje, czy się uczy, nie widzi jego lenistwa i niedbalstwa, lecz całą winę zwała bezkrytycznie na nauczyciela, który tak nadmiernie, ze szkodą dla własnego zdrowia i zdrowia swojej rodziny pracuje. Nie rozumie pewna część społeczeństwa naszego, że ten nauczyciel jest jego i jego dziecka dobroczyńcą, że ten nauczyciel otoczony winien być szczególnym szacunkiem, miłością i troską, że z jego pracy korzyści

odnosi cały naród, całe państwo. Naród oświecony znajdzie w sobie moc samostanowienia o sobie i taki naród nigdy nie zaginie. Dźwignie się jego dobrobyt, wzrośnie samopoczucie i stopa życiowa, utrwali się wiara w własne niespożyte siły twórcze. Ułożmy stosunek nasz do naszej polskiej szkoły jak najżyczliwiej. Zbudujmy harmonijną współpracę domu ze szkołą, rodziców z nauczycielem. Pomagajmy i uzupełniamy się wzajemnie. Błędy wybaczajmy sobie wzajemnie z daleko posuniętą wyrozumiałością. Zwracajmy się z całym zaufaniem do naszej szkoły, która przecież chce tylko dobra naszych dzieci i dobra całego narodu. Do zarządzeń władz szkolnych odnośmy się z życzliwością budującą, czyli twórczą, a ewentualne — według naszego mniemania — błędne zarządzenia starajmy się zmienić drogą życzliwego zalecenia, mającego zawsze na oku dobro i przyszłość narodu i państwa. W zgodzie chciejmy współżyć i współpracować z naszą szkołą, wyniki takiej zgodnej współpracy dadzą nam zadowolenie, a młodzieży naszej przez to stworzymy warunki, które jej zapewnią należyty rozwój. Pamiętajmy, że jaką szkołę mieć będziemy, taką będzie nasza przyszłość. I dlatego współpraca domu ze szkołą musi być zacieśniona, celem wzajemnego uzupełniania się w kształtowaniu duszy naszej młodzieży. Rola Rad Rodzicielskich nie wszędzie jeszcze jest należycie doceniana. Skład zarządu tworzą zwykle osoby bardzo zacne i chętne do pracy, najżyczliwiej do potrzeb szkoły i młodzieży usposobione. Niestety prawie wszyscy są swoimi pracami zawodowymi tak zaabsorbowani, że tylko niewiele czasu im zbywa na zajęcia, związane z piastowanym stanowiskiem w radzie rodzicielskiej. Nadto pewne zarządzenia, jak np. wstrzymanie opłat na rzecz Rad Rodzicielskich, tamowały ich poczynania. Stan ten mimo wszystko ulec winien w przyszłości zasadniczej zmianie, a rady muszą wykazać więcej inicjatywy i samodzielności. Rodzice mają obowiązek otoczyć gimnazjum rybnickie troskliwszą o-

---

pieką. Na to musi się znaleźć czas i muszą być zdobyte środki materialne, bez których trudno pomyśleć o gojeniu ran, zadanych ostatnią wojną.

My, rodzice, musimy sobie uzmysłwić, że żyjemy w czasach ogromnych przemian społecznych. Dziedzina szkolnictwa wśród tych przemian zajmuje jedno z czołowych miejsc. Nam nie jest i nie może być obojętne, jakim torem popłynie wychowanie naszych dzieci. My chcemy i musimy posiadać wpływ na sposób wychowania naszych dzieci także i w szkole. Zdziczenie wojenne, demoralizacja, braki w nauce itp., oto problemy, które wymagają naszej pomocy i kontroli. Jednym z zadań rodziców, to dbałość o to, aby nad całością wychowania młodzieży panował duch Boży. Odrodzenie bowiem człowieka i wyprowadzenie ludzkości z wojennego chaosu nastąpić może przez chrześcijańskie wychowanie.

Z energią i odwagą musimy przeciwstawić się tym wszystkim, którzy podważają chrześcijańskie podstawy rodziny i burzą chrześcijański ład społeczny. Pod tym względem nie są dozwolone żadne kompromisy i żadna podwójna buchalteria. Chcemy, aby nasze państwo posiadało zdrową duchowo i fizycznie młodzież, abyśmy rzeczywiście z zaufaniem mogli spoglądać w naszą przyszłość. Naród zdrowy moralnie i duchowo nigdy zginąć nie może.

Rybnickie gimnazjum zamyka okres 25-letniej pracy nad krzewieniem nauki polskiej. Okres ten był bogaty w wydarzenia. Nowy etap się rozpoczął. Nam rodzicom wypada za wysiłek szkoły polskiej w ostatnim 25-leciu na ręce nieustrudzonej dyrekcji gimnazjum i grona profesorskiego złożyć serdeczne podziękowanie, uznając ich wielki trud i poświęcenie dla sprawy ogólnopolskiej. Jednocześnie należy wyrazić życzenie, aby w tej pracy nie ustawali, lecz nadal kształtowali przyszłość naszą poprzez wychowanie młodzieży. Jeżeli po dotychczasowej linii nadal kroczyć będą, wtedy o los Polski będziemy mogli być spokojni. Szkoła nasza, mając takich pedagogów, wychowa nam nowe pokolenia, które nie pozwolą, aby zginęła Ta, dla której żyjemy i pracujemy. Będzie wolna, niepodległa, silna i sprawiedliwa, prawdziwą Matką dla wszystkich obywateli swoich. Rządy w takiej Ojczyźnie będą naprawdę zawsze demokratyczne. Nauka owiana duchem chrześcijańskim jest najlepszą gwarantką demokracji: Chrystus był największym demokratą, jakiego zna historia świata. W takiej Ojczyźnie wszystkim nam będzie miło żyć, dla takiej Ojczyzny pracować i za nią walczyć i umierać.

IGNACY KNAPCZYK,  
wiceprzewodniczący Rady Rodzicielskiej przy Państw. Gimnazjum i Liceum w Rybniku.

## O pełne człowieczeństwo

Każda uroczystość jubileuszowa ma swoją wartość nie tylko z tego względu, że pozwala zrobić syntezę czyjejs pracy i stwierdzić jej użyteczność dla otoczenia, ale przede wszystkim dlatego, że stanowi zachętę do dalszego wysiłku, często dla samego jubilata, zawsze dla innych. Podobne znaczenie ma uroczystość dwudziestopięciolecia rybnickiego gimnazjum.

Gdy się weźmie do ręki wiązaną jego wspomnień, tak pięknie wydaną z okazji uroczystości i przegłądnie kartki jego chlubnej historii, ukoronowanej żałobnymi klepsydrami jego wychowanków i nauczycieli, którzy swe życie oddali dla sprawy narodowej, widzi się, że płomień patriotyzmu i człowieczeństwa palił się w tej szkole jasno przez cały czas jej istnienia. Płomień



„Odprawa posłów greckich“ w 400-lecie Kochanowskiego  
odegrana przez uczniów gimnazjum.

ten miał niewątpliwie swe źródło w jej humanistycznym charakterze. Klasyczny był charakter szkoły od jej początku do czasów reformy szkolnictwa średniego w Polsce, a potem humanistyczny.

Umiłowanie kultury we wszystkich jej idealnych objawach, przyswajanie sobie najwyższych wartości ludzkich, praktykowanie tego człowieczeństwa i miłość Ojczyzny były zawsze głównym celem wychowawczym tej szkoły. Ale realna wartość nauk humanistycznych jeszcze się na tym nie kończy. One spełniają wybitną i równorzędną naukom ścisłym rolę i w czasach obecnych, w okresie materialnej odbudowy: zniszczonych fabryk, miast i dróg, której dokonują inżynierowie, chemicy, fizycy itd. Ale pod wpływem tych widomych osiągnięć techniki zaczyna się wytworzać w społeczeństwie wyobrażenie, że praca humanistyczna jest do pewnego stopnia sztuką dla sztuki, że jest to działalność, która nie przynosi na-

rodowi bezpośrednich korzyści. Oczywiście humaniści bezpośredniego znaczenia dla materialnych potrzeb nie posiadają, ale w całości kształcie działań kulturalnych spełniają tę samą ważną rolę, co pierwsi.

Gdy mówimy: „historia vitae magistra“, to rozumiemy dobrze, że nie rozwikła ona wszystkich trudności życia, bo historia się nie powtarza. Jednak nauki historyczne mogą nauczyć chociażby tylko tyle, że potrafią uchronić od popełniania na nowo dawnych, niewątpliwych błędów. Jeżeli chodzi o jak najlepsze ukształtowanie wzajemnych stosunków między obywatelami państwa, czy między narodami, to nauki humanistyczne mogą dać niejedną cenniejszą wskazówkę, cenną, bo na podstawie naukowej aparatury. Znamy historię starożytnej Grecji i osądzić możemy wynik jej rywalizujących ze sobą kultów: kult materii i dyscypliny wojskowej, której ogniskiem była arystokratyczna Sparta, i rozumne pielęgnowanie nauk hu-

---

manistycznych w demokratycznych Atenach. Co mamy po Sparcie? — Bardzo niewiele. Tymczasem kultura Aten zdobyła cały świat od Gangesu po brzegi Atlantyku, podobnie jak flakon z wonnościami, gdy się rozbije, napełnia zapachem cały dom. Olbrzymia Persja runęła pod uderzeniem Aleksandra, ucznia humanisty attyckiego Arystotelesa. Runęły przez noc Niemcy, opierające się na ślepym kulcie autorytetu i brutalnej sile, a nie na pełnym humanizmie.

Oto zaledwie kilka oczywistych przykładów z dziejów ludzkości na poparcie i uzmysłowienie sobie znaczenia nauk humanistycznych, których najwyższym celem pozostanie zawsze „uczłowieczenie“ samego człowieka. Bez wyhodowania tych wartości w poszczególnych jednostkach nie ma prawdziwej dynamiki narodowej.

Biorąc tę doniosłość nauk humanistycznych pod uwagę, dumni jesteśmy, że krzewienie ich przez ćwierć wieku było udziałem rybnickiego gimnazjum. Dumni jesteśmy, że opierając na nich wychowanie młodzieży

daliśmy narodowi naszemu jednostki pełnowartościowe, których imiona złotymi zgłoskami wyryto na marmurowej tablicy.

Ale w pracy tej nie wolno nam spocząć. Leży przed nami duże zadanie, gdyż barbarzyństwa ostatniej wojny poczyniły w naszej kulturze ogromne spustoszenia. Z wnioskami, jakie wypływają z tego jubileuszu, zwracamy się do młodzieży, do tych, którzy idą w życie. Nakaz wysiłku dla zdobywania pełnego człowieczeństwa jest obecnie nakazem dla wszystkich. Obowiązek ten w wyższym jeszcze stopniu ciąży na wychowankach rybnickiego gimnazjum. W myśl rzymskiej zasady, że dziedzictwo bierze się wraz z ciężarami (*sacra cum hereditate coniuncta*), każdy kto wstępuje do tej szkoły, bierze na siebie obowiązek wzmoczonego wysiłku, aby dorównał tym poprzednikom swoim, którzy pracą, wysiłkiem nadludzkim i ofiarą Polskę odrodzili. Jeżeli to się stanie — jubileusz będzie nie tylko udaną uroczystością, ale także pożytecznym dla Polski aktem.

PROF. LEON CHUDOBA.





KS. DR. STEFAN SIWIEC.

## Pierwszy polski dyrektor

Kiedy patrzymy na dwudziestopięcioletnie działalności wychowawczej naszego Zakładu — nie wolno nam zapomnieć o człowieku, który kładł podwaliny pod dzień dzisiejszy. Jest nim pierwszy dyrektor Gimnazjum Państwowego w Rybniku ks. dr Stefan Siwiec.

Urodził się 23 sierpnia 1863 r. w Miasteczku, w powiecie tarnogórskim, z ojca Piotra i matki Ewy z Celarych. Przygotowany przez swego proboszcza, świątobliwego ks. T. Christofa, zgłasza się do gimnazjum bytomskiego, które 13 sierpnia 1881 r. kończy maturą. W latach 1881—1885 studiuje filozofię i teologię, jakoteż języki wschodnie we Wrocławiu i Insbruku. W latach 1885.86 przebywa w seminarium duchownym w Freising w Bawarii, gdzie 26 czerwca 1886 r. otrzymuje święcenia kapłańskie. Po trzyletnim wikariacie w Toszku zostaje 8 grudnia 1889 r. mianowany profesorem gimnazjum w Raciborzu. Tu, poważany i ceniony, pracuje do 30 czerwca 1922 r., w tym przez

czas dłuższy jako wicedyrektor. Tego dnia opuszcza Racibórz, by objąć w Rybniku stanowisko pierwszego polskiego dyrektora w organizującym się polskim gimnazjum. Godność tę piastuje do 31 lipca 1929 r., kiedy to władze wojewódzkie przeniosły go w stan spoczynku. Po zemerytowaniu zamieszkuje ks. dr Siwiec dalej w Rybniku aż do swej śmierci.

Oto w skrócie parę suchych dat *curriculi vitae* ks. dr Siwca, które wcale nie oddają tej wielkości i znaczenia, jakim się w życiu cieszył. Ks. dr Siwiec to — jak się ktoś o Nim wyraził — *plenus homo*, pełny człowiek. Usłyszawszy powołanie Boże na stanowisko ciężkie i odpowiedzialnością obarczone, wypowiedział to pięknie: „*Ecce ego, mitte me*“. Jeden tylko stawił Bogu warunek: „*Da mihi animas, caetera tolle*“. Chciał zostać i być ciągle zdobywcą dusz, uczynić z siebie całopalną ofiarę na ołtarzu obowiązków pasterza dusz tak na terenie pracy czysto kościelnej, jak i w dziedzinie wychowawczej. Nie szczędził też tru-

du i środków, które by mu ułatwić mogły zdobycie duszy osób Jego rządowi oddanych. Był zdania, że tylko *ex plenitudine cordis* dać może swoim wychowankom coś z boskich myśli. Tym się tłumaczył ciągle Jego studia i to nie tylko teologiczne. Ileż to razy stawał się w gimnazjum alfą i omegą w niejednej kwestii matematycznej, filozoficznej, czy innej! Z zamiłowaniem oddawał się studiom orientalistycznym. Owocem tych zainteresowań jest Jego praca doktorska z dnia 9 marca 1896 r. na temat: „*De S. Theodoro Studita, reformatore monachorum basilianorum*” i trzytomowe „*Das Moigenländische Mönchtum*” z roku 1912 i cały szereg innych prac.

W celach naukowych bardzo wiele podróżuje. Zwiedza Francję, Włochy, Grecję, Małą Azję, Palestynę, Rumunię, Wielką Brytanię, Hiszpanię. Zwiedza te kraje, by tam porozmawiać z światem przeszłości, by treść tych rozmów, jako wiedzę udokumentowaną, przelać później w serca ukochanych uczniów, po bratersku podzielić się nią ze swoimi współwychowawcami.

Posiadał też w swej wielkiej duszy to tak rzadkie, a jednak bardzo ważne, szczególnie dla wychowawców — *sentire cum proximo*. Swoje dążenie do wiedzy, wszystko co zyskał drogą teorii i praktycznego doświadczenia życiowego uważał za środki, którymi mógł pozyskać serca i dusze ludzkie dla Piękna, Dobra i Prawdy Bożej. W imię swego świętego powołania duszpasterskiego starał się wiedzą własną i doświadczeniem innym wybrukować drogę do szczęścia. Przykładów braterskiego serca Ks. Dyrektora możnaby wiele naliczyć. Wychowankowie Jego do dziś mile wspominają swego Ks. Dyrektora. Imponował im swoją postawą zewnętrzną zawsze i wszędzie. Rybniczanie codziennie widywali ks. dr Siwca na popołudniowej przechadzce w towarzystwie któregoś ze swoich „mamlasów”. Dla młodzieży wszystko poświęcił. Proponowano Mu trzykrotnie katedrę uniwersytecką, trzykrotnie odmówił, bo, jak sam

się wyraził „nie chciał opuścić młodzieży gimnazjalnej”. Kiedy zaś administrator apostolski dla Śląska ks. dr A. Hlond mianował go radcą duchownym, on listem z dnia 7 stycznia 1923 r. donosi biskupowi uprzejmie, że „z powodu wydawania świadectw... nie będzie mógł przybyć na konferencję... również w następnych konferencjach nie może brać udziału z powodu konieczności pobytu codziennego w zakładzie”. Tak cenił sobie pracę nad młodzieżą.

Mimo to godności kościelne nie omijały go. Dnia 16 czerwca 1926 r. zostaje mianowany kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej w Katowicach „w uznaniu zasług, położonych dla kościelnego życia na terenie diecezji śląskiej” — jak powiada dekret nominacyjny biskupa śląskiego ks. dr A. Hlonda. Poza pracą naukowo-wychowawczą poświęcał się ks. dr Siwec chętnie duszpasterstwu parafialnemu. W niezliczonych miejscowościach Górnego Śląska wygłasza kazania i nauki w języku polskim. Ciężko musiał odczuć pismo wojewody śląskiego z dnia 22 maja 1929 r., przenoszące go w stan spoczynku z dniem 31 lipca 1929 roku. Odsunięty od ukochanego przez siebie życia szkolnego, pozbawiony pracy wychowawczej, przenosi się ks. dr Siwec do skromnego pokoiku w budynku szpitala św. Juliusza w Rybniku, by tam spędzić resztę życia. W roku 1936 obchodzi w gronie osób sobie oddanych rzadki jubileusz 50-letniej pracy kapłańskiej, gdzie jeden z jego b. uczniów, ks. dr Bolesław Kominek, w pięknym przemówieniu dziękował mu w imieniu licznej rzeszy wychowanków za wiedzę i wychowanie. Zadziwił wtedy ks. dr Siwec wszystkich swoją żywością umysłu i pamięcią różnych nazwisk i drobnostek z lat szkolnych.

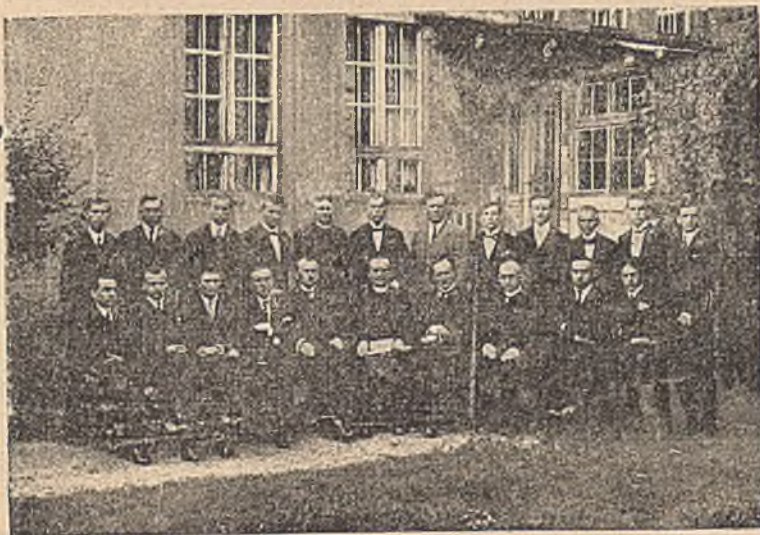
Po wybuchu wojny zaczął jednak zapadać na zdrowiu. W liście z dnia 15 stycznia 1940 r. siostra przełożona ze szpitala św. Juliusza zawiadamia Kurię o porażeniu mózgowym, jakiemu uległ ks. dr Siwec. Choroba nie ustępowała i o 26 kwietnia 1941

roku umiera w wieku lat 78. Pogrzebany został przy udziale skromnej gromadki swoich wychowanków na cmentarzu parafialnym w Knurowie.

„Non omnis moriar“ — mógł o sobie powiedzieć ks. dr Siwiec. Żyje on po dziś

dzień w pamięci swoich uczniów, w dobrych i szlachetnych czynach swych wychowanków. Niech! i to krótkie wspomnienie złoży się na pomnik wdzięczności w sercach naszych dla zasług, jakie położył około wychowania młodzieży polskiej.

KS. ANTONI GASZ.



Grono profesorskie i maturzyści z roku 1924

## Wspomnienie o ś. p. ks. dr Stefanie Siwcu

Nie ubliżając innym zasłużonym „włodarzom“ rybnickiej Almac Matris, trzeba stwierdzić bezstronnie, że bezwzględnie najwybitniejszym i najzasłużeńszym z nich był śp. ks. dr Siwiec Stefan, pierwszy dyrektor (od 1922 do 1929 r.). Osobistość pod każdym względem niezwykła. Charakter bez skazy. Kapłan i człowiek wzorowy. Uczony wysokiej miary. Znamca szeregu starożytnych języków wschodnich. Autor szeregu cennych rozpraw, zamieszczanych w różnych zagranicznych czasopismach naukowych, a przede wszystkim źródłowego dzieła „O pierwocinach życia zakonnego na Wschodzie“.

Nie zapomnę radosnej i zasłużonej dumy, z jaką nam opowiadał, jak to raz wyczytał w jakimś angielskim czasopiśmie bardzo pochlebną ocenę książki, wydanej świe-

żo w języku angielskim o życiu zakonnym w pierwotnym Kościele na Wschodzie.

— „Sprowadziłem sobie — opowiadał — niezwłocznie tę książkę i zabrałem się do niej z bijącym sercem. Przecież to moja ulubiona dziedzina, nad którą ślęczę tyle lat, a opracowań prawie żadnych, trzeba się samemu przebijać — z jakimże trudem — przez stopy źródeł w językach koptyjskim, staroperskim, aramejskim itd. Jakież było moje rozczarowanie, a zarazem niespodzianka i zdumienie, kiedy zaraz na pierwszej stronie grubej książki wyczytałem we wstępie oświadczenie autora, że materiał do swej książki zaczerpnął z... mojego dzieła“.

Erudyta pierwszej klasy. Prawdziwą ucztą duchową było iść z nim na ulubioną prze-

chadzkę w malownicze okolice Rybnika lub odwiedzić go w jego prawdziwie benedyktyńskiej pracowni wśród gór uczonych ksiązek (posiadał między innymi prawie całego Migne'go *Patrologiae cursus*).

Można było wtedy zdobyć na poczekaniu tysiące cennych wiadomości jakby z cho-dzącej, żywej encyklopedii i to prawie ze wszystkich dziedzin wiedzy.

Pedagog z Bożej łaski. Od przeszło trzy-dziesiąt lat pracuję w różnych szkołach, ale nigdzie nie widziałem takiej szlachetnej, doskonałej, wzorowej karności wśród mło-dzieży, jak w Rybniku pod ręką ś. p. dy-rektora ks. Siwca. Sześćdziesięciokilkoletni starzec znał wszystkich swoich uczniów — a było ich ponad tysiąc — i po nazwisku i po imieniu i o każdym wiedział więcej, niż najbliżsi wychowawcy chłopca, tak że oceny z zachowania się uczniów sam naj-częściej ustalał. Młodzież miała dla niego cześć ogromną.

Dla podwładnego grona profesorskiego był nie tylko wzorem pracowitości i obowiązkowości, ale prawdziwym ojcem i opiekunem.

— Księżę Dyrektorze, kuso u mnie w tym miesiącu z forszą!

— A ile trzeba?

— Choć ze dwieście złociszów.

— Zrobicie mi wielką przyjemność. — I pa-ręset złociszów wsunęło się nieznacznie do kieszeni petenta. Byli tacy, co oddali, ale nie brakło i takich, co „zapomnieli“. Ale on się nigdy nie upomniał o zwrot swoich pieniędzy, choć miał doskonałą pamięć.

— Księżę Dyrektorze, nie mam gdzie usta-wić sprowadzonych mebli, bo mam tylko mały pokoik sublokatorski.

— Meble do mnie, proszę!

I połowa dyrektorskiego mieszkania zamie-niła się na lata całe w skład belferskiej graciarni.

A już chyba jakimś jasnowidzeniem należa-łoby tłumaczyć doskonałą znajomość pracy poszczególnych członków grona profesorskie-go. Nie odwiedzał nigdy (wbrew przepisom) lekcij podwładnych profesorów, bo się krę-pował, by komu przez to nie zrobić, broń Boże, przykrości, a wiedział o każdym do-skonale wszystko, co jako dyrektor po-winien był wiedzieć.

Był mistrzem w korzystaniu z czasu i o-szczędzaniu go drugim. Konferencje szkol-ne odbywały się w tempie błyskawicznym. Tak umiał nimi pokierować, że się nikt nigdy nie rozgadywał „po naszymu“, ale lapidarnie, po lakońsku załatwiano w mi-nutach dziesiątki ważnych spraw szkolnych, które pod innym kierownictwem zabierają długie godziny.

Dawno mu się należała pełna emerytura, ale on ofiarnie wciąż pracował, nawet z u-szczerbkiem dla swego ukochanego dzieła „O życiu zakonnym na Wschodzie“. Toteż było dla niego ciosem bolesnym, kiedy wła-dze szkolne w niewczesnych zamiarach pseudoreformatorskich przysłały na jego miejsce „młodszą siłę“. O wiele boleśniej odczuła tę zmianę młodzież i grono profe-sorskie, zwłaszcza że ta „młodsza siła“ nie stanęła, niestety, wcale na wysokości swego zadania.

Wielkiego i ubóstwianego organizatora szko-ły, ojca, opiekuna i przewodnika zachowu-jemy i zachowamy zawsze we wdzięcznej pamięci.

Prof. STANISŁAW GRZYWNOWICZ.

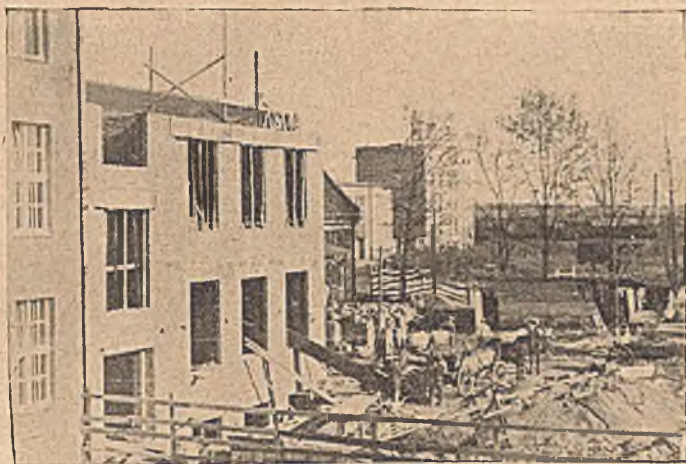
## Dalsi włodarze i wychowawcy zakładu

**K**s. dr Stefan Siwec, pierwszy dyrektor gimnazjum rybnickiego, kierował zakła-dem przez blisko siedem lat. Przenie-siony przedwcześnie na emeryturę, poświę-

cił się pracy naukowej, przebywając nadal w Rybniku. Zmarł w czasie okupacji w ro-ku 1941. Tylko 5 osób szło za jego trumną. Nie zabrakło jednak wśród nich profesorów



## Rozbudowa szkoły w roku 1937



gimnazjum Kossmanna i dr Spendla. Zwłoki ks. Siwca przewieziono bez rozgłosu do Knuruwa, gdzie został pochowany.

W r. 1933 po czteroletniej dyrektorze Piotra Kondzieli kierownictwo gimnazjum objął prof. Zdąbłasz Stanisław. Stały przed nim dwa zadania: uporządkowanie administracji szkoły oraz stopniowe wprowadzanie w życie reformy szkolnej, która ośmioklasowe gimnazjum starego typu rozbiła na cztery klasy gimnazjum i dwie klasy licealne. Do realizacji obu tych zadań przystąpił dyr. Zdąbłasz z właściwą sobie pracowitością i sumiennością, doprowadzając zakład ponownie do wysokiego poziomu naukowego i wychowawczego.

Prof. Kotajny Jan mianowany został dyrektorem gimnazjum w Rybniku 1 września 1937 r. Był dobrym i pełnym energii organizatorem, toteż kierował zakładem sprężysto. Za jego dyrektury przeprowadzono przebudowę gmachu gimnazjum, co przez szereg miesięcy zmuszało do dwurazowej nauki w budynku szkoły powszechnej nr 1. W październiku 1938 r. dyr. Kotajny powołany został na równorzędne stanowisko do tworzącego się wówczas drugiego gimnazjum w Cieszynie.

Miejsce jego zajął dr Kasztelowicz Stanisław. Mimo krótkiego, bo zaledwie 8-miesięcznego kierowania zakładem, które przypadło na okres denerwującego napięcia politycznego, zakończonego wybuchem wojny, wykazał na swym odpowiedzialnym stanowisku szereg zalet umysłu i charakte-

ru. Wielka pracowitość i dokładność w wykonywaniu obowiązków, duże poczucie sprawiedliwości i taktu zjednały mu ogólne poważanie.

Od chwili wyzwolenia kierownictwo Gimnazjum i Liceum spoczywa w rękach dyr. Szymańskiego Edwarda, który po przerwie wojennej reaktywował działalność dydaktyczno-wychowawczą zakładu.

\* \* \*

Na przestrzeni 17 lat okresu międzywojennego przez sale wykładowe rybnickiego gimnazjum przewinął się szereg dziesiątków profesorów. Jedni stawiali tu pierwsze swoje kroki w pracy nauczycielskiej, inni dopełniali ostatnich lat swej długiej pedagogicznej kariery.

Nie wszyscy związani są równie trwale z zakładem. Dla jednych pobyt w gimnazjum rybnickim był tylko krótkim etapem w ich pracy, inni spędzili tu większą część swego życia.

Karty tej księgi nieraz przywołają na pamięć mozolny i śwórczy trud tych, dla których szkoła nasza była warształem umiłowanej, pełnej poświęcenia pracy. Nie sposób jednak poświęcić wszystkim bez wyjątku choćby tylko kilku słów wspomnienia. Niech więc przynajmniej wykaz nazwisk (być może niekompletny nawet) przypomni na chwilę ich postacie i ich wkład ofiarny, który dziś, w dwudziestopięciolecie szkoły, z dumą możemy nazwać naszym spadkiem.

---

Od września 1922 roku do września 1939 r. pracowali w Państwowym Gimnazjum w Rybniku następujący profesorowie:

KS. ADAMCZAK FRANCISZEK, ARCIKIEWICZ STANISŁAW;  
BATORSKI TADEUSZ, BĄCZKOWICZ SZYMON, BOTOR;  
CIEKLIŃSKI STANISŁAW, CIĘTAK ZDZISŁAW, CWIERTNIAK MARIAN;  
DOBROWOLSKI TADEUSZ, DOMINIK WALENTY, DROZDOWSKI TADEUSZ, DUDZIAK FRANCISZEK, DYRKA WAWRZYNIEC, DZIUBEK PIOTR;  
FAJKOSZ WIKTOR;  
GABRYŚ AUGUST, GOSTKOWSKI, KS. GÓRECKI EDMUND, GRABOWSKI EDMUND, GRONDALCZYK TADEUSZ, KS. GRYCMAN STANISŁAW, GRZYWNOWICZ STAN.;  
HEROLD, HERZ KAZIMIERZ;  
JANICZAK WALENTY, JURKOWSKI STANISŁAW;  
KĘDZIERSKI, KOSSMANN JAN, KOWALSKI ALFRED, KOZA WŁODZIMIERZ, KRAWCZYK TADEUSZ, KS. KRUKOWSKI, KRZYŻAGÓRSKI ALFONS;  
LEDWOS JAN, DR LIBURA INOCENTY, ŁUKASIEWICZ JÓZEF;  
MADEJ JERZY, MANDECKI KAROL, MARESZ TADEUSZ, MARSZAŁ JÓZEF;  
NIEDOBA KAROL, NOWAK FLORIAN;  
KS. OKRENT JÓZEF, OSUCH ROMAN;  
PIETRASZKIEWICZ PIOTR, PINDELSKI, PODOBA MARCELI, DR POPIOŁEK KAZIMIERZ, PYRA ANDRZEJ;  
RAKOWSKI AUGUST, DR RANOSZEK RUDOLF, KS. RYGIELSKI;  
SEJUD ZYGMUNT, DR SOCHA PAWEŁ, KS. SONSALA, DR SPENDEL AUGUSTYN, STALMACH STANISŁAW, STARKEL WŁADYSŁAW, STECKIEWICZ, SZCZEPAŃSKI TADEUSZ, SZYMAŃSKI EDWARD;  
DR TOMICZEK STANISŁAW, DR UDZIELA STANISŁAW;  
KS. WALENTA, WENKLAR STANISŁAW, WIETRZNY EUGENIUSZ;  
ZDĄBŁASZ STANISŁAW, ŻAGAN ARTUR.

## Ludzie szkoły

Gdyby słowa można było ważyć, mierzyć stopniami kilometru czy określać skalą barw — tytuł ten dla niejednego oka banalną treść zapowiadający, zerwałby swym ciężarem łańcuszki zawieszonoj wagi, rozsadzilby rtęcią włoskowatą rurkę, spłonąłby ogniem najgorętszego cynobru... Ludzie szkoły — to życie kipią-

ce, niezniszczalne, życie dla sprawy wiecznej jak świat, nie kończącej się ani starzejącej.

\* \* \*

Była to prawda, nie podlegająca dyskusji: książka historyczna, darząca nas w zatłoczonych faktami stronicach historią Egiptu, Grecji, czy innego Rzymu — musiała

---

nieuchronnie otworzyć się na rozdziale: „Ustrój społeczny i polityczny“. Potem zaś, przy powtórkach całości, trzeba było moliwym trudem wygrzebywać z książki i porównywać poszczególne ustroje. Wiadomo było, że wszędzie wystąpią kapłani, rycerze i lud, że potem przyjdą mieszczaństwo, a później robotnicy. Środowisko, wspólnota interesów, wreszcie jedność ideologii łączyła zawsze ludzi w grupy odrębne, zamknięte.

Gdzież umieścić nauczyciela i ucznia? — Miejsce ich: każda epoka i każda warstwa. Dopiero jednak nowoczesna psychologia i socjologia zaczyna się interesować ową „warstwą społeczną“, którą stanowią ludzie szkoły, a która istnieje przecież od wieków. Spójrzcie na malowidło greckie: „Szkoła ateńska“ — wy wszyscy, których zamęczają w szkole balastem wiedzy: wasi koledzy sprzed kilkunastu wieków byli również „ofiarami surowych magistrów...“

\* \* \*

Niegdyś czarna toga i okulary były biletem wizytowym, którym deklamowała się wiedza. Dziś — ileż to razy słyszy się zdania: „Odrazu poznać, że to profesor!“ — lub: „Typowa nauczycielka!“ Przysłowiowe rozczarowanie (zdaje się, że coś zapomniałem...), niezaradność życiowa, jednostronność (w towarzystwie odgadniesz z miejsca, że to filolog klasyczny: jeży się od cytatów) — oto zewnętrzne znamiona „górnego“ połowy tej warstwy społecznej — nauczycieli. Ale jaka szkoda, że nie było dawniej pisarzy, którzyby wnikliwi w tajniki serca profesorskiego, i jaka szkoda, że nauczyciel wyszedł już z lat, gdy pisywał pamiętniki! Świat zwyczajnych zjadaczy chleba dowiedziałby się, że nie jest przesadą ów ciężki chleb nauczycielski i że wiele smutnej prawdy leży u podstaw owego niemal przekleństwa: „Bodajbyś cudze dzieci uczył!“ Ale równocześnie zwyczajny zjadacz chleba zapłonąłby zazdrością widząc, jakim szczęściem jest dla serca nauczyciela umiłowanie swojej pracy...

Zmarły niedawno artysta scen polskich — Juliusz Osterwa — sam fanatyk swego pięknego rzemiosła, powiedział mi kiedyś, że trzy są wzajemnie się przenikające zawody — powołania: kapłan jest nauczycielem i artystą, artysta — nauczycielem i kapłanem, nauczyciel zaś — kapłanem i artystą. I sądzę, że to powinna być myśl przewodnia w pracy nauczycielskiej: kapłaństwo — czyli namaszczenie, lub krótko mówiąc, powołanie, a jeszcze prościej: umiłowanie pracy nauczycielskiej. A artysta? Może nie dostrzeżesz artyzmu w nudnej lekcji matematyki czy łaciny — obywatelu z pierwszej czy ostatniej klasy gimnazjum ogólnokształcącego. Może przeklinać będziesz zasuszonego jak stare pergaminy profesora, co twierdzi, że Pan Bóg umie na bardzo dobrze, nauczyciel na dobrze, a uczeń na dostatecznie, może tylko obojętnie słuchasz lekcji, bo wolno ci słuchać obojętnie, byleś potem umiał. A jednak pamiętaj, mały smyku, i ty, młodzieńcze z wąsikami, że twój profesor w każdą lekcję wkłada całą swoją duszę. Jemu nie wolno być nieprzygotowanym czy obojętnym. On po wyjściu z gimnazjum nie zakończył swej pracy, nie zamknął biurka, jak urzędnik z magistratu. Żona — ma potężną rywalkę, a na imię jej: szkoła, wśród trosk zaś o dom i rodzinę nie usypia nigdy troska o „swoje“ dzieci: o uczniów. Sen głęboki niweczy nieraz w połowie niepokojąca myśl: „Co z tego chłopca wyrosnąć?“ — lub: „W samym ubranku — na taki mróz...“ A kiedy indziej znów świt budzi strudzone czoło okrzykiem archimedesowskiej radości: „Heureka — znalazłem! Znalazłem sposób najjaśniejszego uzmysłowienia uczniom twierdzenia Talesa!“

\* \* \*

W kusym kożuszku, z garnuszkami uwieszonym u pasa, biegał ubogi żaczek (dlatego nazywano go „pauprem“) po zupeł gorącą do bogatych domów mieszczańskich. „Pan Ociec“ wystąpił na naukę do Krakowa, pieniędzy dużo nie dali. Lecz radość życia nie

z pieniędzy się ródzi. Znano dobrze sylwetki uczniów, znano jeszcze lepiej ich psikusy i figle. Trzęsły się mury klasztor-nych szkół, kołysały się dostojne matrony, kamienice średniowieczne, gdy tabun roz-ochoconych chłopców gnał ulicą. Pomię dyskretnym milczeniem (pocóż na siebie bicz kręcić?) owe diabelskie pomysły, w równej mierze właściwe tegim, jak i tępych głowom. Czas płynie, wieki mijają, młodość jest zawsze ta sama, uczeń jest zawsze pełen radości życia (a nauczyciel zawsze gdera i przędzi). I zawsze poznasz go: mundurek, lub choćby czapka ze znaczkim, teczka, pewność siebie, dyktowana poczuciem godności, że należy do tak poważnej instytucji, wreszcie rozmowy, ujawniające, że myśli stale krążą około lekcyj, profesorów i szkoły. Szkoła nasiąka młodym życiem, a życie — szkołą, wypełnia nawet dom, do którego z ulgą dociera męczennik wiedzy po pięciu czy sześciu lekcjach. Szkoła jest czymś tak oczywistym, że cisza wakacyjna razi nieprzyzwyczajone uszy i wydaje się czymś nienormalnym. A kiedy rozpoczyna się nowy rok szkolny, lub nowe półroczce, nietajonym westchnieniem podnoszą się spojrzenia małych i dużych niewolników szkoły. Lecz równocześnie — zno-

wu ta radość: cieszysz się, chłopcze, że spotykasz znowu kolegów i profesorów, ciekaw jesteś, jak to będzie tego roku. Jesteś wypoczęty, pełen zaborczych sił, już machnąłeś ręką na tę niewolę noworoczną. I wydaje ci się, że szkoła jest nieśmiertelna, że nigdy się nie skończy. Nie wyobrażasz sobie, jak to będzie, gdy już przestaniesz chodzić do szkoły. Godziny powłóczą nogami, dni i tygodnie ciągną się przeraźliwie długo, do końca roku dobrnąć nie można. Zazdrościsz kolegom z najwyższych klas. A jednak, gdy pewnego dnia z dyplomem dojrzałości opuszczasz będziesz gimnazjum — może nikomu się nie przyznasz, że — jednak prędko zleciało, i że — czegoś ci żal...

\* \* \*

Szkoła: wielkie boisko, spiętrzone w klasy i korytarze, arena naszych zapasów ze sobą, z pracą i z obowiązkiem; scena, gdzie Nauczyciel i Uczeń, to równocześnie aktor i widz. Szkoła — to dom rodzinny, którego członkowie współżyją w przedziwnej atmosferze wzajemnego porozumienia i pracy, w atmosferze dziwnego sentymentu, jakiego nie wykrzeseasz z siebie dla biura, w którym pracowałeś choćby i 20 lat. Przedziwna tajemnica szkoły... Piękno tak bliskie, że go się często nie dostrzega...

PROF. ŁUCJA MAZURKIEWICZ.



W Świetlicy

---

---

## Trzeba z żywymi naprzód iść!

Pierwsza część naszej książki jubileuszowej została poświęcona tym, którzy odeszli od nas w aureoli chwały.

Godzi się również zwrócić uwagę na tych, co żyją.

Państwowe Gimnazjum w Rybniku wychowało spory zastęp ludzi. Pod względem pochodzenia społecznego rekrutują się oni ze wszystkich warstw społecznych, stosownie do składu ludności śląskiej. Synowie górników, robotników, rzemieślników, rolników, kupców, urzędników — oto barwna mozaika ich pochodzenia społecznego.

Dokąd byli na wspólnej ławie szkolnej, dzielili mniej więcej jednakowy los, mieli prawie jednakowe wzloty i upadki.

Gdy opuścili gimnazjum, przechodzili różne koleje. Jednym nie starczyło albo środków materialnych albo wytrwałości w nauce, tak że wychodzili ze szkoły przed ukończeniem nauki. W większości wypadków szli od razu do „praktycznego zawodu“, jak mawiał śp. prof. Jurkowski, i stawali się szybko pożytecznymi dla społeczeństwa, praktycznymi ludźmi. Znaczna część tych, którzy wytrwali do matury, udawała się na wyższe studia. Było utartą tradycją, że Rybniczanie na wszystkich wyższych uczelniach — a zna nas dobrze zarówno Kraków, Poznań, jak Gdańsk i Warszawa, daleki nawet Lwów i Wilno, obecnie zaś Wrocław, Szczecin i Gliwice — otóż wszędzie Rybniczanie „trzymał się kupą“ i niejednokrotnie wybijali się na czoło życia akademickiego, tak w dziedzinie organizacyjnej, jak i naukowej, kończąc w rekordowym czasie studia, zdobywając stypendia i uznania. Po opuszczeniu wyższych uczelni oddawali się z całą energią pracy zawodowej i wielu z nich sprawuje dzisiaj z pożytkiem bardzo odpowiedzialne funkcje w społeczeństwie. Mamy więc wśród naszych kolegów wielu duchownych na wysokim i średnim stopniu hierarchicznym, mamy zdolnych inżynierów, farmaceutów, prawników,

profesorów szkół średnich, lekarzy, techników, handlowców, oraz wielu wybitnych ludzi w różnych dziedzinach życia: w zjednoczeniach przemysłów, spółdzielniach, w redakcjach pism poważnych i rozgłoszeniach, w radach gminnych i urzędach wojewódzkich, w akademiach, na stołcach biskupich nawet.

A w ostatniej walce Narodu Polskiego ileż bohaterskich postaci wyszło z naszych szeregów: i w armii podziemnej i w tej co roznosiła sławę żołnierza polskiego na polach bitew od Narviku po Tobruk i Monte Cassino, od Oki do brzegów Atlantyku.

Nie o przechwałki nam chodzi, ale o świadomość tej prężnej siły, tkwiącej w młodej gromadzie, śpieszącej co ranka ze wszystkich zakątków powiatu, z górniczych osiedli i wiejskich chat pieszo, na rowerach, koleją, przez śniegi i błota, w deszcz i niepogodę, wstających przed świtem, wracających często późnym wieczorem do domu, żyjących kraiczkiem chleba dzień cały... Bo może właśnie te zmagania od młodu, te trudy i znoje zrodziły większą moc, wytrwałość i rozmach życiowy.

A wszystkich nas — i tych, co wcześniej odeszli z gimnazjum, i tych, którzy po zdaniu matury poszli w praktyczne życie, i tych, którzy zajmują lub są na drodze do zajęcia wyższych stanowisk społecznych, łączy uczucie wzajemnego koleżeństwa, a wśród kolegów klasowych istnieje nic zażyłej przyjaźni, najprawdziwszej, bo zawieranej w okresie życia, w którym ludzie zdolni są do zadzierżgnięcia więzów przyjaźni dosłownie na całe życie.

Więzy koleżeństwa są umocnione pochodzeniem z jednego środowiska ludzkiego, z odwiecznej Piastów dziedziny, z pięknej ziemi rybnickiej, której urok tak żywo malują wiersze Szewczyka.

GOJNY FRANCISZEK (ongis „marszałek Sejniku“ — przyp. Red.).

---

---

## Akademickie Koło Rybniczan

**M**inał egzamin dojrzałości. Opuściwszy mury szkoły, wkroczyliśmy w nowe życie. Do dalekiej przeszłości należą wesołe, bez troskie dni, spędzone na ławie szkolnej.

Jedni zasiedli do nowych warsztatów pracy, drudzy poszli na studia. Trzeba było poddać się nowemu życiu, które było dla nas nowym, twardym egzaminatorem. W tych trudach codziennych miło nam jednak wspomnieć te czasy, kiedy każdy z nas mógł jakby nawrócić do lat szkolnych i wśród dawnych kolegów odetchnąć dawną, bez troską atmosferą młodzieńczą. Mały ten wycinek życia, to chwile spędzone w Kole wychowanków naszego gimnazjum: Akademickim Kole Rybniczan. Może nie wiele jest kół absolwentów gimnazjum, które, tak jak nasze, mogłyby się wykazać równie serdeczną i trwałą spójnią koleżeńską.

Do grona swego prócz członków honorowych przyjmowało ono wszystkich opuszczających rybnickie gimnazjum kolegów. Chętnie kierowaliśmy tu swoje kroki, gdyż seniorzy Koła służyli nam nie tylko pomocą naukową, ale i dobrą radą. A ile mieliśmy wspólnych rozrywek w okresach feryj? Zgranie, pełne współzycie okazywało się najlepiej przy różnych uroczystościach, wycieczkach i zabawach.

Różne były nasze zainteresowania. Kogóż z nas nie ciekawił przemysł i dymiące nokoło kominy! Toteż zwiedzono kilka kopalń i koksowni Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. Próbowano smacznego piwa Browaru Rybnickiego. Powąchanie prochu Wytwórni Materiałów Wybuchowych „Lignozy” w Krywałdzie, ku zachwaniu zaś w pamięci ciekawej i miłej wizyty w hucie „Silesia” do dziś nasi milusińscy piją z podarowanych nam garnuszków.

Pieśnią i muzyką umilano sobie wycieczki do groty w Jankowicach, do Kokoszyc, do

Jastrzębia-Zdroju, i na Mośnik. Nie zapomniano też nigdy o tradycyjnym święconym, a rok rocznie św. Mikołaj nagradzał tych, co na to zasłużyli, a karciał tych, co nie mogli mimo upływu lat wyzbyć się szkolnych wybryków. W poważnym nastroju Wieczoru Kolend dzielono się wspólnie oplatkiem w imię pokoju, pojednania i miłości braterskiej. W sylwestrową noc bawiono się w Rybniku, jak nigdzie. A w lipcowy tradycyjny wieczór tańczono w Jastrzębiu-Zdroju.

Wychowankowie, wdzięczni też zawsze swoim profesorom, nigdy nie zapominali o nich, zapraszając ich na wszystkie swoje uroczystości. Najuroczyściej jednak meldowano o wynikach egzaminu życiowego byłemu dyrektorowi ks. dr Siwcowi. Przeszło dwustu wychowanków z seniorami Koła na czele, wielu członków honorowych, przedstawicieli duchowieństwa, władz, wojska przybyło na uroczystość 50-lecia jego kapłaństwa.

Ks. dyr. Siwiec w podniosłym nastroju tak do nas wtedy powiedział:

„W starożytnym Rzymie wierzono, iż kogo bogowie chcieli skarać, tego stwarzali pedagogiem. Ja twierdzę inaczej. Z dumą i z przepełnionym radością sercem patrzę na owoc swej mozolnej pracy. Ziarno zostało rzucone na dobrą glebę. Tym razem bogowie mnie wynagrodzili!”

Okres okupacji przerwał działalność Akademickiego Koła Rybniczan, które dawało nam tyle pożytecznych rozrywek i tyle pozostawiło miłych wspomnień. Było ono przedłużeniem naszego koleżeńkiego współzycia, serdeczną spójnią bez różnicy wieku, pochodzenia, zawodu, zapatrywań czy przekonań. Będziemy je dalej prowadzić, by tak jak dotąd nam służyło z pożytkiem naszym młodszym kolegom.

KAROL OGÓREK.



Profesorowie i maturzyści w roku 1929

## Roczniki maturzystów rybnickich

**N**on scholae sed vitae, discimus! — Vitae... Tak! Nie dla szkoły, lecz dla życia. To sens istotny nauki i wychowania.

Jak służyli Ojczyźnie w latach wojennej zawieruchy wychowankowie naszego gimnazjum, na to pytanie odpowiadają dostojnie długie kolumny nekrologów. Ale dwudziestopięciolate szkoły nie tylko kieruje wzrok w przeszłość. Każę patrzeć w bliski nam dzień dzisiejszy i w dni, które po nim nastąpią.

Dlatego, by ocenić twórczą wartość szkoły, i na to drugie trzeba odpowiedzieć pytanie: Jak służą życiu wychowankowie rybnickiego gimnazjum, ci, od których los nie zażądał najwyższej ofiary. Czym są dla społeczeństwa, jakie zajmują w nim stanowiska, jaką społeczną reprezentują wartość?

Niech odpowiedzią na to pytanie będzie ten niekompletny, lecz pełen wymowy przegląd chronologiczny maturzystów rybnickich, ich zawodów i stanowisk.

### 1923:

Ks. Dr Kominek Bolesław, administr. apost. Śl. Op. . Ks. Otawa Emil, proboszcz w Pruchnej (zmarł)

### 1924:

Ks. Adamczyk Rudolf, prob. katedr. i czł. W. R. N.  
Brachman Joachim, profesor gimnazjum w Zorach  
Gojny Hubert, absolwent W. S. H.  
Morawiec Leon (zmarł)

Dr Skrzypiec Paweł, lekarz w Paczkowie  
Sosna Józef, stud. teologii (zmarł)  
Wojaczek Edward, dyrektor gimnazjum  
Wolny Karol, referendarz Urzędu Skarb., Rybnik

### 1925:

Biały Leszek, kapitan W. P.  
Chroboczek Augustyn (zmarł)  
Ciałoń Wilhelm, profesor gimn., Tarnowskie Góry  
Frysz Ludwik, profesor gimn.  
Kłosok Jan, sędzia grodzki

Kojzar Szczepan, komendant straży kol., Katowice  
Krotoski Witold, kier. Sądu Grodz. i not., Rybnik  
Prus Franciszek, urzędnik, Katowice  
Ks. Przybyła Franciszek (zmarł w obozie)  
Uherek Paweł, student teologii

---

---

## 1926:

Bonk Joachim, urzędnik  
Ks. Czorny Henryk, proboszcz (poza diecezją)  
Goliasz Ryszard, prof. gimn.

Dr Krotoski Józef, lekarz, Rybnik  
Staniczek Wincenty, prof. gimn.

## 1927:

Grabiec Franciszek (zmarł)  
Koch Józef, emeryt, urzędnik kolejowy  
Niklas Engelbert, prokurator Sądu Okr., Chorzów  
Różański Andrzej, prawnik

Ryszka Engelbert, kier. Działu Kontr. Dost. CZPW.  
Szendzielorz Paweł, prof. gimnazjum  
Ks. Szlosarek Henryk, kuratus proboszcz, Wisła  
Schroemer Reinhold, prawnik (zmarł)

## 1928:

Adamczyk Brunon, dyr. banku (poległ)  
Dr Bulanda Józef, lekarz, Rydułtowy  
Gregor Józef, lekarz, Chorzów  
Kominek Józef, inż. miernik, Katowice

Mańka Alojzy, prof. gimnazjum, Rybnik  
Ks. Odrobka Jan, kuratus proboszcz, Czechowice  
Stopa Erwin, medyk (zmarł)

## 1929:

Ks. Domagała, franciszkanin  
Gajda Paweł, inż. górnik  
Jochemczyk Alojzy, prof. gimnazjum, Rybnik  
Ks. Kurek Jan, franciszkanin  
Ks. Oślizlok Paweł, kapelan, Kłodzk  
Piechaczek Antoni, urzędnik Starostwa, Rybnik

Ślanina Stefan, radca prawny w Rybn. Z.P. Węgl.  
Szostek Józef, chemik (zginął na wojnie)  
Wiaterek Ryszard, prof. gimnazjum  
Dr Wierzbza Sobiesław, lekarz-chirurg, Chorzów  
Zydek Engelbert, inż. miernik

## 1930:

Anderski Jerzy, magister farmacji, Wodzisław  
Bocheński Antoni, pracownik księgarni, Poznań  
Klein Franciszek  
Kominek Alojzy  
Ks. Łysik Stefan, misjonarz S. V. D., Nysa  
Dr Maiejczyk Alojzy, lekarz, Rydułtowy  
Niklas Romuald, magister farmacji  
Nowak Franciszek  
Dr Osiecki Joachim, por.-lekarz

Paprotny Bogusław, sędzia grodzki, Pszczyna  
Pluta Franciszek, urzędnik skarb. (zmarł w obozie)  
Szajor Paweł, nauczyciel  
Dr Śmieja Bolesław, lekarz  
Tatańczyk Leon, kupiec  
Troska Fryderyk, kier. spółdz. „Rolnik”  
Warzecha Piotr, drogerzysta, Opole  
Wojaczek Antoni  
Wojtas Bernard

## 1931:

Brachmański Jerzy, prof. gimnazjum, Opole  
Dr Buchalik Maksymilian, lekarz, Katowice  
Hauer Józef  
Chrószcz Jan, urzędnik  
Dusza Paweł (poległ)  
Grabiec Antoni, przemysłowiec, Rybnik  
Gregor Antoni, inż. chem. koks., Knurów  
Jonca Piotr (nie żyje)  
Kieś Edward, prof. gimnazjum  
Koziełski Józef, prof. gimnazjum (zmarł w obozie)  
Krybus Jan (nie żyje)  
Kurka Ryszard, kasjer Miejsk. Zakł. Przem., Rybnik  
Kuśka Teodor, urzędnik skarbowy, Rybnik  
Ks. Dr Lubik Ambroży, franciszkanin  
Mitko Kazimierz  
Musioł Michał, inżynier

Nikiel Józef, lekarz  
Dr Peikert Eugeniusz, lekarz, Katowice  
Rojek Erwin, kier. adm. kop. Rymer  
Spandel Józef, urzędnik  
Szendzielorz Herbert (poległ)  
Szulc Hubert, magister praw  
Utrata Franciszek, magister praw  
Wawrzyńczyk Leon, magister praw  
Dr Winkler Eryk, lekarz (zaginął)  
Wolny Walter  
Wollek Józef (nie żyje)  
Wrzeciono Wilhelm, prof. gimnazjum  
Ks. Zbieszczyk Fabian, proboszcz  
Zieleźny Emil, kier. dz. kontr. węgla Zjedn. Przem.  
Węgl., Gliwice  
Ziemicki Bogusław (poległ w r. 1939)

---

---



## 1932:

Albinowski Maciej, kupiec  
Ks. Buchcik Antoni, prof. kat. uniwers., Chiny  
Ks. Dr Chodzidło Teofil, Kat. Inst. Arch., Fryburg  
Czech Józef  
Dragon Jan, inżynier-rolnik  
Glinka (nie żyje)  
Gojny Franciszek, mgr, kier. dz. handl. R. Z. P. W.  
Gwóźdź Henryk, ref. prawny koksowni Knurów  
Grzesik Aleksander, inżynier  
Herman Jerzy, profesor  
Hofbauer Karol  
Ks. Kaczmarczyk Rafał, misjonarz S. V. D.  
Ks. Kałusek Antoni, misjonarz S. V. D., Pomorze  
Ks. Karwot Edward  
Klichta Norbert  
Ks. Kolek Augustyn, misjonarz S. V. D., Parana  
Koszyk Jan  
Kožuch Ernest, urzędnik kop.

Kuśka Antoni, misjonarz (nie żyje)  
Kuźnik Franciszek, mgr, kier. sekr. gł. R. Z. P. W.  
Malik Alojzy, lekarz  
Mrowiec Alfons, profesor gimn. handl.  
Niklas Onufry, urzędnik huty Batory  
Paszenda Józef, kier. księg. Zjedn. Fabr. Maszyn  
Peterek Paweł, urzędnik  
Ks. Porwoł Ludwik, misjonarz S. V. D.  
Pukowiec Bronisław, asystent U. J. (zginął w obozie)  
Ks. Salańczyk Jan, misjonarz S. V. D., Parana (Br.)  
Skupień Stanisław, urzędnik Ubezpiecz. Społ.  
Ks. Dr Sławik Bonifacy, dziekan, proboszcz polski  
w Edynburgu  
Szawerna Rudolf, franciszkanin  
Szczechycki Brunon, lekarz-wet., Rydułtowy  
Włoczewski  
Zientek Ernest, mgr fil., kier. spółdz. „Rolnik”  
Zimny Bronisław, magister praw

## 1933:

### VIII a:

Adamczyk Wojciech  
Badura Jan, dyrektor Oddz. Zrzesz. Sóldz. Spoż.  
Rybn. Zjedn. Przem. Węgl.  
Basista Mieczysław, redaktor  
Beck Józef, ref. Zakł. Ubezpiecz.  
Beck Rudolf  
Błaszczak Andrzej, kier. wydz. Gliw. Zjedn. P. W.  
Brzezinka Władysław  
Chłubek Henryk, kier. wydz. handl. R. Z. P. W.  
Godecki Mieczysław, inżynier Zjedn. Bud. Masz.  
Grabiec Marian, refer. Centr. Zarz. Przem. Węgl.  
Grzesiczek Alfred, refer. działu adm. Rybn. Z. P. W.  
Heliosz Alojzy, mgr (zginął w obozie)  
Juzek Frydolin, kupiec  
Kańtoch Ferdynand, inżynier rolnik  
Kostka Romuald  
Kozok Erard, dyr. adm. Zjedn. Elektr., Gliwice  
Ks. Mazanek Mieczysław, katecheta, Boguszowice  
Musiolik Hubert, urzędnik Fabr. Gipsu, Czernica  
Odziomek Egon  
Osiecki Brunon, urzędnik celny  
Pierchala Ryszard, refer. Oddz. Zrzesz. Spółdz. R.  
Pilny Paweł, refer. działu handl. Rybn. Z. P. W.  
Robenek Alfons, inspektor Przemysłu Węglowego  
Sokala Józef, kier. wydz. Gliw. Zjedn. P. W.  
Starzec Konrad, kier. w Zarz. Miejsk., Opole  
Stork Rudolf, mgr (zginął w obozie)  
Strzałka Brunon, profesor gimnazjum  
Vorreiter Antoni, kier. kasy w Urz. Rewiz.  
Ks. Werner Ernest  
Wybraniec Ewald  
Zdziebło Dominik, obecnie Danowski Zdzisław, dyr.  
sprzedaży „Społem”

### VIII b:

Basztoń Antoni, kier. admin. Kop. Anna  
Bismor Jan, ref. Kop. Sońnica  
Bochenek Jerzy  
Brachmański Karol  
Ks. Chudoba Aleksander, misjonarz S. V. D., Nysa  
Depta Wiktor  
Gawelczyk Józef (zmarł)  
Gąglewicz Kazimierz  
Grzonka Józef, ref. kop. Anna  
Górny  
Gostomczyk  
Janusz Robert  
Klima Jan, prac. „Społem”, Rybnik  
Klon Zygfryd, prof. gimnazjum, Bielsko  
Klucznik Augustyn, ref. C. Z. M. P. W.  
Kocikowski Janusz  
Kožmicki Stanisław, prof. szkoły rolniczej  
Kraszyna Wilhelm (zmarł)  
Kucharczyk Gerard, kier. wydz. fin. i rach. RZPW.  
Kucharczyk Jerzy, inżynier, kier. kop. Jankowice  
Malcher Jerzy, magister praw  
Michalik Franciszek, kupiec  
Ks. Motyka Alojzy, misjonarz S. V. D., Górna Grupa  
Nowak Jan, nauczyciel (zmarł)  
Stopa Jerzy, kier. działu zaopatrzenia. GZPW., Gliwice  
Ks. Szkatuła Antoni  
Szymura Reinhold  
Węgrzyk Zygmunt  
Zawadzki Janusz

---

## 1934:

### VIII a:

Adamiec Karol  
Babczyński Ginter (zmarł)  
Dolezych Wilhelm, pracownik P. K. P.  
Dudek Łucjan (zginął w obozie)  
Ks. Fojt Franciszek, misjonarz  
Hałaczek Stanisław, kupiec  
Kaczmarczyk Alfred, prac. Ubezpiec. Spół.  
Kowol Jan  
Kupczak Jan  
Machulik Franciszek, kier. wydz. Zarz. Miej., Gliwice  
Nowak Paweł urzędnik K. K. O.  
Ogórek Karol, refer. wydz. zbytu R. Z. P. W.  
Puc Antoni, refer. działu handl. R. Z. P. W.  
Roczner Ryszard, sekr. P. R. N., Rybnik  
Ks. Rotkegel Henryk, Kuria Biskupia, Katowice  
Rzazonka Norbert, urzędnik przemysłowy  
Skorupa Franciszek, refer. działu finans. RZPW.  
Sokala Augustyn, refer. Zjedn. Elektr., Katowice  
Ks. Szweda Konrad, wikary, Cieszyn  
Warchol Ignacy, profesor gimnazjum  
Zdrzałek Gerard (poległ w 1939 r.)

### VIII b:

Adamczyk Alojzy  
Babilas Franciszek, kier. rachuby kop. Jankowice  
Bielawny Stanisław, kier. cegielni, Racibórz  
Brachmański  
Brzezinka Alojzy, dyr. Zakł. Miejsk., Opole  
Brzezinka Augustyn, ref. działu handl. R. Z. P. W.  
Fiołka Stanisław, inż.-rolnik, dyr. suszarni lnu  
Gulc Walter, handlowiec  
Kania Adolf, prac. spółdz. (nie żyje)  
Koczor Józef, właśc. przedś. transp., Katowice  
Kolarczyk Jan, ref. wydz. zbytu Rybn. Z. P. W.  
Kominek Wilhelm  
Kowalski Franciszek  
Marcol Rufin, prac. umysł. Szpitala Psych.  
Petters Bernard, redaktor, Frankfurt  
Popek Feliks, kier. szkoły, Zebrzydowice  
Stokłosa Eryk, lek.-wet. (zmarł)  
Stefek Walter (zginął w obozie)  
Wałach Konrad, kier. biura praw. Gliw. Z. P. W.  
Wenckowski Alojzy, kier. tartaku, Rybnik  
Tomas Henryk (zmarł)

## 1935:

### VIII a:

Banert Ernest, refer. Zarz. Miejsk., Katowice  
Butter Franciszek, dypl. merc.  
Duda Józef  
Grzegorzeczyk Walter  
Iskala Maksymilian, lekarz-weter.  
Jaszek Józef, urzędnik „Społem“, Rybnik  
Kapusta Alojzy  
Kozlik Engelbert  
Krupa Bolesław (zginął)  
Lepiarczyk Józef, refer. Wydz. Kult. i Szt., Kraków  
Patas Jan  
Pawłowski Władysław (zmarł)  
Rojek Wilhelm, kier. wydz. Rybn. Zjedn. P. W.  
Siupka Wilhelm  
Stajer Antoni  
Szymiczek Edmund  
Zając Feliks, lekarz  
Zuber Wilhelm, refer. Zjedn. Chem., Gliwice

### VIII b:

Adamczyk Józef  
Bańczyk Jan  
Beck Walter

Bednorz Stanisław, kier. reg. gł. Rybn. Zjedn. P. W.  
Bienek Jerzy, kupiec  
Ks. Herman Wilhelm, obecnie Jastrzębski Franc.,  
katecheta w Miejsk. Gimn., Katowice  
Jablonka Ernest  
Krasek Józef  
Lemberski Henryk, ref. wydz. socj. R. Z. P. W.  
Mandrysz Joachim  
Miczajka Gerard  
Motyka Bolesław  
Myśliwiec Serafin  
Pawełek Walenty (zginął)  
Piela Frydolin  
Pietrwalski Franciszek  
Pluta Emanuel  
Porwolik Wilhelm  
Profaska Ludwik  
Przedzina Brunon (zginął w obozie)  
Seman Franciszek, aptekarz, Knurów  
Sługnik Ryszard, aptekarz  
Swoboda Antoni  
Szewczyk Rudolf, prof. Szkoły Handlowej  
Walla Leopold  
Wija Józef, por. W. P. (poległ)  
Zaik Emil, aptekarz

## 1936:

### VIII a:

Baranek Rudolf, prac. Zjedn. Browarów, Kluczbork  
Brachmański Paweł  
Buszman Paweł

Chłapek Bolesław, stud. teologii (zginął)  
Czech Jan, ref. wydz. plan. kop. Chwałowice  
Gajda Ryszard  
Gatnarczyk Herbert

Kąsek Wilhelm (zginął)  
Knapik Henryk, inżynier-lotnik  
Kožuch Alojzy  
Kostka Henryk, kier. „Społem“, Rybnik  
Krakówka Antoni  
Ligus Władysław, inżynier  
Lokaj Józef  
Majnusz Ryszard  
Malcher Ernest  
Marcisz Wilhelm (zginął w obozie)  
Michalek Herman, refer. Centr. Zarz. Przem. Węgl.  
Mikółka Henryk  
Osiecki Rudolf, stud. W. S. H.

Piecha Franciszek, ref. huty „Silesia“  
Południk Antoni  
Psota Augustyn  
Pyzik Zdzisław, speaker, Polskie Radio, Katowice  
Quill Otton, lekarz  
Rohde Wilhelm  
Sobik Wilhelm  
Staniczek Leopold  
Stańkus Jan  
Tłolka Ryszard  
Toman Edmund, urzędnik skarbowy  
Tomiczek Henryk, mgr Akad. Handl.  
Zając Bolesław

#### VIII b:

Adamczyk Bolesław, Basztoń Antoni, Błaszczuk Marian, Brachmański Władysław, Fajkis Eryk, Figura Ryszard — kpt. lotn. (poległ), Gabor Antoni, Koczor Ryszard — kpt. lotn. (poległ), Kowalski Alojzy, Leks Wiktor, Michalski Paweł, Musioł Maksymilian — lekarz, Oleś Gerard, Opalony Józef, Piprek Henryk, Polak Albert — inspektor Gliw. Zjedn.

Przem. Węgl., Rabinowicz Jerzy (poległ 1939 r.), Reis Józef, Ks. Roter Jan, Smolka Henryk — refer. Centr. Dostaw Drzewnych, Szlosarek Henryk — dyrektor K. K. O., Rybnik, Świdergoń Paweł, Warcok Izidor, Wieczorek Robert (zginął), Wolny Emil, Wyciszczok Antoni — refer. wydz. transp. Rybn. Zjedn. Przem. Węgl.

### 1937:

#### VIII a:

Ks. Babilas Alojzy — misjonarz S. V. D., Czech Waclaw — lekarz, Dawidowski Alojzy (poległ 1939 r.), Dreja Alojzy — kapitan-lotnik, Gruszczyk Hubert — inżynier, asyst. Ak. Gór., Kraków, Grzegorzycza Emil — elektrotechnik, Łaziska, Grzywniak Edmund — mgr praw, Hurnik Jan — dypl. merc., Centrala Zbytu P. W., Jastrzębski Franciszek — ref. Rybn. Fabr. Maszyn, Kartusz Franciszek (zmarł), Kozioł Brunon — teolog, Rzym, Kubatko Ewald (zginął w obozie), Lasck Stanisław (poległ w r. 1939), Malik Juliusz — kupiec, Michna Brunon — nauczyciel, Miczajka Karol — ref. wydz. plan. Kop. Chwałowice, Pochaba Józef (zginął), Rosół Edward (zginął), Stodolak Jan — redaktor, Uczkiewicz Mieczysław — stud. Uniw. Warsz., Urbańczyk Antoni — ref. wydz. spółdz. R. Z. P. W., Wajda Alojzy — urzędn. Zjedn. Energ., Głębocze,

Wieczorek Robert — ref. K. K. O., Rybnik, Wiosna Ginter — kier. rachuby Kop. Rymer, Zając Alojzy (zginął), Zimny Paweł (poległ 1939).

#### VIII b:

Arnowski Lotar, Fros Alojzy — urzędn. „Społem“, Rybnik, Grzesik Leon (zginął w obozie), Knopik Wojciech, Król Otton, Lach Huber — student teologii, Mnochy Alfons (zginął), Muras Paweł — księgowy Gliw. Zjedn. P. W., Nodzyński Tadeusz, Noga Jan — kupiec, Operskański Joachim, Peterek Jan — ref. Koks. Ema, Polnik Wilhelm — ref. działu gór. Rybn. Zjedn. P. W., Pyzik Zbigniew — kupiec, Rożek Franciszek — misjonarz S. V. D., Sokala Franciszek, Szymura Roman — ref. dz. fin. i rach. R. Z. P. W., Święty Paweł — muzyk, Polskie Radio, Katowice, Tesarczyk Maksymilian.

### 1938:

#### VIII a:

Biegesz Jerzy, Biskup Józef — student, Błatón Józef, Boja Franciszek, Buła Franciszek — kontr. wydz. pers. R. Z. P. W., Buła Józef — stud. Uniw. Warsz., Burda Karol — rachm. kop. Rydułtowy, Burzywoda Józef (zginął w Italii 1944 r.), Dudek Maksymilian (zginął), Fojcik Jan — urzędn. kop. Rydułtowy, Ks. Francuz Emanuel — wikary, Chwałowice, Jelitto Henryk, Jendrośka Jan, Kaszny Gerard, Kontny Jerzy — lekarz, Dębicisko, Krzyk Alojzy — por. W. P., Nowak Henryk, Oślizło Fryderyk, Porwolik Ernest — stud. med., Ks. Rączka Teodor — misjonarz S. V. D., Rduch Albert —

urzędn. działu fin. i rach. R. Z. P. W., Sikora Leonard — kasjer kop. Rydułtowy, Sojka Rudolf, Steuer Ewald, Szendera Adolf, Wodecki Jan, Wojaczek Alojzy (zmarł), Wróblewski Zbigniew, Zając Józef — stud. med.

#### VIII b:

Adamczyk Augustyn (zginął), Dyjas Franciszek, Dzierżęga Paweł — kontroler na kop. Ema, Figołuszka Józef, Fiolka Paweł — technik bud., Gamon Jan — konstruktor, Gańczorz Stanisław, Gójny Józef — refer. wydz. socj. R. Z. P. W., Gold Eryk,

Golombek Henryk, Hoła Henryk (poległ w 1939 r.), Jezela Filip, Kasperek Ignacy — rachm. kop. Ignacy, Kolek Henryk, Konarzewski Ludwik — artysta-malarz, Katowice, Kowal Władysław (poległ 1940 roku), Kurpanik Stefan, Kwitek Alfred, Palica Roman — urzędnik Banku „Społem”, Rybnik, Polak Czesław, Plufa Gerard, Pypeć Henryk — inż.-elektryk Centr. Zarz. Energ., Katowice, Urbanek Alfred — student politechn., Widenka Bronisław — sztygar kop. Anna, Wita Maksymilian, Wolny Henryk (zginął), Zieleźny Gustaw — rachm. kop. Rymer, Zuber Józef.

#### VIII c:

Bochenek Jerzy, Czeczor Ryszard, Gatnar Bartłomiej, Janik Antoni, Jaśko Józef, Jędrzejczyk Jan, Klimek Henryk — stud. med., Konkol Franciszek — refer.

#### II. hum.

Babilas Robert, Danek Mieczysław, Dragon Alfons, Drzewiński Jarosław, Dziak Włodzimierz, Firlus Maksymilian, Gołucki Józef — nauczyciel, Kaczmarek Józef, Lipok Walter, Maniak Władysław, Mazanek Aleksander (zginął), Müller Karol, Nowak Józef, Pawelec Janusz, Prus Czesław, Reś Wincenty, Sikora Waldemar, Szkatuła Joachim — kpt. W. P., Skudrzyk Ryszard, Słanina Eryk, Sowa Wincenty, Szymura Bernard, Wajda Franciszek, Wyleżych Adam, Zuzok Alfred.

(Ogółem w latach 1923 — 1939 ustalono 528 nazwisk b. maturzystów rybnickich, w tym 273 zawodów: 65 urzędników przemysłu, 43 duchownych, 30 handlowców, 25 nauczycieli, 24 urzędników państwowych i samorządowych, 22 lekarzy, 22 inżynierów, 13 prawników, 9 artystów i naukowców, 9 kupców, 5 farmaceutów, 4 wojskowych, 2 przemysłowców, pracujących w ogromnej większości na ziemiach zachodnich nad rozwojem odrodzonej Rzeczypospolitej.)



## Do młodych

**N**a zakończenie tej listy starszych kolegów, o młody czytelniku tej książki, pozwól, że wspomnę chociaż o kilku z nich bliżej mi znanych, byś wiedział, jak z chłopca wyrasta dzielny i pożyteczny, a często wybitny człowiek. Nie jest to specjalną zasługą szkoły, bo ona jest tylko jednym ze środków rozwoju twór-

plan. kop. Chwałowice, Koźlik Ryszard — admin. szpitala w Rydułtowach, Krautwurst Franciszek, Kubek Jerzy — stud. polit., Ks. Lex Lotar, Malcher Gerard (poległ), Markiewicz Stanisław (poległ 1939 roku), Maskos Werner, Miczka Wilhelm, Mieli-monka Wilhelm (zmarł), Mordeja Franciszek — urzędnik spółdzielni, Chwałowice, Neuman Ferdynand — urzędnik Silesii, Noga Bodo, Papierok Roman, Penkala Herbert, Peterek Jan, Psota Antoni, Skaba Rudolf — kier. oddziału kop. Ema, Sławik Antoni — urzędnik spółdzielni Chwałowice, Solich Hubert, Solich Wilhelm, Szajor Ryszard, Szczurowski Antoni, Szczyrba Helmut, Tomala Józef, Wałach Eryk, Warczok Zygfryd — adm. tartaku, Waszut Józef, Wawrzynek Bernard, Zaremba Emil (zmarł).

## 1939:

#### II. mf.:

Bisek Rudolf, Chrubasik Oswald, Freiwald Jerzy, Frysztański Alojzy, Gajda Gerard, Gatnar Bolesław, Gwóźdź Zygmunt, Janik Stanisław, Jeszka Henryk, Kirszniak Wilhelm, Kupiec Zdzisław, Piechoczek Stanisław, Polok Rudolf, Prusowski Fryderyk, Szaboń Paweł, Szymborski Bolesław, Śliwa Jerzy, Tkocz Henryk, Tkocz Paweł, Tyski Piotr, Tytko Stanisław, Warchał Zbigniew, Węgrzyk Jerzy.

czej osobowości. Rodzice, dom, otoczenie, szczęśliwy zbieg okoliczności, ale przede wszystkim własna praca nad rozwojem drzemiących w duszy możliwości, praca zdobywcza i nieustępliwa nad rozbudową własnego pełnego ja — jest tajemnicą powodzenia w życiu — a czasem i wielkości.



Portret płk. Ziętko

Więc Luś Konarzewski, który teraz takie śliczne portrety maluje (szach mach! pędzlem i w dwie godziny często obraz gotów) ... otóż mały Luś nie wałęsał się darmo po ojcowej pracowni w Istebnej i wcześniej chwycił za ołówek i pędzel, a ćwiczył. Czasem nawet na lekcjach, jak ten mały Klon z Ib dzisiaj, lub Modrzejowski. Ale to się wybacza, jeśli ma ktoś zamiłowanie na prawdę, bo patrzcie, co z tego czasem wychodzi!

Więc druh Zdzisław D., dobrze ci znany spec od świetlicowych słuchowisk, już od pierwszej klasy jako mały bystry, czupurny brzdąc, miał oczy szeroko na świat otwarte i ćwiczył się nie tylko w pisaniu zgrabnych wierszyków, ale brał żywy udział i w pracach drużyny harcerskiej (niech ci kiedyś opowie o swoich przygodach w sidorowskim obozie...) i w pisemku szkolnym, i w spółdzielni, i w innych organizacjach, układał dla nich pomysłów widowiska i pieśni, i czytał, czytał bardzo dużo, rozwijając swoje zdolności i zamiłowania.

Druh Józef Skudrzyk, dzisiaj wybitny inżynier-chemik, na szkolnej ławie już kwasził i palił różne związki (i raz się nawet porządnie oparzył), nim poszedł na wyższe studia i zaczął robić wynalazki. Czy wiesz np., że dzięki temu fabryka dynamitu w Krywałdzie oszczędza na glicerynie 20 milionów złotych miesięcznie? Dzisiaj pan Józef przeszedł na bardziej pokojową produkcję i w swej Rybnickiej Wytwórni Chemicznej wspólnie z ojcem i braćmi wyrabia lekarstwa z wapnia, arsenu, fosforu (calcium glucolicum, cuprum glicocolicum, metarsan, tonofos), tak bardzo dziś Polsce potrzebne do walki z gruźlicą i wyczerpaniem nerwowym. I zamierza zbudować fabrykę, mogącą zatrudnić 500 ludzi i zaoszczędzić Polsce wiele milionów dewiz... Ale on od młodości nad tymi sprawami ślezczał, myślał, pracował i wciąż jeszcze czyta, bada, studiuje. Więc zamówienia na jego preparaty sypią się z całej Polski: z Warszawy, Płocka, Wrocławia, Szczecina, Krakowa...

Albo ks. dziekan Sławik (przepowiedziałem mu w siódmej klasie, że będzie biskupem). Dziś pułkownikiem już jest podobno. Cały świat zjeździł w swej pracy duszpasterskiej wśród Polaków na emigracji, dostał Krzyż Walecznych za Monte Cassino, kościoły polskie buduje i bursy dla chłopców polskich zakłada. Przybocznym był, a potem drużynowym w naszej drużynie i pracował z wielkim zapałem i energią (kowalem był wcześniej), potem i w wojsku służył, nim wreszcie został księdzem i znanym działaczem harcerskim i, zaproszony do Ameryki, do wielkich lotów skrzydła rozwinął. Ale i teraz o nas pamięta.

Wreszcie choć słówko (alfabetycznie ten przegląd robię) o skromnym uczniu z pewnej klasy na drugim piętrze (druga ławka od końca w lewym rzędzie), który miał tajemniczy na twarzy uśmiech i dziwne iskry w oczach. Do słowiańskich języków bardzo się garnał i książek. Dziś ma ten sam pogodny uśmiech w twarzy, tylko jest

sławnym już redaktorem i bojownikiem śmiałym o sprawiedliwość społeczną (może kiedyś jego poemat o Hanyście przeczytasz) i o wolność... On nie tylko Śląsk do panteonu nowożytniej poezji polskiej wprowadził, ale i Polskę całą nurtem świętej rzeki Odry na stare szlaki Chrobrego wiedzie. I dawną moc, a prostotę słowami wskrzesza, i wiarą swoją porywa i pogodą czoła rozjaśnia. On też nam bardzo radą

i czynem dopomógł w godnym wydaniu tej książki i w innych pracach jubileuszu. Jego „Pozdrowienie Odrze” porwało nas tego lata na długą wędrówkę szlakiem tej historycznej rzeki od św. Anny poprzez Opole, Wrocław, Legnicę, Głogów, Szczecin aż do morza. I tego wiersza na zakończenie posłuchaj, o czytelniku młody, na śląskiej ziemi urodzony (a domyślasz się chyba, że o Wilhelmie Szewczyku mowa):

## POZDROWIENIE ODRZE

Rzeko, nową historią okryta,  
nowym świtem poczęta u źródła,  
dziś za tobą kroczy Rzeczpospolita  
w morskich kąpać się kudłach.

Wiarą miast, jak kolumnami wsparty  
strumieniu, wyniesiony nad Śląsk,  
płyn nad czołem naszym i zaszum,  
pergaminom poczerniałym klnąc,  
historią niezatarty.

Któż to ogniem gwiazd niemieckich gasił  
twój szum lecący do sosen?  
Tyś uwita z tych samych pierścieni  
jak Wisła i jak San złotousty i krewki Du-  
[najec

i tak samo się dno twoje spieni,  
gdy je karabinem poruszyć jak wiosłem.

Orędowniczko nasza na brzegu szczecińskim,  
w morze pieśń ta falą modrą chlusta,  
gdzie opolskie kamyki, ostre jak pociski,  
podpływają pod morza lazurowe usta.

U źródeł sosny ze snu, dym spala się  
[w kiście,  
miasta u ramion wiszą twarde, całe w zbroi —  
witam dziś falę Odry, co w snach polskich  
[wyschła,  
wonnym palmowym pokojem.

Porusza się na chmurze niespokojny wróg.  
Gwałt niech się wiarą odciska!  
Tu nad rzeką stanie mego syna  
pierwsza wolna kołyska.

WILHELM SZEWCZYK.



„STRAZ NAD ODRĄ“

Stanowiska I. komp. pułku wodzisławskiego pod Bukowem w maju 1921 r.

---

W ostatniej chwili nadszedł do nas z dalekich stron wiersz druha Mieczysława Basisty, dawnego redaktora pisemka szkolnego, a dziś redaktora poważnego pisma we Francji.

## POLEGŁYM KOLEGOM...

Na groby Wasze idę...!  
Na skwery, ulice, w lasy, na pola,  
Tam, gdzieście padli,  
Gdzie kwiat purpurą wyrósł,  
Krwia nasiąkła rola...  
Nie w kir się przyoblekłem,  
Zdzieram szatę żałobnej udręki!  
I kwiatów nie rzucam na groby...  
WY NIESMIERTELNI...!  
Z KRWI zrodzeni,  
Z MIŁOŚCI  
I MĘKI!  
Weselnie dziś kroczę,  
Sercem młodym, duszą radosną,  
Tak, jak ongiś, życiem wschodzącą  
Szkolną wiosną. —  
O BRACIA!  
Nie umiem się smucić,  
Ani zawodzić  
Nad Waszą stratą,

Ja wiem, żeście wyrosli do gwiazd Termopil,  
Na tarczach niosąc  
POLSKI MARATON!  
O, BRACIA, DUCHY MOCARNE!  
Po wieki wolne z beziły!  
Do Was idę, by serce me skrzepło...  
Życia szukam,  
Na Wasze idąc mogiły...!  
I rośnie me serce  
I znowu żyję,  
Kiedy Was widzę uskrzydłych,  
W pogwarze DUCHÓW,  
W poszumie GLORII...  
... I wtedy znowu z Wami się uczę,  
(Jak za lat minionych).  
O tym, że słodko ... DECORUM EST  
PRO PATRIA MORI!

MIECZYŚLAW BASISTA.



## POWRÓT

*Si quid novisti rectius istis,  
Candidus imperti; si non, his ulere mecum.*

Kiedy już zwędrowałeś, przyjacielu, wiele miast, a obce krajobrazy wirują w oczach i kiedy wreszcie pociąg przywiózł cię na małą stacyjkę — są jeszcze takie w tym zakątku ziemi — na której między torami rośnie sporysz i skrzyp i dzieci uplatają wianki z podbiału, z którego tryska mleczko gorzkie, lecz cenione we wspomnieniach, wtedy, przyjacielu, otwórz dłonie na przyjęcie skołatanej, rozplamionej od życia

głowy i wspominaj ze mną. Wyprowadzę cię na górę, która nie ma nazwy, bo nie znają jej geografowie, ale poeci błysną czasem metaforą, w której góra i szczyt jej symbolizować będą radość; z takiej góry pokażę ci miasto, wysoka fala radości opływać będzie szczyt, a gdzieś w dole zostaną burze, które nas wiodą, wichry, które karmią nasze mięśnie, mroki, w które zanurzamy odważnie kroki życia.

\* \* \*

Potrzebny był ten wstęp liryczny, glossa rzewna, ale nieodparła. Kiedy zaczynam pisać o mieście owym, w którym gromada młodych kształciła swe spojrzenie, pułk cały dziś już, nie mogę pozbyć się dwóch skrzyżowanych uczuć. Jedno to owa zadymka liryczna; wierzcie mi, że wspomnienie Rybnika i krajobrazów młodości tu poczętych dla wielu z nas dziś jest jak nowa jakaś księga z San Michele; blyszczące koboldy porywają słowa i przetwarzają je w swych kuźnicach, wizje mieszają się z życiem i realnym i materialnym, oto cały urok wspomnienia. Ale jest i drugie wspomnienie, żołnierskie niemal, z którego wywiała liryka, a został epicki brzęk. Oto wspomnienia szkoły charakteru, który tak bardzo przydał się w życiu. Znoju nauki, którego oby nie przeklinali lekko-myślni, ale słowami psalmu błogosławili: „Krople potu będą jak różyczki na czole, gdy ujrzysz, iżeś przez nie nie marnował życia“. Wspomnienie szkoły polskości, co pozwoliło niejednemu z nas odgarnąć z czoła czarny kosmyk zwątpienia i błyszczeć, wierzyć, nie upadać. Wśród zwichrzonych ulic miasta wyrasta to wspomnienie jak kolumna antyczna dla nas starszych, a jak latarnia morska dla tych młodszych, co idą za nami.

\* \* \*

Kręty strumyk ulicy Sobieskiego i niepojęta fama ulicy Łony pewnie i wtedy już żyły swoimi troskami. Myśmy tego nie widzieli, gdy przebiegając ulicę truchtem zawziętym, gdy szeleszcząc zeszytami myśleliśmy o szkole i radościach wakacji. Świt parował nad miastem, z kominów szedł dym prosto, wilgoć buchała od omiecionych chodników i bruków. Na biały dworzec zajechały pociągi. Nazywały się wtedy w naszej uczniowskiej gwarze dowcipnie: knurówiok, który miał, jak nam się wydawało, bardzo prowincjonalną lokomotywę, i wodzisławiok, jedyny, który uszanował młodzież miłością systematyka, tworząc dla niej szkolne wagony, i wreszcie jeden z potężną

lokomotywą, oglądaną i komentowaną w zachwycie, przebiegający między Katowicami a Suminą. Pocóż o tym piszę, pomyślicie, skoro nic się pod tym względem nie zmieniło. Ach, nie rozumiecie wobec tego nostalgii człowieka, ukrytego w ochrypłych od hałasu trumienkach ulic wielkiego miasta, który z tym wspomnieniem wiąże nadzieję na powrót. Był świt i zapełniały się drogi wiodące do szkoły, a w szkole profesorowie palili już ostatniego papierosa i wychodząc na korytarze poganiali maruderów, z trudem wieszających swe palta na nadąsanych haczykach.

\* \* \*

I dziś jeszcze, kiedy rozkładam książkę, drzę. Mam w wysokiej bibliotecznej szafie kącik, prawdziwe muzeum młodości. Są tam podręczniki, na których odczytuję drogę kolegów i trud wykładowców. Ten ślad na niezdarłym i prostym zdaniu łacińskim, to żmudna droga mego palca za myślą Rzymianina. A obok rys głębszy, to oparcie paznokcia wykładowcy, który cierpliwie pomagając cieszył się, gdy zrozumiałem narzeczcie, że „bociany pożerają żaby“. Zadumałem się teraz. Nigdy nie byłbym w stanie pojąć sensu tego okrucieństwa, które wówczas wydawało mi się naturalne, gdyby nie lata, które minęły. Nie mogę uwolnić się od symbolów. Jest to męka człowieka niewspółczesnego, szukającego pomocy w poezji.

Zatem teraz jeszcze otwierając książkę, drzę. I wiem, że lśniąca na jej stronicach mądrość, to trud wspólny autora i wykładowcy. Młode dusze muszą mieć pośrednika i temu pośrednikowi, który zostawił ślad głębszy na moim starym podręczniku łaciny, należy się pochwała. Pochwała życia, która mija, a mijając umie być coraz wdzięczniejsza.

\* \* \*

I znowu powrót do miasta. Za miastem Koziegóry białymi domkami żeglują, gdzieś dalej nozdrza łapią woń siłowia mośnic-



kiego i wreszcie pod powickami jawi się wąwozami idąca droga do jankowickiej grotty. Idylliczny prawie spokój jest w tym krajobrazie. Czuję w tej chwili, że słowo moje mogłoby wskrzesić pasterza i bukolikę wysnuć starodawną.

Ale nie wiercie temu spokojowi. Tu na rynku miasta, które zda się gasnąć na dłoni, odbywały się już i rewolucje. Potrzebna jest ta dwoistość, by miasto pokochać więcej. Tupot kroków spieszących do szkoły wyprzedzony został przez inne tupoty. Należy się wspomnienie owym dniom, maleńka dygresja, historyczna, nie uczuciowa.

Lata jedenaste 19 wieku, któż ich nie pamięta; każdy historyk ten okres omawiał z zapałem i radością, a najpiękniejsza historia dni owych i późniejszych, jaką dał nam w epopei pantadeuszowskiej Mistrz Adam, znana jest wszystkim nam w poetyckich jej szczegółach. Wiosną zatem 1811 roku, kiedy już po lewej stronie Odry dragoni niemieccy stłumili ruchawkę chłopów, niezadowolonych z panowania niemieckich panów, rynek rybnicki zaroił się od głów niespokojnych, od drągów trzymanyh w twardej dłoni. „Jako sygnał kapeluszy wyleciał w górę i jak na komendę podzieliły się gromady“ — powie kronikarz. Gorąco było wtedy Niemcom w mieście i dopiero kobieta jakaś przez Żory i Szczekowice, okrężną drogą, bo inne obstawione były przez chłopów, dobrnęła do Gliwic, aby niemieckiego obersta Laroche von Starkenfels prosić o pomoc przeciw polskim chłopom. I po dniach dopiero oddział kawalerii pod dowództwem zezowatego lieutenanta uspokoił tłumy.

Maluję sobie ten obraz przed oczyma, maluję farbami na jakie zasłużył: czerwień marcowego wschodu, może jeszcze szron na dachach, szare ubrania, twarze czerwone, nabrzmiałe od złości i pieśni — bo i pieśni śpiewano wówczas, procesyjne i święte, a do wtóru pobożnym słowom służyła pięść. I dziś, gdy wskrzesza się emancypacyjno-



Piewca ziemi rybnickiej

chłopskie tradycje, dokumenty dumy, radujmy się i my, potomkowie chłopów podrybnickich, boć i nasi przodkowie wiedzieli, jak smakuje bunt stanowy i czym trzeba płacić za wolność.

\* \* \*

Mijają lata. Waży się skrzydło historii. Pojawia się w mieście placówki powstańców. A to będą równocześnie narodziny polskiego gimnazjum. Warto kojarzyć wydarzenia. Aby było chwalebniej. Warto historię spraw mniejszych rozważać w cieniu wielkiej historii. Wszystkie pokolenia rybnickie, spotykające się dziś w tym jednym gimnazjalnym punkcie, pokolenia wolności, nawiązują chętnie do tych początków. Jednym będą one znane, u innych przeczuwane zaledwie. Waży się miłość uczniowska. Nie przestaliśmy być uczniami tradycji. Nie przestaliśmy być odtwórcami codziennego misterium książki. Pali się wschód, a wschód jest taki sam jak 1811 roku i jak



w latach poczęcia polskości w tym gmachu i jak wtedy, gdy szerokim łożyskiem ulicy Kościuszki płynęła fala uczniów, a zadłusane prowincjonalne lokomotywy na białym dworcu piskiem przypominały godzinę ósmą.

Zrywam się od biurka i patrzę. Za miastem, w którym wypełniam swoje obowiązki, pola; za polami tętnią kopalnie i dymią lasy; a za lasami, za pagórkami z żywiczną smugą nieba leży miasto, do którego wróćcie

wszyscy, którzy tęsknicie. Spotykają się tu nasze słowa i bóle, radości, krzywdy i szczęścia. W jednym punkcie, z którego jak pająk wysnuliśmy się po niewidzialnej nitce. Jednym przeciwności losu stargały tę nić, łączącą ich z miastem i jego sercem, którym jest nasza szkoła. Inni pamiętają drogę powrotną i cenią sobie wzruszenie, które ogarnia ich na progu. Dla tego wzruszenia warto wrócić, dla popatrzenia w oczy młodym naszym następcom i pogwarzenia z ludźmi, którzy tu trwają na straży nauki i szczęścia. Jedni z nas przyjadą tu smukłą limuzyną, w futrach bogatych i z ślicznymi żonami u boku, drudzy samotni, w wytartym paltociku, pociągami dymiącym. Ale stojąc na progu, wszyscy — doktorzy, księża, poeci, robotnicy i chłopci, murarze i żołnierze — zrzucimy z siebie skorupę dojrzałości, ciężcy nam będą futra i pierścionki, wejdziemy do bram dzieciństwa, młodości górnej i chmurnej, choć raczej tylko górnej, o tak, wysokiej młodości!

\* \* \*

Miasto wieżycami ostre, szkoła wspomnieniami skrzydłata, książki trudem ociężałe, śpiewajcie w moich słowach, aby to, co dla wielu jest radością, pogodą i źródłem niekończących się gawęd, dla mnie było śpiewem płomiennym. „Objawił się nowy świat w śpiewie“ — powie stary biblijny tekst. Kto z was, młodzi, podejmie ten śpiew? Komuż z was, młodzi, objawi się wiersz, którego nikt jeszcze z nas starszych nie napisał, ale którego domaga się miasto, szkoła, młodość idąca na przeciw szerokiemu, dojrzałemu życiu?

Popiół rozsypany w słowach nie wystarczy...  
Hinc illae lacrimae.

WILHELM SZEWCZYK.



## Dzieje jednego zastępstwa

Za oknami był piękny, słoneczny dzień majowy 1926 roku... Dzwonek lekcyjny taki zawsze natrętnie niecierpliwym o 8-mej godzinie, wsiąkł już dawno w ciszę zasłuchanych korytarzy...

Ale w klasie naszej było gwarno, choć tylko z czternastu ust wybiegały niestrudzone dźwięki. Nieregularne formy czasowników greckich mieszały się z podnieconą interpretacją zadania algebraicznego, a spod okna dochodził monotonny pomruk wkuwającego po swojemu historię, z wefkniętymi w uszy palcami, Józka G., dziś już doktora wszech nauk lekarskich.

Drzwi wciąż się nie otwierały i prof. Kędziński nie przychodził. Każda nowa minuta umacniała nadzieję, że lekcja się „upieczą”... Wykorzystywano więc skwapliwie wolny czas, by wyrównać niezliczone niedostatki i braki. Tylko jeden Engelbert, mimo że gradowe chmury wisały mu nad uczniowską głową, nie podzielał gorączkowego lęku kolegów. Chodził sobie beztrąsko z kąta w kąt po klasie i zagryzając soczystą kiełbasę, powtarzał przez zęby wkuwającym kolegom swoją pogodną i ufą zasadę życiową: — Się boisz? Się nie bój!

I nie bał się naprawdę, toteż za tę odwagę kazali mu dwa lata w siódmej siedzieć, co mu zresztą nie przeszkodziło zostać inżynierem...

Nie lubiałem osobiście tych wolnych lekcji, przeżywając zawsze cichy z ich powodu — dramat. Piastowałem bowiem wówczas w klasie urząd „dziennikarza”, którego obowiązkiem było nie tylko wypełnianie różnych rubryk w klasowym dzienniku, ale, co gorsza, zgłaszanie dyrektorowi właśnie takich „pustych” lekcji.

A zamiar posłusznego wypełniania tej roli zawsze spotykał się ze zdecydowanym protestem całej klasy. Sypały się zaraz człowiekowi na głowę takie miłe słóweczka:

— Ty donosicielu, ty tchórze, ty zdrajco!... A zarzut niekoleżeńskości najbardziej bolał. Byliśmy wówczas w wieku, któryby można nazwać okresem ujemnego bohaterstwa. Umiejętność najsprytniejszego omijania wszelkich zarządzeń władzy była najszczytniejszą ambicją. Więc vox populi był święty i mimo gnębiącego sumienia konfliktu znów uległem zbiorowej woli klasy i własnej ambicji...

Nagle drzwi zaskrzypiały złowrogo i w progu błysnęły groźne okulary: Ksiądz dyrektor!

Osoba jego budziła wśród uczniów cały splot pomieszanych, zdawałoby się sprzecznych uczuć. Szanowaliśmy go głęboko za jego surowe jak u pustelnika zasady życia i za wielką wiedzę, kochaliśmy go wszyscy za jego ojcowską czułość i życzliwość, ale i baliśmy się go równocześnie. Właśnie z tego głębokiego szacunku i serdecznej miłości.

Ks. Siwiec rozejrzał się surowo po klasie, po czym zaraz zapytał: — Kto jest dziennikarzem?

Podniosłem się ciężko z ławki z wybitnie nieczystym sumieniem. — Dlaczegoś, mam-lasie, nie zgłosił nieobecności nauczyciela? Ponieważ za nic na świecie nie mogłem powiedzieć, że uczyniłem to „hortanfibus amicis”, więc milczałem.

Ksiądz dyrektor także nic nie powiedział. Z surowym obliczem, z pochyloną swoim zwyczajem lekko w bok głową, podszedł do katedry i zaczął coś pisać w dzienniku. Przeczuwałem, że nic dobrego z tego wyniknąć nie może. Być zapisanym do dziennika przez samego dyrektora, to nie była frazka...

W klasie panowała grobowa cisza. Z ławek znikały już dawno swobodnie porozrzucane książki i zeszyty. Ksiądz dyrektor zamknął powoli dziennik i rozpoczął lekcję. Choć wydawało się nam naiwnie, że mog-

liśmy zataić nieobecność nauczyciela, musiał już o niej wcześniej wiedzieć, bo obok nieodstępного podręcznika do algebry i geometrii przyniósł z sobą cały plik pocztówek. Były to piękne reprodukcje obrazów mistrzów odrodzenia włoskiego. Pokazawszy nam kilka madonn Rafaela, zatrzymał się dłużej przy obrazie Tycjana, przedstawiającym postać Chrystusa w chwili, gdy faryzeusz, pokazując mu monetę carską, otrzymuje tę klasyczną odpowiedź: Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co boskiego — Bogu. Objasniając obraz, ks. Siwec zwrócił naszą uwagę na pogodny jasny koloryt i aureolę powagi, jaką otoczona jest głowa Zbawiciela, a równocześnie na rudawy ton postaci faryzeusza i kurczowy uścisk żylastej dłoni, trzymającej monetę, który wyraża chciwe przywiązanie do dóbr doczesnych.

Wchłaniałem te wiadomości wszystkimi zmysłami, zapomniawszy nawet o niedawnym incydencie i nieszczęsnym zapisaniu do dziennika. To, cośmy słyszeli, było dla nas czymś tak nowym, oderwanym od co-

dziennej szarzyzny lekcyj, że nowy świat wrażeń zdawał się otwierać przed wyobraźnią.

Skończywszy swój zaimprovizowany wykład o sztuce renesansu, wdał się ks. Siwec z nami w ulubioną przyjacielską pogawędkę, w której ujawniała się cała jego dobroć i złote serce. Darzył nas wtedy poufałym epitetem „mamlasie”, przed którym nikt z chłopców nie mógł się ustrzec.

No, cóż tam, mamlasie, — zwrócił się z pogodnym uśmiechem do kol. Romana M., (dziś też doktora medycyny) — jakże tam twoje liście brzożowe, czy używasz jeszcze nawaru, który ci poradziłem przeciw reumatyzmowi?

Innego z Markłowic pytał, czy na łące koło szybu rośnie jeszcze dziewanna, a któregoś z Radlina, czy zbiera jeszcze ziele przeciw dychawicy, które rosło tam na znanej mu miedzy.

Był wielkim miłośnikiem i znawcą roślin leczniczych, orientował się świetnie, gdzie rosła w okolicy i do czego służy.

## Z migawek szkolnych

### HISTORIA RADIOWA.

Zaczęło się jak zwykle: wszyscy prawie wykładowcy, a zwłaszcza gospodarz klasy, straszili nas, że mało kto do matury będzie dopuszczony, a jeśli dopuści się, to tylko z litości najwyższej kilku. Stan nerwowego napięcia to wzrastał, to zmniejszał się w apatię. Mimo złych wróżb ambicja nasza kazała nam kuć dniami i nocami. Nie mogliśmy tylko znieść myśli, że tak późno dopiero dowiemy się o wynikach decydującej konferencji. Powstał więc śmiały pomysł: transmitować jej przebieg przez radio! Wpadli nań dwaj zawzięci radioci, którzy już od dzieciństwa teroryzowali swych domowników zwojami porozwijanego w mieszkaniu drutu, kwasami w rozmaitych butelkach, ciemniami fotograficznymi itp.

Zwrócili oni uwagę na stary, nieczynny od lat głośnik, stojący w sali konferencyjnej. Zaopatrzeni

w latarki elektryczne, zmontowali w nocy połączenie od pokrytego pyłem głośnika do położonej pod salą konferencyjną piwnicy, przeciągnęli przemyślnie druciki cienkie jak włos, których by nawet oko profesorskie nie mogło odkryć, załączyli w piwnicy wzmacniacz i odbiornik. Dzięki tym przygotowaniom nastrój ósmaków poodniósł się znacznie. Tylko dużo było klótni o to, kto pójdzie na ową piwniczną audycję, gdyż każdy chciał ją słyszeć osobiście. Ustalono w końcu, że poza dwoma radiomistrzami, którzy mieli protokółować przebieg historycznej dla nas konferencji, zostanie ustawiony tylko jeszcze wartownik przed drzwiami piwnicy.

I zaczęło się wreszcie. Słyszeliśmy każde słowo, jak wychowawcy nasi w mowach oskarżycielskich i obrończych malowali sylwetkę każdego z nas, ale zabrakło najważniejszego: nasza aparatura nie miała jeszcze telewizji: nie przekazywała więc, ile rąk profesorskich przy głosowaniu podnosiło się za dopuszczeniem, a ile przeciw...

---

Nagle zmienił temat rozmowy i zwracając się do jednego z chłopców, którego podejrzewał o absencję w niedzielnym nabożeństwie, zapytał:

— Powiedzno mi, mamłasic, jaka była ostatnia ewangelia? Zналиśmy już ten „chwyt“ księdza dyrektora, toteż, by zabezpieczyć się przed nim, zobowiązaliśmy zawsze jednego z kolegów, który jako ministrant „blisko był ołtarza“ i świetnie orientował się w sprawach kościelnych, aby w każdy poniedziałek podawał nam dokładnie treść niedzielnej ewangelii. Choć bowiem chodziliśmy do kościoła, nieraz słowa ewangelii wypadały z pamięci.

Do dzwonka brakowało jeszcze kilka minut. — Trzymałeś już kiedy, mamłasic, pęk kwiatów w ręku? — spytał ks. Siwiec jednego z kolegów. I wychodząc od pędu kwiatów narysował na tablicy pęk promieni po ło, by wytłumaczyć twierdzenie o podziale pędu promieni na proporcjonalne części przez przecinające go dwie proste równoległe.

---

Zrozumiałe więc, że napięcie słuchających jeszcze bardziej wzrosło, by z każdego słowa wysnuć właściwe i konkretne wnioski. Nie spostrzegliśmy się zatem, że kilku bardziej niecierpliwych dołączyło do nas, a wśród nich także wartownik.

Konferencja miała się ku końcowi, gdy w otwartych drzwiach piwnicy stanął nagle... jeden z naszych wykładowców! Z wielkiego zdumienia przestał nawet podrzucać pękiem kluczy w ręce, jak to zwykł czynić. My osłupieliśmy także. Po chwili dopiero jeden z kolegów ochłonął i podszedł poważnie do profesora, by zasłonić sobą konferencjopajęczarzy, wyciągnął z kieszeni „bryka“ (marki Zuckerhandel, Zloczów) i próbował dowieść profesorowi, że ten wielce zasłużony wydawca jednak jest bardzo niedbały, jeśli zachodzą w jego drukach takie a takie błędy...

Profesor jednak jak urzeczony patrzył wciąż w czarną skrzynkę i głośnik.

Ks. Siwiec miał dar obrazowego opowiadania, a wykłady jego zawsze były dostosowane do sposobu myślenia młodzieży, która — jak wiadomo — dość ciężko zazwyczaj porusza się w abstraktach.

Kiedy dzwonek oznajmił przerwę, ksiądz dyrektor, wychodząc z klasy, rzucił mi w przejściu już trochę dobrotliwie: — A popraw się, mamłasic...

Czułem, że były to słowa rozgrzeszenia. Kilka lat później, przebywając na studiach w Krakowie, zobaczyłem pewnego dnia u Aleksandrowicza na Basztowej pocztówkę, przedstawiającą ów sławny obraz Tycjana. Kupiłem ją i w wolnych od nauki chwilach, zajmując się malarstwem olejnym, zrobiłem z niej dużą kopię, która długo wisiała nad moim łóżkiem, przypominając mi zastępczą lekcję zacnego ks. dyrektora, znakomitego wychowawcy i prawdziwego przyjaciela młodzieży.

PROF. ALOJZY MAŃKA.

---

Niebawem zaalarmowana reszta wykładowców znalazła się w piwnicy. Nas już tam nie było, ale słyszeliśmy później z opowiadania, że dyrektor podszedł do profesora fizyki i pogratulował mu wspaniałych wyników pracy!

Wśród ogólnego śmiechu przyjęto wyrok. My tymczasem, jak zwarzeni siedzieliśmy w ogrodzie jednego z kolegów, dopóki nie dotarła do nas wiadomość, że cała heca radiowa zakończyła się pomyślnie. Wyjaśniło się także, że profesor, który nas nakrył w piwnicy, zeszedł tam tylko przypadkiem, by zagrać w tenisa stołowego, który tam zainstalowali harcerze.

Warto dodać, że mimo tradycyjnych pogroźek wszystkich nas dopuszczono do matury, tylko przewodniczący komisji przy egzaminie pisemnym posadził obu „radiomonterów“ tak, żeby ich lepiej mieć na oku i zapobiec jakimś nieprzewidzianym w regulaminie kontaktom na falach eteru.

ALFRED GRZESICZEK.

---

## Z DZIEJÓW SZKOŁY

Niszczycielskie lata wojny sprawiły, że dla odtworzenia dziejów gimnazjum częściej niż do pożółkłych kart archiwalnych sięgać trzeba do ludzkiej pamięci. Nie mała w tym wina i kronikarzy lat minionych, którzy urząd swój piastowali często de nomine.

Prawdziwie szczęśliwym więc przypadkiem nazwać można fakt, że wśród tych dotkliwych spustoszeń, jakim uległy akty i dokumenty szkoły, ocalała jej pierwsza, najstarsza księga, zawierająca protokoły Rady Pedagogicznej. Leżała w stosie rupieci i odpadków, wypełniających piwnice i wpadła w ręce prof. Mańki, kiedy z grupą uczniów szukał w podziemiach szkolnego budynku resztek świetności przedwojennej pracowni zajęć praktycznych.

Szczęśliwemu odkrywcy tego cennego dla szkoły źródła historycznego przypadło więc

w udziale opublikowanie najciekawszych momentów z pierwszego okresu przeszłości rybnickiego gimnazjum, którego sam zresztą był w latach tych uczniem. Pewnych szczegółów z przełomowego roku 1922 dostarczył pierwszy prefekt gimnazjum ks. Okrent. Drugim źródłem, umożliwiającym odtworzenie życia szkoły z okresu 1934 do 1936 roku są zachowane numery popularnego podówczas w uczniowskim świątku pisemka szkolnego „Zew Młodzieży“, z którego wiązanek wesołych i nastrojowych wspomnień daje prof. dr Libura. Historię lat powojennych opracował prof. Herz. Wreszcie stałym źródłem, do którego sięgali po informacje wszyscy „dziejopisarze“, był prof. Kossmann, sam będący żywą historią rybnickiego gimnazjum, którą przeżył osobiście od pierwszych niemal miesięcy istnienia szkoły po dzień dzisiejszy.

### Z najstarszej księgi zakładu

Szukaliśmy pił, strugów, dłuć i pilników, a znaleźliśmy starą, napęczniałą od wilgoci księgę. Nie rozjaśniły się więc nasze myśli, zatroskane szczerze o przyszłość odbudowywanej pracowni zajęć praktycznych, ale poprzez zwilgotniałe karty znalezionej księgi padł snop światła na zamierzchnie czasy naszej szkoły. Wydobyta nieoczekiwanie z piwnicznych rupieci księga, choć gruba i gęstym zapisana pismem, samą swą starością podniecała ciekawość, zapraszając do lektury.

Pewno bardziej z oszczędności niż z szacunku dla tradycji szkoły pierwsi jej polscy włodarze zaraz bezpośrednio po niemieckich, pisanych starannym gotykiem protokółach, zaczęli spisywać swoje protokoły polskie. Temu też zawdzięczać należy, że jedna księga przechowała pamięć dwu tak krańcowo różnych epok przeszłości naszego gimnazjum.

Do tej więc księgi protokółów Rady Pedagogicznej sięgniemy po garść szczegółów z minionych lat szkoły.

Księga obejmuje obszerny okres lat 1914 do 1926, a pierwszy zawarty w niej protokół 118-ej z rzędu konferencji nosi datę 16 kwietnia 1914 r. Z protokółów niemieckich zaciekawić mogą przede wszystkim szczegóły, dotyczące historii szkoły.

Gimnazjum rybnickie powstało w r. 1908 z istniejącej już tu wyższej szkoły dla młodzieży męskiej. Obecny budynek przy ulicy Kościuszki wzniesiono w roku 1910. Pierwszym dyrektorem gimnazjum był dr Wahner. W zachowanej księdze spotykamy się z nazwiskiem następnego dyrektora dr Münzera, który utrzymał się na tym stanowisku do końca roku 1921.

W kwietniu 1914 r. przyznano ówczesnemu gimnazjum tzw. „pełne prawa“, a w 3 lata

później ministerstwo oświecenia zawarło z władzami miasta umowę w sprawie rozbudowy gimnazjum.

Pod datą 11 maja 1920 r. znajdujemy protokół, którego większą część stanowi ustęp zatytułowany „Der Fall Piecha”. Była to sprawa dyscyplinarna ucznia „untersekundy” Piechy, który napisał na tablicy w języku polskim, niemieckim, łacińskim i francuskim słowa: Niech żyje Polska, precz z Niemcami! — za co po długiej debacie grona profesorskiego ukarany został godzinnym aresztem. Z ostrożnego tonu, w jakim utrzymany jest cały protokół oraz z wysokości wymierzonej kary, wyczuć można, że Niemcy liczyli się już wówczas poważnie z opinią polską na Śląsku.

Odważny sprawca tej manifestacji przebywa nadal w Rybniku i jest kierownikiem kasy magistrackiej.

Wypada nadmienić, że od roku 1919 język polski wprowadzony był do programu nauczania jako przedmiot nadobowiązkowy. Liczba uczniów zakładu wynosiła około 250. W wykazach nazwisk roi się od charakterystycznych przeróbek niemieckich, jak Baschista, Motzny, Syrnitzky itp. Wśród członków grona profesorskiego przeważają nazwiska polskie. Przytaczam je w pisowni protokółów: Borsucky, Chudoba, Hadamczyk, Hoschütski, Jurkowski, Olschenka, Pokorny, Przedworski, Radwan, Schmattorsch, Snowacki, Waniek, Willimsky.

W protokóle z dnia 25 listopada 1921 r. czytamy krótką wzmiankę o konieczności przeniesienia nauki do innego budynku na skutek uszkodzenia gmachu szkolnego. Uczniowie tych lat przypominają sobie na pewno, że był to skutek potwornego wybuchu czterech wagonów z dynamitem, stojących na stacji kolejowej. Eksplozja była tak silna, że w całym mieście popękały szyby wystawowe i okna, a budynek szkolny, położony w sąsiedztwie stacji kolejowej ucierpiał szczególnie dotkliwie. Cały dach został zniszczony, wszystkie okna wyleciały. Wybuch nastąpił w dniu 22 czerwca 1921 roku

w przeddzień wakacyj. Ponieważ w czasie feryj letnich nie zdołano uszkodzeń naprawić, naukę w nowym roku szkolnym podjęto w jednej ze szkół powszechnych. W styczniu 1922 r. niemiecka rada pedagogiczna uchwaliła wystawić z funduszu, przeznaczonego na upiększenie zakładu, zbiorowy pomnik dla poległych uczniów i nauczycieli. Projekt ten nie doczekał się realizacji. Za to w 25 lat później w tym samym gmachu szkolnym wmurowano marmurową tablicę ku czci poległych w drugiej wojnie światowej i zamęczonych przez Niemców w obozach kaźni wychowanków i profesorów polskiego gimnazjum.

Ostatni protokół w języku niemieckim nosi datę 28 czerwca 1922 r. i ma w dosłownym tłumaczeniu następujące brzmienie: „Rada Pedagogiczna postanawia jednogłośnie nie wystawiać uczniom świadectw, ponieważ wskutek nieobecności 6 sił nauczycielskich i stosunków politycznych nie można było prowadzić regularnej nauki”. Ten lakoniczny, pełen treści protokół podpisany przez prof. Segersa, który pełnił funkcję dyrektora około pół roku po wspomnianym dr Münzerze, zamyka historię niemieckiego gimnazjum w Rybniku. Następuje historyczny przewrót. Górny Śląsk, choć nie cały, wraca po wielowiekowej niewoli do Macierzy, a szkolnictwo polskie zakłada sieć swoich pierwszych szkół. Gimnazjum rybnickie przechodzi w ręce polskie.

Z polecenia Wydziału Oświecenia Publicznego ks. Józef Okrent przejmuje zakład od przedstawiciela niemieckiego prof. Segersa, podpisując tradycyjny protokół. Przejęty inwentarz szkoły okazał się bardzo zniszczony. Krótco potem Wydział Oświecenia Publicznego deleguje jako zarządcę szkoły ks. Długaja, którego zastępuje z kolei ks. Walenta, by wreszcie oddać szkołę nowomianowanemu dyrektorowi ks. dr Siwcowi.

Pierwszą konferencję polskiej Rady Pedagogicznej otwiera ks. dr Siwiec 20 września 1922 r. w obecności profesorów Łuka-

---

siewiczza, dr Ranozka, ks. Sonsali, dr Spendla i ks. Walenty. Protokółowi tej konferencji nie nadano niestety formy, na jaką zasługiwała ta historyczna chwila. Zawiera mało ważne szczegóły i pisany jest polszczyzną, która jeszcze utyka. Oto jego treść: „Omówiono nasamprzód uroczystość wstępną do nowego roku szkolnego. Uczniowie gromadzą się o w pół do 9-ej na podwórzu gimnazjalnym. O 9-ej wyruszają z profesorami do kościoła parafialnego, gdzie odbędzie się uroczysta suma. Po nabożeństwie wrócą do zakładu, w auli którego odbędzie się uroczystość wstępna, składająca się z przedmowy księdza dyrektora i śpiewów patriotycznych. Na końcu uroczystości zostaną ogłoszone ustawy, które konferencja uchwaliła“.

„Ustawami“ nazywa protokółant ks. Sonsala regulamin uczniowski, przytoczony następnie w 10 punktach.

W pierwszych latach szkoły polskiej na Śląsku nauczycielstwo walczyło z podobnymi trudnościami, jak ostatnio po wyzwoleniu spod okupacji. Toteż program i metody nauczania języka polskiego były szczególną troską Rady Pedagogicznej, co podkreśla niejeden protokół.

Kiepska polszczyzna pierwszych protokółów nie może dziwić, jest bowiem wyrazem wielowiekowego ucisku mowy ojczystej na Śląsku. Nawet wśród profesorów nie brakło takich, którym wypadało uczyć się języka polskiego razem z uczniami. Wystarczy tu wspomnieć prof. Kędzierskiego, który nie tylko niemiłosiernie kaleczył język polski tak, że nawet nas, uczniów, to raziło, ale na niemiecką jeszcze modłę darzył swych wychowanków policzkami. Szkoła

polska musiała żmudnym mozołem, powoli i stopniowo wypleniać i wyrwać z duszy i obyczajów te żałosne objawy i metody pruskiego wychowania.

Pod datą 22 stycznia 1924 r. pojawia się w księdze po raz pierwszy mistrz krótkiego protokołu zacny prof. Kossmann. Już wtedy był wrogiem werbalizmu. Najdłuższy jego protokół liczy... 7 wierszy, inne zaledwie po 4...

Pod protokółem klasyfikacyjnym z dnia 24 czerwca 1924 r. figuruje podpis wielce pretensjonalny i nieczytelny. Należy on do znanego wówczas w Rybniku arbitra elegantiarum, prof. Eugeniusza Wietrznego, a zaraz na następnej karcie odnalazłem pismo mego starego nauczyciela matematyki, prof. Jurkowskiego, który doczekał się powojennych czasów, zamierzał pracować -- lecz zmarł na udar serca w sierpniu 1945 roku. (Czekając na talerz zupy w stołówce nauczycielskiej u SS. Urszulanek, osunął się nagle na ziemię. Pogrzebem mieszkającego zdala od rodziny samotnika zajęło się grono profesorskie gimnazjum, którego tyle lat był nauczycielem).

Dalsze protokoły starej księgi przypominają nazwiska prof. Drozdowskiego i Pindelskiego, wreszcie do samego już końca zacnego prof. Dudziaka, którego Rada Pedagogiczna typowała widocznie na zawodowego protokółanta.

Oto garść zebranych dorywczo szczegółów z najstarszej księgi gimnazjum. Przypominają pewne wydarzenia z dziejów szkoły i choć na chwilę przybliżają żywe postacie tych, których dawno już wśród nas nie ma.

PROF. ALOJZY MAŃKA.





## Co zapamiętał „Zew Młodzieży“



Zaczął się od skromnego pismka odbijanego na powielaczu w ilości około stu egzemplarzy w roku 1928. W trzy lata później przechodzimy na druk (w oficynie tegoż pana Knapczyka, który dziś księgę pamiątkową drukuje), tworząc spółkę wydawniczą z urszulankami. Redaktorem jest wtedy druha Mietek Basista, filarami druha Zdzisław Pyzik (znacie go dobrze z radia), i próbujący dopiero dosiadać pegaza Wilhelm Szewczyk, twórca koła słowianofilów, niedoszły nasz maturzysta (z powodu matematyka... czy miłość), a dziś do naszych liczony skwapliwie wychowanków, znakomity poeta i redaktor. Opiekunem był wówczas dr Popiołek.

Z ocalonych szczęśliwie przez druha Julka (Malika) numerów „Zewu“ możemy dziś dać kilka wyjątków z jego wcale bogatej treści. Mówi ona o wszystkim, co się w szkole działo: więc o zawodach sportowych i świetlicy, obchodach i przedstawieniach, są tu inscenizacje i wesołe felietony Pyzika, najeżone kolumnami cyfr sprawozdania spółdzielni „Przyszłość“, wspomnienia z kursów i wycieczek, zażarte polemiki z urszulankami o to, co ma być górą: spółdzielnia czy samorząd, wesołe migawki z bieżącego życia (patrz niżej) i poważne rozważania (Stańkusza, Ahtelika, Staniczka, Kańtocha, Kani i innych) o solidaryzmie i demokracji, o kryzysie gospodarczym i mocarstwowości, o Polsce zagranicznej i Wyspiańskim. Są numery specjalne, poświęco-

cone zagadnieniom morskim, spółdzielczości, harcerstwu, czy oszczędności.

Ale niechże się już sam „Zew“ odezwie. Oto wcale miły już wierszyk druha Szewczyka — „Wieś“:

Gdzieś  
W słonecznikowych ogródkach  
Widziałem skrytą  
Wieś.  
Nie pamiętam, jak do niej szły drogi,  
Ile krzyżów mnie strzegło na polach.  
Nie wiem — —  
— Jakim się słońce paliło zarzewiem,  
Czy mak się kłaniał obfitym brogom,  
Czy dola  
Była równie słoneczna,  
Jak pieśń:  
„Z tej tam strony wody,  
Przy szumnej buczynie,  
Śpiewa pasterecka, choćby  
przepiórecka:  
Głosie, głosie, leć,  
Jasickowi nieś,  
Iże za nim tęskni  
Calusieńko wieś!“

Wiem:  
...Gdy się słońce, jak żużel, żarzy,  
Gdy Anioł Pański  
Śpiewa wiecznikom trzem,  
— Gdy świat marzy — — —  
Wieś  
Przesyła mi mocną  
Pieśń:  
„Głosie, głosie, leć,  
Jasickowi nieś,  
Iże za nim tęskni  
Calusieńko wieś!“

Å dla kontrastu weźmy sportowy utwór  
Zdzisia — „Rzut kulą“:

(Kol. Buszmanowi).

Sprężone mięśnie,  
Siła skoncentrowana w ramieniu  
Sznury nerwów — napięte  
— Trybuna w bezruchu trwa  
Skręęęęę  
    siła  
        skok  
            pchnięcie —  
— Rekord! Hurra!!

Å teraz coś wesołego: „Na progu śmierci“ druha Petersa, dziś wybitnego redaktora również. Lwi jego pazur widać już w tym liście z kursu narciarskiego za rządów dyr. Zdąbłasza, prof. Rakowskiego, Popiołka, Arcikiewicza.

Wisła, 12 stycznia 1934 r.

„Siedzę tutaj na kursie narciarskim. Karku nikt z nas nie złamał, ale robimy postępy w tym kierunku. Narty całe. Kości w miarę zbite. Narciarzy tutaj — zatrzęsienie. Oczywiście wszyscy pod tkliwą pieczę opiekunów. Przed południem góry tu roją się od ćwiczących. Zjazdy strzałą, lukiem i najczęściej stosowane w praktyce — zjazdy na zbity pysk... Ogólnie częściej zjazdy na spodniach, niż na nartach. Widać to po naszych porciętach! Najgorzej to już z wylażeniem pod górę. Schodkowanie, krok a la Charlie Chaplin, zwany tutaj „Małgorzatką“, a przeważnie krok charlestonowy — mają szerokie zastosowanie. Śnieg jest brudno-szary i zatłuszczony od częstych upadków.

Apetyty u nas, jak u słoni. Bo nie wiesz dnia, ni godziny...! Skręcisz kark, albo złapią cię w „Oazie“ na studiach choreograficznych... Więc jemy, jak skazańcy ostatnią ucztę. Kultura towarzyska, połączona z wyżerką, urozmaica popołudnia. Stoi się, kremujemy, golimy. Chcemy być podobni do ludzi. Cóż, kiedy to nic nie pomaża! Powodzenie ma tu tylko narciarz z śladami narciarstwa na gbie. Plastry na nosie, twarz a la siekane mięso — ostatnie krzyki mody wiślańskiej. Za spodnicami nikt z nas nie ugania. Kobiety noszą spodnie. Życie zaczynamy dopiero wieczorem. „Oaza“ przecież nęci spragnionego wędrowca. Cóż, kiedy spragniony wędrowiec — to i opiekun. Zderzenie jest nieuniknione. Stosując się do staropolskiego przysłowia, ustępujemy. Ksenofontowy odwrót do pensjonatu. Noc pod znakiem zimna i dymu. Zimno podobno zabija bakterie. A dymiące piece to już swego rodzaju przyjemność, — ale dla kominiarzy. Co godzinę budzimy się i odpoczywamy kolejno na jedynym krześle. Dla urozmaicenia daje się koca.

Zaczyna się to ponurym marszem duchów w koszulach po pustym korytarzu. Wkrótce jednostajny świst pasków i równie jednostajne jęki. Robota wre. Zakończenie odbywa się w ramionach nadbiegającego w negliżu opiekuna.

Dzisiaj odbyła się rewia narciarska. Nasze wyczyny mogłyby chyba sadyście przyjemność sprawić. Nie było więc pogo przyjeżdżać aż z Katowic Tym bardziej, że mróz aż trzaska.

Osobną epopeję stanowią losy naszych opiekunów. Streszczają się w trzech słowach: upadek, odprawa, upadek.

Mówiąc poważnie, kurs „pierwsza klasa“. Mimo życia i humoru karność i porządek. (Na wypadek, gdyby czytał który z opiekunów...).

Jutro wyjeżdżamy. Czy z całemi kośćciami?“

Rekin.

Jeszcze słówko o sportach zimowych: „Lodowisko“, które prof. Arcikiewicz urządził ze spółdzielcami na szkolnym boisku.

„Padł pomysł. — Zniwelowano boisko, napuszczono wody, sprowadzono robotnika z miotłą, za pomocą której oczyszcza plot od zwinnych sportowców, próbujących się przezeń przedostać, postawiono przy drzwiach biednego dyżurnego z biletemi oraz woreczkiem na pieniądze!!! i lodowisko otwarto. Jadalnię nazwano bufetem, gdzieś podobno i szatnia się znalazła, jednym słowem — komfortowe urządzenie. Lubię korzystać ze wszystkiego, co urządziła spółdzielnia, więc zdobyłem się na ten wysiłek i udałem się na lodowisko w celu podbicia serc publiki moją klasyczną jazdą na rękach, nogach i... nosie. Przybyłem...“

Dalsze losy lyźwiarza niech czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa, a my przejdźmy do dalszych artykułów:

#### Życie sportowe.

Kolo Sportowe przy naszym gimnazjum, dzięki pracy opiekuna, pana prof. Szczepańskiego i członków Zarządu, rozwija się z roku na rok coraz więcej. W ramach Kola dnia 6 września br. odbyły się na stadionie pływackim „Ruda“ eliminacje pływaków celem wysłania drużyny do Siemianowic. Dnia 7 września zostali wyeliminowani koledzy Drzewiński (klasa III a) i Skudrzyk (klasa VI c) na ogólnopolskie zawody pływackie do Warszawy w dniach od 13 — 17 września 1935 r. Kol. Drzewiński zdobył mistrzostwo Polski jako junior na rok 1935/36 w stylu klasycznym na 100 m w czasie 1,36 min.



Wymarsz na ćwiczenia hufca P. W.

Dnia 26 września odbyło się roczne walne zebranie członków Koła Sportowego w obecności p. Dyrektora i Opiekuna Koła. Zebrani członkowie wybrali nowy Zarząd w składzie: prezes — Nowak Józef; wiceprezes — Markiewicz Stanisław; sekretarz — Wachtarczyk Alojzy; skarbnik — Biskup Józef; zastępca skarbnika Malik Juliusz; gospodarz — Michna Brunon; kronikarz — Koźlik Ryszard. Na zebraniu opracowano program zimowy: narciarstwa, treningów i meczów hokejowych oraz zaprawy lekkoatletycznej na sali.

Ruchliwe sekcje piłki nożnej i siatkówki przy tu-tejszym Kole Sportowym rozegrały w dniach 5 i 12 października zawody towarzyskie z Komunalnym

Gimnazjum ze Żor. Z rozgrywek tych goście wyszli zwycięsko, będąc drużyną silniejszą fizycznie od naszej.

Dnia 28 września w obecności przedstawicieli Kół Sportowych z Komunalnego Gimnazjum Żory, Szkoły Handlowej Rybnik i Państwowego Gimnazjum Rybnik założono Międzyszkolny Klub Sportowy. Przedstawiciele wybrali spośród zebranych tymczasowy Zarząd w następującym składzie: prezes — Nowak Józef; wiceprezes — Marcol; sekretarz — Uczkiewicz Mieczysław; skarbnik — Blinda; gospodarz — Michna Brunon. Kuratorem został mianowany p. dyrektor Zdąbłasz przez śląski Urząd Wojewódzki, opiekunami zostali pp. prof. Marszał i profesor Szczepański.



Dyr. Zdąbłasz wręcza dyplom zwycięskiej drużynie siatkówki (kl. 7a)



Na Mośniku z prof. Dudziakiem

A teraz udzielmy jeszcze raz głosu poezji. Oto słynna epopeja Pyzika o dawnych bulmajstrach (bulomai — przechadzam się), co to bez tarcz przepisowych na ramieniu, zbyt gorliwie oddawali się studiom pięknej natury na Rudzie lub sławnym Mośniku z pływającą wyspą.

### „ODYSEJA“

Ucznia, Muzo, wyśpiewaj bardzo obrotnego,  
Który tarczy zapomniął i z powodu tego  
Długo się tulać musiał, ze szkoły wygnany:  
A Dyreksosa gniewem okrutnym ścigany,  
Rudę musiał odwiedzać i być na Mośniku!  
I nie był sam: z początku było ich bez liku —  
Teczkonosnych. Wrócili wkrótce wszyscy inni  
I z tarczami siedzieli, gdzie siedzieć powinni:  
Jego beretonośna Kalipso bogini  
Na długo w wydrążonej trzymała jaskini  
I ukryć się kazała w Mośnika zakątku.  
O tym mi, Zeusa córo, śpiewaj od początku!  
Dyreksosa wyśpiewaj gniew, obfity w szkody,  
Co tyle na uczniowskie spuścił kłęk narody  
Nieszczęsne, bo i poco wszystkie tarcze bada,  
Bo po co tyle czwórtek zebrała gromada?  
— I już Belfrosom wszystkim żal było tulać,  
Tylko Spółdzielniowładny jemu nie przebacza:  
Nie może mu darować, że na kłamek miedzi  
W sklepiku pozawieszał mu główki od śledzi,  
I najsroźszej na niego domaga się kary.  
Szczęściem odszedł był właśnie kędyś po towary,  
Więc Klasios Gospodaros, katalogowłada,  
By odmienić wyroki, sprawę całą bada:  
Potem do kancelarii wszedł, dwoma zamkami  
Opatrzonej, gdzie okna czerwienią się kratami.  
I takie Dyreksowi rzucił lotne słowa:  
„O, ty, który wszystkimi zarządzasz uczniami,  
Daruj im i zaprzestań ich dręczyć karami!“  
Tak mówił głaconośny, władający czwórkami.  
Dyreksos, milcząc, słuchał, wreszcie pióro kładzie  
I tak się ozwie: „Trzeba o tym rzec na radzie!  
Wzwyj Ochojkiosa, niechaj radę zbiera,  
I rzeknij, Roza-Hermes niechaj się ubiera!“

Teraz chodźmy“. I poszli, kędy za stołami  
Siedziała niebian rada, w ręku z notesami:  
Siedział Oilopos sławny, rozdający czwóry,  
I Tangojos, kształtami wyższy niżli góry,  
Ickos brodopowiewny, toż Sochos wysoki,  
Tomikos szerokobarny, Kozios bystrooki,  
Siedział Julikos wielki i wszystko wiedzący,  
Janikulos łacinnik, Augustos milczący,  
Marcepanos słodziutki i logarytmiczny,  
Toż Hanysos i obok Szymanos fizyczny,  
Był Szczepanos, straszliwy hufca przelożony,  
Był Arcikos, cwikerny i uspołdzielczony,  
Był Kikutos, wielkimi zdobny okulary,  
Tuż obok Mikrotatos i kiklopos stary.  
I tak zaczął Dyreksos: „O, wielcy niebianie,  
Wielkie dziś, jak wiecie, było czwórobranie,  
Ale żal mi tych chłopców, niezbrojnych tarczami!  
Mająż wrócić do szkoły, radźcie o tym sami!“  
Ci kiwnęli głowami, wyrażając zgodę,  
Jeden tylko Inocentos gniewnie szarpał brodę,  
Ale nic nie powiedział. Kiedy zgoda była,  
Dyreks Rozę-Hermesa na Mośnik wysyła.  
Rozaja zdjęła fartuch zwykły, zdobny w łąty,  
Na ramiona zarzuca płaszczyk popielaty,  
Chyże zaś nóżki w lotne odziewa sandały  
I kroczy, kędy Odys siedział osowiały.  
A gdy nad wielki Mośnik co prędzej przylata,  
Odys właśnie, ponury, grał z Kalipso w skata.  
Flaszki obok z nektarem „tyskim“ rzędem stały  
I kielichy z ambrozją „czystą“ się walały.  
On zaś dymkiem ofiarnym usta swe napawał,  
Szeroko się dymiący kurząc sztumlą kawał.  
Z dala niebian posłańca spostrzegł teczkonośny  
I z piersi wydał okrzyk przerażenia głośny.

A Hermes w tej do niego odezwał się mowić:  
„Ciesz się! Długo o tobie radzili bogowie  
I otóż wieścić idę odpuszczoną winę.  
Wracaj, biedny, do szkoły nadal kuć łacinę,  
A pośpieszaj! — Ty także, Nimfo, idź za mury,  
Aby się spać i na ciebie nie zwaliły czwóry!  
A pomnij pilnie baczyć i uważaj srodze,  
Abyś gdzieś Terlanki nie spotkała w drodze!”

Jak widać z tego szkoła i jej „Zew” miały rumieńce życia: tętniąc twórczym rozmachem, promieniały pogodą i zapałem młodości.

Oto jeszcze „monografia” Spółdzielni, także na wesoło:

Monografia — brrr! — jak dziwnie mi to słowo przypomina książki, przeznaczone na lekturę domową, takie grube, poważne dzieła! Nie lubię monografii poważnych, zatem... próbujmy na wesoło.

Był sobie sklep niewielki, mieszczący się w małej szafce, i był sklepowy i zaczynało się robić ze sklepem niedobrze, aż nagle coś się zmieniło. Zaczął się ruch i ni stąd ni zowąd zrobiła się ze sklepu spółdzielnia. Zaczęło się to po cichu (bo to się zwykle tak zaczyna, że nie wiadomo, jak i gdzie), po prostu... zrobili porządek, powpłacali udziały, wywiesili kartkę, że „kredytu się nie udziela” i zaczęli robić w całej szkole rozgłos. Wszyscy patrzyli na nową instytucję z ciekawością — co to będzie? — A było coraz lepiej. Członków przybywało, sklep zyskał solidne urządzenia (dawna szafka przeszła do muzeum), powstała biblioteka spółdzielcza... Podczas wakacyj letnich zorganizowano kolonię pracy, której uczestnicy, zakwaterowani w budynku gimnazjalnym, opraciwali książki, niwelowali i ogradzali boisko, a zarazem przygotowywali się do pracy w spółdzielni. — I tak minął rok 1932.

Na drugi rok pomyślano o jadalni. Pocóż mają się uczniowie zaopatrywać w „koloczki” w „arcyhygienicznej speluncie”, w której tercjanowa postawiła na stole kosz z pieczywem i konewkę czegoś, co ona nazywała herbatą? — Tak pomyślano i powstała jadalnia. Także i propagandę rozwinięto na szerszą skalę. Naprawiony aparat filmowy wyświetlał filmy spółdzielcze i wszystko chodziło na te przedstawienia (zakazu jeszcze tak surowego nie było). Urządzano akademie spółdzielcze w miejscu, a nawet poza Rybnikiem, tak np. w Rydułowicach, gdzie przy zapelnionej sali odbywały się spółdzielcze produkcje „artystyczne”. Ale nie poszła na marne usilnie prowadzona propaganda. Pewnego dnia odbyło się konstytucyjne zebranie członków Miejskiej Powszechnej Spółdzielni Spożywc-

Rzekła niebian postanka, Rozaja dorodna.  
„Losie straszliwy!” — Nimfa krzyknęła czcigodna:  
„O, Belferoi okrutni, o, karo straszliwa!”  
Chciała mówić, lecz Hermes Odysa porywa,  
W kancelarię go wiedzie na narady tajne,  
Kędy go niebian sądzi grono czwórrodajne.  
— Jeśli zatem, o, uczniu, chcesz mieć los wesoly,  
Pomnijże zawsze z tarczą przychodzić do szkoły!

P. Z.

ców i oto ku wielkiemu zdziwieniu i niezadowoleniu zwolenników obecnego porządku rzeczy otwarto w Rybniku sklep spółdzielczy, a w kilka dni później wszyscy, nawet przeciwnicy spółdzielczości, z radością stwierdzili, że ceny niektórych artykułów spożywczych znacznie spadły.

Znudziłeś się już, drogi Czytelniku? Wierzę, to też miast opowiadać o pracy w roku 1934, pokażę jej wyniki. Nie odkładaj jeszcze pisemka! Może masz apetyt na śniadanie? Chcesz napić się herbatki, spożyć bułkę z masłem, kielbasą czy marmoladą? Proszę bardzo, wstąp do naszej jadalni! Kupisz bon i taka pani w białym fartuchu udzieli ci szklankę chińskiego napoju. Lecz co to? — widzę, że jesteś nieogolony. Ech, wstydź się! — chodź do naszej fryzjerni! Chodź bez obawy! Kilka chwil, a będziesz porźnięty (nie mieszać z „urźnięty”), jak po pojedynku. Co? — chcesz wysłać list? Jeśli tak, to chodźmy do naszego sklepiku,



Lekeja pisania na maszynie

który poleca wszystkie materiały piśmienne. Co? — jesteś rozgoryczony? Kup sobie w sklepiu małeństw, dropsów imieninowych albo chałwy, będziesz słodki, jak... Ach tak, chcesz pisać po francusku, a nie umiesz tego języka! Czemu od razu nie powiedziałeś? Wiesz przecie, że spółdzielnia zakupiła linguafon i że odbywają się kursa języka francuskiego. Zainteresowałeś się zatem spółdzielczością? Jakże jestem zadowolony! Pozwól więc ze mną do czyteln! Biblioteka nasza dostarczy ci książek. Przypomniałeś sobie, że masz nieoprawioną książkę — więc co? Wstąpimy do introligatorni i nasi „oprawcy“ wnet ci ją zaopatrzą w okładki. Niczym się nie trap, tutaj spółdzielnia ma wszystko na miejscu. Ot, chodźmy teraz na lodowisko, korzystajmy z tego, że dzięki spółdzielni przeżywamy „lodowe miesiące“.

Tak wygląda dorobek ostatnich lat. Kto nie wierzy, niech się naocznie przekona — służę jako cicerone. A jak wyglądała w tym roku propaganda? — zada mi ktoś pytanie. — Czy rozwijaliście ją? — Oczywiście. Wydano dodatek spółdzielczy do „Zewu Młodzieży“, pojechano z akademiami do Knurowa i Zebrzydowic...

Nie trzeba chyba wspominać, że i w gimnazjum odbyło się kilka poranków spółdzielczych dla mło-

dzieży i publiczności, że wóz propagandowy rozwoził po mieście afisze, że ulotki spółdzielcze, rozsiane wśród publiczności, dostawały się do wszystkich rąk...

w czasie feryj (wielkanocnych) odbył się kurs księgowości, a ostatnio w dniach od 8 do 11 grudnia, kurs dla kierowniczek i kierowników spółdzielni uczniowskich oraz dla opiekunów spółdzielni.

A o czym teraz myślimy? — Otóż myślimy, jakby to u nas było dobrze i czegooby nie można dokonać, gdyby tak wszyscy należeli do spółdzielni. Jakby to było dobrze, gdyby we wszystkich szkołach w Polsce istniały spółdzielnie, zorganizowane w jednym związku spółdzielni uczniowskich! Pomysłcie tylko, czego by nie można dokonać w takim związku!

Tak, ale w naszych warunkach jest to niemożliwe — powiecie. — Powstaną w mieście krzyki... A cóż wam to szkodzi? Każdemu wolno krzyżeć. Jeśli zatem nie istnieje jeszcze w waszej szkole spółdzielnia, niech założenie jej stanie się kwestią najbliższych dni!

To, czego myśmy dokonali, to nic w porównaniu z tym, czego można dokonać...

Posłuchajmy z kolei o tym, jak pracowali harcerze:



Na zlocie w Poznaniu 1929 r.

Jak się to zaczęło — trudno sprawdzić. Wykopaliska, poczynione ostatnio, wykazują ślady drużyny już w roku 1925, ale pierwszą datą historyczną jest rok 1926, rok założenia drużyny harcerskiej przez druha prof. Liburę. Od razu zabrano się gorliwie do pracy i wykazano olbrzymi materiał odkrywczy. W zimie 1927 r. np. na wycieczce odkryto bardzo mądrą maksymę: „Możeby nas nawet nie bolały nogi, gdyby komendanci nie skracali drogi“. Szkoda tylko, że komendanci rzadko się do niej stosują.

Na szczególną uwagę zasługuje nasza harcówka, która, jak gdyby na skrzydłach, raz się wznosi, to znowu opada. Raz znajduje pomieszczenie na drugim piętrze, to znowu spada do piwnicy, a dla odmiany lokuje się na parterze.

W 1929 roku drużyna brała udział w Zlocie Narodowym w Poznaniu. Oryginalna była na tym zlocie pobudka. Jeden z druhów naśladował pianie koguta, a druhowie, myśląc, że to tylko kogut, spali dalej.

## Kronika o dziesięcioleciu drużyny



**Rada drużyny w roku 1931: (od lewej) druhowie Skudrzyk, Węgrzyk, Gulc, śp. Kania Adolf, śp. Pawłowski Władek, śp. Nowak Jan, Miczajka Henryk, druž. Sławik Bonifacy, Michalik Franciszek**

W roku 1930 wybrała się drużyna na Jubileuszowy Zlot Chorągwi Śląskiej do Bucza. Oryginalny był wyjazd do obozu. Bagaż jechał na wózku, własnej roboty, ale już pod Gotartowicami nie tylko bagaż, ale i wózek obciążył ramiona swych twórców. Ale na zlocie było morowo; tylko w sygnalizacji nam się nie powiodło w czasie biegu, mimo to zajęliśmy jedno z czołowych miejsc w ogólnej ocenie. Istniejące od paru lat Koło Przyjaciół sprawiło nam co roku jeden namiot, a teraz postanawia ufundować i sztandar dla drużyny.

Dnia 14 czerwca 1931 r. odbyło się jego poświęcenie. Należy zaznaczyć, że jest to pierwszy sztandar w hufcu rybnickim. W tym także roku odbył się pierwszy obóz drużyny w Sidorowie, na terenach K. O. P. W pobliżu rozbili obóz harcerze ze Lwowa, więc wizyty i rewizyty trwały ciągle. Przypód było co niemiara!

W roku 1927 założył Szeliga sklepik harcerski. Prosperował on dosyć dobrze przez kilka lat, aż w końcu objęła go nowopowstała spółdzielnia pod kierownictwem p. profesora Arcikiewicza.

W roku 1933 drużyna urządza obóz w Zbujsku nad Niemnem. Kronikarz z tego obozu radzi przyszłym komendantom, żeby nie wybierali się nigdy na obóz bez zarezerwowanego wagonu i bez ustalonego miejsca pobytu. Na tym obozie powstaje kilka piosenek, opisujących heroiczne czyny oraz niemniej heroiczne żarcie kilku druhów.

W następnym roku — obóz nad morzem. Drużyna wzięła udział w „Święcie Morza”. Podczas zwiedzania portu zaleźli na okręt grecki, na którym druh Klon, chcąc gwałtem dostać gazetę grecką, złapał jakiegoś pana i zaczyna deklamować „Iliadę”, aż ów jegomość, przestraszony, pyta się, czego chce — ale po polsku!

Chociaż byli nad morzem, napelnionym wodą, niebo sądziło, że mają jej za mało, więc dostarczyło jej tyle, że obóz zamienił się w drugie morze, które zalalo i powywracalo namioty. Na ten obóz wybrało się czterech druhów kajakami (Mandrysz, Mikołajec, Peters i Rohde). Wytrzasnęli je niewiadomo skąd, i po wielu przygodach dotarli do obozu w pewien romantyczny wieczór, kiedy z Kielcami, Żywcem i N. Tomysłem pialiśmy wspólnie „Kokoszeczkę”.

Na ogólno-światowym „jamboree”, urządzonym w sierpniu w Gödöllö, na Węgrzech, reprezentowali naszą drużynę druhowie: Pawłowski, Stodolak, Noga i Aronstamm.

W zimie tegoż roku odbył się kurs narciarski w Wiśle.



W czasie od 29 kwietnia do 3 maja 1934 r. urządzał hufiec harcerski w Rybniku wystawę harcerską u OO. Misjonarzy. Nasza drużyna urządziła obóz i niektóre działy na sali. W obozie spało czterech

druhów. Ze smacznego snu zbudziło nas bombardowanie namiotu, urządzone przez pp. profesorów Neujaka i Dziubka, a do snu kołysały nas monotonne wiersze klasyków greckich, deklamowane przez „Rekina“.

W roku 1934 obóz odbył się w Tatarowie; w Czarnohorze. Druhowie zwiedzili: Żabie, Zaleszczyki, a nawet Rumunię.

W tym samym roku byli dwaj druhowie na kursach wodnych. Druh Mandrysz pożaglował aż do zamorskiej Danii, a ja zadowolilem się jeziorami Grodzieńszczyzny. Zanim nauczyłem się porządnie manewrować żaglem, padałem ofiarą częstych „szkwałów“ i leciałem do wody.

W sezonie tego roku drużyna była na zlocie w Spale, o tym jednak nie piszę, odsyłam ciekawych do artykułu druhów Pochaby i Kozła.

Zając Alojzy.



## Spała! Spała, wspaniała!

Rwał się okrzyk z tysięcy młodych piersi harcerskich i, potężny, leciał hen w dał, poza szumiące lasy spalskie, poza równiny mazowieckie: leciał na Polskę całą. Hej, tyle siły zebrało się w piersiach oszalałych radością:

— „To zlot, to harce, to Spała!“

Stary brodac żubr przed spalską rezydencją Pana Prezydenta ze zdumienia wytrzeszczył kamienne oczy... A nam chciało się świat cały przycisnąć do piersi. Czuliśmy w sobie siłę. Cieszyło nas słońce, rzadko się ukazujące na chmurnym niebie, cieszył nas deszcz, pokrapujący prawie ciągle. Śmiały się do nas staruszek księżyc, wystawiwszy iysinę spoza wielkich sosen, gdy wpelzał do wnętrza namiotów i szalasów, śmiały się do nas gwiazdy w czasie wieczornych ognisk. Nie znaleźmy się, a byliśmy sobie tak bliscy! Rósł w nas i dojrzewał idealizm harcerski. Jakże różni tam byli ludzie! Księża z krzyżami harcerskimi na piersiach, woj-

skowi, lekarze, inżynierowie, studenci, robotnicy — wszystkie zawody — wszyscy zjechali się tu złączeni ideą harcerską. I nie tylko polscy skauci zjawili się w Spale. Była i zagranica. Wszyscy razem. Nie rozumieliśmy się językiem, lecz czuliśmy to samo. Tak było nam dobrze.

...Zapelnily się obszerne trybuny. Za chwilę rozbrzmiewające orkiestry zwiastowały, że zbliżają się szeregi harcerzy. Ukazali się równocześnie z dwu stron na brzegu lasu i zaczęli się zbliżać ku trybunom. Szeregi przechodzą między sobą równym sprężystym krokiem. Suną naprzód, naprzód, płyną szeregami...

Nastąpiły pokazy. Zastęp harcerzy buduje na środku most, a z lewej Węgrzy w zgodzie z naszymi bawią się piłką. Większość patrzy na most, który błyskawicznie rośnie:

„Oto most, przez który przejdzie ludzkość w zgodzie, jak teraz po nim przechodzą harcerze...“

Na furach w barwnych strojach zajeżdża wesele podhalańskie. Śpiewy i obrzędy, zbojnicki z mnóstwem figur.

A oto nowy pokaz: Defilada narodów. Powiewają barwne chorągiewki wszystkich państw, brzmi zgodnym rytmem bratni chór. Kończą się walki między narodami! „Patrzcie się, dyplomaci — niesłychana rzecz!“

Ognisko, poświęcone harcerzom z za kordonu. Tłumnie zebrała się wiara, wpośród nas zasiedli bracia, oddzieleni granicą. Na rękawach mają znak rodła, który przypomina im miejsce, skąd pochodzą: Wisłę. Zapalono ognisko. Słupy isker strzeliły ku górze, sosny spalskie szumiały nad nami tajemniczo, a ponad wszystkim zawisł ciemny strop nieba, upstrzony gwiazdami. Zabrzmiła potężna pieśń: „Hej, bracia Słazacy, do pracy!“; a echo się niesło daleko, daleko...





W świetle ogniska stanął naczelnik Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech, druh Kahel, mówiąc o półtoramilionowej rzeszy Polaków...

Zestrzeliły się myśli nasze przy jednym ognisku, serca poszły w jeden rytm, który poniesiony miał zostać na całą Polskę — ba, nawet za granicę, tworzyliśmy jedność."

Uzupełniając to pierwsze dziesięciolecie „Czwórki“, ściślej IV Rybnickiej Drużyny Harcerskiej im. H. Sienkiewicza, dodamy, że dzięki zgodnej współpracy szkoły (hm. Libura, Marszał, Cięćtak), Koła Przyjaciół (p. Tyska, Kondzielowa, Kowalczyk) i młodzieży (Sławik, Szawerna, Rzazonka, Gulc, Grzywniak, Butter, Stodolak, Míchna, Markiewicz, Oślizlok, Prus, Kolosko — oto wybitniejsi przywódcy), rozwijała się ona coraz pomyślniej, wzbogacając się z roku na rok w sprzęt obozowy (namioty, pokrowce, kajaki) i zdobywając w ostatnich latach przed wojną pięknie urządzone izby z kominkiem w stylu istebniańskim (wszystko z wyjątkiem ocalonego przez śp. druha Klimka sztandaru i 13 książek, przepadło).

Szlaki corocznych wędrówek objęły całą Polskę ówczesną od Gdyni po Zbrucz i Tatarów, od Beskidów Śląskich po Niemen i Augustowskie jeziora. Druhowie z „Czwórki“ wypuszczali się nawet na złoty międzynarodowe: Birkenhead w Anglii 1929 r., Praga czeska 1931 r., Gödölö 1933 r. i węg-



Na złocie w Pradze

drowali po bratnich ziemiach słowiańskich, np. w 1938 r. po Słowacji z druhem hm. Cięćtakiem.

Wielki rozwój harcerstwa w powiecie rybnickim i bujne jego dziś odrodzenie w znacznej mierze jest wynikiem pracy naszych uczniów — harcerzy. A jaki był ich wkład w ostatniej walce narodu o byt, świadczyć może lista poległych. Większość z nich (ok. 60%) to harcerze.



Ocalałe numery „Zewu“ nie mówią nam o wszystkim. Na przykład o szkolnym ogrodzie albo o pracowni zajęć praktycznych. Gimnazjum nasze, choć klasyczne, tętniło niegdyś jak hufa szumem elektrycznych motorów, jazgotem pił, świdrów, tokarek... ku zgorszeniu poważnych filologów. Twórcą jej, prof. Dudziak Franciszek, artysta malarz, historyk sztuki (i polonista niezły), jako nauczyciel rysunków i robót ręcznych cały swój rozmach twórczy i zapał do majstrowania włożył w rozbudowę pracowni, zwłaszcza gdy reforma szkolna z r. 1932,

podkreślająca wartość pracy fizycznej, rozpięła mu skrzydła do lotu. Z pomocą uczniów, jak śp. Kubatko, Wajda i wielu innych dniami (i nocami często) klepał, piłował, montował z niczego prawie piły tarczowe i taśmowe, wiertarki, spawarki elektryczne, tokarnie...

Tenże prof. Dudziak budował scenę, dekoracje i charakteryzował aktorów przy urządzaniu przedstawień.

I scenie szkolnej należy się wzmianka osobna. Początek dał prof. Starkel Władysław.



„WARSZAWIANKA“ na naszej scenie szkolnej

sław, wystawiając w r. 1927 z niemałym powodzeniem „Kościuszkę pod Racławicami“ Anczyca, później prof. Libura jednoaktówkę o 3 Maju — Missony i w czterechsetlecie urodzin Kochanowskiego „Odprawę posłów greckich“, nie licząc Szopki krakowskiej na harcerskich opłatkach.

Szczytowy swój okres przechodzi nasza scena w latach 1932-34, kiedy na jubileuszu Dziadów i Wyspiańskiego prof. Dobrowolski z Heroldem i Żelawskim z wielkim nakładem sił profesorów i młodzieży dają kolejno arcydzieła polskiej poezji dramatycznej: Dziady, Warszawiankę, Wesele i Wyzwolenie. Było to wielkie przeżycie nie tylko dla szkoły, ale dla miasta i okolicy. Reżyserował prof. Żelawski, nauczyciel Szkoły Handlowej, towarzysz Wyspiańskiego i aktor dużej miary. Z aktorów wyróżnił się śp. Stefek Walter jako Gustaw, Konrad (z Dziadów i Wyzwolenia) i Dziennikarz, Gojny jako Czepiec i obecny ks. Szweda Konrad jako wyniosły i groźny Geniusz

z Wyzwolenia: w złotym wieńcu na skroniach, wspaniałym płaszczu spiżowym z usztywnionej, zielono skropionej materii na worki, który mu prof. Dudziak przemysłnie skomponował...

„Zew Młodzieży“ nie mówi wiele o wychowawcach: brzydził się błagą i pochlebstwem. Ale wyczuć nie trudno, że źródłem tego życia i rozmachu szkoły, natchnieniem wielu prac i poczynañ był — miłujący młodzież i swój zawód nauczyciel, który młodzieńczy strumień energii tak mądrze i celowo umiał wykorzystać, tak szlachetnie i twórczo wyzwolić. Nauczyciel, nie szukający próżnej chwały czy korzyści, samą radością twórczą szczęśliwy.

Tylko idealizm wychowawców, tylko rzetelna praca na lekcjach takich profesorów, jak Walenty Janiczak, Rakowski, Popiołek, Grzywnowicz, Kossmann, Herz, Nowak, Pietraszkiewicz, Socha i wielu innych mogły być rozbudzeniem umysłów i serc i gimna-

styką woli, mogły być twórczym zaczynem tego bujnego życia zakładu.

Tak więc swój literacki poziom, bogactwo treści w niemałej mierze zawdzięcza „Zcw“ w okresie swej świetności prof. Kazimierzowi Popiołkowi, który był jego redaktorem odpowiedzialnym naorczas. Wybitna inteligencja i ruchliwość umysłu tego młodego duchem i łały towarzyskiego doktora odbija się w nastroju, układzie i treści numerów międzyszkolnego pismka... — Osobiście dużo, wie pan, zawdzięczam Grzywnowiczowi — zwierzał mi się niedawno znany piewca Odry i Śląska — Wilhelm Szewczyk. Szlachetne słowianofilstwo, patriotyczny i religijny idealizm tego skromnego, a żarliwego w swoim zawodzie pedagoga — brzmią dźwięcznym echem na strunach poezji autora Posągów.

Albo jakże tu nie wspomnieć zacnego z kościami, oddanego szkole i kolegom bez reszty prof. Rakowskiego Augusta! — dźwigającego cały ciężar olbrzymich rozkładów godzin, egzaminów, obliczeń, statystyk, rachunków — całej niemal administracji i szkolnej kasy oszczędności, i mnóstwo różnych imprez, współpracownika cichego i bezinteresownego trzech po kolei dyrektorów. Duchowym jego następcą i niestrudzonym tytanem pracy, dźwigającym na swych (o wiele węższych) barkach ogrom spraw szkolnych, jest prof. Kazimierz Herz dzisiaj.

Takimi ludźmi szkoła nasza wzrosła, rozwijała się i krzepła i tym skromnym ku ich czci ukłonem zakończmy przegląd ocalałych kart rybnickiego „Zcwu Młodzieży“.

I. I.



Dr Socha zakłada z uczniami ogród szkolny



## Lata wysiedlenia

Lata wojny i okupacji dowiodły, że istotą szkoły nie jest ani jej związek materialny z miejscem, ani programowy rozkład zajęć lekcyjnych. Można wypędzić z sal szkolnych młodzież i nauczycieli i zerwać ze ścian i papieru ostatni ślad ich pobytu i pracy, ale istnienia i twórczych sił szkoły stłumić i zgnieść się nie da. Szkoła nie przestaje właściwie istnieć nigdy, bo istotą jej trwania są wartości ducha, których nie mierzy się czasem.

W ciągu sześciu lat historia rybnickiego gimnazjum toczyła się poza murami szkolnymi. Pisana była nie w dzienniku klasowym, profesorskim notesie czy uczniowskim zeszytcie, lecz wyciskała swą treść w ziemi całego świata śladami stóp w krwawym znoju szukających wolności.

Są okresy, kiedy ideały przewodnie szkoły zmieniają swe natężenie. Od 1 września 1939 r. szkole polskiej przewodził ideał: Ojczyzna!

Karty Księgi Pamiątkowej opisują służbę temu ideałowi — uczniów i nauczycieli naszego gimnazjum. Cała szkoła wyszła poza swoje mury, opuściła służbę Nauki i rozproszyła się w wygnańczej tułaczce po całym świecie.

Ale na dawnym miejscu pozostał dawny, szkolny budynek. Opuuszczony i porzucony, bezbronny i zdany na łaskę losu. Warto koleje, jakie przechodził, zanotować dla pamięci.

Do wkroczeniu wojsk niemieckich do Rybnika gimnazjum zajęte zostało przez policję i tzw. Arbeitskolonnen, które składały się po większej części z obcokrajowców. W czasie pobytu wojska w budynku szkolnym zniknęła część pomocy naukowych. Dopiero z końcem 1939 r. umieszczono tu niemiecką szkołę powszechną (dawną mniejszościową). Kierownik tej szkoły Urbanek miał nadzór nad całym gmachem gimnazjalnym. W kwietniu 1940 r. powstało tu niemieckie gimnazjum (Oberst. WernerMö-

ders-Schule, Oberschule für Jungen in Rybnik), którego dyrektorem został p. Kittel. Uczniowie byli przeważnie synami urzędników, przybyłych z zachodu.

We wrześniu 1944 r. gimnazjum to przeniesiono do gmachu SS. Urszulanek, gdzie pozostało do stycznia 1945 r., to jest do czasu rozwiązania zakładu. W opuszczonym gmachu gimnazjum założono szpital wojskowy, najprzód niemiecki, a po objęciu Rybnika przez wojska radzieckie — sowiecki. Po opróżnieniu gmachu przez wojsko przebywali tu przez szereg tygodni Ukraińcy, wracający do Rosji z przymusowych robót w Niemczech.

Podczas działań wojennych zbiory gimnazjum i pomoce naukowe zostały prawie całkowicie zniszczone.

Mówiąc o wysiedleńczych latach naszego gimnazjum i o powojennych, pełnych przemian kolejach jego opuszczonych przez polską szkołę murów, jakby siłą kontrastu staje w myślach związana z tym okresem trwale postać prof. Kossmanna. Bo jeśli pod naporem wydarzeń wszyscy musieli porzucić gimnazjum, sprawił tak szczęśliwie los, że został przy szkole jej najstarszy profesor. Choć odsunięty od swojej pracy i pozbawiony swych uczniów, został odważnie w pobliżu starych murów, jakby stróżując im cicho i bliską swą obecnością jakby podkreślając ciągłość trwania wysiedlonej szkoły.



W sali nauczycielskiej

---

Nie lubi o sobie mówić, a tym bardziej pisać zacy prof. Kossmann. Dlatego godzi się za niego przypomnieć, czym był w tym ponurym okresie okupacji dla tych, którzy nieraz wracali uczuciem i myślą do swej szkoły. Był żywym symbolem tej szkoły, jej reprezentantem i pośrednikiem między jej przeszłością a dniem, którego wszyscy wyczekiwali.

Toteż nie omijali jego mieszkania dawni uczniowie, ilekroć w ciągu tych lat burzliwych znaleźli się w Rybniku. Zamknięta była dla nich droga do szkoły, ale cichaczem zawsze można było wślizgnąć się w sień domu nr 42, przy przechrzczonej wrogim mianem ulicy Kościuszki, gdzie na pierwszym piętrze witał zawsze przybysza ten sam, niezmienny, pocziwy uśmiech dobrej przeszłości. I w pogawędkach przyjaznych odżywały wspomnienia, zwierzały

się troski i rozkwitały radosne, nigdy nie tracące wiary nadzieje.

Przegrodzony szerokością jezdni od szkoły, patrzył prof. Jan z okien swego mieszkania na jej mury i ból swój życiową mądrością swą koł. Z politowaniem filozofa patrzył na oszalałą pychę zaborców. Wiedział, że dzień sprawiedliwości nadejdzie i wiarą tą innych krzepił.

Minęły koszmarne dni i jak ongiś kolega Jaś przechodzi znów przez jezdnię z książką w rękę, zdążając rano na pierwszą lekcję.

I tak jak dawniej z domów, przychodzą z wojennej tułaczki dawni uczniowie. Przychodzą i już u progu pytają woźnego: Czy jest prof. Kossmann?

Bo prof. Kossmann to część przeszłości szkolnej, która dzięki niemu jakby dalej żyje, to ten, który wraz z całą szkołą jest dzisiaj jubilatem naszym. K. H.

## W ODRODZONEJ SZKOLE

Po 67 miesiącach niewoli.

**K**iedy prawie nietknięte wojenną pożogą Katowice i inne miasta „czarnego” Śląska były już w rękach polskiej administracji, o Rybnik toczyły się jeszcze ciężkie boje. Przez szereg długich tygodni przez miasto przebiegała linia frontowa, a strzeliste wieże wspaniałego kościoła św. Antoniego raz po raz strzępiły pociski i kule. Dopiero 27 marca Rybnik, jako jedno z ostatnich miast górnośląskich, odzyskał po 5 latach i 7 miesiącach niewoli upragnioną wolność.

Tym przede wszystkim tłumaczy się fakt, że w pionierskiej ekipie pedagogicznej, która z prof. Szymańskim Edwardem na czele miała wskrzesić ponownie do życia rybnickie gimnazjum, było tak niewielu „rybniczanie” z przedwojennego grona profesorskiego. Większość z nich, powróciwszy na

Śląsk z różnych stron swej wojennej tułaczki, zgłosiła się do służby w innych, otwierających już szkolne podwoje gimnazjach śląskich, nie czekając na rozstrzygnięcie przeciągających się walk o Rybnik, tym bardziej, że wieści, które dochodziły z terenu bojów, donosiły o kompletnym zniszczeniu miasta, a przerwana komunikacja uniemożliwiała dojazd.

W tych warunkach profesorska „grupa operacyjna”, która znalazła się w Rybniku w pierwszej połowie kwietnia 1945 r., była liczebnie bardzo skromna. Obok dyr. Szymańskiego stanęli do pracy jako pierwsi tylko dwaj „rybniczanie”: prof. Kossmann, który jedyny z całego grona przetrwał szczęśliwie na miejscu cały okres okupacji, nie pracując przytem w niemieckim szkolnictwie, oraz mgr Jochemczyk, przydzielony

---

do rybnickiego gimnazjum jeszcze w 1939 roku, który powrócił bezpośrednio z „oflagu”. Przyłączyli się do nich wkrótce podinspektor Rak z Rybnika, mgr Sławikówna, dr Libura, wracający z obozu jeńców na dawne miejsce pracy, Herz Kazimierz oraz ludzie „nowi”, przybyli ze wschodu lub z obozów na zachodzie: prof. Uberman, Chachulski, Lepczak, kpt. Chmiel. Zjawił się też dawny woźny zakładu Rakoczy, dołączyli się nowi: Jędrysiak i Batura.

Przed tą nieliczną, w pierwszym okresie zaledwie kilkusobową grupą zapaleńców, stanął ogrom najzmudniejszej pracy: wzniesienie z gruzów i rumowisk dawnego ośrodka naukowego i wzniesienie z twórczych sił wiary i woli nowego życia. W bardzo ciężkich warunkach prymitywnej egzystencji długich tygodni, wśród trudności właściwych każdej pionierskiej pracy, przystąpiono do dzieła.

#### Ocalały stare mury...

Na szczęście było gdzie pracować. Potężny, dwufrontowy budynek gimnazjalny stał mocno w swych posadach. Z głębokim wzruszeniem patrzyło się na znajome mury, które posępna legenda tylokrotnie zrównała z ziemią! Przez ocalałe ściany, korytarze, sale szkolne, jakby głosami pragnącej dalej żyć przeszłości zdawała się przemawiać wola losu: tu pracujcie... A choć nie brak było poważnych uszkodzeń, widomych śladów wojennej burzy, troskliwym, rejestrującym wszystkie rany spojrzeniem odpowiadała krzepnąca z każdą chwilą, zdecydowana i uparta, świadoma już swych zadań wola: to trzeba będzie zamurować, to wbić, to wybić, to załatać, to usunąć, to wprawić, to przebudować. Ale cóż znaczyć mógł trud ten wobec radosnej prawdy, że stały mury wierne, że trwała dalej droga szkoła!

#### Od podstaw...

W murach szkolnego gmachu nie było jednak nic poza zniszczeniem. Wspaniała biblioteka uczniowska i nauczycielska, wzo-

rowo urządzone pracownie z bogatymi zbiorami naukowych pomocy, nowoczesne umeblowanie klasowe, wspaniała aparatura radiowa z mikrofonem — wszystko to stało się łupem okupanta lub pastwą zniszczenia. Stan, w jakim znajdował się gmach szkolny w chwili objęcia przez dyrekcję gimnazjum, był godny pożalowania. Zniszczony częściowo dach z więzaniem, ściany w wielu miejscach podziurawione, okna bez szyb, z wyrwanymi nierzadko ramami, podwórze i ogrody zavalone górami śmieci i gruzów... Przestrzeń dookoła budynku była gęsto zaminowana, a w obrębie dziedzińca i boisk wznosiły się groby poległych. Jeszcze gorzej przedstawiało się wnętrze budynku. Nogi tonęły w stosach śmieci, powstałych ze słomy, odłamków szkła, tynku, strzępów szmat i mundurów, resztek urządzenia, odpadków żywności i nieczystości. Porozbijane drzwi, powyrywane zamki, potłuczone lampy i żebra centralnego ogrzewania, porozrywane przewody instalacji elektrycznej, strzaskane muszle w ustępach i umywalniach, zniszczone urządzenia gazowe i zanieczyszczone ściany dopełniały obrazu spustoszenia. Nadmiar, z rozwartych kurków wodociągowych lała się woda, spływając strumieniami po schodach z pięter na niższe kondygnacje.

Trzeba było zaczynać pracę od podstaw, zdobywając cierpliwie dla celów szkolnych za zgodą wojennego komendanta miasta salę po sali po to, by po paru dniach ustępować napływającym parokrotnie falom uchodźców ukraińskich z Niemiec i zaczynać pracę od nowa... Dopiero po dwu miesiącach tych prac syzyfowych 1 czerwca 1945 roku cały gmach gimnazjalny dostał się niepodzielnie w ręce ludzi szkoły. A było ich zaledwie kilku... Oczyszczanie i dezynfekcja sal, odminowanie podwórza i boisk szkolnych, wywiezienie setek wozów nieczystości i zużytych opatrunków szpitalnych, ekshumacja zwłok poległych, a równocześnie kompletowanie i rewindykacja sprzętu szkolnego — oto szereg najważniejszych prac, których szybkie wykonanie było

niezbędnym warunkiem uruchomienia szkoły. Wspólny i ofiarny wysiłek nauczycieli i służby szkolnej oraz wydatna a bezinteresowna pomoc instytucyj przemysłowych (Rybnickie Zjednoczenie Przemysłu Węgl., Kopalnia Chwałowice, Lignoza itd.) doprowadziły do pokonania wszystkich trudności tego pierwszego etapu odbudowy szkoły.

### Pierwsi uczniowie!

Równoległe z pracami remontowymi postępowały naprzód sprawy administracyjno-organizacyjne. Bo ceł wszystkich trudów i realny sprawdzian ich wartości był jeden: wpuścić czym prędzej do izb szkolnych młodzież!

Jeszcze gmach szkolny był niedostępny, kiedy w wypożyczonym doraźnie lokalu, gdzie zaimprovizowano szkolną kancelarię, dwaj pierwsi profesorowie gmnazjum Kossman i Jochemczyk przystąpili z dyr. Szymańskim do przeprowadzenia wpisów. Już w pierwszym dniu zgłosiło się blisko stu kandydatów. Ze wszystkich stron powiatu ściągała młodzież, spragniona polskiego słowa po tylu latach niewoli i narodowego ucisku. Opłacał się każdy trud poniesiony na widok tej masy tłoczących się u drzwi chłopców i dziewcząt, jeszcze onieśmielonych, jakby intuicyjnie wyczuwających historyczną doniosłość chwili.

### Radosne powroty...

Ale najżywszą radość wzbudzały w sercu i duszy rozcześniane szczęściem, powitalne spojrzenia i uśmiechy znajome tych, którzy tu wracali... Dawnych uczniów rybnickiego gmnazjum i liceum, którzy po najróżniejszych kolejach losu, z tułaczki po świecie, z ciężkich robót, z obozów koncentracyjnych i z obozów jenieckich, z pól bitew lub z kryjówek podziemia wracali wiernie do swej starej szkoły. Zmienione, zmężniałe twarze, jakicś inne, a przecież te same... Na próżno nieraz szukała myśl, by skojarzyć twarz z dźwiękiem nazwiska. Coś się mieszało w pamięci, jakby ktoś naraz odwrócił wstecz szereg kart zapisanej kiedyś



Rybniczanie pod kolosami Memnona

księgi... Ze wzruszeniem ścisnęło się młode, stwardniałe od trudów dłonie i własnym uszom wierzyć się nie chciało. Gdzie ci chłopcy nie byli, ileż przeżyć nieoczekiwanych, ile cierpień i doświadczeń mieli za sobą! Tępiała stopniowo wrażliwość wzruszenia i gasła w znużeniu ciekawość, choć wciąż te same pytania: co się z tobą, chłopcze, działo? — stawiała i oswajało się bez zdziwienia ucho z reklamowanymi raz po raz nazwami. Francja, Londyn, Szkocja, Albania, Sycylia, Libia, Kair, Syria, Iran, Leningrad, Kaukaz, Moskwa, Ameryka... Pustka sieroca lat wojennych wypełniała się naraz światem całym wrażeń i przeżyć niezwykłych w ogromnej dziejów epopei.

Trudno było rozdzielić radość spotkań licznych między każdego, kto z śmiejącym się jasną szczerością wzrokiem podchodził, by uścisnąć dłoń swego nauczyciela dawnego. Suma uścisków i spojrzeń powitalnych zapadała głęboko w świadomość i duszę najsprawiedliwszym, ponadosobowym szczęściem radości, która już nie nauczyciela,

lecz szkoły całej była radością. Radością, że oto nie tylko ocalałe mury i odnalezione ławki stawały na apel odradzającego się życia, ale i żywa, żyjąca część duchowa przeszłości, dawni wychowankowie szkół, spadkobiercy jej ducha, kontynuatorzy jej życia, niewygasły znicz jej trwania.

Radosne ich powroty mąciły jednak raz po raz ich ustami przynoszone z szerokiego teatru wydarzeń wieści. Smutne, posępne, nieodwracalne, jak lakoniczne napisy z nagrobków, o tych, którzy wrócić już do szkoły z wojennej zawieruchy nie mogli. Miały się jeszcze przez długie miesiące zjawiać na korytarzach szkolnych coraz to nowe z dawnych znajomych twarze roześmiane i długo jeszcze z dalekich pobożowsk dobiegały do szkoły pośmiertne wspomnienia, najboleśniejsze usprawiedliwienie nieobecności tych, których w ławach szkolnych zabrakło.



Sp. Śpiewok Bolesław z Gotartowic,  
zamęczony w Oświęcimiu

Z tym podwójnym uczuciem: radością regenerującego się życia i żalobnym smutkiem boleści przystępowała szkoła do nowej, powojennej epoki swych dziejów.

#### W pogoni za utraconym czasem...

Choć pełne realnych doświadczeń były lata tułaczki i walki i choć w brutalnym starciu się z tragedią wojny wcześniej dojrzały

młode umysły, przecież dawna nieśmiałość opanowywała powracających do ław szkolnych uczniów w obliczu wiedzy i jej nigdy niezaspokojonych wymagań. Jeszcze jaśniej niż przed laty zdawali sobie sprawę z niedostatków swej wiedzy, silniej niż kiedykolwiek dręczył ich świadomość kompleksu niższości. Jak wpływ krwi czuli w sobie wpływ lat bezowocnych, jak ciężar ciążył im głód mózgow.

Lecz tym usilniej pragnęli się uczyć. By nadrobić swe braki, by intensywnym przechodem zdobyć wyrównać tragiczne pozycje strat. Zaczynali pracę prawie od nowa. W miejscu, gdzie zatrzymali się przed wojną, od klasy, do której przed sześciu laty uzyskali promocję, choć śpieszno im było bardzo, choć wiek tak bardzo przynaglał...

System semestralny nauczania miał im ułatwić to gonienie czasu. Toteż miniaturowy rok szkolny 1945 stał pod znakiem klas „skróconych”. Chodziło o pośpieszne uzupełnienie zasadniczych braków i przygotowanie się do roku szkolnego 1945/46, najstarsi zaś z przedwojennych uczniów sposobili się do matury. By pomieścić w czasie te śmiałe zamiary, zrezygnowano chętnie z wakacyj. Zbyt długo trwała przerwa, każdy dzień był drogi...

#### Pierwszy zespół profesorski.

Mimo bolesnych strat, które tak dotkliwie przerzedziły szeregi uczącej się młodzieży, na czoło zagadnień powojennej szkoły polskiej, poza sprawami natury materialnej, wysunął się problem nie ucznia, lecz nauczyciela. Młodzież w czasie lat wojny niepowstrzymaną mocą natury nieprzerwanie dorastała, natomiast ubytku w szeregach nauczycielstwa, procentowo najwyższego, nie mógł wypełnić na razie żaden narybek. Toteż w tym stanie rzeczy, nadto wobec znanych, bardzo ciężkich warunków materialnych pracy nauczycielskiej i wobec wielkich trudności mieszkaniowych, skompletowanie profesorskiego grona było jednym z najuciążliwszych zadań dyrekcji gimna-



zjum. Nie brakło wprawdzie przejeżdżających przez Rybnik w drodze na zachód poszukiwaczy losu, kończyło się jednak zwyczajnie na stwierdzeniu, że nie ma gdzie mieszkać, i na mniej lub bardziej pośpieszonym wyjeździe.

Lecz byli i tacy, którzy zostali. Witął ich serdecznie, koleżeński uśmiech dyrektora, który na wszystkie przejściowe trudności uczył patrzeć z wiarą. Kto nie miał gdzie spać dzień, dwa, tydzień czy całe miesiące, zawsze znalazł miejsce gościnne w dyrektorskim mieszkaniu.

I tak powoli, wzajemną pomocą i jasno w przyszłość patrzącą perswazją i radą formował się pierwszy powojenny zespół profesorski rybnickiego gimnazjum.

Różnił się znacznie od profesorskiego grona z czerwca 1939 roku. Zaledwie czterech profesorów z ówczesnego zespołu wróciło do Rybnika (dyr. Szymański, prof. Kossmann, Libura i Herz).

Więc nowych ludzi było dużo, wśród nich pokaźna liczba — kobiet, nowość w historii rybnickiego gimnazjum, zwyczajny zresztą powojenny objaw, wytłumaczona nadto wprowadzeniem koedukacji. Pod kierownictwem dyr. Szymańskiego Edwarda przystąpili więc do pracy przed wrześniem 1945 roku jako pierwszy powojenny zespół Rady Pedagogicznej rybnickiego gimnazjum następujący nauczyciele: ks. Gniłka Adolf (religia), Lepczak Stanisław, dr Libura Inocenty, Różańska Wanda (język polski), Burakowski Antoni, Mańka Alojzy, Sławikówna Stefania (język łaciński), Chmiel Jan, Kossmann Jan (język angielski), Rak Bernard, Herz Kazimierz (język francuski), Lec Antoni (język rosyjski), KostECKI Tadeusz, Uberman Tomasz (historia), Chachulski Piotr (geografia), Rzerzychowa Waleria, Żółkowska Zofia (biologia), inż. Głowacki (matematyka, fizyka), SobECKI Jan (rysunki), Jochemczyk Alojzy, Tomaszewska Waleria (ćwiczenia fizyczne), Mildner (śpiew).

### Pierwsze wyniki pracy, pierwsi maturzyści powojenni.

Niepełny rok szkolny 1945 rozpoczął się dnia 4 czerwca. W dacie tej niezwyklej inauguracji, w normalnych warunkach zwiastującej końcowy etap pracy szkolnej, tkwi coś z symbolu. Dla odrodzonej szkoły polskiej istotnie nie było zbyt spóźnionej pory, by po 6-letniej przerwie przystąpić do pracy. Każdy dzień był cenny, toteż nie patrząc na kalendarz, z postanowieniem wyzyskania każdej godziny i poświęcenia miesięcy wakacyjnych, rozpoczęto z zapalem naukę.

W pierwszych miesiącach tego okresu z sal szkolnych gimnazjum rybnickiego korzystała również młodzież gimnazjum kupieckiego, która pod kierunkiem pełnego energii dyr. Stanisława Bednarskiego przygotowywała się do objęcia i doprowadzenia do stanu używalności własnego nowoczesnego budynku szkolnego, wykończonego tuż przed samą wojną.

Uczącą się młodzież począwszy od klasy wstępnej do kursu licealnego podzielono na 20 oddziałów. Głównym zadaniem tego skróconego „wyrównawczego“ roku szkolnego, obok przysposobienia uczniów klas niższych do nauki w następnym roku szkolnym, było przygotowanie młodzieży najbardziej zaawansowanej wiekiem do egzaminu wstępnego do liceum względnie do egzaminu dojrzałości. W wyniku paromiesięcznej pracy, która dla klas czwartych i kursu licealnego trwała do 4 września, 50 uczniów otrzymało w dniu 12 września 1945 roku świadectwa ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego, z czego około 40 zgłosiło się celem dalszego kontynuowania nauki w liceum. W wrześniu odbył się również pod przewodnictwem wizytatora dra Dyskiego Władysława pierwszy powojenny egzamin dojrzałości.

### Rok próby i doświadczeń.

Dopiero rok szkolny 1945/46, posłuszny już kalendarzowi, wprawił w ruch cały mechanizm szkoły. Był to rok właściwej pracy

---

organizacyjnej. Rok zaczątków, podwalin, rok zakładania fundamentów na wszystkich odcinkach pracy szkolnej. Stąd stał się rokiem ciężkiej próby, doświadczeń, śmiałych planowań i zamierzeń, rokiem realnych osiągnięć i nieuniknionych niepowodzeń.

Masowy napływ ponad tysiąca młodzieży z całego powiatu zmusił do utworzenia 28 oddziałów klasowych. Zjawiskiem charakterystycznym, ilustrującym może najdobitniej organiczny proces wyrównywania destrukcyjnych skutków wojny, był niezwykle wysoki procent młodzieży, zgłaszającej się do klasy I-ej. Czternaście oddziałów od Ia do Io, grupujących młodzież obojga płci o niezwykle rozpiętości wieku od lat 12 do 18, było wymownym, zewnętrznym upostaciowaniem tego zagadnienia.

Wobec tak wielkiej liczby garnącej się do nauki młodzieży, a przede wszystkim wobec bardzo poważnych braków w sprzęcie szkolnym, uzupełnianym częściowo sprzętem korzystającego wzamian z kilku sal gimnazjum kupieckiego, wprowadzenie nauki przed i popołudniowej stało się koniecznością. Było to znacznym obciążeniem nie tylko nauczycieli, ale i uczniów, z których 65% skazanych było na uciążliwy dojazd do szkoły z różnych miejscowości powiatu.

Egzaminy wstępne do klasy pierwszej wykazały olbrzymie braki w przygotowaniu zwłaszcza językowym kandydatów, tragiczne, choć bezkrwawe ślady germańskiej walki z mową polską, uświadamiając dobitnie ogrom pracy, jaka stała zarówno przed nauczycielem jak i uczniem, i zobowiązując niemal uroczyście do jak największych wysiłków.

Z uwagi na wielką rozpiętość wieku młodzieży na poszczególnych stopniach nauczania, wprowadzono system klas normalnych i semestralnych. Praca w klasach skróconych, poza dużymi wymaganiami, jakie stawiała uczniowi, wymagała szczególnego wysiłku intelektualnego oraz wkładu ener-

gii i poświęcenia od nauczyciela i była polem pouczających doświadczeń, zwłaszcza w zakresie metodyki nauczania.

#### **Nie pokonane jeszcze trudności i pozytywne osiągnięcia.**

Do wszystkich podstawowych i najważniejszych zagadnień pracy dydaktyczno-wychowawczej szkoła ustosunkowała się czynnie, nie wszystkie jednak zadania i problemy dały się rozwiązać pomyślnie i całkowicie w ciągu pierwszego roku. Ogólne warunki powojenne, a także i warunki lokalne zmuszały do różnych ustępstw z zamierzeń i planów.

Nie mogła więc szkoła mimo usilnych starań i mimo zapewnień ze strony władz zdobyć upatrzonogo budynku na internat uczniowski, któryby w dużej mierze złagodził ciężkie warunki pracy młodzieży dojeżdżającej, nie była również w stanie wypełnić gabinetów niezbędnymi pomocami naukowymi, a pustych sal klasowych najpotrzebniejszym sprzętem.

Obok tych nie zrealizowanych zadań mogła jednak z końcem roku zsumować szereg zupełnie pozytywnych wyników swej pracy.

Kiedy rozpoczynano naukę, szkoła nie posiadała dosłownie ani jednej książki w bibliotece. Z końcem roku mogła się już pochwalić 463 pozycjami biblioteki uczniowskiej i 210 biblioteki nauczycielskiej. Na jednego ucznia przypadała wprawdzie  $\frac{1}{3}$  książki, ale dzięki akcji rewindykowania rozproszonych tu i ówdzie resztek przedwojennego księgozbioru, dzięki ofiarności młodzieży i upartemu zdobywaniu funduszy drogą imprez i subwencji biblioteka szkolna istniała i pod troskliwą opieką prof. Lepczaka systematycznie i planowo mogła się rozwijać. Z innych pomocy naukowych zakupiono epidiaskop i mikroskop, szereg dalszych pomocy i modeli z różnych przedmiotów wykonała sama młodzież. W zakresie zaopatrzenia w podręczniki dotkliwe braki starano się wypełnić własnymi siłami przy współpracy nauczycieli i ucz-

niów. W ten sposób wydano skrypt do języka angielskiego prof. Chmiela i skrypty do historii dla klas skróconych prof. Kosteckiego. Wyniki dydaktyczne, uwzględniając wszystkie trudności, na jakie napotykała praca szkolna, były zadowalające, co potwierdził poziom egzaminów dojrzałości. Pracę wychowawczą młodzieży oparto na samorządzie uczniowskim, zorganizowanym przez mgr Kokocińskiego, który zanotował w swoim półrocznym dorobku szereg dodatkowych pozycji.

#### **Przymierze szkoły z domem rodzicielskim.**

Warunki powojennego życia zbliżyły nader szczęśliwie szkołę i dom ucznia. Wprowadziły w ich wzajemny stosunek mniej udanego sentymentu i zewnętrznego, biernego uszanowania, a więcej życiowej konieczności, trzeźwej oceny sytuacji i praktycznego uświadomienia obustronnej zależności. Rodzicom dały wgląd w życie szkoły i jej naglące potrzeby, szkole uświadomiły cenę i wagę rodzicielskiej pomocy. Na takim podłożu rzeczowego zrozumienia wzajemnych interesów współpraca szkoły i domu, trochę z tradycji swej nieszczerą i opornie realizowaną, musiała się urealnić, upraktyczyć i skonkretyzować. Rodzice potrzebowali od szkoły dla swych dzieci wiedzy i wykształcenia, szkoła potrzebowała od rodziców pomocy materialnej, by tej wiedzy udzielać. Obie potrzeby miały na celu dobro dziecka, stąd między szkołą i domem rodzicielskim musiało dojść do szybkiego przymierza. Warunki te wpłynęły decydująco na organizacyjną prężność Rad Rodzicielskich i usprawnienie ich działalności.

Rada Rodzicielska gimnazjum rybnickiego, funkcjonująca pod przewodnictwem ob. Franka Emila, rozwinęła dużą aktywność szczególnie w zakresie dożywiania młodzieży, która w ciągu roku szkolnego pobrała 136.500 ciepłych posiłków. Z funduszków Rady Rodzicielskiej udzielano również zapomóg gronu profesorskiemu.

Wyrazem szczególnej ofiarności rodziców na cele szkoły było nadto oddanie na własność zakładowi pełnego umeblowania jednej klasy dla 40 uczniów. Fundatorem i ofiarodawcą był ob. Mięsoł Wincenty z Rybnika.

#### **Dwie rocznice.**

Pierwszy po długiej przerwie wojennej rok pracy był w pewnym sensie rokiem historycznym w dziejach rybnickiego gimnazjum. Dyrekcja zakładu, pragnąc upamiętnić tę rocznicę, wydała w czerwcu 1946 r. własnym nakładem w ilości 2000 egzemplarzy obszerną jednodniówkę pt. „W odzyskanej szkole“, która zobrazowała pierwszy dorobek szkoły po wyzwoleniu z niewoli. Równocześnie broszurka ta była złożeniem pierwszego hołdu pamięci poległych za Polskę byłych wychowanków i nauczycieli zakładu.

Drugą rocznicą, jaką obchodziło gimnazjum rybnickie, był zjazd maturzystów z 1936 roku, który odbył się w dniu 23 czerwca 1946 r. Na uroczystość 10-lecia matury zjechało około trzydziestu b. wychowanków i kilku dawnych ich wychowawców z dyr. Zdobychem na czele. Po uroczystym nabożeństwie w kaplicy OO. Misjonarzy, celebrowanym przez dawnego prefekta gimnazjum ks. Adamczaka w asyście jego b. wychowanków księży Jastrzębskiego - Hermana i Rottera, odbyła się w auli gimnazjum uroczysta akademii, na której m. in. bardzo miło imieniem b. wychowanków przemawiał p. Pollak, a na wspólnym obiedzie i wieczorku recytował swe utwory znany powszechnie Zdzisław Pyzik.

Zjazd maturzystów z roku 1936 był pierwszym tego rodzaju zjazdem wychowanków gimnazjum rybnickiego. Po tragicznych przejściach wojny był wzruszającym spojrzeniem wstecz i wspólnym przypomnieniem minionych lat szkolnych.

## Å po wakacjach znów razem do pracy...

Wakacje 1946 roku były właściwie pierwszymi wakacjami powojennymi. Rok wcześniej, młodzież, stęskniona za szkołą i palająca żądzą wyrównania zaległości lat wojny, mimo upalnych dni lipca wypełniała pilnie ławy szkolne, nie chcąc myśleć o odpoczynku. Rok później było już normalnie. Zmęczony pracą organizm upominał się słusznie o swoje prawa, a poznawczy zapal naukowy przysagał z każdym dniem czerwca, ustępując innym wewnętrznym głosom, czulszym na apel słońca, szerokiej przestrzeni i wolności.

Po raz pierwszy więc po wojnie mogła szkoła roztoczyć opiekę nad swą młodzieżą w czasie wakacji. Dzięki poważnym dotacjom ze strony władz dyrekcja zakładu zorganizowała kolonie letnie w Karpaczu, w których pod opieką swych wychowawców wzięło udział około 200 uczniów i uczennic. Równocześnie harcerze i harcerki z 4-ej i 7-ej drużyny gimnazjalnej obozowali w Żybocinie za Kłodzkiem.

### Nowy rok pracy.

Uroczystym nabożeństwem w kaplicy OO. Misjonarzy w dniu 3 września zaczęliśmy nowy rok szkolny 1946/47. Był on rokiem wielu innowacji. Był przede wszystkim pierwszym etapem nowej reformy szkolnej. Nie przekroczył więc tym razem progów gimnazjum młody narybek ze szkół powszechnych, nie było dopływu najmłodszej krwi uczniowskiej. Przeciwnie, nieszczęśliwej repencji z pierwszej gimnazjalnej klasy (a było ich wielu, bo znane jest rybnickie gimnazjum z twardych serc profesorskich!) musieli wracać niestawnie do macierzystych szkółek, by tam powtarzać, czego się nie nauczyli w gimnazjum.

Więc — pierwszej klasy nie było, dopóki pierwszą drugiej, drugą trzeciej, a trzecią czwartej nie ochrzczono...

W organizacji pracy szkolnej nowy rok zaznaczył się również znaczną likwidacją klas skróconych, cicszących się dużym wzięciem u amatorów ekspresowej jazdy. Dotknęło to przede wszystkim najbardziej zainteresowanych wiekiem w pośpiechu — licealistów i doprowadziło do gromadnej secesji najgłośniejszych w zakładzie malkontentów, którzy gdzieindziej szczęścia szukać poszli. Nie wszystkim to na dobre wyszło. Wrócili później ze skrucą synowie i córki marnotrawne.

Były i inne jeszcze nowości we wrześniu: wymalowane świeżo korytarze i łabki i dziesięć klas umeblowanych sprzętem nowiutkim! Długie stoły zielone i krzesła żółte... Nie własne niestety. Znalazły się w gimnazjum w wyniku umowy, podpi-

sanej przez dyrekcję z Centralnym Zarządem Fabryk Sprzętu Górniczego, którego dwie zawodowe szkoły wzamian miały korzystać w popołudniowych godzinach z budynku gimnazjalnego. Nie miały więc wytchnienia krzesła i stoły, toteż znacznie szybciej od uczniów starzeć się poczęły. Umożliwiły jednak umeblowanie wszystkich klas i w ten sposób uwolniły gimnazjalną młodzież od udręki popołudniowych dojazdów do szkoły i powrotów do domu późnym wieczorem.

Zmiany objęły również i skład grona profesorskiego, a w połowie września zmarł niespodziewanie woźny zakładu Marcin Batura, cichy, zawsze pogodny i uśmiechnięty, sumienny pracownik, chętny do usług na każde zawołanie. Żegnała go z żalem cała szkoła, uczestnicząc w pogrzebie dnia 19 września.

### Z każdym rokiem lepiej.

W związku z realizacją reformy szkolnej ilość młodzieży uczęszczającej do gimnazjum spadła z tysiąca do 701 uczniów. Podzielono ich na 21 oddziałów klasowych normalnych (w tym 5 żeńskich) i dwie klasy o ustroju semestralnym. Od drugiego półroczka, po złożeniu przez klasę 3 d skróconą egzaminu ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego, liczba oddziałów klasowych wynosiła ogółem 22. Zarówno praca dydaktyczna jak i wychowawcza mogła rozwijać się w warunkach korzystniejszych niż w pierwszym okresie działalności szkoły. Było to zasługą nie tylko grona nauczycielskiego, ale i młodzieży, która niejednokrotnie śpieszyła nauczycielstwu z pomocą, przynosząc na lekcje różne okazy przyrodnicze, atlasy świata zwierzęcego i roślinnego, reaktywy chemiczne lub własne przyrządy fizyczne, sporządzając mapy geograficzne, tablice poglądowe itd.

Dużym ożywieniem lekcji biologii była zaprowadzona przez prof. Rzerzychową hodowla jedwabników, która przez szereg tygodni pasjonowała pierwszoklasistów, pobudzając pożytecznie ich poznawczą ciekawość. Praktycznemu zbliżeniu nauczania do życia służyły wycieczki do okolicznych kopalń, na wystawy, do teatru w Katowicach, a także i dwukrotny udział młodzieży klas licealnych w posiedzeniach Miejskiej Rady Narodowej. Klasy uczące się języka francuskiego zorganizowały w maju poranek ku czci Joanny d'Arc z inscenizacją i śpiewami francuskimi.

Wciąż jeszcze słabe czytanie młodzieży było stałym argumentem, którym kierownik biblioteki nawoływał do zwiększenia dotacji na zakup książek. Dzięki ofiarności uczniów, którzy z okazji Dnia Oświaty złożyli na bibliotekę szkolną blisko 30.000 zł,

zwiększono nieco szkolny księgozbiór, który w ciągu roku wzbogacił się o 150 pozycji.

Ważne wydarzenia polityczne w kraju oraz uroczystości państwowe i rocznice historyczne wytyczały pracę uświadamiania młodzieży w zakresie istoty ustrojowych i ideowych przemian współczesnej rzeczywistości. Szczególnie w okresie wyborów do Sejmu, otwarcia izby ustawodawczej i wyboru Prezydenta R. P. szkoła miała możliwość utrwalic w umysłach młodzieży doniosłość tych ważnych wydarzeń.

### **Sportowcy pokonują wszystkie trudności i biją rekordy!**



Dużo wysiłków włożyła szkoła, by równomiernie z rozwojem intelektualnym rozwijać tężyznę fizyczną swej młodzieży. Celowi temu służyły lekcje gimnastyki, gry i zabawy, ćwiczenia i zawody sportowe oraz przysposobienie wojskowe. Tempo rozwoju fizycznego hamował niestety rozpaczliwy brak sprzętu sportowego. Ongiś gimnazjum rybnickie posiadało doskonałych pływaków, lekkoatletów, dobre zespoły siatkówki i koszykówki, a nawet drużynę hokejową, rozporządzającą pełnym ekwipunkiem. Dziś, wobec powojennych spustoszeń i wobec dotkliwego braku funduszy, z trudem można było sprawić sześć kostiumów dla reprezentacyjnego zespołu siatkarzy, a do dyspozycji siedmiuset uczniów jest zaledwie kilka zdartych piłek!

Mimo to młodzi sportowcy z entuzjazmem garną się do ćwiczeń, a lekcje gimnastyki są dla większości ulubionymi godzinami w rozkładzie zajęć szkolnych. Toteż szkolne życie sportowe mimo tych technicznych trudności rozwijało się pomyślnie. W okresie zimowym zorganizowano międzyklasowe mistrzostwa w siatkówce, które odbyły się w 2 grupach. Tytuł mistrza szkoły zdobyła klasa II liccum mat.-fiz. Siatkarze wyjeżdżali również do gimnazjum nikolowskiego, odnosząc zwycięstwo, a następnie zwyciężyli nikolowian w czasie ich re wizyty.

Najlepszym jednak sprawdzianem sprawności fizycznej gimnazjalistów i licealistów rybnickich był dopiero udział w zawodach, zorganizowanych w dniu „Święta Sportu” na stadionie na Rudzie 15 czerwca. Około stu zawodników reprezentowało gimnazjum



rybnickie, odnosząc walne zwycięstwo zespołowe i zdobywając 16 mistrzowskich dyplomów. Spośród młodych mistrzów wyróżniał się wszechstronny Chytrowski Marian (3 a), zwycięzca w biegu na 100 m (12 sek.), w skoku w dal i w rzutach oszczepem i kulą, a w grupie dziewcząt Elsnerówna Irena (3 c), która zajęła pierwsze miejsce w biegu na 60 metrów i w rzucie kulą.

Cóż można powiedzieć o uczniach, którzy mając w szkole tylko jeden, stary, rozlatujący się za każdym rzutem dysk, zdobywają w dysku pierwsze miejsce i nie dysponując własnym oszczepem, rzucają nim na zawodach ponad 38 metrów (Szczęsny Józef z 3 a)? Dajcie im odpowiedni sprzęt sportowy, a zrobicie z nich doskonałych lekkoatletów!

Wyniki więc pracy w dziedzinie wychowania fizycznego były naprawdę dobre. Było to zasługą nie tylko zapala i uzdolnień sportowych młodzieży, ale w dużej mierze i rzetelnych wysiłków wychowawców fizycznych, mgr Jochemczyka i znanej sportsmenki Musiolikówny, wicemistrzyni Polski w slalomie, która wyprowadziła dziewczynki nasze na boiska sportowe i w paru miesiącach nauczyła je zwyciężać.

W ten sposób nawiązano w ubiegłym roku szkolnym do przedwojennej tradycji sportowej rybnickiego gimnazjum z czasów prof. Szczepańskiego, Arcikiewicza i znanego śląskiego dyskobola Stalmacha.

### **Prace Samorządu Uczniowskiego.**

Drugi rok działalności Samorządu Uczniowskiego był dalszym etapem pracy nad pogłębianiem spistości organizacyjnej oraz nad rozszerzeniem aktywności na wszystkie dziedziny życia szkolnego. W rękach Samorządu spoczywała więc organizacja wszystkich większych uroczystości szkolnych, poranków, akademii, zabaw czy wycieczek.

Pierwszą większą imprezą był tradycyjny wieczór nikolajowy, urządony dla uczniów zakładu. Jak podaje kronikarz szkoły „św. Mikołaj nie szczędził nie tylko podarków, ale i światłych uwag, zawierających w sobie dużą dozę soli attyckiej przednie-

go gatunku". 12 grudnia młodzież uczciła poległych profesorów i wychowanków zakładu uroczystym nabożeństwem żalobnym, połączonym z porankiem poetyckim wychowanka rybnickiego gimnazjum Wilhelma Szewczyka. W ramach uczniowskiego opłatka uczniowie obdarowali upominkami 10 zaproszonych żołnierzy z miejscowego garnizonu. Z okazji „Święta Oświaty” Samorząd Uczniowski uchwalił i przeprowadził zbiórkę pieniędzy na zakup książek dla biblioteki szkolnej. Zebrana kwota 29.200 zł poważnie zasilila fundusz biblioteczny. Ofiarność społeczna Samorządu wyraziła się w uchwaleniu zapomogi 2000 zł dla rodziny zmarłego woźnego, w złożeniu kwoty 8.000 zł na ufundowanie tablicy marmurowej, 7.200 zł na Daninę Narodową, 18.433 zł na odbudowę Warszawy, 13.310 złotych na Fundusz Odbudowy Szkół, 3.165 zł na Towarzystwo Burs i Stypendiów oraz w zobowiązaniu się zarobienia w ciągu wakacyj 300 zł od ucznia na opłacenie kosztów, związanych z obchodem XXV-lecia szkoły.

Czynny udział w pracach przygotowawczych tej uroczystości był naczelnym zadaniem działalności Samorządu. W ciągu szeregu miesięcy, kontynuując prace z poprzedniego roku, młodzież przeprowadzała wywiady i zbierała źródła, dotyczące szczegółów śmierci poległych bohatersko wychowanków szkoły i materiały te opracowywała do przygotowywanej Księgi Pamiątkowej.

Poza tym Samorząd Uczniowski czuwał nad utrzymaniem porządku w budynku szkolnym, organizując dyżury w czasie przerw i usprawniając pobieranie posiłków w czasie dożywiania.

Delegacja Samorządu wzięła również udział w uroczystości poświęcenia sztandaru Gimnazjum i Liceum żeńskiego w Opolu, nawiązując serdeczny kontakt z młodzieżą tego zakładu i składając na jego bibliotekę kwotę 1500 złotych.

Pracom Samorządu Uczniowskiego przewodniczył uczeń kl. II lic. mat.-fiz. Buchalik Józef, opiekunem zaś był dr Libura.

Spółdzielnia Uczniowska prowadziła sklepik szkolny, którego działalność w ostatnich miesiącach bardzo się ożywiła, przy czym wielką siłą przyciągającą klientelę była... guma do żucia. Dzięki importowi tego towaru liczba gumożujących wzrosła z lekcji na lekcję.

### Pod znakiem Czerwonego Krzyża...

Młodzież czerwonokrzyska tworzyła najżywotniejszą bodaj organizację szkolną, licząc w swym gronie 93 członków. 17 zebrań zarządu i 6 zebrań ogólnych ilustruje organizacyjno-dyskusyjną działalność Koła P. C. K. Na słowach jednak nie po przestano.

W ciągu roku Koło P. C. K. przeprowadziło szereg imprez i akcyj o charakterze charytatywno-społecznym. Z okazji „opłatka” członkinie Koła obdarzyły odzieżą i słodyczami małą dziewczynkę z miejscowego sierocińca, którą Koło wzięło pod swoją opiekę. Dochód z urządzonej w lutym zabawy uczniowskiej w wysokości 10.517 zł przeznaczono na uzupełnienie apteczki Koła i wyposażenie „kądka czystości”, w którym młodzież czerwonokrzyska z zapalem pokrzepiała się w czasie przerw tranem. Na tradycyjnym „Święconym” zebrano 808 złotych na powodzian. Koło zorganizowało również piękną akademię z okazji Święta Matki, pomagało przy organizacji zlotu młodzieży P. C. K. z całego powiatu, złożyło ze skromnych funduszy 1.800 złotych na budowę sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę, uczestniczyło w zbiórkach ulicznych na P. C. K. i na powodzian, ufundowało i wykonało własnymi siłami piękny proporzycyk, wreszcie urządziło na wystawie szkolnej własne stoisko. Na czele zarządu Koła stała uczennica kl. I. lic. hum. Zabrzeska Zbigniewa, z ramienia zaś Rady Pedagogicznej opiekowała się Kolem prof. Heniszówna.

### „Czwartacy” i „siódemki”.

Harcerze IV-ej drużyny rybnickiej mają piękną 20-letnią tradycję i tradycji tej nie przynoszą ujemy. Pomimo utraty w czasie wojny całego sprzętu obozowego druhowie zabrali się energicznie do pracy i stale uzupełniają swój ruchomy dobytek. Mają już dwa hangary amerykańskie na 32 ludzi, własny sprzęt kuchenny i sprzęt pionierski i własną harcówkę, którą odremontowali i odmalowali. Pracują o choczko i kochają swe barwy, a to najlepsza gwarancja, że co sobie za cel postawią, osiągną.

I osiągnęli w ciągu roku niemało. Urządzili wspólnie z Kolem Przyjaciół Harcerzy wesoły wieczór mikolajowy, przekazali zbiornicy złomu 1.600 kg żelaza i 300 kg mosiądzu, chodzili wytrwale po ulicach miasta z puszkami, dopóki nie zebrali 5.300 złotych na ośrodek szkoleniowy w Miechowicach i na akcję letnią, jeździli do harcerzy warszawskich i u siebie ich gościli, startowali na zawodach lekkoatletycznych hufca, zdobywając drugie miejsce na 20 współzawodniczących drużyn. Wznowili również po wojennej przerwie akcję wodną, tworząc zastęp żeglarski, który zbudował 1 kajak, projektując na wakacje splyw Odrą. Poszczególni członkowie drużyny brali udział w kursach zimowych, w kursie zastępowych i drużynowych, w kursach szybowcowych, żeglarskich itd. Obóz letni urządzili w lipcu w Szczęsnowie pod Jelenią Górą. Oto w wielkim skrócie plon ich pracy.

Kiedy spotkasz gdziekolwiek harcerza z „co mi zrobisz?” miną i z żółtą chustą dokola szyi, zapamiętaj sobie: To „czwartak“ z Rybnika. Kierował tymi zuchami drużynowy Kurzydym Alfred (I lic. hum.), opiekę sprawował tradycyjnie hm. dr Libura. Druhny z siódmej drużyny gimnazjalnej mniej głośny pędzili żywot, zamknięty w ścianach harcówki, choć tak efektownie zawsze otwierały wszystkie pochody. W okresie wakacyj zorganizowały obóz w Rokicinach pod Chabówką. Przewodziła „siódemkom“ dhna Maciejczyk Regina z I lic. hum., opiekowała się drużyną prof. Widotówna.

Opiekę nad drużynami harcerskimi roztaczało Koło Przyjaciół pod kierownictwem dyr. Haliny Szymańskiej. Zdobyte drogą imprez i składek fundusze przeznaczono na obozy letnie.

### Debiut na scenie w... „Kaloszach“.

Wszystkie pierwsze kroki są bardzo nieśmiałe, ale najmniej odważne i chwiejne są chyba te, które po raz pierwszy stawia się na scenie przy podniesionej kurtynie. W ubiegłym roku szkolnym członkowie gimnazjalnego Kółka Dramatycznego im. Al. Fredry zrobili zdecydowany skok ze skromnej estrady w sali gimnastycznej na prawdziwą scenę. Porwali się na publiczne przedstawienie, nie wiedząc może nawet, że wskrzeszali piękne tradycje rybnickiego gimnazjum. Wystawili dwie jednoaktówki Fredry: „Świczka zgasła“ i „Kalosze“. Te ostatnie odegrane z temperamentem i sceniczną werwą, zdobyły rzęsiste oklaski niepełnej niestety widowni. Dochód z przedstawienia w wysokości 8.000 złotych przekazało Kółko Dramatyczne na fundusz Odbudowy Warszawy.

Trudne są początki artystyczne, zwłaszcza gdy się nie ma własnej sceny. Budowa sceny — to właśnie najgorętsze marzenie rybnickich entuzjastów szkolnego teatru. Może jubileuszowy rok marzenia te ziści...

### Nareszcie orkiestra!

Nie dęta wprawdzie, ale pełna dynamicznego zapалу, bijącego od twórcy i dyrygenta ks. prof. Gasa. Uświetniała swymi występami szereg akademii i poranków, usuwając w cień kapryśnych solistów. Drżą wprawdzie zazwyczaj słuchacze, gdy dwunastu skrzypków podnosi do góry swe smyczki, ale improwizacja zawsze się jakoś udaje. Powiewają raz w lewo, raz w prawo rozbiegane poły tużurka księdza dyrygenta, a akordeonista Czesio wszystkie dysharmonie skrzypków swoją imponującą harmonią tuszuje i efekt jest pierworzędny — sala trzęsie się od oklasków.

### Zbliża się jubileusz.

Praca Komitetu Rady Rodzicielskiej, zainicjowana w roku 1946, była kontynuowana w następnym roku. Przede wszystkim prowadzono nadal akcję do-

żywiania młodzieży, wydając dziennie ok. 750 posiłków oraz udzielając do lutego zapomóg gronu nauczycielskiemu. Od kwietnia wraz z wstrzymaniem opłat na rzecz Rady Rodzicielskiej ograniczono również i dożywianie. W tych warunkach wobec zmniejszenia dochodów pomoc rodziców dla szkoły nie mogła być wielka. Rada nauczycielska przyznała natomiast na zakończenie pierwszego półroczia 19 stypendiów tysiąc złotych dla najbardziej potrzebujących uczniów zakładu.

Inowacją było wprowadzenie obok zwyczajnych posiedzeń zarządu Rady Rodzicielskiej wspólnych zebrań dyskusyjnych rodziców z gronem profesorskim na tematy wychowawcze.

Szczególnie żywy kontakt w ramach współpracy szkoły i rodziców nawiązano z końcem roku szkolnego w związku z przygotowaniem obchodu XXV-lecia zakładu. Łącznie z b. wychowankami szkoły i gronem profesorskim rodzice przystąpili do pracy, popierając gorąco myśl urzędzenia uroczystości i godnego uczczenia przy tej okazji pamięci poległych na polach bitew i zamęczonych w obozach uczniów i nauczycieli rybnickiego gimnazjum. Komitet przystąpił z zapalem do prac przygotowawczych i stał się pod koniec roku szkolnego, jak też i w czasie wakacyj, ogniskiem prawdziwie szczerzej i bezinteresownej współpracy szkoły i domu rodzicielskiego. W skład zarządu Rady Rodzicielskiej w roku szkolnym 1946/47 wchodził: przewodniczący: inż. Prus Antoni, zastępca: inż. Salamon Ludwik, sekretarz: ob. Knapczyk Ignacy, skarbnik: ob. Lenert.

### Spółczeństwo interesuje się szkołą.

Ostatni rok szkolny stał pod znakiem zbliżenia szkoły do społeczeństwa. W ostatnich zwłaszcza tygodniach roku szkolnego czynnik społeczny miał możliwość zapoznać się bliżej z pracą szkoły, jej wynikami i kierunkiem wychowawczym. Przedstawiciele władz i społeczeństwa uczestniczyli przy maturze, przysłuchiwali się lekcjom pokazowym z różnych przedmiotów, zwiedzili wystawę prac uczniowskich i hodowlę jedwabników, prowadzoną przez uczniów klas niższych, oraz przekonali się naocznie o wielkich potrzebach szkoły w zakresie wyposażenia gabinetów naukowych.

Termin trzeciej powojennej matury wypadł znacznie wcześniej niż w latach poprzednich. Egzamin pisemny odbył się już 19 i 20 maja, w dziesięć zaś dni później, w dniach 30 i 31 maja i 2 czerwca przeprowadzono egzaminy ustne. Odbyły się one pod przewodnictwem wizytatora Apolinarego Rudnickiego, w obecności delegata Ministerstwa Oświaty ob. Piątkowskiego i dyrektora zakładu Edwarda Szymańskiego. Egzaminowi przysłuchiwał się wicestarosta Okaliński, burmistrz Weber, przedstawiciel P. P. Rabinowicz J. i przedstawiciel P. P. S. kpt. Kotyrla.

## Działalność Rady Pedagogicznej.

W ciągu roku szkolnego Rada Pedagogiczna odbyła 11 zebrań plenarnych, na których omawiano bądź w formie dyskusyjnej, bądź w specjalnych referatach sprawy organizacyjne, wychowawcze, dydaktyczno-metodyczne, dyscyplinarne i klasyfikacyjne. Poza posiedzeniami plenarnymi przeprowadzono w każdym półroczu zebrania komisji przedmiotowych, uzgadniających realizację programu nauczania. Obradowały też komisje klasowe, omawiając pilne sprawy dydaktyczne swych klas i komisja regulaminowa, która ustaliła regulamin uczniowski. Przedstawiciele grona profesorskiego uczestniczyli we wszystkich zjazdach ognisk metodycznych. Zebranie metodyczne nauczycieli matematyki odbyło się w gimnazjum rybnickim z lekcją pokazową, którą prowadziła prof. Heniszówna.

Wielu członków grona pracowało społecznie, biorąc czynny udział w życiu publicznym, w instytucjach względnie organizacjach oświatowych, kulturalnych, charytatywnych i politycznych.

Opiekę lekarską sprawował do kwietnia dr Ruszczycki, opiekę dentystryczną zaś lekarz-dentysta Edmund Presz. W skład personelu pomocniczego i administracyjnego wchodziło: Maroszek Adolf, sekretarz; Muszyńska Eryka, rejestratorka; Jędrusiak Leon, Stencel Jan, Chwolka Wojciech, woźni; Śierna Helena i Smolka Matylda, pomocnice woźnych.

## Zakończenie roku szkolnego.

Uroczystościom, związanym z zakończeniem roku szkolnego nadano szersze niż dotychczas ramy. Pragnąc zademonstrować społeczeństwu dorobek rocznej pracy, zgodnie z zarządzeniem władz, przeprowadzono w ostatnim tygodniu nauki 8 lekcji pokazowych z języka polskiego, z języków angielskiego, francuskiego i rosyjskiego, z biologii, geografii i historii.

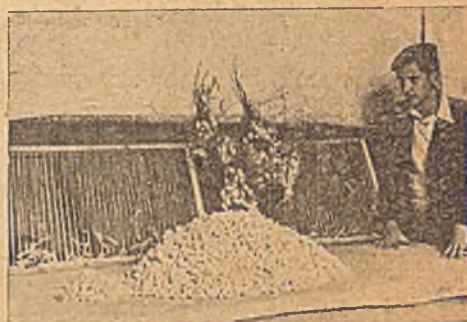
W ostatnim dniu nauki, po nabożeństwie w kaplicy OO. Misjonarzy, odbyło się w auli uroczyste zakończenie roku szkolnego, w czasie którego dyr. Szymański wręczył dwudziestu najlepszym uczniom nagrody książkowe za pilność, doskonale postępy w nauce i wzorowe zachowanie się. Oto ich nazwiska: Dziwoki Henryk, Ficek Henryk, Kolek Witold, Krzyżak Jan z 1 a, Grabiński Zygfryd z 1 c, Paszek Norbert, Piechoczek Zdzisław, Trzcina Janusz z 1 e, Sosna Joachim z 1 f, Niebrojówna Irena, Marszolikówna Halina, Polnikówna Anna, Sierna Krystyna z 1 g, Brzezinka Stanisław z 2 a, Sokółowski Jerzy z 2 b, Wyciślik Henryk z 2 d, Kramarzówna Róża z 2 e, Presz Andrzej z 3 b, Sopa Ksawery, Wyciślik Kazimierz z I lic. hum.



Gazetka ścienna

## Przejdźmy się po Wystawie Prac Uczniowskich...

Największą atrakcją uroczystości zakończenia roku szkolnego było otwarcie wystawy prac uczniowskich. Wystawa zajęła trzy sale parterowe, skromnie, lecz estetycznie urządzone. W dziale poszczególnych przedmiotów nauczania wyróżniały się stoiska geografii i biologii, prezentujące wzorowo wykonane zeszyty uczniowskie, pełne barwnych map i rysunków, oraz szereg sporządzonych przez uczniów tablic poglądowych i pomocy naukowych, łącznie z kolekcją okazów flory czy fauny, skrzętnie przez młodzież zbieranych. Dużą ciekawość zwi-



Plon hodowli jedwabników

dzających wzbudzał fragment hodowli jedwabników, których żarłoczne gąsieniczki cieszyły się wyrażną sympatią najmłodszych zwłazszcza widzów. W przeciwnym kącie sali sportowcy pokazywali w demonstracyjny sposób dwie żałośnie zdarte piłki i jeden rozsypujący się dysk na tle ściany, oblepionej mnóstwem zdobytych dyplomów mistrzowskich, trofeów ostatniego sezonu. Ten rzucający się w oczy kontrast miał pobudzić zwiedzających, zwłazszcza tych najbardziej „miarodajnych“, do wyciągnięcia odpowiednich i konkretnych wniosków.



Sala rysunków i zajęć praktycznych przenosiła zwiedzającego w sferę podniosłych wzruszeń estetycznych i przyziemnych podnieć wścibskiej majsterki. Nie było więc chyba uczniaka, któryby odmówił sobie przyjemności puszczenia w ruch modelu, przedstawiającego komorę tłokowo-suwakową maszyny parowej, imponującego dzieła robotnicarza z klasy 2 a. Natomiast przed stoiskiem rysunków stało się milcząco, z przymrużonymi artystycznie oczyma. Dopiero przed tą oblepioną eksponatami ścianą zrozumieć można było, dlaczego pocziwy profesor Sobecki tak cierpliwie przez rok cały nosił do klas cebrzyki, maślniczki, stożki, walce, kule, a ostatnio i czubatego perkoza. Spośród chmary cebrzyków, kul i walców wyróżniali się dojrzałe już prace licealistów, szukające szerzej przestrzeni oleje Janiny Simonówny (3 c) i pel-

ne już indywidualnego wyrazu studia główek Nartowskiej Ewy (2 e).

W rogu sali, pod oknem, na małym stoliku matematycy wystawili stos modeli geometrycznych, sklejonych pracowicie przez uczniów.

W trzeciej sali, poświęconej organizacjom szkolnym, samorząd klasy 2 b z dumą prezentował rozwarte skrzydło 9 numerów swojej gazetki ściennej oraz pierwsze zdjęcia swych fotoamatorów, zastęp żeglarski harcerzy wtoczył wspaniały swój kajak, a Koło P. C. K. propagowało dyskretnie swoje piękne hasła.

Wystawa była skromnym, ale rzetelnym wysiłkiem uczniów i nauczycieli pogładowego skonfrontowania calorocznego trudu z jego końcowym efektem.



Wędrówka harcerzy szlakiem Odry i wybrzeża

### Wiatr od morza!

Niezależnie od czerwcowych wycieczek krajoznawczo-turystycznych, które poszczególne klasy odbyły do Krakowa, Wieliczki, Piekar, Częstochowy, Kudowej, Rajczy, Wisły i w Beskidy Śląskie, w okresie wakacyj harcerze obozowali miesiąc pod Jelenią Górą, harcerki zaś w okolicach Zakopanego. W sierpniu dwunastu harcerzy urządziło z dr Liburą wędrówkę szlakiem Odry i wybrzeża, zwiedzając historyczne miejsca bojów o Ziemię Zachodnie: Kędzierzyn, Górę św. Anny, Opole, Wrocław, Legnicę, Głogów, Szczecin, Westerplatte.

Wielką atrakcją dla młodzieży było również zorganizowanie kolonii letnich nad morzem pod Karwią, gdzie około trzydziestu uczniów i uczennic spędziło pod opieką prof. Jochemczyka kilka pięknych tygodni. Wielu z tych szczęśliwców po raz pierwszy widziało morze, toteż wrócili z wywczasów jako zapaleni maryniści. Na nich w pierwszym

rzędzie liczy szkoła, projektując w następnym roku gruntowną reorganizację mało ruchliwego dotąd Koła Ligi Morskiej. Pod naporem przywiezionego przez „kolonistów“ wiatru od morza może nareszcie chłopcy nasi wyruszyć na szersze wody...



### Po dwu latach pracy...

W wydanej w czerwcu 1946 roku jednodniówce ilustrującej dorobek pierwszego roku pracy, pisaliśmy: „Jest coś, co bardziej niż cyfry, statystyki, tabele, wykresy i suche zestawienia charakteryzuje rok pracy. To praca sama, jej idea, cena jej dobrej woli i szczerego poświęcenia. To miary jej istotnej wartości i wagi, choćby niedocenianej czy źle rozumianej”.

Słowa te można powtórzyć i dziś po dwu latach działalności szkoły. Dobrej woli, ideowości i szczerego poświęcenia nie może nikt odmówić tym, którzy podjęli się wskrzesić do życia rybnickie gimnazjum i dla niego pracować.

Nie ilość uczniów, nie wypełnione ławkami sale klasowe i lśniące czystością korytarze, nie komplety map i zbiorów, ani piękne zeszyty są najistotniejszym sprawdzianem

uzyskanych wyników. Jest nim duch twórczej pracy i jej umiłowania.

Dlatego w przyszłość naszej szkoły patrzemy z wiarą. Szkoła nasza pracuje. Może praca ta nie jest jeszcze wszechstronna, może na różnych odcinkach nie jest jeszcze dostatecznie pogłębiona.

Będziemy ją udoskonalać.

Okres ćwierćwiecza istnienia zakładu dopełniliśmy serdecznym trudem, któremu przyświecało dobro naszej drogiej młodzieży. Przeszość wychowawcza gimnazjum rybnickiego, uwieńczona bohaterską ofiarą tyłu jego wychowanków i nauczycieli, wytycza dalszą drogę w służbie dla narodu i państwa. Będziemy tej spuściznie krwi i ducha wierni, gotowi do ofiary codziennej twórczej pracy w obliczu nowych zadań szkoły polskiej.

PROF. KAZIMIERZ HERZ.



## STAROSTA RYBNICKI DO MŁODZIEŻY



Przyszłość naszego państwa i jego potęga zależą od wartości wychowawczych i zasad moralnych, jakie przyszłemu obywatelowi wpoi odrodzona szkoła polska.

Głębokie przemiany społeczne i polityczne, będące następstwem ostatniej wojny, ugruntowały władzę ludu, opartą na poszanowaniu wolności i równości obywatelskiej. Ideały te winna krzewić przede wszystkim szkoła, wychowując nowe pokolenie młodzieży Polski Ludowej.

Z okazji 25-lecia życzę młodzieży gimnazjum rybnickiego, by mając w pamięci chwalebny służbę Ojczyźnie poległych swych bohaterów, codzienną, ofiarną i sumienną pracą budowała nową Polskę.

RUFIN SUCHOŃ,  
Starosta rybnicki.

---

Å oto miÅe sÅowa, skierowane do naszej mÅodzieży i szkoły przez wÅodarza miasta, burmistrza WÅadysÅawa Webera, ktÅory piastujÅc swoje stanowisko od pierwszego dnia przyÅłączenia ÅlÅska do Polski po dzieÅ dzisiejszy, obchodzi wraz z nasÅÅ szkoÅÅ swój cichy jubileusz:



Kiedy siÅgam ze wzruszeniem pamieÅiÅ w przeszÅoÅÅ rybnickiego gimnazjum, ktÅorego rozwÅj i pracÅÅ danym mi byÅo ÅledziÅ od pierwszych dni jego istnienia, z zadowolaniem stwierdziÅ mogÅ, Åe zarówno jego wychowawcy, jak i wychowankowie, tak w czasie pokoju jak i w czasie wojny dobrze ÅlÅyli Polsce.

Dyrekcji, Gronu Profesorkiemu i MÅodzieży Gimnazjalnej przesyÅam w dwudziestopieÅciolecie szkoły szczere Åyczenia dalszej owocnej i pożytecznej pracy dla dobra naszej odrodzonej Ojczyzny.

WÅADYSÅAW WEBER,  
burmistrz miasta Rybnika.

## Duch kresowoÅci zachodniej

(ArtykuÅ, drukowany w nr 65 tyÅ. „Odra“ z dnia 23 lutego 1947 r.).

Sprawa Ziem Odzyskanych — to problem nie tylko historyczny, polityczny, administracyjny, ekonomiczny, kulturalny czy nawet etyczny, ale w rÅwnie doniosÅej mierze problem wychowawczy. Problem, jak dotÅd, w caÅej swej pojęciowej rozpiÅtoÅci i historycznie ideowej gÅÅbi, a wiÅc w swej najistÅotniejszej osnowie, bodajÅe nie sformuÅowany jeszcze.

Przerzucony na zachÅd repatriant i odzyskany dla polskiego zachÅdu autochton nie wyczerpujÅ jeszcze peÅnego pojęcia Polaka Ziem Odzyskanych. Polaka tego jeszcze nie ma! Trzeba dopiero skonstruowaÅ mÅzgkiem i sercem jego ideaÅ, trzeba urobiÅ w zarysie i szczegÅÅach jego kszÅtaÅ duchowy i, jako nowy, wzbogacajÅcy, do Åycia obywatelskiego niezbÅdny element skÅadowy, wcieliÅ w polskÅ psychikÅ i w polskie ciaÅo. Å to wchodzi w zakres dziedziny — wychowania. Dlatego bÅj o Polaka Ziem Odzyskanych musi potoczyÅ siÅ ÅoÅyskiem procesu wychowawczego. KÅoÅci siÅ z duchem wychowawczego dziaÅania militarny, niespokojny termin — bÅj... UÅyÅ go tu

jednak wypada Åwiadomic, by raziÅ swym gorÅcym dysonansem, by w ideÅ celu wnosil Åczyn niezbÅdnych, historycznie koniecznych osiÅgniÅc.

Nigdy moÅe przedtem polska myÅ pedagogiczna nie staÅa w obliczu rÅwnie osobiÅwego i podobnie nagÅÅcego swÅ koniecznoÅciÅ i wagÅ dziejowÅÅ zadania.

Wychowanie splÅta siÅ z historiÅ na przestrzeni caÅych wiekÅ. MiÅdzy jego drogami, postulatami i ich realizacjÅ a dziejami i spoÅeczno-ideologicznÅ ewolucjÅ narodu, istnieje ÅcisÅy i gÅÅboki stosunek zaleÅnoÅci. Polski ideaÅ wychowania rycersko-patriotycznego z caÅym splotem swych zaÅet i uÅomnoÅci wyrÅÅ z dziejowego podÅoÅa Polski szlacheckiej. Wiek OÅwiecenia przyniÅÅ reformÅ Komisji Edukacji Narodowej, zarysowujÅc ideÅ wychowania obywatelskiego. Okres zaborÅ i Wielkiej Emigracji staÅ siÅ kolebkÅ romantycznych ideaÅÅ i haÅeÅ niepodlegÅoÅciowych, ktÅore po klÅÅce styczniowej i bankructwie mesjanistycznych Ålud i uniesieÅ uforowaÅy, prawem antytezy, drogÅ polskiemu realizmowi z pozyty-

wizmem u jednego i konserwatyzmem galicyjskim u drugiego skrzydła politycznej i wychowawczej myśli współczesnej. Urealniona idea niepodległościowa w wychowaniu odżyła ponownie na przełomie XX wieku w ideologii polskiego socjalizmu i polskiego ruchu narodowego, by wreszcie w ramach niezawisłego i odradzającego się już państwa skierować cały pedagogiczny wysiłek ku wychowaniu obywatelsko-państwowemu.

Drugie zmartwychwstanie stawia Polskę w obliczu doniosłych przeobrażeń historycznych, zarówno materialnych, jak i ideowych. W dziedzinie wychowania i edukacji narodowej przełom ten musi wywołać głębokie następstwa. Rewindykacja Ziemi Zachodnich nie wyczerpuje swą przeobrażeniową treścią polskiego problemu wychowawczego doby obecnej, ale stanowi jego niezwykle istotną część. Właściwe, konsekwentne i zgodne z duchem dziejowej przemiany rozwiązanie tego problemu winno wnieść w dorobek polskiej myśli i tradycji wychowawczej nowe, trwałe i cenne pierwiastki.

Związek ziemi z człowiekiem i z rasą nie da się mierzyć miarą wyłącznie materialnych więzów i dostrzegalnych, żyjących i żywych konkretów. W wyniku wiekowych procesów niszczyje, przemieniając się stopniowo w proch i w pył, i wsiaka powoli w abstrakcję. Wyrasta wreszcie pokolenie, oddzielone od własnej ziemi rzeczywistością zapomnienia i fałszu, i — plemiennego związku z tą ziemią już nie odczuwa. W obliczu zaś odzyskanego naraz dziedzictwa staje oszołomione i sercem nieczułe jak syn przed nigdy nie widzianym ojcem. W nasz uczuciowy stosunek do ziem odrzańskich wtoczyła się okrutnym ciężarem obcości siedemsetletnia przeszłość. Można ją przebyć łatwo w jakimś cudownym, natchnionym, chyba z posiewu krwi przodków promieniującym olśnieniu, w jakimś atawistycznym powidoku, w jakimś objawiającym prawdę odczucia skrócie psychicznym. Ale to krótki moment tylko, który wystarcza jedynie, by rozum skierować ku właściwej, hi-

storycznej konkluzji. By wypełnić tę przeszłość nie tylko odkrywczym rozumem, lecz żywym uczuciem ją zalać, na próżno by szukać w sobie takiej mocy. Brak nam jakby jakiegoś zmysłu psychicznego, a zdolność odczucia naszego odziedziczonego związku z tą przeszłością nie mieści się w naszej okaleczonej psychice. Konfrontacja z radośną prawdą układa się nie w dźwięki, co sercem szarpia, lecz w tekst historycznego komunikatu, który wciska się do mózgu teorią.

Zadaniem wychowania narodowego będzie wypełnić tę siedmiowiekową pustkę i nieobecność ziem zachodnich w polskiej duszy nie tylko teorią mózgową, ale równocześnie i przede wszystkim praktyką serca, witalną, chrobrową mocą odczucia historycznej spójni z tą przeszłością i dziejowego posłannictwa polskiego. Zadanie to dyktuje w swoim efekcie — postulat rekonstrukcji psychiki polskiej, włączenia w nią zagubionych lub nierozwiniętych w tragicznym niedorozwoju naszej historii pierwiastków duchowych, wszczęcia w krew i ciało Polaka ducha prawdziwej kresowości zachodniej. Jest to problem wychowawczy i psychologiczny zarazem, stawiający realizacji niezwykle wielkie wymagania, którym podołać może jedynie głęboko świadoma, planowa i wytrwała, obejmująca cały naród praca wychowawcza szeregu lat, być może pokoleń. Tę pracę trzeba podjąć natychmiast. Wydrażoną przez długie stulecia pustkę zachodnią w duszy polskiej trzeba starannie i bez reszty zaplombować polskością nie z gipsu i z fasady, lecz z najszlachetniejszego materiału, polskością zdrowszą, bogatszą, pełniejszą, wszechstronniejszą i trwalszą od naszej dzisiejszej polskości.

Nie wolno się łudzić, że cel ten stanie się samorodnym skutkiem toczącego się procesu repolonizacyjnego. To nie tylko zagadnienie regionalne i bieżący problem Ziemi Odzyskanych. To zagadnienie ogólnonarodowe i problem polskiej duszy, który roz-

---

prowadzić trzeba w przestrzeni na całą Polskę, a w czasie na przyszłość całą.

...Tereny odzyskane muszą stanowić drugie tworzywo tego dwukierunkowego procesu. A percepcję duchowo tę ziemię i uroczyscie ją w siebie wchłaniać, przetwarzać w swej psychice jej los i niewypełnione jej posłannictwo wicków — po to, by po nasyeniu się jej uśpioną dynamiką polskości przepoić ją swoją polsnością najlepszą i już wzbogaconą — oto mistyczny, lecz niemniej realny i najpełniejszy związek człowieka z ziemią, obopólny, wzajemny proces tworczy.

W procesie tej duchowej symbiozy musi wziąć udział cały naród, by jej zdobycze wcielić w narodową duszę, by dzięki nim i z nich ukształtować, wychować i stworzyć nowy typ Polaka, Polaka Ziem Odzyskanych, bojownika i realizatora polskiej sprawiedliwości dziejowej, polskiej racji stanu i polskiego posłannictwa.

...By stworzyć ten nowy ideał Polaka, Polaka Ziem Odzyskanych w szczególności, jako propagatora polskich cnót narodowych, spadkobiercy najlepszych polskich tradycji wychowawczych i zwiastuna nowych wartości, trzeba zbudować nowy, zaczynający od normalnych podstaw system edukacji narodowej.

Przebudować postawę duchową Polaka w obliczu doniosłych przemian historycznych, w obliczu wielkiego, niedocenianego pod względem wychowawczym, powołania narodowego odzyskanych ziem zachodnich — to nie romantyzm złudnych, patetycznych uniesień, lecz trzeźwy realizm.

Rozbudowa szkolnictwa powszechnego (tak słuszna w swej zasadzie), przestawienie szkolnictwa średniego na kierunek zawodowy (tak trzeźwe i uzasadnione, byleby porzucony tor ogólnokształcący nie rdzewiał) — to reformy nie sięgające jeszcze do głębi moralnej zagadnienia. Ponad wielowiekową przepaścią bezwładu trzeba przerzucić pomost narodowego uświadomienia o długim, daleko w przyszłość sięgającym przeszłości dziejowej potencji. Wraz z Daniną Narodową na odbudowę Ziem Odzyskanych wychowawcy narodu polskiego złożyć muszą nie jednorazową, lecz wieloletnią i nieustającą daninę najszczerzego wysiłku twórczego na rozbudowę duszy przyszłego mieszkańca tych ziem. O sformułowanie tego hasła i zadania, o opracowanie i ustalenie wieloletniego planu jego realizacji i o wychowawczy czyn — trzeba wszczać twarde, wytrwały i nieustępliwie uparty bój.

PROF. KAZIMIERZ HERZ.

## I znów studiujemy na polskich uniwersytetach

Chłubi się gimnazjum rybnickie zasłużoną sławą, że wychowankowie jego reprezentowali zawsze na uniwersytetach walory rzetelnego przygotowania naukowego, systematycznej, uporczywej pracy, prostych i uczciwych charakterów i nie małych zdolności. Nie przynosili wstydu swej szkole, wiedzieli, czego wymagało od nich społeczeństwo i czego oczekiwali po nich wychowawcy.

Łata wojny, które w proch i w pył obróciły polskie szkolnictwo, nie przerwały jej chlu-

bniej tradycji. Rybniczanie, jak tylu innych Polaków, zmuszonych szukać Polski poza granicami kraju, gdziekolwiek tułaczy los ich rzucił, dzielili w miarę możliwości swój czas między służbę wojskową i naukę. Pokonywując niejednokrotnie trudności językowe, przebijali się twardą, żmudną pracą przez studia na obcych uniwersytetach (Fryburg, Edynburg, Oxford, Rzym, Zurych i in.) i zdobywali dyplomy naukowe, które choć w części wynagradzały im rozłąkę z krajem ojczystym i z polską kulturą.

Odzyskana wolność otworzyła znów bramy polskich uniwersytetów. I znów na starych uniwersyteckich szlakach zjawiły się wesołe masy studentów z nasadzonymi z fantazją czapkami na głowach, nowe kadry śpieszących po wiedzę zapaleńców, którzy jak pątnicy, zdążający do narodowych sanktuariorów, szli tłumnie, z wiarą głęboką w jasny cel swej pielgrzymki, nie wstydząc się swego opóźnionego i stępiełego łafami wojny wieku.

Nie zabrakło wśród tej niepowstrzymanej fali pionierów, którzy mieli rozpocząć dzieło kompensowania wojennych strat polskiej kultury i nauki, rybnickich, najmłodszych nie wiekiem już, ale zapałem i żądzą wiedzy maturzystów.

Nowym jednak, nieznanym polskim akademikom sprzed wojny poszli szlakiem, szlakiem nowej polskiej przyszłości, nad Odrę, do polskiego Wrocławia, na wrocławski uniwersytet.

Nad Odrą, w miejscu, w którym rzeka ta tworzy kilka wysp, powstał przed wiekami polski Wrocław. Niedawno jeszcze, przed zawieruchą wojenną, strzelały w niebo piękne wieże wrocławskich świątyń, a wśród mrowia niemczyzny oczy przybysza z trudem szukać musiały polskiego oblicza miasta, przemawiającego milcząco tarczami starych orłów piastowskich.

Ostatnio pożoga wojenna wyparła wreszcie Niemców za Nysę Łużycką, a Wrocław, choć w gruzach, oddała spadkobiercom Piastów. Ponuro wyglądają dziś dzielnice Starego Miasta. Wybuchy pocisków i języki płomieni zdarły wspaniałe wnętrza zabytkowych budowli, nowsze dzielnice spoglądają martwym wzrokiem swych zrujnowanych przeważnie i wypalonych kamienic, cała południowa część miasta leży całkowicie zniszczona, a ponad tymi ruinami wznoszą się poszarpane wieże lub ich żałośnie sterczące resztki. W samym środku miasta, niedaleko rynku, pomiędzy starymi, wąskimi uliczkami i Odrą panuje nad sąsiednimi, w części zniszczonymi budynkami uniwersytet wrocławski, silnie uszkodzony w środku gmachu przez bombę.

Na ruinach i zgliszczach Wrocławia zbudziło się jednak nowe, polskie życie. Tu Śląsk uzyskał swój pierwszy własny uniwersytet polski, który stał się uniwersyte-tem śląskiej młodzieży.

Powojenni maturzyści rybnickcy licznie poszli tym nowym, nieznanym dawniej szlakiem — do Wrocławia. Pierwsi z nich podążyli już w pięć zaledwie miesięcy po zakończeniu działań wojennych, gdy tylko komunikaty radia i prasy doniosły o otwarciu tu polskiej wyższej uczelni — Uniwersytetu i Politechniki. Tych pierwszych rybniczian, gotowych do pracy w najcięższych nawet warunkach, było trzech. Nie odstraszyły ich gruzami jeszcze zawałone ulice, prowizorycznie naprawione sale wykładowe, ani też uśmieški kolegów-pesymistów. W rok później, w 1946 r., przybyli tu następni rybniczanie licniejszą już gromadą. W roku tym spośród 32 nowych maturzystów rybnickich, zapisanych na wyższe uczelnie, na Wrocław przypadło 11 słuchaczy.

Młodzież rybnicka chętnie garnie się do swego śląskiego uniwersytetu, zdając sobie dobrze sprawę z tego, jak doniosłą rolę odgrywa na tej uczelni autochtoniczna polska ludność w procesie repolonizacyjnym Ziemi Odzyskanych i budowaniu tu, we Wrocławiu nowego bastionu polskości. Uniwersytet wrocławski po dwuletniej działalności skupia obecnie już około 8 tysięcy słuchaczy, w tym Górnoszlazaków łącznie z Zagłębiakami niestety tylko 230. Tym dobitniej i wymowniej na tym tle wyróżnia się duży procent rybniczian. Maturzystów z roku 1945 i 1946 jest tu na wszystkich oddziałach 18.

Pokochaliśmy Wrocław i przywiązaliśmy się do niego. Choć w ciężkich pracujemy warunkach, często o chłodzie i głodzie, pracujemy ochotnie, kontynuując piękne tradycje rybnickiego gimnazjum. Serdeczną, koleżeńską solidarnością tworzymy zwartą grupę, zwracając naszą wspólnotą uwagę całego naszego akademickiego społeczeństwa. Uniwersytet wrocławski musi się stać główną i pierwszą uczelnią naszych rybnickich

maturzystów. Tu bowiem, poza pracą naukową i studiami, czekają na nas najpilniejsze zadania zaszczepiania i pogłębiania polskiej kultury.

Gimnazjum rybnickie reprezentowane jest zresztą na wszystkich polskich uczelniach. I tak w Poznaniu studiuje 13 rybniczian, w Krakowie — 10, w Katowicach 7, w Gliwicach — 6, w Szczecinie — 3, w Łodzi studiuje 1. Nowy rok akademicki zarejestruje dalszy ich przyrwy. Na młodszych naszych kolegów czekamy z otwartymi rękami,

by służyć im radą i pomocą. Bo po rozłącze z murami szkolnymi i bracią uczniowską tu właśnie, na wrocławskim przed wszystkim uniwersytecie, będziemy się corocznie spotykać, by dalej podtrzymywać naszą szczerą więź koleżeńską.

Dwa więc radosne fakty w dwudziestopięcioletcie naszej szkoły stwierdzić możemy: studiujemy znów na polskich uniwersytetach i znów, jak niegdyś, reprezentujemy godnie nasze gimnazjum.

STANISŁAW POHL, stud. Uniw. Wrocław.

## Pokolenia maturzystów powojennych

### 1945:

#### Wydz. hum.:

Cieślík Agnieszka, Chłodek Emil, Gardian Jan, Garus Józef, Grabiec Mieczysław, Dechow Urszula, Dąbek Jan (ekst.), Izbicka Stefania, Korus Ludwik, Kubisa Zenon, Kurowska Barbara, Libura Zbigniew, Lubosówna Wanda, Mizerski Eugeniusz, Pająkówna Maria, Sobikówna Gertruda, Szczyrba Anna, Szymańska Barbara, Tłolka Józef, Wojownik Irena, Wyżgół Józef.

#### Wydz. mat.-fiz.:

Babisz Tadeusz, Bardecki Bernard, Bochenek Paweł, Broda Henryk, Czech Józef, Eckstein Marian, Fros Mieczysław, Fros Władysław, Gałocz Wiesław, Grzenia Karol, Hallor Elżbieta, Kasprowski Tadeusz, Klapsia Antoni, Kolek Emil, Kozok Walter, Kuczera Bolesław, Kurowski Antoni, Łatka Edward, Matera Jadwiga, Mencil Walter, Mrozek Hubert, Opic Lidia, Penkala Ludwik, Plonka Jan, Radecki Antoni, Skrobol Aniela, Skupień Bernard, Szaforz Antoni, Szarowicz Roman, Wierczyk Alojzy, Wija Ludwik, Zbieszczek Jan.

### 1946:

#### Termin zimowy:

Czurczak Adam, Kitzinger Józef, Kraski Antoni, Listewnik Edward, Wróbel Marian.

#### Termin wiosenny:

##### Wydz. hum.:

Biernat Waleria, Burzyński Walter, Butter Joachim, Czechowicz Janusz, Cwołek Gertruda, Grzesiczek Eleonora, Hübner Edward, Józek Henryka, Kaczmarczyk Józef, Konieczna Zofia, Krzywórczka Krystyna, Kurzydym Anna, Lokaj Paweł, Michalska Magdalena, Pohl Maria, Pohl Stanisław, Pyzik Barbara, Rduch Czesław, Sławik Gabriela, Smolka Be-

nedykt, Trybuś Stanisław, Wehr Teresa, Wieczorek Romana, Wolny Józef.

##### Wydz. mat.-fiz.:

Herman Józef, Jojko Alicja, Kaleta Janina, Kiedroń Tadeusz, Klapuch Bolesław, Koczwara Edward, Kopka Wilibald, Koźdoń Władysław, Król Wilhelm, Kuśka Ingeborga, Kwaśniewska Jadwiga, Lec Nina, Malcher Zyta, Mańka Urszula, Neukirch Adolf, Nuzikowski Jerzy, Owczarzy Wilhelm, Piniór Antoni, Roter Leon, Rzeźnik Zenon, Rzeźnik Zofia, Stefek Kazimierz, Strzeja Magdalena, Wątroba Janina, Wolnica Franciszek, Woźnica Arnold.

### 1947:

##### Wydz. hum.:

Cicha Dionizja, Domosławska Maria, Godulanka Danuta, Hetmańska Pelagia, Jakubczyk Bolesław, Klapuch Gustaw, Klyszcz Rudolf, Krygerówna Zofia, Kowol Ferdynand, Kuczera Bronisław, Pawelec Stanisław, Pilarówna Klara, Słusarkówna Halina, Twardzik Antoni, Zegrodzka Wanda.

##### Wydz. mat.-fiz.:

Bezeg Winicjusz, Buchalik Józef, Gąsiorowski Lesław, Hallor Jan, Halański Roman, Heffner Jan, Idziorek Ludmiła, Kochanówna Irena, Kubica Alfred, Kulas Erwin, Migas Bernard, Musiolik Herbert, Piechoczek Bolesław, Sajewicz Zygmunt, Szymura Wendelin, Sztwiertnia Edward, Tytko Leonard.



Grono profesorskie w roku jubileuszowym

## RADA PEDAGOGICZNA, ZARZĄD RADY RODZICIELSKIEJ I MŁODZIEŻ W ROKU JUBILEUSZOWYM

### RADA PEDAGOGICZNA:

**Dyrektor:** Szymański Edward; **profesorowie:** Chudoba Leon, Dublewski Juliusz, ks. Gasz Antoni, ks. Tchórz Józef, Heimroth Tadeusz, Henisz Hanna, Herz Kazimierz, Jochemczyk Alojzy, Kieloch Anna, Kossmann Jan, Krupa Kazimiera, Lec Antoni, Lepczak Stanisław, Libura Inocenty, Mańka Alojzy, Mazurkiewicz Łucja, Morus Władysław, Ołędzka Jadwiga, Parchatka Jan, ks. Romański Edward, Różańska Wanda, Rydlowa Maria, Rzerzychowa Waleria, Sobecki Jan, Uberman Tomasz, Wałek Wacław, Widotówna Irena.

### ZARZĄD RADY RODZICIELSKIEJ:

**Przewodniczący:** Wilczyński Jerzy; **zast. przew:** Knapczyk Ignacy; **sekretarz:** Zabrzeńska Waleria; **skarbnik:** Mięсок Wincenty; **członkowie:** Gazek Józef, Gunia Stefan, Korzuch Augustyn, Krotoski Józef, Łukoszczykowa Augustyna, Maderski Piotr, Modrzejowski Apoloniusz, Nowakowski Wiktor, Ożógowa Waleria, Paryzek Józef, Presz Edmund, Salamon Ludwik, Sokołowski Tomasz, Stasiński Henryk, Szymura Leon, Trawiński Wacław, Welk Jan.



### **Klasa Ia (wyrównawcza):**

Bachorski Tadeusz, Bartoń Bogdan, Berger Rajnhold, Chlewicki Zbigniew, Derenowski Edward, Finowski Henryk, Galda Edwin, Kachel Henryk, Kalinowski Bogdan, Klimek Alojzy, Kluczniok Adam, Klosok Korneliusz, Konieczny Stanisław, Krakowczyk Oskar, Kroker Antoni, Kula Henryk, Mnich Henryk, Moskwa Jan, Nowak Stanisław, Nowak Zbigniew, Oleś Bolesław, Onderko Jan, Orczyk Henryk, Panic Leon, Penkała Jan, Poppe Waldemar, Ratajczak Felicjan, Reclik Alojzy, Reclik Paweł, Rybka Benedykt, Simon Witold, Smolka Józef, Sokolowski Tomasz, Święty Norbert, Tkocz Henryk, Trawiński Andrzej, Wacławiec Zygmunt, Wdowiak Stanisław, Wiczerek Benedykt.

### **Klasa Ib (wyrównawcza):**

Adamczyk Czesław, Bielasówna Irena, Bożek Jan, Brychcy Łucja, Bula Henryk, Częstka Danuta, Chrzanowska Czesława, Drażny Marian, Francuz Bronisław, Galisz Tadeusz, Godula Jerzy, Godziakówna Aniela, Jablonka Rudolf, Jarosówna Danuta, Klimek Krystyna, Kost Antoni, Kozubski Andrzej, Krotoski Witold, Krypczyk Elżbieta, Kubeczek Irena, Kubica Anastazy, Leśnikowski Ryszard, Lipiński Józef, Major Zofia, Marcol Reginald, Marek Edmund, Markiewka Franciszek, Mandrela Eryk, Milińska Halina, Milińska Stefania, Moszczyński Stanisław, Ochocińska Elżbieta, Piersiak Jan, Plaza Waleria, Pluta Rajnhold, Prostacki Bolesław, Skulinianka Lidia, Stabla Bolesław, Staneczko Aniela, Szott Jerzy, Wala Bernard, Wiczerek Rozalia, Żelczyński Damian.

### **Klasa IIa:**

Adamczyk Antoni, Baciński Mieczysław, Bisek Ryszard, Biskup Bonifacy, Bartoniek Joachim, Bonk Eugeniusz, Chrobok Ernest, Czapla Marian, Dziwoki Henryk, Ficck Henryk, Fudala Alfons, Gajda Eryk, Gojny Bronisław, Górecki Eugeniusz, Grabiński Henryk, Grabowski Andrzej, Jędrzychowski Andrzej, Kassian Andrzej, Kolek Witold, Koszany Romuald, Koszorż Antoni, Krzyżak Jan, Kuśka Norbert, Lenert Andrzej, Liberacki Janusz, Lipiński Jerzy, Lisiecki Zbigniew, Maderski Krzysztof, Magiera Leon, Michalik Wiktor, Mrozek Brunon, Musioł Joachim, Łyczko Andrzej, Pokusa Eugeniusz, Pokusa Zdzisław, Szczepaniak Julian, Tomala Józef, Zyzak Andrzej.

### **Klasa IIb:**

Adamczyk Błażej, Albertowicz Edward, Bednarek Zbigniew, Bednorz Jerzy, Brzezinka Henryk, Cesarz Hubert, Cieślak Henryk, Czaplicki Bogusław, Falfasiński Jerzy, Gęgotek Lech, Goł Roman, Grychnik Henryk, Hein Alojzy, Juroszek Czesław, Klon

Eulogiusz, Kojzar Kazimierz, Kossmann Stefan, Koszela Józef, Lazar Krystian, Lepezak Stanisław, Lindner Józef, Modrzejowski Andrzej, Nowak Bolesław, Ochwat Mieczysław, Rak Norbert, Reclik Bolesław, Serżysko Eugeniusz, Skaba Zbigniew, Smolka Jerzy, Swoboda Paweł, Sycha Rudolf, Szatoń Edward, Szczęsny Eugeniusz, Szczotok Stefan, Szoltys Rudolf, Szymiczek Henryk, Szymura Łucjan, Tromszczyński Andrzej, Wawrzyńczyk Łucjan, Wideńska Józef.

### **Klasa IIc:**

Biskup Łucjan, Brzezinka Bernard, Depta Roman, Dłucik Henryk, Dzierżęga Józef, Francuz Alfred, Funka Bolesław, Grabiński Zygfryd, Grajner Stanisław, Herman Szczepan, Jurczyk Eryk, Kocur Henryk, Kościański Kazimierz, Krotoski Józef, Królik Hubert, Kluczniok Józef, Krupa Józef, Kufka Jan, Lasak Hubert, Łatko Antoni, Matczak Zbigniew, Nowak Kazimierz, Strokosz Zygfryd, Stanik Jerzy, Suchan Norbert, Sorneck Henryk, Werschler Iwo, Woźniak Lech, Woźniak Kajetan.

### **Klasa II d:**

Brachmański Karol, Brzezina Alojzy, Brzezina Jan, Chromik Stefan, Czok Eugeniusz, Duda Paweł, Eichler Józef, Gabriel Leon, Goliwąg Tadeusz, Komarek Waldemar, Krzyżak Eugeniusz, Kuchcik Paweł, Kuhn Czesław, Kukla Mieczysław, Kwiaton Jan, Kwiczala Henryk, Langrzyk Hieronim, Lazar Alojzy, Lepiarczyk Roman, Lokay Marian, Majorczyk Stanisław, Mańka Stanisław, Mojza Marian, Mrozek Zdzisław, Mrozek Zygmunt, Musiolik Joachim, Musiol Brunon, Pająk Stanisław, Paryzek Lech, Pindur Ludwik, Rduch Marian, Simon Bernard, Skupień Wojciech, Soppa Jan, Stuchlik Jerzy, Swoboda Jan, Wojczewski Edward, Wsolak Andrzej, Wypiór Henryk.

### **Klasa II e:**

Banaszkiewicz Brunon, Daszek Bernard, Fojcik Arkadiusz, Foks Alojzy, Gunia Gerard, Herman Ewald, Jarzyński-Trzaska Bogdan, Kaszuba Lesław, Kopiec Bolesław, Kucza Stefan, Macura Alojzy, Majer Ambroży, Manderla Joachim, Marcol Antoni, Matloch Eugeniusz, Mura Ireneusz, Nowak Mieczysław, Paszek Norbert, Piechaczek Zdzisław, Pielorz Eugeniusz, Pietranek Konrad, Placzkowski Stanisław, Polok Szczepan, Profaska Marian, Pytlak Leon, Soliński Jan, Student Władysław, Syrek Antoni, Szczęsny Tadeusz, Szyrocki Jan, Trzeźna Janusz, Twardawa Bernard, Urla Jerzy, Węglorz Hubert, Węgrzyk Nikodem, Wiczerek Stanisław, Wiosna Damian, Wojaczek Alojzy, Wolny Edward, Zajonc Wincenty, Zimon Jan, Zuzok Jan, Żyła Bolesław.

### **Klasa II f:**

Brachmański Eugeniusz, Cuber Maksymilian, Demel Stanisław, Glenc Alfred, Grzesik Longin, Gwoździk Joachim, Kabiesz Zbigniew, Knapik Zygmunt, Koczy Herbert, Koloch Bogusław, Matera Jerzy, Miera Jan, Mięso Stanisław, Neugebauer Karol, Paszenda Arnold, Pawlas Zygfryd, Podhorodecki Adam, Roj Norbert, Rojek Gerard, Rurek Edmund, Smaga Zygmunt, Sosna Joachim, Świerczyzna Romuald, Szlesak Jerzy, Tkocz Stanisław, Tomala Bogusław, Waclawczyk Ludwik, Warło Stanisław, Węgrzyk Ewald, Wieczorek Horstyn, Wilczek Bolesław, Woryna Gerard.

### **Klasa II g:**

Aleks Krystyna, Bombik Henryka, Budny Kornelia, Cedziwoda Małgorzata, Cieślik Anna, Czerner Olecha, Dziwoki Aniela, Faber Krystyna, Hallor Helena, Huptas Urszula, Hurnik Halina, Kachel Aleksandra, Kisiel Alicja, Kosieniak Alicja, Korus Marta, Kurpanik Dorota, Marszolik Halina, Machej Eugenia, Mecner Maria, Michalik Dorota, Motyka Ewa, Musiol Helena, Niebrój Irena, Peleszok Danuta, Polnik Anna, Sierna Krystyna, Spilok Cecylia, Szostek Helena, Szymura Halina, Wieczorek Małgorzata, Woźnica Gertruda, Ządęcka Zofia.

### **Klasa II h:**

Brachman Rita, Bugdol Róża, Czerwińska Daniela, Gryszka Wanda, Hryniszczak Barbara, Jankowska Maria, Jasica Halina, Klama Irena, Kocjan Teresa, Kolaczek Franciszka, Konopek Eugenia, Krakowczyk Maria, Krygier Janina, Krygier Wanda, Kubiczek Urszula, Kurpanik Krystyna, Łukoszczyk Zofia, Musiol Irena, Musiol Olga, Nowakowska Barbara, Ośliżło Helena, Perier Anna, Pietrykowska Barbara, Podstawka Teresa, Przymęska Wanda, Pyszny Aniela, Pyszny Ewa, Rosiak Regina, Sierna Łucja, Student Maria, Szafrńska Krystyna, Szaflówna Józefa, Szendzielorz Klara, Tkocz Stefania, Urbanek Aurelia, Uszczyk Urszula, Wala Helena, Walach Krystyna, Wieczorek Urszula, Woźniak Halina, Zaik Weronika.

### **Klasa II i:**

Bąkowski Henryk, Bezeg Czesław, Cieśla Józef, Dzida Paweł, Fojcik Zygfryd, Grycman Stanisław, Grzegorzycza Kazimierz, Hajda Józef, Hajduk Winniejusz, Hojka Leonard, Janowski Jan, Joachimski Franciszek, Klimek Edmund, Koperwas Hubert, Lach Antoni, Manderla Franciszek, Martin Zygmunt, Migdał Ryszard, Morys Zdzisław, Piechoła Jan, Podleśny Stanisław, Polus Łucjan, Pordzik Gerhard, Rek Bernard, Sachs Franciszek, Sobik Józef, Stalmach Józef, Stęchły Franciszek, Stromiński Jan, Szebeszczyk Gerhard, Trybuś Werner, Woźnica Joachim, Zielony Witold, Zielony Zdzisław.

### **Klasa III a:**

Adameczyk Zygmunt, Barteczko Klemens, Bauerek Bolesław, Basztoń Ignacy, Bobek Rafal, Bober Bernard, Brzezinka Stanisław, Francuz Leon, Froncek Korneliusz, Gacka Jan, Galda Ernest, Godziek Zygmunt, Goik Jan, Goszyc Maksymilian, Hurski Eugeniusz, Juraszczyk Adolf, Kozielski Henryk, Kubeczek Emil, Kupczak Edward, Kwasek Lech, Lichtenstein Bronisław, Lubos Edward, Łukoszek Jerzy, Niedziela Marian, Nosiadek Zygmunt, Pala Józef, Paprotny Antoni, Porębski Stanisław, Przybyła Franciszek, Rudyk Stanisław, Sokolowski Andrzej, Sokolowski Włodzimierz, Staniek Hubert, Szymik Jerzy, Tatuś Stanisław, Topisz Leon, Wieczorek Roman, Zajac Kazimierz, Ziarko Andrzej.

### **Klasa III b:**

Adamek Roman, Adameczyk Tadeusz, Bodzioch Bolesław, Cząstka Zbigniew, Grochut Joachim, Grolik Rajmund, Grzesik Józef, Horoszczak Wojciech, Kajzer Zbigniew, Klimas Kazimierz, Kochan Zygmunt, Kołodziejczyk Marian, Kopel Tadeusz, Kornas Dionizy, Kożuszek Grzegorz, Kucza Gerard, Lach Roman, Lewin Erwin, Macioszek Zdzisław, Majer Alfred, Mandrysz Hubert, Menżyk Zygfryd, Midor Waclaw, Miedniak Fryderyk, Mojżysz Franciszek, Musiałek Stefan, Ogaza Jerzy, Prus Józef, Rak Marian, Ratajczak Marian, Sidelko Stanisław, Sokolowski Jerzy, Szymeisen Romuald, Tatarczyk Józef, Tyślewicz Tadeusz, Weiner Ryszard, Wątroba Stanisław, Zamarski Jan, Zulski Zygmunt.

### **Klasa III c:**

Adrian Adelajda, Bulanda Bronisława, Ficck Teresa, Gazek Krystyna, Karasińska Zuzanna, Knesz Aniela, Leonarska Weronika, Łukoszczyk Helena, Mandrela Krystyna, Michalik Hildegarda, Müller Jadwiga, Mrozik Łucja, Pietranek Jadwiga, Prus Barbara, Ratyńska Helena, Reroń Aurelia, Ślanina Lidia, Sowa Berta, Spyra Cecylia, Szpot Hanna, Szymik Małgorzata, Wawrzyniak Monika, Welk Maria.

### **Klasa III d:**

Bezeg Adam, Blacha Longin, Brodala Zygmunt, Bugła Wiktor, Burda Klemens, Chalupka Waldemar, Chrószcz Maksymilian, Cieślik Czesław, Czapla Jerzy, Dzierżęga Jerzy, Dzieżok Henryk, Gawlik Czesław, Glenc Jerzy, Gojny Engelbert, Gojny Krzysztof, Jackowiak Zygmunt, Kozielski Jan, Kwiaton Marian, Libura Jerzy, Mantke Józef, Mecner Józef, Mura Alfred, Milerski Tadeusz, Neuman Florian, Ośliżłok Stanisław, Pawlaszczyk Józef, Potysz Frydolin, Różański Teodor, Rugor Józef, Rychlikowski Augustyn, Smolka Joachim, Swoboda Jan, Szczeponek Józef, Szymik Zygmunt, Węgrzyk Ginter, Wita Edmund, Wyciślik Henryk.

### **Klasa III e:**

Adameczyk Irena, Bombik Janina, Brandys Wanda, Gajda Maria, Grabiec Helena, Hahn Irena, Halacińska Alina, Hanak Eugenia, Jureczko Justyna, Juroszek Irena, Kaluża Helena, Klasek Danuta, Komińek Łucja, Kondrot Urszula, Kramorz Róża, Mańka Marta, Michalska Dorota, Mroczek Waleria, Muszkiet Róża, Nartowska Ewa, Sieja Róża, Stanienda Maria, Szramowska Irena, Szymańska Ewa, Wziontek Jadwiga.

### **Klasa I a lic. hum.:**

Bluszcz Gerard, Bodnarówna Irena, Cieślik Henryk, Kaluża Józef, Knapczyk Henryk, Knesz Konrad, Kraik Henryk, Krupa Joachim, Kubik Alfred, Kula Mieczysław, Lubszczykówna Barbara, Mazur Henryk, Niebrój Tadeusz, Ożóg Leokadia, Pasternak Zbigniew, Salamon Andrzej, Smykówna Weronika, Stęchły Lidia, Wawrzynck Józef.

### **Klasa I b lic. hum.:**

Basista Władysław, Basztoń Arkadiusz, Chlubek Bernard, Duźniakówna Wanda, Grochut Alfons, Gojny Kazimierz, Halaczek Tadeusz, Klon Alojzy, Kozub Longin, Krakowczyk Józef, Kruczek Tadeusz, Krześniak Tadeusz, Laszkiewiczówna Stefania, Lepiarczyk Bolesław, Olejniczak Henryk, Skabianka Zuzanna, Sternadel Alojzy, Szlachciana Flawia, Wiatrek Otton, Woźnik Adam, Zydek Leon.

### **Klasa I c lic. mat.-fiz.:**

Adameczyk Witold, Albertowicz Janusz, Bartonick Ryszard, Butter Jan, Grabiński Kazimierz, Kasperczyk Marian, Magnorówna Urszula, Makowski Adam,

Musiolik Bronisław, Niezgoda Robert, Palenga Paweł, Piechota Teresa, Presz Andrzej, Prockówna Małgorzata, Reichman Erwin, Rudnicka Irena, Rydel Mieczysław, Rzerzycha Ryszard, Sendra Józef, Sieja Eustachy, Sitkówna Felicja, Siwczycówna Krystyna, Skorupa Zygfryd, Sojecki Antoni, Steuer Henryk, Student Zygmunt, Szczęsny Józef, Sztwiertnia Henryk, Szymiczek Eryk, Tront Leonard, Urban Andrzej, Waler Norbert, Wilczyński Tadeusz, Zajac Czesław.

### **Klasa II lic. hum.:**

Augustyniakówna Janina, Bergerówna Aniela, Boja Florian, Brońsiówna Irena, Burdzianka Ludmiła, Burkot Zbigniew, Dziubianka Maria, Farny Karol, Grzesiewska Krystyna, Grzybczyk Janusz, Grzybówna Aniela, Klycianka Aniela, Klosokówna Eleonora, Koladzińska Irena, Korzuchówna Stefania, Krygier Zygmunt, Laskowski Tadeusz, Łukoszczykówna Teresa, Maciejczykówna Regina, Majorówna Ina, Mazankiewiczówna Stefania, Okuliczówna Celina, Przybyła Henryk, Pychyńska Sabina, Skoczeniówna Aleksandra, Sobolówna Kinga, Sojecka Julia, Sopa Ksawery, Ślusarek Tadeusz, Wojtek Kazimierz, Wyściłek Kazimierz, Zabrzaska Zbigniewa.

### **Klasa II lic. mat.-fiz.:**

Balcarek Sylwester, Banko Stefan, Ciałoń Zygmunt, Czekala Zbigniew, Gruenberg Hubert, Grycman Stanisław, Harazim Witold, Kulanka Teodora, Kumorkówna Janina, Kurzydym Alfred, Mryka Jerzy, Pośpiech Paweł, Presz Waclaw, Rozbrój Jan, Rozbrój Bronisław, Sikora Leon, Strzondala Jerzy, Woźniakówna Alicja.

## Jubileusz dwudziestopięciolecia

### JUBILEUSZ I MY

**W** ostatnich dniach czerwca 1947 r. rytm pracy naukowej w naszym gimnazjum wyraźnie zwalniał.

Profesorowie przestali egzaminować, kończąc klasyfikację uczniów, głos ich w salach wykładowych przycichał coraz bardziej. Przeciwnie wzrastał gwar głosów uczniowskich. Szczęśliwy, kto uzyskał promocję, układał plany wyjazdu na obozy harcerskie lub kolonie.

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Za parę dni miały opróżnić się klasy i korytarze, dziedzińce i boiska szkolne.

Nagle w te słoneczne wagary ostatnich dni roku szkolnego dobiegło nas z gabinetu dyrektora i pracowni profesorskich słowo: jubileusz! W jednej chwili odmieniło ono oblicze całego zakładu. Na przemęczonych twarzach profesorów pojawił się wyraz ożywienia, nam zabiły serca...

O zbliżającym się jubileuszu gimnazjum wiedzieliśmy od dawna. Od roku już mówiono nam o tym na godzinach wychowawczych, od roku już uczniowie zbierali życiorysy poległych wychowanków i profesorów.

---

I oto dowiedzieliśmy się, że Rada Pedagogiczna postanowiła w początkach przyszłego roku szkolnego święcić XXV-lecie zakładu uroczystym obchodem, ufundowaniem tablicy marmurowej ku czci poległych i wydaniem księgi pamiątkowej.

Profesorowie pierwsi złożyli składkę na ten cel i zawiązano Komitet Obchodowy. Wtedy i my postanowiliśmy coś zrobić: zbierać w czasie wakacyj zioła lekarskie, grzyby, jagody, złom, aby wpłacić po feriach do Komitetu po 300 zł od ucznia. Ale prace przygotowawcze wymagały złożenia pieniędzy jeszcze przed wakacjami.

Znaleźliśmy i na to radę: udaliśmy się do rodziców o pomoc. Na prośbę naszą pożyczili nam po 200 zł i sumę tę wpłaciliśmy do Komitetu, zobowiązując się po feriach wpłacić dalsze 100 zł od ucznia. Pragniemy złożeniem tej skromnej ofiary dać Komitetowi pierwszą pomoc pieniężną, podkreślając przez to, że jubileusz gimnazjum jest przede wszystkim naszym świętem. My, najmłodszy wychowankowie zakładu, żyjemy kult dla naszych starszych kolegów i profesorów, którzy oddali życie za Ojczyznę, pragniemy czcić ich pamięć i będziemy starać się, by mroki czasu nie pokryły ich nazwisk zapomnieniem, zaciąga-

my przy ich tablicy uroczystą straż i będziemy postępować ich śladem.

Wiemy, że w powiecie naszym żyje wiele rodzin i sierot po poległych bohaterach, których los także nam leży na sercu.

Dlatego prosimy Was, Drodzy Wychowawcy, trwajcie w Waszych serdecznych staraniach, apelujcie do ofiarności społeczeństwa powiatu rybnickiego, by dopomogło Wam w szlachetnych przedsięwzięciach.

Przy poświęceniu sztandaru, który mamy otrzymać, złożymy ślubowanie, że pracą rzetelną i twórczą budować będziemy lepszą przyszłość Polski.

Wierzmy, że w roku jubileuszowym przy wspólnym wysiłku naszym i społeczeństwa zakład nasz zaopatrzone zostanie w pomoce naukowe i książki, których tak bardzo nam jeszcze brak, że stanie się i materialnie i ideowo kuźnią naszego obywatelskiego wychowania.

Wzbożacona w ten sposób szkoła będzie nas zobowiązywać do tym gorętszego zapалу w pracy i nauce.

Z góry dziękując za spełnienie naszych pragnień i dążeń, życzymy Wam, Drodzy Wychowawcy, długich lat zdrowia i szczęścia, a zakładowi naszemu wieczystego istnienia dla dobra naszego powiatu i państwa.

WACŁAW PRESZ, 2 lic. mat.-fiz.

## A było tak:

O d pierwszych dni powrotu gromadzi-  
liśmy wieści o poległych za Ojczyznę  
wychowankach zakładu i profesorach,  
by uczcić ich pamięć marmurową tablicą  
i księgą, i czynem społecznym.

Potem zaczęto zbierać fundusze. Dali więc wychowawcy, dał pierwszą ratę samorząd uczniowski i postanowił wzorem Opola (byliśmy tam 20 kwietnia) pracować na ten cel przez lato.

Złożyli sto tysięcy rodzice. Przystąpili do sprawy dawni wychowankowie.

I jakoby płomień ogarnął dusze.

Przez całe wakacje i mózgiem i sercem i wolą, przeszkód nie uznając, dniami i nocami doktor P. z panem Kazimierzem nad tym pracowali w tak zwanej „hercówce“ i porwali cały powiat za sobą: wielkich i maluczkich, sportowców i artystów... i sceptyków nawet, olbrzymi plan aż do najdrobniejszych szczegółów stworzyli i przeprowadzili z wiarą, która góry przeprosi.

Pan wicewojewoda Ziętek przesłał sto tysięcy dla rodzin bohaterów. Przyznała 50

---

tysięcy Wojewódzka Rada Kultury, pośpieszyły z pomocą Huta Silesia, Rybnickie Zjednoczenie Węglowe, Rybnicka Fabryka Maszyn, Kopalnia Rydułtowy, urzędy, gminy, związki, stowarzyszenia i całe społeczeństwo powiatu.

W zgodnym radosnym wysiłku stanęli obok siebie wszyscy.

I oto są na marmurowej tablicy złotymi zgłoskami wyryte nazwiska, i księga sercem pisana, jest sztandar z orłem i Matką Bożą, jest pomoc dla rodzin bohaterów, uporządkowane boisko, naprawione rynny gmachu i ściany, bogacą się pracownie i biblioteki... Są też i serca w jeden rytm związane, by godnie uczcić ofiarę najofiarniejszych.

## KOMITET WYKONAWCZY OBCHODU XXV-LECIA złożony z profesorów, rodziców i byłych wychowanków

### PREZYDIUM:

Szymański Edward, dyrektor Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku  
Wilczyński Jerzy, prezes Zarządu Rady Rodzicielskiej  
Słanina Stefan, prezes Koła b. Wychowanków

### WYDZIAŁ KOORDYNACYJNY:

Herz Kazimierz, Knapczyk Ignacy, Badura Jan

### SEKCJE:

#### WYDAWNICZA I TABLICY PAMIĄTKOWEJ:

Libura Inocenty, Herz Kazimierz, Mańka Alojzy, Knapczyk Ignacy, Lepczak Stanisław

#### IMPREZOWA:

Presz Edmund, Gojny Franciszek, Herz Kazimierz, Heimroth Tadeusz, Henisz Hanna, Chudoba Leon

#### SZTANDAROWA I ART.-DEKORACYJNA:

Sobecki Jan, Mańka Alojzy, Mazurkiewicz Łucja, Krupianka Kazimiera

#### B. WYCHOWANKÓW:

Ogórek Karol, Gojny Józef, Buła Franciszek, Miczajka Karol

#### FINANSOWA:

Kuźnik Leon, Heimroth Tadeusz, Henisz Hanna

#### PROPAGANDOWA:

Lepczak Stanisław, Grzesiczek Alfred, Pyzik Zdzisław

#### UROCZYŚCISCI KOŚC. I AKADEMII:

Ks. Gasz Antoni, Chudoba Leon, Mańka Alojzy, Jochemczyk Alojzy

#### ZABAWOWA:

Szymańska Halina, Gazekowa Janina, Lepczakowa Erna, Pasternakowa Bronisława, Henisz Hanna, Heimroth Tadeusz

#### KWATERUNKOWA:

Uberman Tomasz, Kossman Jan, Jochemczyk Alojzy, Ożógowa Waleria, Prusowa Maria

---

## Treść

Księgę układali:		2
Słowo wstępne		3
<b>A JESLI KOMU DROGA OTWARTA DO NIEBA: TYM, CO SŁUŻĄ OJCZYŹNIE</b>		
58 życiorysów poległych wychowanków i profesorów		7—70
W drodze krzyżowej	Karol Miczajka	71
Harcerze z Gotartowic	Froelich	73
Szubienice gotartowickie	Wilhelm Szewczyk	74
<b>W OGNIU WALK</b>		
Odwet za Rybnik	F. B.	75
P. O. P. w Rybniku	Wojciech Barcz	75
W obozie Latrum	Paweł Pilny	81
Spotykamy się na dalekich szlakach wojny	Alfons Mrowiec	83
Odyseja w piaskach libijskich	Alfons Mrowiec	87
Jak przedarłem się na wschód?	Józef Dąbek	88
Pod Monte Cassino	Ryszard Tłolka	92
Z ziemi włoskiej do Polski	Herbert Musiolik	95
Ze wspomnień partyzanta	Zbigniew Libura	96
Z walk o Warszawę	Leon Fojcik	100
Pod obcym mundurem	I. L.	103
Za drutami obozów	Inocenty Libura	104
<b>GLEBA, Z KTÓREJ WYROŚLIŚMY</b>		
Ziemia rybnicka	Franciszek Hübner	107
Nasze miasto	I. L.	118
<b>DWUDZIEŚTOPIĘCIOLECIE</b>		
Biskup opolski, pierwszy maturzysta rybnicki, składa życzenia jubileuszowe		122
Od dyrekcji	Edward Szymański	123
W dwudziestopięciolecie szkoły polskiej na Śląsku	Ignacy Knapczyk	124
O pełne człowieczeństwo	Leon Chudoba	128
Pierwszy dyrektor	Ks. Antoni Gasz	131
Wspomnienie o ks. dr Siwcu	Stanisław Grzywnowicz	133
Dalsi włodarze zakładu i wychowawcy		134
Ludzie szkoły	Łucja Mazurkiewicz	136
Trzeba z żywymi naprzód iść	Franciszek Gojny	139
Akademickie Koło Rybniczian	Karol Ogórek	140
Roczniki maturzystów rybnickich		141
Do młodych	I. L.	146
Pozdrowienie Odrze	Wilhelm Szewczyk	148
Poległym	Mieczysław Basista	149
Powrót	Wilhelm Szewczyk	149
Dzieje jednego zastępstwa	Alojzy Mańka	153
Z migawek szkolnych: Historia radiowa	Alfred Grzesiczek	154
Z dziejów szkoły		156
Z najstarszej księgi zakładu	Alojzy Mańka	156
Co zapamiętał „Zew Młodzieży“?	Inocenty Libura	159
Lata wysiedlenia	K. H.	170
W odrodzonej szkole	Kazimierz Herz	171
Starosta rybnicki i burmistrz miasta do młodzieży		184—185
Duch kresowości zachodniej	Kazimierz Herz	185
I znów studiujemy na polskich uniwersytetach	Stanisław Pohl	187
Pokolenia maturzystów powojennych		189
Rada Pedagogiczna, Zarząd Rady Rodzicielskiej i młodzież w roku jubileuszowym		190
Jubileusz Dziesięciolecia — Jubileusz i my	Wacław Presz	193
A było to tak:		194
Komitet Wykonawczy Obchodu XXV-lecia		195



1997-01-16  
05.01.1999

18 WRZ. 2007

2009-09-17

2013-09-11

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

M 17556

17556

